

ANTOLOGIA

Moje nadprzyrodzone wesele

My Big Fat Supernatural Wedding

Tłumaczyła: Ilona Romanowska

Leslie Esdaile Banks

Zauroczeni

Hattie McCoy wygładziła przód swojej fałdzistej białej sukienki i usiadła pod pobliskim drzewem. Westchnęła z zadowoleniem, wędrując wzrokiem po parze młodych kochanków.

– Hattie – dobiegł ją ciepły znajomy głos, po czym pojawiło się równie znajome widmo Ethel. – Nie powinnyśmy w ten sposób szpiegować naszych krewnych, szczególnie w tak delikatnych sytuacjach. To, że my są duchy i że możemy, nie znaczy, że powinnyśmy.

– Wiem – powiedziała Hattie. Odczekała, aż jej wieloletnia przyjaciółka w pełni się zmaterializuje i usiadła obok niej. – Ale spójrz tylko na nich. Tacy młodzi i tacy zakochani.

Ethel Hatfield uśmiechnęła się.

– Gdyby mnie kto pytał, to jeśli tych dwoje nie będzie uważać, to jak nie zmajstrują dziś dziecko.

– Wiem! – zawołała śpiewnie Hattie, klaszcząc w dłonie z radości. – Czyż nie byłoby to boskie?

Jej przyjaciółka przytaknęła, ale zaraz zmarszczyła brwi.

– Eee, ten urok celibatu, który rzuciły nasze rodziny, przeszkodzi jak nic. – Spojrzała w górę. – A poza tym będzie burza. To znowu sprawa tych Hatfieldów i McCoy'ów! To nie ma sensu: zawsze czary trzynastu ciotek z jednej strony przeciwko czarom trzynastu wujków z drugiej... Wiesz, jak to jest z tym ich ukorzeniem. Dlaczego po prostu nie przestaną i nie zostawią spraw własnemu biegowi?

– Właśnie dlatego tu przyszedłam – wyszeptała Hattie, kładąc dłonie na swych znikających biodrach. – Tyle lat, a te nasze rodziny ciągle prowadzą wojnę. To kompletna bzdura! To ukorzenie, rzucanie złych uroków i babranie się w rzeczach przynoszących pecha, phi!

Ethel pofrunęła w stronę drzewa, pod którym leżeli kochankowie.

– Dziewczyno, trzymaj tę gałąź, zanim spadnie i spróbuj ich przegonić z koca, a ja podszeptam tym gołąbkom, coby powstrzymały się do czasu, aż wszystko wyprostujem.

Hattie zakryła usta i zachichotała z radości – tym razem ucieszona, że przy przejściu do drugiego świata pozwolono im przybrać stare dziewczęce postacie.

– Chyba nie mieliby nic przeciwko, gdyby trafił ich teraz piorun. Będzie pioruńsko trudno dostać się pomiędzy nich – zaśmiała się jej przyjaciółka. – I nie jestem pewna, czy tego chcę. Patrz, jak się o siebie ocierają i uderzają. Litości!

– Rany, dziewczyno, nie udawaj, żeś już zapomniała, jak to jest. Miłość to diabelnie silna rzecz, magia sama w sobie – powiedziała Hattie z figlarnym

uśmieżkiem.

Oba duchy zawirowały w słońcu, aż stały się lśniącymi pyłkami.

– Kochana! – wykrzyknęła Ethel. – Jak myślisz, co najpierw zmajsrują, chłopca czy dziewczynkę?

Południowa Karolina, obecnie

Wyrwał się z pocałunku jak tonący. Słodki oddech Odelii obmył jego wargi ciepłą pokusą. Usta dziewczyny były tak blisko, że ciągle mógł poczuć smak mrożonej miętowej herbaty, którą przed chwilą wypić. Jego oczy pożały każdego centymetra ciemnej, satynowej skóry, a jego dłonie ześliznęły się po ramionach Odelii, chcąc zsunąć cieniutkie ramiączka żółtej koszulki.

– Wiem, że ciężko czekać, ale nie możemy – wyszeptala. – Nie powinniśmy.

Wpatrywał się przez chwilę w jej twarz, w piękne brązowe oczy wyrażające prośbę. Ale zmaganie i namiętność, jaką również w nich zobaczył, jej ciało przy jego ciele gorące niczym parne popołudnie – to było ponad siły chłopaka.

– Przecież niedługo się pobierzemy – powiedział cicho, leniwie głaszcząc jej ramiona. – Jesteśmy zaręczeni.

Uniósł dłoń dziewczyny i pocałował jej wierzch, a potem wewnątrz. Drugą ręką głaskał aksamitne włosy Odelii.

Zawahała się, zerkając na dwukaratowy kamień chwytający i rozszczepiający światło słoneczne na jego policzku, który delikatnie muskała. Spojrzała w oczy swojego mężczyzny, ale cóż mogła mu powiedzieć?

Ich romans szybki i nagły zaczął się na ostatnim roku studiów, a po dwunastu miesiącach zaowocował zaręczeniami. Cały rok wstrzemięźliwości, którą nakazał im pastor, był najtrudniejszą rzeczą, jaką musiała w życiu znieść. Oboje przez cały ten czas tajemniczo zwlekali z powiadomieniem swoich rodzin o nowym wydarzeniu, co też było nie do wytrzymania. Wiedziała jednak, dlaczego ukrywa przed rodziną istnienie Jeffa i zdawała sobie również sprawę, dlaczego Jeff nigdy nie zaprosił jej do swojego domu, by przedstawić narzeczoną rodzinie.

Mogła tylko się modlić, żeby krewni chłopaka nie nosili pokoleniowej urazy, która obrosła już legendą i żeby zaprzestali czarów. Bo co do swoich bliskich nie miała złudzeń – według nich wszyscy McCoy'owie byli nikczemnymi ludźmi rzucającymi uroki: i rodzice Jeffersona, i jego wszyscy liczni krewni. Nie! Niemożliwe! Jeff był taki logiczny, zrównoważony i tak daleki od przesądów, że niemożliwe, by jego rodzina była tak szalona jak

Hatfieldowie.

Gdy tak patrzyła w oczy narzeczonego, wiedziała, że żadnym sposobem nie będzie w stanie wytłumaczyć mu obłądu, w którym dorastała. Może po ślubie jakoś mu to łagodnie zakomunikuje. Ale jak wytłumaczyć to, że jej tatuś był tak blisko doktora Myszołowa, mistrza w ukorzenianiu, że już bliżej nie można? Albo że wszystkie jej ciotki parały się przytwierdzaniem korzeni, a na nieszczęśników, którzy ośmieliliby się pokrzyżować im plany, czekały niewytłumaczalne racjonalnie konsekwencje? Studia były dla Odelii ucieczką od tych wszystkich nieczystych spraw. Poszukiwania intelektualne i studencki kościół stały się dla niej tarczą przed kuchenną magią, którą uprawiali jej krewniacy. Jeśli jednak rodzina wystraszy tego faceta, to ona umrze śmiercią naturalną!

– Jeff – powiedziała cicho, nie mogąc się od niego oderwać. – Nie chcę, by cokolwiek stanęło między nami. Nie chcę kusić losu ani wywołać Gniewu. Gdybyśmy szybko się pobrali, po cichu, ty i ja...

– Chcesz uciec z ukochanym? – zamruczał, przykładając usta do jej szyi, wydychając słowa, tak że wręcz je czuła na skórze, nie tylko słyszała.

Im więcej o tym myślał, pieszcząc dziewczynę, tym bardziej podobał mu się jej pomysł. No bo czy naprawdę mogliby teraz, na dwa tygodnie przed imprezą z okazji ukończenia studiów, ot tak poinformować rodziny i zamienić przyjęcie w ślub-niespodziankę? Niedorzeczność! Wcześniej wydawało się to całkiem logiczne: i tak miał być tort, jedzenie, goście i proboszcz – wszystko, czego by potrzebowali to pozwolenie, kwiaty i suknia. Garnitur Jeff już miał.

– OK – wydusił wreszcie, nie przestając jej całować. – I tak nie zniosę długiego narzeczeństwa i całego tego ślubnego zamieszania.

Siedzieli sobie teraz na pikniku pod koronami drzew, które dawały poczucie intymności. Żarliwe zainteresowanie chłopaka płatkami jej ucha sprawiło, że zapomniała o wszystkim, co mówił pastor, i o tym, jakie niebezpieczeństwa ze strony rodziny mogą na nich czyhać, jeśli posuną się za daleko. Tymczasem Jeff łaskotał ucho Odelii swym oddechem w taki sposób, że ciarki przeszły jej po plecach. Miał taki ładny zapach... głęboki, bogaty, męski i ziemisty... i boski! Jego wysoka sylwetka była jak masywny dąb. Boże, mogła tylko pozwolić ustom, by smakowały jego czekoladową skórę i zanim się spostrzegła jej palce mierzwiły jego krótkie, gęste włosy.

– Zrobiłbyś to dla mnie? – wyszeptała, gwałtownie oddychając, gdy całował ją po ramieniu.

– Dla ciebie zrobię wszystko – powiedział rozgorączkowany do jej ucha.
– Wszystko. Dziewczyno, kocham cię.

To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Uciekła myślami, wyobrażając sobie wspólną przyszłość. Mogliby mieć przed sobą piękne życie. On, świeżo upieczony prawnik, zaczyna swoją pierwszą pracę w Seattle. Ona z

tytułem magistra dołączyłaby do niego jako żona i zajęłaby się pracą społeczną daleko, daleko od domu. Mogliby kochać się dzień i noc, bo ich związek byłby pod ochronnym płaszczem Wszechmogącego, nawet jej rodzina nie mogłaby nic popsuć. „Czy aby?” – zastanawiała się. Może nawet ich dzieci urodziłyby się normalne, bez genu magii lub skłonności do czarów...

Odwzajemniła natarczywy pocałunek, wiedząc nazbyt dobrze, że to lekkomyślność. Wszystkie te noce, gdy byli tak blisko złamania obietnicy, że poczekają, przytłoczyły ją teraz z całą siłą. Ból, jaki wzbudził w niej Jeff, był jak ogień płonący od momentu, gdy się poznali.

Każda taka noc tylko pogarszała sytuację. Każde spotkanie ze znajomymi czy wspólne zebrania w grupie kościelnej spowodowały, że teraz była gotowa wrzeszczeć. Spotkania u niego lub u niej pod pretekstem oglądania filmów zawsze kończyły się nazbyt namiętnymi pieszczotami z filmem w głębokim tle. Przez ostatnie dwa miesiące oboje uznali, że nie będą kusić losu, podając jako powód swego postanowienia boże przykazania. Ale było w tym coś więcej niż dogmaty kościoła. Potem on skomplikował wszystko, dając jej pierścionek podczas cichej, nieplanowanej kolacji we dwoje. To ich prawie złamało. Ale dziś... nie mogła już tego znieść. Siła jej woli znikła.

– Jefferson, nie możemy – wyszeptała, przerywając kolejny pocałunek. Oparła głowę na jego piersi. Czowała łomot serca chłopaka i uderzenie podniecenia wewnątrz ud. Jego koszulka z napisem UNIWERSYTET KAROLINY POŁUDNIOWEJ oblepiała mu tors. Była wilgotna.

– Kochanie, nie wiem, ile jeszcze mogę znieść...

Jeffa zdenerwowało, że Odelia użyła jego imienia w pełnym brzmieniu. To z pewnością oznaczało „nie”, a nie chciał usłyszeć tego słowa właśnie teraz. Nie obchodziło go, co nastąpi – zgodnie z obietnicą mamy i wujków – gdyby kiedykolwiek zadał się z kobietą z rodziny Hatfieldów.

– Wiesz, że to nie ma sensu. Tylko niepotrzebnie się podniecimy – powiedziała, oddychając ciężko. – Dlatego wstałam i zesłam z koca.

– Nic na to nie poradzę – odparł Jeff, całując czubek głowy Odelii. – Nikt nas nie zobaczy. Nikt się nie dowie. Moglibyśmy polecieć do Vegas i pobrać się już dziś wieczorem.

– Drzewa mają oczy. – Pokręciła głową, kładąc dłonie na jego ramionach.

– No to wróćmy do ciebie – zaproponował, mocno przyciągając do siebie dziewczynę i nie przestając jej dotykać.

Musi się kochać z Odelią albo zaraz dostanie zawału! Już prawie nie mógł oddychać, tak bardzo jej pragnął. Rodzina niech sobie czaruje, ile chce, ale ta kobieta była tą jedyną. Nie pozwoli im rzucić kości i odstraszyć jej jak

wszystkich poprzednich!

– Nie możemy lecieć do Vegas... – usłyszał. – Wiem, że wydałeś wszystko, co miałeś, na pierścionek.

– Tym się nie martw – zamruczał, a jego ręce ześliznęły się po plecach Odellii i zaczęły pieścić jej pośladki.

Zadrżał, gdy poczuł, że dziewczyna staje na palcach i sztywnieje pod wpływem jego dłoni. Zamknął oczy, czując, jak mięśnie jej jędrnych pośladków naprężają się w rytmie dotyku. I co z tego, że od dwóch miesięcy zalega z czynszem, że wydał ostatnie pieniądze przeznaczone na książki, jedzenie i bieżące wydatki, aby włożyć brylant na jej palec?! Była tego warta. Nie miało znaczenia, że był obecnie splukany. To tylko przejściowa sytuacja. Nie musiał jej tym martwić. Za kilka miesięcy skończy dwadzieścia pięć lat, a wtedy odziedziczy trochę pieniędzy, które jego zmarły ojciec umieścił w funduszu powierniczym. Wykorzysta je na ich wspólny start, na pierwszy dom. Nigdy, za nic w świecie nie pozwoli, by ten dom miał coś wspólnego z kuglarskim biznesem jego wujków. Tak, Odellia Hatfield była warta każdego centa, jaki miał.

Wbrew rozsądkowi jego ciało nadal poruszało się wzdłuż miękkiego ciała dziewczyny, a ból, który przeszył pachwiny Jeffa, promieniował aż do brzucha. Nie zmuszą go, by wrócił do domu i do rodzinnych hochsztaplerskich sztuczek w zamian za zdjęcie uroku celibatu. Im bardziej próbował zapomnieć o groźbie, tym bardziej Odellia pojękiwała i poddawała się jego czułościom, a słowa matki coraz bardziej dzwoniły mu w uszach:

„Jesteś młody synku i prędzej czy później będziesz chciał zdjąć urok, bo inaczej postradasz zmysły. To był pomysł twoich wujów, nie mój. Nie zabija się posłańca, który przynosi złe wieści. Oni po prostu wymusili kompromis, słonko. Więc wyjdź im naprzeciw i przestań walczyć z prawem pierworództwa, wróć do nas po studiach i pracuj z rodziną, tak jak w rodzinie powinno być. Ożeń się z jakąś miłą dziewczyną z sąsiedztwa, która zrozumie nasze postępowanie”.

To było czyste i najzwyczajniejsze wymuszenie!

Jefferson próbował wyrzucić to wszystko z umysłu i coraz natarczywiej całował soczyste usta narzeczonej. I co z tego, że klan twierdził, iż jest najsilniejszym magikiem, jaki się urodził od pokoleń?! Jak do diabła mógł przyprowadzić tak kruche i łagodne stworzenie do domu swojej obłąkanej rodziny?! Uciekłyby za wzgórze, a on nie mógłby bez niej żyć. Odellia była obietnicą zwyczajnego życia i normalnych, szczęśliwych dzieci. Jeff nie miał teraz najmniejszych wątpliwości, że pewnego dnia zostanie ważnym prokuratorem i coś wymyśli, żeby uzyskać zakaz zbliżania się dla całej swojej rodziny. Oskarży ich o naruszenie prywatności!

Jego dłonie szybko odnalazły twarz dziewczyny i łagodnie dotknęły policzków. Spojrzał jej w oczy i powiedział niskim, nagłym głosem:

– Ty i ja jesteśmy sobie przeznaczeni, Odelio. Jak to wyjaśnić, że oboje jesteśmy jedynakami? Straciłaś mamę dokładnie w ten sam dzień, co ja mojego tatę, nawet urodziliśmy się tego samego dnia, 21 lipca. I jak to wytłumaczyć, że jesteśmy na tym samym uniwersytecie, że kończymy go w tym samym czasie, pochodzimy z tych samych stron i wszystko tak samo odczuwamy? Praktycznie oddychamy tym samym oddechem... potrafimy dokończyć zdanie drugiego. Dziewczyno, mamy ten sam ulubiony kolor, błękit nieba, lubimy tę samą muzykę, wierzymy w to samo i oboje jak nic pragniemy być razem! No jak to wytłumaczyć, co? Powiedz, że tak nie miało być.

Nie potrafiła zaprzeczyć jego argumentom. Spojrzała mu głęboko w oczy – miały taką zdolność hipnotyzowania... Już wcześniej gdzieś się z nią spotkała, nie mogła tylko skojarzyć gdzie. Nie umiała sobie wytłumaczyć, co działo się z jej ciałem pod wpływem dotyku chłopaka. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale wydobył się z nich tylko oddech, który Jeff wciągnął na wpeł otwartymi ustami. Sutki stwardniały jej tak mocno, że musiała przycisnąć do niego piersi, wtedy on aż zadrżał i zamknął oczy.

– Wiem – powiedziała w końcu, przelękając ślinę, a spazmatyczny ból przeszył jej uda. – Jesteśmy idealnie dobraną parą.

Skinął głową.

– Właśnie to próbuję ci powiedzieć. Nic nie może nas rozdzielić.

– Moja rodzina ma swoje małe sposoby... – Prawie zemdląła, gdy dłonie chłopaka przesunęły się po jej ramionach, a jego palce figlowały po krawędzi koszulki. Ledwo mogła złapać oddech, bo koniuszki palców tańczyły pomiędzy ramiączkami a wypukłością jej piersi, nie ważąc się jednak przekroczyć granicy, jaką tworzyła tkanina.

– Moja również – przyznał szorstkim głosem. – Chcesz iść do mnie? Będzie padać.

Skinęła głową i delikatnie pogłaskała go po policzku. Jej kochany Jeff... Nawet nie miał pojęcia, jak niebezpieczne mogą być owe sposoby Hatfieldów. Mówiąc, że będzie padać, nawet nie spojrzał na niebo, tak samo jak jej tata. Tymczasem zewsząd rzeczywiście napływały ciężkie chmury. Tak, będzie grzmiało, błyskało i lało jak z cebra, ale prawdziwe piekło czeka ich, gdy jej rodzina dowie się o spotkaniach Odelii z „młodym McCo’yem”. A co dopiero, gdy wyjdzie za jednego z nich?! Prawie skuliła się na tę myśl, zachowała jednak spokojną twarz i z miłością popatrzyła na Jeffa. Sprowadziliby na niego nieszczęście, rzucili każde zaklęcie, jakie mogliby znaleźć w księdze tylko po to, by ukarać jego rodzinę za to, że posiada niewłaściwe geny. I żeby wyrównać porachunki o ziemię, oczywiście. Gdyby się z nim przespała, WIEDZIELIBY o tym.

– Nie możemy wrócić do ciebie... Wiesz, co się może stać, jeśli to zrobimy.

To była zagmatwana sieć rzucania i odczyniania uroków. Przed zaklęciem

ciotek Odelię chroniło tylko prawowite małżeństwo. Obiecały jej, że od momentu, gdy zacznie dojrzewać... i zaszczepiono te zdradliwe korzenie – gdyby jakikolwiek chłopak posunął się za daleko, natychmiast padłby trupem. To miała być ich polisa ubezpieczeniowa, pewność, że wróci na łono rodziny, wnosząc z sobą dziedzictwo swojej zmarłej matki i upewniając tym samym Hatfieldów, że pewnego dnia będzie z nimi współpracować. Uwierzyła na słowo, zresztą jej cioteczki nigdy nie żartowały. Nigdy dotąd nie musiała sprawdzać tej teorii, aż do czasu, gdy pojawił się Jefferson McCoy, przy którym trudno jej było zachować dystans, nawet dla bezpieczeństwa narzeczonego.

Nic nie odpowiedział na jej słowa. Znowu ją pocałował. Cóż innego mogła zrobić, niż odwzajemnić pocałunek? Nie było sposobu, aby przerwać ten koszmar. Chciała uciec od tego rodzinnego dramatu, dlatego wyjechała na studia, mając nadzieję, że przekłete korzenie podlegają limitowi odległości. Ale jej tata zapowiedział, że zdwoi swoje wysiłki i będzie stać frontem z ciotkami – przypuszczalnie po to, by chronić jej cnotę. Nie mogła ryzykować. Za bardzo kochała Jeffa.

– Zmokniemy, jeśli tu zostaniemy – głos chłopaka brzmiał jak ciche dudnienie, a jego wzrok przenikał dziewczynę na wskroś.

– Wiem – wyszeptała bardziej mokra, niż mógł sobie wyobrazić.

Powolny spacer jego palców po krawędzi koszulki doprowadził ją do szału. Nie mogła przestać myśleć o tych kilku razach, gdy byli sam na sam i już prawie by to zrobili, i o tajemniczych zdarzeniach, które zawsze psuły nastrój i przesuwali. Samozapalająca się kuchenka, buchające płomienie, trzaskające drzwi, obrazy spadające ze ścian... Tak, prawda, Jefferson zawsze znajdował jakieś rozsądne wytłumaczenia, aby ją uspokoić, ona jednak i tak wiedziała, że to rzucony urok działał w pełni.

– Kocham cię – powiedziała w końcu, próbując odsunąć się od jego ciała.

Nie odpowiadał przez moment. Na jego twarzy malowała się istna męka. Musnął tylko usta dziewczyny, pochylił się i wzdłuż krawędzi koszulki zasypał jej ciało serią gorących, mokrych pocałunków, aż wstrząsnął nią spazm.

– Ja też cię kocham – wyszeptał do jej piersi, po czym schwycił wargami jej sutek i zaczął go ssać przez koszulkę.

Nigdy przedtem jej tam nie dotykał, trzymał tylko w ramionach, głaskał po plecach albo pieścił twarz Odelii. Żaden mężczyzna nigdy wcześniej nie dotykał jej intymnych miejsc. Dotąd tylko co najwyżej ocierali się na kanapie, powstrzymując niecierpliwie dłonie. Nowe doznanie było rozkoszne i wydobyło z piersi dziewczyny głębokie westchnienie. Przywarła do podłużnego stwardnienia w jego dzinsach, napierając na nie, aby powstrzymać słodki ból, mimo że jej umysł krzyczał: „Nie rób tego!”.

Ale nie mogła się od niego oderwać. Jego wolna ręka objęła delikatnie nabrzmiałą pierś i palcami przesuwiała po stwardniałym sutku, a usta całujące

drugą kruszyły na miazgę silną wolę Odellii. Zanim się spostrzegła, podniósł jej koszulkę i sunął wargami po jej nagiej skórze, aż łyzy nabiegły dziewczynie do oczu.

– Nie! – zawołała płaczącym głosem, gdy rozgrzał ból w jej wnętrzu do czerwoności.

Bezwiednie jej dłoń zsunęła się pomiędzy ich ciała, dotykając miejsca, którego wcześniej nie śmiała dotknąć, a dźwięk, jaki wydobyła tym z Jeffa sprawił, że o mało nie ugięły się pod nią kolana.

Zaczęło padać, wraz z deszczem twarz dziewczyny zalały szorstkie pocałunki. Pal diabli urok i pastora! Nie mogła się powstrzymać. Ani Jeff. Mieli wszystko, czego im było trzeba – siebie, intymność, koc i przysięgę, że się pobiorą. To będzie ten dzień, a burzowe chmury będą im świadkami! Zaczęła rozpinać mu dzinsy.

Powstrzymał ich jaskrawy flesz błyskawicy, po którym natychmiast nastąpił głośny trzask pioruna. Spojrzeli po sobie. Ich uwagę przykuła ogromna sosna znajdująca się dziesięć metrów od nich – przed chwilą całkiem zwyczajna, teraz rozłupana wzdłuż.

– Cholera jasna! – wymamrotał Jefferson i odsunął się od Odellii.

Skinęła głową, poprawiając koszulkę.

– To znak. Przytaknął.

– Posłuchaj kochanie, jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

– Wiem. – Kiwnęła głową, wędrując spojrzeniem pomiędzy nim a zagniewanym niebem. Dziwnym sposobem przestało padać, ale groźba wisząca nad głowami była ciągle realna. – Też muszę z tobą o czymś porozmawiać.

– Pogadajmy po drodze, w samochodzie. – Zaczął składać koc, podczas gdy Odellia zajęła się koszykiem, w którym leżało nieruszone jedzenie.

– Tak myślisz?

Pobiegli do samochodu i oboje jednocześnie wskoczyli do zardzewiałego Forda Tempo rocznik 87. Jefferson zapuścił silnik. Spojrzeli po sobie, gdy kolejny piorun uderzył w miejsce pod drzewem, gdzie siedzieli dosłownie przed chwilą.

– Moja rodzina – powiedzieli chórem.

– Ty pierwsza – poprosił chłopak, podczas gdy koła samochodu rozchlapwały już żwir i błoto na drodze.

– Uhum. Ale nie tutaj. – Otarła dłońmi twarz.

– Twój też? To mi chcesz powiedzieć? – Tak.

– Twój?

– Tak. Moi.

– Oni...

– Tak. To wszystko ich sprawa. Kochanie, miałam nadzieję, że to wszystko, co nam zawsze opowiadali, to tylko kupa przesądów, jakies tam

hokuspokus, ale teraz sama nie wiem...

Oboje ponownie spojrzeli na niebo. Jefferson przyspieszył. Nagle w tajemniczy sposób ukazało się słońce. Ich kolejne słowa były przerażającym potwierdzeniem wszystkiego, w co usilnie próbowali nie wierzyć.

– Korzenie rodzinne – wyszeptali równocześnie.

Zdaniem Odellii było tylko jedno wyjście: zadzwonić do Nany Robinson. Matka jej matki miała sama w sobie dużą moc, mimo że nie była jedną z Hatfieldów. Nigdy nie pogodziła się z tym, że najmłodsza córka wyszła za jednego z nich. Tym bardziej, że potem matka dziewczyny umarła stanowczo za młodo z powodu jakiejś tajemniczej gorączki, która dopadła ją pewnej burzliwej nocy, gdy Odelia była jeszcze w kołysce. Rodzina pomijała to wydarzenie szeptami i pomrukami.

Teraz dziewczyna siedziała w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko jej mieszkania i opowiadając o swoich krewnych, uważnie przyglądała się wyrazowi twarzy Jeffersona. Ku jej zdziwieniu chłopak pocierał tylko twarz dłońmi i wzdychał, sprawiając wrażenie znużonego.

– I co teraz zrobimy? – zapytała w końcu Odelia.

Wcześniej w pełni przygotowała się na to, że będzie musiała oddać pierścionek zaręczynowy. Dziewczynie ulżyło więc, gdy narzeczony nie wziął jej za wariatkę.

– Muszę zrobić ten krok i spotkać się z twoim tatą i zrobię to jak należy, po męsku.

Odelia odchyliła się na siedzeniu.

– Odbiło ci?! – Potrząsnęła głową. – z TWOIM nazwiskiem chcesz naruszyć terytorium Hatfieldów, żeby spotkać się z MOIM tatą, ZANIM się pobierzemy?

– To jedyne wyjście. Nie zniosę ani minuty dłużej, że nie mogę być z tobą. Musimy spróbować przemówić im do rozsądku, a ty i tak w końcu będziesz musiała poznać moją mamę. I tyle. Ona nie jest prawdziwą McCoy, tylko musi podtrzymywać tradycję, bo mam trzynastu wujków, z którymi lepiej nie zadzierać.

Dziewczyna zamknęła oczy i opadła na siedzenie pasażera.

– Widzisz to Jeff? Trzyście moich rozżłoszczonych ciotek wyrównujących porachunki z twoimi trzynastoma wujkami i całe nasze kuzynostwo na tym samym ślubie? Mój tata żyje w zgodzie z tymi świrami dla świętego spokoju i może po to, by pozostać przy życiu. Ale z moją ciotką Effie nie ma żartów.

– U nas prowodyrem jest wuj Rupert. Ale jako bufor będziemy mieć wszystkich Robinsonów ze strony twojej mamy i cały klan Jonesów z mojej.

Będą obecni, bo zarówno ty, jak i ja jesteśmy pierwsi z wszystkich czterech rodów, którzy skończyli coś więcej niż szkołę średnią. Więc po mojemu, jeśli uda mi się przekonać matkę mojej mamy, babcię Jo, żeby nam pomogła, bo to nie żadna z McCoy'ów ani jakaś tam niezdara, to może uda nam się jakoś przebrnąć przez ceremonię. Kto wie? Moja babcia ciągle nie pogodziła się z tym, że jej córka uciekła, aby wyjść za mojego tatę, McCo'ya. Ciągle nie wiemy, jak i dlaczego piorun uderzył w drzewo, które spadło na jego samochód i zabiło go, gdy miałem dwa lata. Chyba boję się spekulować. Po prostu zaufaj mi, jak mówię, że babcia Jo też ma trochę pary.

Zły plan! Odelia czuła to w kościach. Ale straszliwie pragnęła być ze swoim mężczyzną! Pomimo strachu jej ciało ciągle paliło się do niego. To samo było wypisane na jego twarzy. Zakazana namiętność była najsilniejszą pokusą.

– Zrobimy to razem – powiedział stanowczo, widząc, że narzeczona zwleka z odpowiedzią. – Pójdziemy do ciebie i wykonamy kilka ostrzegawczych telefonów... Wynegocjujemy tymczasowe zawieszenie broni, tak żebyśmy mogli bezpiecznie razem wrócić do domu, dobrze?

– OK – powiedziała z rezerwą w głosie – a może lepiej nie jedźmy do domu? Zmusimy ich, żeby przyjechali tu, na uczelnię, na nasze przyjęcie zakończeniowo-ślubne w kościele studenckim.

– Masz rację, Delia – przytaknął. – Ostrożniej będzie, jak pozwolimy naszemu wielebnemu Mitchellowi koncelebrować z tutejszym pastorem Wis'em. Tak, tak będzie bezpieczniej.

– Taa. Pamiętasz, jak to było w domu: Hatfieldowie po jednej stronie kościoła, a McCoy'owie po drugiej? Wielebny Mitchell wie jak sobie z nimi radzić. Jeśli go nie poprosimy, to pastor Wise ani przewidzi, co i kiedy może go nagle trafić.

– Widzisz mała, jak się ze sobą zgadzamy? – stwierdził Jefferson i otworzył drzwiczki.

Odelia wysiadła i rozejrzała się dookoła, niepewna, czy aby czasem nie traci zmysłów.

– Co?! – wrzasnęła Nana Robinson, zmuszając Odelię do odsunięcia na moment słuchawki od ucha.

– Ale ja kocham go i muszę...

– Dziecko, róbta swoje, załatwiajta ten ślub i zaklepta mszę – powiedziała babcia podekscytowanym głosem. – Pozwól, że ja zajmę się tym zrzędlwym sukinkotem Ezekielem Hatfieldem, twoim pozał się Boże ojcem. Dobrze mu tak! To nic innego, jak sprawka Pana, który chce powiedzieć prawdę i wszystko wyjaśnić. Może twoja mama tam w niebie przygotowuje tatusiowi zapłatę. Więc

nic się nie bójtą. Urządzimy se wesele, dziecinko! Ściągnę Opal Kay, słyszysz? Moja siostra da im wszystkim popalić, tym bykom Hatfieldom, co to im się wydaje, że potrafią rzucać czary. Jesteśmy wszyscy dumni z naszej wnusi, co zdobyła wykształcenie, nie przywiozła dzieciaka do domu, nie cudzołożyła tam w szerokim świecie, no i złapała se prawnika, no i mam to gdzieś, jak się nazywa! Hm... I do tego wszystkie pieniądze, jakie ci się należą z racji, że dusza twojej mamy poszła do nieba, zostaną z nami dziecko, nie z nimi!

– Dziękuję ci, babciu, Kocham cię. – Więcej dziewczyna nie była w stanie powiedzieć.

Stojący w pobliżu Jefferson przestępował z nogi na nogę.

– Też cię kocham, dziecinko! – zawołała do słuchawki Nana Robinson. – Bądź silna. Sprowadzam posiłki. Pa!

Odelia i Jeff spojrzeli po sobie.

– Zaczęło się. Babcia Nana właśnie rozpętała wojnę.

Chłopak z westchnieniem wziął telefon bezprzewodowy od narzeczonej i wystukał numer, który znał na pamięć. Z rosnącą niecierpliwością czekał, aż po dziesiątym dzwonku jego babcia, która nie dowierzała takim urządzeniom, jak automatyczna sekretarka, w końcu podniesie słuchawkę.

– Kto tam? – zapytał wreszcie głos staruszki.

– Babciu Jo, to ja, twój Jefferson.

– O mój Panie Niebieski! Dziecko, co się stało, że tak niespodziewanie dzwonisz, mój ty ulubiony wnuku?

Jeff zawahał się.

– Babciu, mam problem. Na linii zapanowała cisza.

– Słuchaj, dziecko – zaczęła wolno staruszka – wiesz, że Bóg nie obarczy cię niczym, czego nie mógłbyś udźwignąć. Powiedz babci, o co chodzi.

– Spotkałem dziewczynę, jest miła, naprawdę miła...

– Synu, jest w ciąży?!

– Nie, nie, to nie tak – wyjaśnił szybko Jefferson, zerkając na zawstydzoną tym podejrzeniem Odelię. – To jest naprawdę słodka, religijna dziewczyna. Poznałem ją w college'u i chcę się z nią ożenić teraz, kiedy już kończę studia, ale...

– No to na co czekata?! Róbta, co należy, chłopcze. Żeń się z dziewczyną. Skoro zdała egzamin u ciebie, to wiem, że u mnie też. Jesteś dorosły, wykształcony, i wiesz, jak zarobić na życie. Jesteśmy wszyscy tacy z ciebie dumni!

– To jedna z Hatfieldów, babciu. – Jeff wydał z siebie nerwowe westchnienie. – Zakochałem się w niej, zanim uświadomiłem sobie, że ta sprawa z urokiem to jednak prawda.

Nie było to całkiem tak, ale wyjaśnianie teraz staruszce wszystkiego z dręczącymi szczegółami przekraczało jego siły. I znów na linii zapadła cisza.

Jefferson zamknął oczy w oczekiwaniu.

– No to rzeczywiście niezły klops – powiedziała babcia, wypuszczając głośno powietrze.

– Babciu... Nie mogę pozwolić, by coś się jej stało. Wiesz, co mam na myśli?

– Taa, wiem – przytaknęła ze złością. – Nie mogę patrzeć na tych wszystkich przeklętych, nic niewartych McCoy'ów! Nie żebym miała na myśli ciebie, kochany, ale wiesz, co myślę o rodzinie twojego taty. Niczego nie ukrywam, mówię, jak jest, i wszyscy Jonesowie o tym wiedzą, a szczególnie twoja mama. Ona wie to dobrze, więc nie mówię nic za plecami. Kiedy zamierzasz poślubić to dziecko?

– Chciałem ożenić się z Odelią, kiedy wszyscy tu przyjadą na zakończenie studiów, żeby zaoszczędzić wam podwójnej podróży i podwójnych wydatków... bo wszyscy jednocześnie tu będą. Ona też kończy w ten sam dzień, więc...

– Chciałeś upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, ma się rozumieć. Rozumiem cię, dziecko. Nie musisz się starej babce dużo tłumaczyć. Wiem, jak działają McCoy'owie. Może nie ośmielą się tak przy wszystkich... Ale za bardzo bym na to nie liczyła – westchnęła, po czym zaraz chrząknęła. – Trza ściągnąć posiłki.

Ramiona Jeffersona opadły, a Odelia podeszła do niego i chwyciła go za rękę, by dodać mu otuchy.

– Babciu, nic szalonego nie może się jej przydarzyć. Robię, co mogę, by wszystko było jak należy... chcemy być razem, ale zawsze kiedy...

– Ciagle to nad tobą, synu, wisi, więc nie możeta się nawet porządnie pocałować? Nic dziwnego, że niemal oszalałeś – prawie wykrzyknęła. – Bez seksu w twoim wieku to niezdrowe, chłopcze.

– Babciu! – zawstydzony Jeff upuścił dłoń dziewczyny i przeszedł przez pokój.

– Nie babciu mi tu – powiedziała staruszka z oburzeniem. – Wszystko wiem o tych sprawach. Też kiedyś byłam młoda. To nie ma żadnego sensu. Poza tym wiem o wszystkim od twojej mamy, która miała tego serdecznie dość, odkąd twoi pazerni na forszę wujkowie rzucili na ciebie urok! A teraz, dziecko, dobrze mnie posłuchaj. Idźta do kościoła i zaklepta dzień. My Jonesowie przyjeżdżamy wszystkie, więc niech lepiej nie zaczynają. Zadzwonię do wielebnego Mitchella i wszystko mu powiem, że McCoy'owie znowu knują. On was ochroni modlitwą, tak jak to zrobił, gdy byliście jeszcze przy cycku. O, i zawołam moją siostrę, i twojego wuja Roya. Sama się w tym nie babram, ale znam ludzi, którzy mają mocne zaklęcie na korzenie McCoy'ów. Nie oni jedni mogą mieszać w kadzi!

I wiesz co, musiałabym do końca zblizkować, gdybym jako twoja babka

nie przyjechała. Jestem wściekła, ot co! Może nawet zadzwonię do pani Robinson i wtedy my, Jonesowie i Robinsonowie, zawrzemy przymierze.

– Babciu... – chłopakowi głos zdrzął na samą myśl o tym sojuszu – nie ma potrzeby, aby cała rodzina...

– To już postanowione – przerwała mu bez ogródek staruszka. – Wywołano biesy wojny i wojna będzie, tak mi Jezu dopomóż! Jeśli my Jonesowie staniemy z Robinsonami, a Hatfieldowie staną przeciwko McCoy'om, to nas jest więcej. Nasze będzie na wierzchu, Panie miej nad nami litość!

Jeff popatrzył na Odelię beznadziejnym wzrokiem, gdy ta zawzięcie gestykulowała dłońmi, domagając się tłumaczenia części rozmowy, której nie mogła dosłyszeć.

– Babciu, proszę – powiedział cichym głosem.

– W porządku, dziecko. Wszystko żem zrozumiała, a tera kończ i zrób co w twojej mocy, żebyś póki co jeszcze nie dopadł do swojej narzeczonej. Tyle żeś strzymał, to i się jeszcze przemęczysz! Daj babci trochę czasu... tak na wszelki wypadek. Nie zajmowałam się tym od kilku lat i może trochę żem zardzewiała. Więc na razie zostań w bezpiecznej odległości. I tak urządzimy se ślub.

– Dzięki babciu. Kocham cię. Cóż więcej było do powiedzenia?

– Już dobrze, dziecko. Teraz daj babci całusa przez telefon, a wkrótce będziesz mógł to zrobić osobiście.

Chłopak pocałował słuchawkę i potrząsnął tylko głową.

– Pa, kochanie. Wszystko się jakoś ułoży. – I rozłączyła się.

Odelia i Jeff, wciąż ściskający kurczowo telefon, stali kilka kroków od siebie pośrodku pokoju, nic nie mówiąc.

– Sprowadza ciężką artylerię, prawda? – szepnęła w końcu dziewczyna.

– Tak. – Skinął głową. – Zaczęło się. Robinsonowie w przymierzu z Jonesami przeciwko Hatfieldom i McCoy'om. Babcia mówiła o przewadze liczebnej, ponieważ Hatfieldowie i McCoy'owie są podzieleni.

Na to Odelia tylko zamknęła oczy i chwyciła się blatu stolika.

– To był naprawdę zły pomysł, żeby do nich zadzwonić, co?

– Tak. Bardzo zły.

Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym wybuchli śmiechem.

Ester McCoy stała na frontowym ganku ze swoimi szwagrami, Rupertem i Melvill'em i obserwowała, jak wielebny Mitchell, sapiąc, zbliża się ścieżką. Odkąd zmarł jej mąż, Ester nie widziała pastora tak wzburzonego i była pewna, że małżonek przewraca się teraz w grobie. Jej syn ma ożenić się z

Hatfieldówną? Co więcej, nawet jej o tym nie raczył powiedzieć! O tak, była w tej chwili w mocy zła. Kości zostały rzucone, a smocze zęby zasiane. Teraz liczyło się tylko, że mimo wszystko była jedną z Jonesów i lada dzień stanie po stronie własnej krwi, a nie rodu męża. Miażdżącym wzrokiem spojrzała ukradkiem na szwagrów. Wszystko zaszło już za daleko – a teraz jeszcze kościół został zaangażowany?! Zmusiła się jakoś do bardzo grzecznego uśmiechu, kiedy starszawy pastor uchylił kapelusza, wchodząc po schodach ganku.

– Dobry, pastora. Co pastora sprowadza w tak śliczne popołudnie?

Wielebny Mitchell przybrał hardy wyraz twarzy.

– Prze pani – zaczął stanowczym głosem i spojrzał na jej szwagrów. – Wie pani, że nie toleruję żadnych głupstw w moim kościele, tak?

McCoy'owie posłali mu zdziwione spojrzenie niewiniątek.

– Ależ wielebny – zawołał Rupert z chytrym uśmieszkiem – nie mamy pojęcia, skąd takie wnioski, że...

– Nie wyciągam żadnych wniosków – przerwał mu pastor i gniewnie tupnął nogą. – Nie drocz się ze mną, Rupert. To, że noszę koloratkę, nie znaczy, że nie jestem mężczyzną. I mówię ci po dobroci: zostawcie dzieciaki w spokoju, niech się pobiorą.

– My wszyscy jesteśmy za świętą instytucją małżeństwa, pastora – odrzekł potulnie Melville. – Prawda, Ester?

– Te podstępne szczury próbują zakorzenić mojego chłopca! – wykrzyknęła z lamentem w głosie Ester i rzuciła się w stronę wielebnego Mitchella, przyciskając twarz do jego ramienia. Jej spokój znikł jak nagła burza. – Ci kuglarze chcą się zemścić, tak jak wtedy, gdy zabrali mojego Jamesa. Chciałam, żeby syn wrócił do domu, ale żywy i w jednym kawałku, i tylko dlatego wcześniej do pastora żem nie przyszła. Ale skoro chłopak chce się wyprowadzić i ożenić, to niech mu się tam wiedzie i niech da mi kilku wnuków!

– Widzicie teraz – oznajmił wielebny Mitchell, głaszcząc Ester po plecach i wbijając wściekły wzrok w Ruperta i Melville'a. – Wszyscy musicie z tym skończyć, zanim komuś stanie się krzywda. Obie strony robią to od lat, i to dla pieniędzy i ziemi, ale teraz mamy do czynienia z dwójką niewinnych dzieciaków.

– Musi pastor powiedzieć Hatfieldom, żeby spaszowali. Mój brat zginął, bo Hatfieldowie sprowadzili na niego grom, a potem twierdzili, że to miało być tylko ostrzeżenie – zaprotestował Melville. – Zeek Hatfield załatwił mojego brata. To oni wszystko znowu zaczęli.

– I tak się jakoś składa, że żona Zeeka Hatfielda tej samej nocy zapadła na gorączkę – argumentował wielebny – wychodząc w deszcz z misją pokojową, o ile mnie pamięć nie myli!

– No, przeziębła się i zmarła biedaczka, ale myśmy nie mieli z tym nic wspólnego – z twardym uśmieszkiem stwierdził Rupert. – A starsza pani Jones

niech lepiej zostawi sprawy rodzinne w spokoju i kłamstw nie rozpowiada.

– Nazywasz moją mamę kłamczuchą? – Ester oderwała się od ramienia wielebnego i nastroszyła ramiona.

– Nie zaczynaj ze mną Ester – ostrzegł Rupert. – Nie chcesz tego.

– Obrażasz moją mamę i naraziłeś mojego chłopaka! – krzyknęła jednak szwagierka. – Jak ci się wydaje, co mam z tobą, stary durniu zrobić, he? Gdybyś nie poszedł do Zeeka do sklepu i nie nagadał mu, co też jego żona zrobiła, nie naplótł mu tych kłamstw, to nie opowiedziałby swoim siostrzyczkom plotek, jakie rozsialiśta, żeby go wkurzyć! Nie zapominajta, że jestem jedną z Jonesów i...

– Nie boję się żadnych tam Idell i Royów! – wrzasnął Rupert, nie zwracając uwagi na uspokajające gesty Melville'a. – Nie nasza wina, że Zeek posunął się tak daleko.

– To była jego żona. Co niby miał robić? Stać i patrzeć, jak romansuje z moim Jamesem?

– Słuchajcie mnie wszyscy! – zawołał wielebny Mitchell. – Będziemy mieć ślub, który być może choć raz w całych dziejach połączy obie rodziny. I jest coś, o czym musicie wiedzieć. Zwołałem w kościele starych strażników modlitwy, żeby przeszkodzić komukolwiek w czarowaniu, rzucaniu uroków i sprowadzaniu nieszczęścia na tych młodych. Jeśli wyślecie choćby kurzą łapkę, to jak nic odbije się to na nadawcy. Oj, jesteśmy czujni! Babcia Jones i Nana Robinson już zmówiły obie strony!

To powiedziawszy, wygładził kłapy, uchylił kapelusza, obrócił się na pięcie i szedł po schodkach na zakurzoną podwórzową ścieżkę.

Ktoś łomotał w drzwi tak mocno, że Ezekiel Hatfield i jego siostra Effie pomyśleli, że to policja. Gdy jednak przeszli przez drewniany dom i dwa razy z niedowierzaniem odsunęli zasłonę, ujrzeli Nanę Robinson.

– I co ta krowa robi na ganku?! – powiedziała zrzędliwie Effie, kiedy Ezekiel otworzył drzwi.

Tymczasem jej brat wpatrywał się w okrągłą starą kobietę, która założyła swe pulchne ręce na ogromny biust. Przyszła widocznie w pośpiechu, bo ciągle miała na sobie różowe kapcie i szlafrok w kwiatki, a na włosach zwykłą apaszkę. Nie był to strój, jaki Nana preferowała na co dzień – zwykle, nawet on musiał to przyznać, stara ropucha nosiła bardzo elegancki kapelusz i była stosownie ubrana. Na twarzy Ezekiela pojawił się grymas zmartwienia i troski, ponieważ jedyną rzeczą, która mogła sprowadzić tu starą panią Robinson, była jego córka. Mając to na uwadze, uciszył gestem swoją siostrę.

– Nana Robinson u mych drzwi? Z jakiego to powodu?

– Przecież wiesz, Zeek. Nie będę owijać w bawełnę. Twoja córka ma kłopoty. Poważne kłopoty. Tera wszystko w twoich rękach.

Poczuł, jak ciało osuwa mu się po futrynie, na szczęście dłoń siostry pospieszyła mu z pomocą.

– Moja córka Maylene, Panie świeć nad jej duszą, musi się tera przewracać w grobie – usłyszał.

– Co się stało mojej córeczce? – szepnął Ezekiel. – Musisz mi powiedzieć. Proszę.

Ale zanim starsza kobieta zdążyła cokolwiek powiedzieć, natychmiast doskoczył do swojej siostry.

– Myślałem, że jasno się wyraziłaś! Że zrobicie coś, co uchroni dziewczynę przed zbrzuchaceniem, zanim zdobędzie wykształcenie?

– Zrobiłyśmy – odrzekła Effie, splatając dłonie na piersiach. – O, Panie... kto jest ojcem?! Skopiemy mu tyłek na śmierć, jeśli...

– Nic takiego się nie stało. Dziewczyna wychodzi za męża.

– Za męża? – z niedowierzaniem zapytał Ezekiel.

– Kiedy? – zażądała odpowiedzi Effie, biorąc się groźnie pod boki.

– Ważniejsze za kogo. Nikt mnie nie zapytał, czy może ukraść mi dziecko! – krzyczał Hatfield, wychodząc na ganek, a jego głos stawał się coraz bardziej donośny.

– Za chłopaka Ester McCoy – uśmiechnęła się Nana Robinson – który właśnie za dwa tygodnie kończy studia prawnicze.

– Nie, do diabła! – zagrział Ezekiel, spacerując wkoło.

– To nie może się stać! – fuknęła Effie, wychodząc za nim na ganek, a drzwi zamknęły się za nią z hukiem.

– Nie twoja sprawa – ostrzegła Nana Robinson. – Jużem zawiadomiła wielebego i Opal Kay. Pastor zara tu będzie, jak tylko powiadomi Ester... a Opal Kay ma coś dla was, gdyby przyszło wam do głowy macić.

– Opal Kay nie ma z nami nic wspólnego! – wrzasnęła Effie, pospiesznie wchodząc do domu, zamykając drzwi i zasuwając zasłonę. Nadal jednak mierzyła wzrokiem Nanę Robinson przez szybę i przezroczysty materiał.

– Moje dziecko nie poślubi żadnego McCoya! – ryknął Ezekiel. – Po moim trupie!

– To obietnica? – zapytała Nana Robinson, kierując w jego stronę swój wykrzywiony palec. – Ona jest też moją wnuczką, nie zapominaj o tym. To, że mam artretyzm, nie znaczy, że m zardzewiała. No i mamy przymierze: Jonesowie staną z Robinsonami!

– Grozisz mi, starucho?! – Hatfield pochylił się ku twarzy teściowej, ale cofnął głowę, gdy ujrzał jej zwięzione oczy.

– Nie. Mówię ci to, co wie Jezus.

Zanim Ezekiel zdążył się odsunąć, Nana Robinson wyciągnęła spomiędzy

pokażnych piersi mały, czarny woreczek.

– To od sprzymierzonych klanów – oznajmiła z zaciśniętymi ustami. – Uhm, nieprzygotowany, co? Przez zaskoczenie żem cię wzięła? – z tryumfem powiedziała starsza kobieta. – Nie zmuszaj mnie, głupcze, żebym to upuściła na twoim ganku, bo możemy wszystko załatwić po staremu albo w cywilizowany sposób i lepiej powiedz swojej siostrzyczce i reszcie tych bydlaków Hatfieldów, że mata nam, Jonesom i Robinsonom, nie wchodzić w drogę. Bo mamy jeszcze Ester McCoy po naszej stronie i jeszcze moją córkę w grobie. Wszystkie matki się jednoczą, żywe czy martwe. Nie zapominaj, jak to jest, i nie bądź na tyle tęp, żeby dać się ogłupić forsie z ubezpieczenia. Powiedz coś teraz albo zamilcz na zawsze. Będziemy mieć ślub!

– Przecież McCoy'owie sprowadzili gorączkę na moją żonę, a twoją córkę. Chcesz puścić im to płazem? – Mimo że w tonie Ezakiela słyhać było gniew, jego głos uciszył się trochę w pełnym bojaźni szacunku.

– Nie zapomniała żem. Ale to wszystko przez twoje siostry, bo zaczęły znowu spór. Zesłały piorun na męża Estery, bo myślały, że moja córka nie jest wystarczająco dobra dla ciebie, Zeek. Ona nie romansowała z Jamesem, przecież wiesz o tym. A potem w kościele i na pogrzebie, pamiętasz, jakżeś płakał i rozpaczał, gdyś się dowiedział, że poszła do niego tylko po to, by zawrzeć pokój, bo obie rodziny miały maleńkie dzieci i czas był te bzdury zakończyć? Dzieciaki od urodzenia były sobie pisane, wszyscy o tym wiedzą. To ciebie do końca życia będę obwiniać, boś słuchał plotek, to wszystko przez twoje fałszywe oskarżenia i przez to, że pobłażałeś swoim siostrzyczkom!

Starsza kobieta gorączkowo chodziła w kółko, a łzy nabiegły jej do oczu.

– Dość! Wiesz, powinnam po prostu po staremu rzucić ten woreczek...

– Spokojnie, spokojnie, Nano Robinson, wszyscy dobrze pamiętamy, jak sprawy wymknęły się spod kontroli – Uhum – mruknęła i z żalem schowała torebkę za stanik. – Syn Estery to jeszcze dziecko, tak jak i nasza Odelia. Oni się kochają, więc najlepiej będzie, jak data temu spokój. Nie prowokujta mnie.

– Najbardziej boli mnie to, że moje dziecko nie przyszło najpierw do ojca z tą wiadomością. Nie powinienem się w ten sposób dowiadywać.

– Cóż, trza było nie zachowywać się jak ostatni głupek, to może wróciłaby dziewczyna do domu i powiedziała ci wszystko sama, zamiast wypłakiwać się swojej babce przez telefon! Boi się, że coś możecie zrobić temu chłopakowi, i słusznie, bo wie, co potrafit. Trza ogłosić zawieszenie broni Zeek, tu i teraz. To dobra dziewczyna i nie powinna się tak zamartwiać tuż przed końcem studiów. Gdyby żyła jej mama, to pomogłaby jej kupić suknię i wszystkie te rzeczy potrzebne pannie młodej. Naprawdę, trza wysłać dziewczynie suknię matki, tak po prostu, z samej życzliwości. Twoja córka ma za ojca starego, wściekłego grzechotnika, a i tak chce twojego błogosławieństwa. – Nana Robinson położyła ręce na rozłożyste biodra i tupnęła

nogą. – Ale ja nie wierzę, że ktokolwiek mógłby coś zrobić własnemu dziecku, nawet ty, Ezekielu Hatfield.

Dwójka przeciwników mierzyła się wzrokiem.

– Pokój – wymruczał w końcu ze skrucą Ezekiel, patrząc w dal.

– Pokój? Pokój?! Oszalałeś, Zeek?! – zaskrzeczała Effie za drzwiami. – Nie ma takiej siły...

– Tu chodzi o moją córkę – przerwał jej brat. – Może stać się jej krzywda. Odwołajmy wszystko, Effie.

– Tak jak powiedziałam – rzekła Nana Robinson, rzucając Effie złe spojrzenie, po czym odwróciła się na ganku, gotowa do odejścia. – Będziemy mieć ślub, ot co, a wy zachowata się odpowiednio.

Jefferson i Odelia zostali razem. Byli podenerwowani, oczy mieli szeroko otwarte i mimo wyjątkowo platonicznych okoliczności praktycznie się nie rozstawali, zbyt przerażeni, by pozwolić drugiemu iść samemu nawet do łazienki. Każdą sprawę załatwiali wspólnie, bo kto wie, co mogło się przydarzyć choćby i w sklepie? Zaś wizyta w urzędzie stanu cywilnego urastała do rangi niebezpiecznej misji.

Rodzice zadzwonili już pierwszej nocy po rozmowach z babkami, a w ich głosach pobrzmiwało szaleństwo. Matka Jeffersona załamała się i najzwyczajniej w świecie popłakała. Pociąg, jaki narzeczeni odczuwali do siebie, zaraz znikł. Ale ojciec Odelii, choć mówił napiętym głosem, robił długie przerwy wyrażające niezadowolenie, to w końcu powiedział o zawarciu pokoju. To pozwoliło Odelii i Jeffowi na oddech.

– Myślisz, że możemy spać razem na tapczanie? – spytał ciągle zdenerwowany chłopak, gdy Odelia odłożyła słuchawkę.

– Jeśli nie będziemy zaczynać, no wiesz, to chyba tak – odrzekła z niepewnością w głosie.

– No to może lepiej ja prześpię się w fotelu, a ty weźmiesz tapczan? – zaproponował. – Tak przynajmniej będziemy w jednym pokoju.

– Człowieku, żenisz się i chcesz przyprowadzić swoją narzeczoną na wieczór kawalerski? Rozum postradałeś?! – Choć jego najlepszy przyjaciel miał ubaw po pachy. Jefferson opanował się.

– Słuchaj, stary, to trochę skomplikowane – powiedział do słuchawki. – Nie mogę teraz tego wyjaśniać.

– Ona ciągle jest u ciebie, czy ty u niej? Jesteś jak w więzieniu, wleczesz

ją na wszystkie imprezy... Stary, naprawdę, to twoja ostatnia szansa, żeby się wyszaleć jako wolny człowiek.

– Taa, będziesz moim drużbą i musisz mnie pilnować aż do...

– Właśnie to próbuję robić przyjacielu. Kilka godzin z dala od siebie jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Jefferson obserwował, jak Odelia krząta się po kuchni jego malutkiego mieszkanka. Ogarnęło go uczucie klaustrofobii. Dwa tygodnie bycia razem, nie mogąc porządnie jej pocałować ani dotykać, doprowadzały go do szału.

– Moja rodzina przyjeżdża dziś. Nie mogę wyjść, nie rozerwę się, poza tym to wbrew wszystkiemu, co powiedział pastor i...

– No co ty, stary?! Odstawimy cię o przyzwoitej godzinie. Znasz mnie przecież!

– Tak, znam cię. I to mnie właśnie martwi.

– A nie przynosi czasem pecha, że widzi się albo że się jest z narzeczoną noc przed ślubem, co?

Teraz Jeff zawahał się przez chwilę. Jego kumpel miał rację.

– Ta...

– No to co, zabieramy cię, bracie, na kilka głębszych i odstawiamy do Motelu 6, do rodzinki, i wtedy będziesz mógł pogadać z wujkami. Potem bilet na łeb, toga na garnitur i wio do kościoła, żeby cię zaprzęgli! A potem żarcie, impreza... będzie zarabicie.

– To może nawet wypalić – mruknął Jefferson – ale muszę najpierw pogadać z Odelią.

– O rany, faaacet! Czy ty sam siebie słyszysz?! Co ona ci zrobiła, uziemiła cię, korzenie ci do tyłka doczepiła, czy co?

Dziewczyna podniosła wzrok znad kuchenki i napotkała oczy narzeczonego.

„Korzenie!” – westchnął w duchu.

– To wcale, bracie, nie jest śmieszne – powiedział do słuchawki. – Nawet sobie tak nie żartuj.

To była ich pierwsza prawdziwa kłótnia od dnia, w którym się poznali. Nie mogła pojąć, dlaczego faceci mogą być tak głupi! Carlah miała rację. Może lepiej, że Odelia na kilka godzin oderwie się od Jeffersona, pogada z dziewczynami i robi to, co ma zrobić, czyli ułoży włosy, zrobi pedicure, pomaluje paznokcie i spędzi fajnie czas z przyjaciółkami bez męskich dodatków.

Carlah czekała na nią na schodach przed budynkiem jej mieszkania, dokąd podwiózł ją Jefferson. Trzymała w dłoni przesyłkę od Federal Expressu.

Chytry uśmieszek na twarzy najlepszej przyjaciółki spowodował, że mimo kiepskiego nastroju Odelia również podciągnęła w górę kąciki ust.

– No babo, w końcu się urwałaś! – zawołała Carlah i ruszyła w jej stronę. Uścisnęła ją, gdy samochód Jeffersona odjeżdżał. – Wiem, że facet dał ci pierścionek i rozumiem, że wpadliście w miłosny cug, ale musisz czasem wyjść do ludzi.

– To nie tak – zaśmiała się Odelia.

– Prooszę cię! – wykrzyknęła Carlah, chwytając rękę przyjaciółki i podnosząc ją do słońca. – Facet zakłada ci dwa karaty, praktycznie zamyka cię w mieszkaniu na dwa tygodnie, a ty chcesz, żebym uwierzyła, że spał na tapczanie?! – Carlah wcisnęła Odelii pudło z Fed-Ex. – Szczegóły proszę. Wart jest tego „póki śmierć nas nie rozłączy”?

– Tak, jest tego wart. – Odelia potrząsnęła głową i zachichotała, chwytając paczkę.

– Do diabła, wiedziałam. Tak ci zazdrozczę! Ale w porządku. Jutro zawiążemy togi, wkładamy na głowę kapelusiki, a potem idziesz w bieli.

Przypomnienie o bieli przeszło Odelię jak lodowata woda. Zamiast pomarzyć o takiej ewentualności, dziewczyna rozdarła pudło i stanęła jak wryta.

– Co tam jest? – Carlah zerknęła do środka paczki, a Odelia ostrożnie wyjęła białą tkaninę zawiniętą w plastikowy worek.

Zawsze poznałaby bazgrały ojca i jak tylko zobaczyła, że to on zaadresował przesyłkę, a potem ujrzała biel, wiedziała – w końcu dał jej swoje błogosławieństwo! Najdelikatniej jak umiała, wyciągnęła suknię i przycisnęła ją do ciała, a Carlah chwyciła pudło i zaczęła w nim grzebać, szukając wiadomości, której wcale tam nie było.

– Kto do... – powiedziała zdumiona. – Twój tata przysłał sukienkę twojej mamy?

– Tak – wyszeptała Odelia. Gdy wygładziła zawiniętą w plastik szatę, jej materiał zrobił się nagle jakby zamazany. – To coś naprawdę szalonego!

– Dziewczyno – Carlah objęła przyjaciółkę – ty masz jakąś paranoję! Zanieś to na górę i chodźmy coś zjeść. A potem zrobimy się na bóstwo. Na jutro. Cóż może się nie udać?

Odelia po prostu skinęła głową i wyciągnęła klucze, zbyt przerażona, by zgadywać.

– O cholera! – ryknął Hugh i kopnął oponę swojego samochodu. – Nowiutka ciężarówka rozpieprzona i to tuż przed zakończeniem? Człowieku, jak mam starym o tym powiedzieć?!

Jefferson próbował połączyć się z komórki, która dziwnym sposobem

przestała działać.

– Znikąd pojawia się czarny kot, robię unik i co?

I moja śliczna czerwona dziecinka nie ma przedniego zderzaka. Człowieku, tylko na nią spójrz! Powinienem rozjechać tego zapchlonego sierściucha i zrobić z niego pizzę!

W rzeczy samej, przód nowego samochodu Hugh'a przypominał akordeon, a spod chłodnicy unosił się dym.

– Stary, mamy szczęście, że jesteśmy cali, i na tym się skupmy – powiedział Jeff. – Twoja komórka działa? Bo ja nie mam zasięgu.

Hugh westchnął i otworzył klapkę telefonu.

– Cholera, też nie mam.

– No to idziemy, aż znajdziemy jakiś sklep albo co i zadzwonimy po pomoc drogową.

– Oszalałaś?! – krzyknęła Carlah, a wszystkie głowy w salonie jednocześnie skierowały się w ich stronę. – Mam zielone włosy?! Jutro zakończenie! Idę na ślub. Moja suknia drużny jest błękitno-niebieska! Nie pasuje do zielonego!

Odelia odsunęła klosz suszarki i wstała. Jej przyjaciółka, na co dzień migdałowa szatynka, wyglądała teraz jak punkowa.

– To się da naprawić, odbarwią – powiedziała, podbiegając do Carlah, aby ją pocieszyć, gdy krzyki przeszły w szloch.

„O Boże, zaczyna się!” – pomyślała z przerażeniem.

– Jeszcze raz mi wytłumacz, dlaczego siedzimy w policyjnym samochodzie, bo ciągle tego nie pojmuję – powiedział Hugh cicho.

– Bo nie posłuchałeś, jak cię ostrzegałem i postanowiłeś iść do tego domu, a starsza pani pomyślała, że to włamanie – spokojnie oznajmił Jefferson, patrząc przez okno.

– Moje włosy są teraz okropne, brązowe jak kupa – z opuchniętymi oczami powiedziała Carla, dziobiąc widelcem w sałatce. – Brąz psiej kupy nie harmonizuje z moją cerą.

Odelia nawet nie tknęła jedzenia. Patrzyła tylko na niegdyś piękne loki Carlah, które teraz, po przefarbowaniu na jaskrawy kolor, czyniły jej jasno-mleczną skórę trupioblada. W świetle ciągle można było dostrzec zielonkawy odcień.

– Wszystko będzie dobrze, skarbie – powiedziała zmiażdżona poczuciem

winy. – Muszą tylko trochę...

– Pozwę ich, obiecuję! Dotknij tylko. Jak sucha słoma! – Łzy ponownie nabiegły Carlah do oczu i spływały do sałatki.

– Jak tylko złapię Jeffa, wymyślimy, co musisz zrobić, żeby ich pozwać. – Odelia podała przyjaciółce chusteczkę i chwyciła ją za rękę.

– Źle się czuję – oznajmiła Carlah. – Muszę się położyć.

– Tak, tak, oczywiście – szybko odrzekła Odelia, próbując przywołać niesamowicie powolną kelnerkę.

Ale zanim zdążyła zwrócić jej uwagę, przyjaciółka zerwała się z krzesła, wrzeszcząc jak opętana. Wszyscy goście w restauracji i kilku kelnerów ruszyło w jej stronę. Ku przerażeniu wszystkich spod wewnętrznej strony liści sałaty wylazły tłuste karaluchy. W całym tym zamieszaniu Odelia prawie nie przewróciła się o własne krzesło, próbując odskoczyć od stolika. Jej przyjaciółka dostała nudności i zwymiotowała cały lunch na środku przejścia. Goście siedzący w pobliżu zapiszczeni i zerwali się z krzeseł. Odelia podbiegła do Carlah i wyprowadziła ją szybko na świeże powietrze, ignorując przeprosiny i całe powstałe zamieszanie. Gdy nieopodal przeleciał gołąb i narobił Carlah na głowę, Odelia po prostu wepchnęła wrzeszczącą przyjaciółkę do samochodu.

Gdy tylko udało jej się wraz z Gwen, dziewczyną ze stowarzyszenia studentek, położyć Carlah z mokrym kompresem na głowie, Odelia pojechała do motelu „Pod Czerwonym Dachem”, gdzie miała oczekiwać rodzina. Musiała obiecać przyjaciółce, że powiadomi media i poprosi, by Jefferson zajął się tym obrzydliwym salonem i obskurną restauracją, kiedy tylko zostanie prawnikiem. Tylko w ten sposób udało się jej przekonać Carlah, by puściła jej rękę.

Przez całą drogę do motelu Odelia czuła, jak ogarnia ją wściekłość. Kiedy dotarła do holu, ledwo mogła cokolwiek powiedzieć do domofonu.

– Ciociu Effie – zaczęła – gdzie jest...

– Witaj, dziecko! Moje gratulacje! Wszyscy jesteśmy dumni i po prostu...

– Gdzie jest tata? W jakim jesteście pokoju?

– Pokój 325, złotko. Wchodź na górę. Mamy mnóstwo jedzenia.

– Mamo, puścili nas tylko dlatego, że mieliśmy przy sobie nasze legitymacje studenckie i że pojechali sprawdzić naszą wersję, czy rzeczywiście nasz samochód się rozwalił. Oczywiście sprawdzili też tablice, prawo jazdy i ubezpieczenie. Daj wujka Ruperta do telefonu!

– Kochanie, uważaj na ton, szczególnie gdy dzwonicz do swoich wujów i

do ich pokoju. Nie ma go tu. Nie rozmawiamy ze sobą. Nie zaczynaj niczego, czego nie mógłbyś zakończyć. Postępuj ostrożnie, synu.

– Ostrożnie? Ostrożnie, mamgo?! Myślałem, że tak właśnie postępuję, ale nieee! Właśnie kończę studia i mam się ożenić za niecałe dwadzieścia cztery godziny i co? I czarny kot przebiega mi przez drogę, mam z moim drużbą wypadek, aresztuje nas policja, drużba nie może znaleźć obrączki. Teraz stoję tu, w jego mieszkaniu, po kostki w wodzie, bo kibel piętro wyżej zaczął przeciekać, a mój garnitur wygląda jak szmata!

– Spokojnie, słonko. Od czego ma się rodzinę? Garnitur możesz pożyczyć od któregoś z wujków, jeśli będzie trza – uspokajała matka – i...

– Nie wezmę nic, co do nich należy! Mamgo, czy ty myślisz, że oszalałem?! Założyć coś, co należy do nich, w trakcie wojny, to tak, jakbym na czole nosił tarczę strzelecką!

– No cóż... może i masz rację, synu – westchnęła do słuchawki Ester McCoy.

– Hugh zostawił mi klucze do mieszkania i pojechał do swojej rodziny do hotelu. Biedak, więcej nie mógł znieść, choć to mój dobry kumpel.

– Kochanie, tak mi przykro – cicho powiedziała matka. – Ale nic mu nie będzie. Jego rodzina modli się, prawda? Poza tym nie wydaje mi się, by twoi wujkowie chcieli go uśmiercić... hmm, chcieli tylko postraszyć.

– Nie mam butów, spodni, czystych koszul, a wszystkie sklepy zamknięte. Mój drużba jest o dziesięć centymetrów niższy, więc nie ma mowy, żebym pożyczył od niego garnitur. Samochód Hugh'a rozwalony, a w moim, dziwnym trafem, wysiadł akumulator. Jak mam się więc dostać do centrum? Żadne autobusy tam nie jeżdżą. Nie wspomnę już o tym, że nie mogę złapać Odellii, bo i moja komórka, i żaden inny telefon nie chce łączyć z jej numerem. Powiedz w moim imieniu wujkom, że jeśli nie chcą zobaczyć, jak syn Jamesa traci panowanie nad sobą, to niech lepiej przestaną rzucać, cokolwiek tam rzucają, na Hatfieldów. Wy wszyscy doprowadzicie mnie do szału i chyba sam się zauroczę!

– O Boże, tylko im tego nie mów! To ich tylko rozochoci.

– Dziecinko!

Odellia stała nieruchomo, gdy jej ojciec wszedł tanecznym krokiem do holu motelu z workiem lodu. Uścisnęła go niechętnie, mając nadzieję, że nie maczał palców w tych wszystkich nieszczęściach, które spotkały Carlah.

– Niech no się przyjrzę mojemu dziecku! Jesteś już taka dorosła...

– Tato – zaczęła spokojnie dziewczyna – co zrobiła ciotka Effie?

– A tam zaraz zrobiła! Nic nie zrobiła – zaprotestował, wstydliwie

uciekając wzrokiem i trzymając przed sobą ciekący woreczek z lodem. – Wszyscy wyszli, a że maszyna się zacięła, no to musiałem polecieć, żeby trochę...

– Tato!... – Odelia gniewnie podparła się pod boki.

– Och, znasz Effie! Wiesz, jak się potrafi zdenerwować. Może to ten jej półpasiec? Ale po tym, jak ona i jej siostry uporały się z rozstrojem żołądka, wszyscy żeśmy ruszyli w drogę. Kilka furgonetek i po kłopotcie. Dostałaś suknię, słonko? – Ojciec posłał jej najbardziej promienny ze swoich uśmiechów i otoczył dziewczynę swoim niedźwiedzim ramieniem.

– Tak, tato – odparła spokojnie, odwzajemniając uścisk. – Jest prześliczna.

– Będę dumny, prowadząc cię nawą. Będziesz wyglądać jak twoja mama... nawet jeśli to jeden z TYCH McCoy'ów.

Puściła tę uwagę mimo uszu, nie zareagowała nawet na sentymentalną wzmiankę o mamie.

– Nie będzie żadnego ślubu, jeśli nie przestaniecie.

– No już, już, nie ekscytuj się. Zgodzili się na rozejm – powiedział Ezekiel Hatfield, poklepał córkę po ramieniu i uniósł wyżej woreczek z lodem.

– Włosy mojej druhny są zielone – nie ustępowała Odelia. – Karaluchy zaatakowały jej sałatkę. Zwymiotowała przy wszystkich w restauracji. Gołąb na ulicy narobił jej na głowę. Dziewczyna leży na kanapie przerażona. Każ ciotce Elfie przestać, bo cokolwiek sprowadziła na Jeffa, odbiło się od niego, ominęło mnie i trafiło w moją druhnę.

Ojciec wziął dziewczynę pod rękę, udając zszokowanego i zaczęli spacerować po holu.

– Tera widzisz, dlaczego nie lubię z nimi zadzierać. Twoja koleżanka powinna bardziej uważać, dobierając sobie przy...

– Tato, ja mówię poważnie!

– W porządku. – Natychmiast połknął uśmiech. – Twoja babcia zmusiła nas, żebyśmy zawarli pokój, po staremu. No i wielebny ustawił mur z modlitwy!

Jeśli coś przedostało się na kogoś, kto był blisko ciebie, to tylko przez przypadek.

Odelia spojrzała ojcu w oczy.

– Cały dzień nie mogę się skontaktować z Jeffem. Ezekiel Hatfield puścił jej rękę i pocałował córkę w czubek głowy.

– Och, nic mu nie będzie! Przypuszczam, że jest kryty.

– Przypuszczasz?

– Effie i pozostałe ciotki były naprawdę urażone oskarżeniami twojej babki.

– Gdzie jest babcia Nana?

– Żyje, żyje. Stara ropucha ma się dobrze.

– Tato!

– Tak do końca to nie wiem – westchnął. – Chyba gdzieś się zaszyla z wielebnym Mitchellem i Jonesami. Mieli czelność zawrzeć przymierze przeciwko nam, Hatfieldom, dasz wiarę? A przecież my i Robinsonowie powinniśmy być jak rodzina!

Jefferson najpierw cudem złapał kumpla, który zechciał go podrzucić do motelu, a teraz ledwo się zmieścił w pokoju, do którego wpakowali się wszyscy wujkowie.

– Co się stało? – prawie szeptem zapytał, omiatając ich wzrokiem.

Twarze McCoy'ów pokryte były ciemnoczerwonymi, swędzącymi plamami. Wszyscy tak się drapali, że chłopak ledwo nadązał wzrokiem za ich niespokojnymi ruchami. U jego boku stanęła matka z rękoma skrzyżowanymi na wydatnych piersiach, z peruką ściśle przymocowaną na głowie, a jej twarz wyrażała zarazem tryumf i obrzydzenie.

– Dobrze im tak. Mówiłam, że babcia Jo nie rzuca słów na wiatr, ale musieli sprawdzić moją mamę, no i odbiło się na nich. Nawet nie mogli zjeść obiadu w „Czerwonym Homarze”, bo się wszyscy pochorowali.

– Chłopcze, powiedz swojej babce, żeby odwołała zaklęcia, bo inaczej nie będziemy mogli pójść na twoje jutrzejsze zakończenie – błagalnym tonem powiedział wuj Rupert, drapiąc się w okolicach krocza. – Zaklęcia zaklęciami, ale to jest czysta niesprawiedliwość!

– Synu, zdobyłem dla ciebie garnitur, który będzie pasował, a jeden z nas ma buty – wykrzyknął wuj Melville, podrapał się po łysym placku na głowie, po czym rozpiął pasek od spodni. – Powiedz kobiecie, że takie swędzenie u mężczyzny, tam gdzie słońce nie dochodzi, to po prostu nie po chrześcijańsku!

– Gdzie jest babcia? – zapytał matkę Jefferson. – W kościele, pewnie z wielebnym, Robinsonami i Jonesami.

Odelii nie trzeba było dwa razy powtarzać. Jej misją teraz było odnalezienie Nany Robinson. Zobaczywszy trzynaście ciotek rozłożonych na dwóch łóżkach, podłodze i krzesłach, rozdrapujących plamy, które wyglądały jak ugryzienia komara, dziewczyna po prostu wyszła z motelu. Okłamała swych pięćdziesięciu kuzynów, zgromadzonych w holu, że wróci i zje z nimi obiad, jak tylko się upewni, co z jej przyjaciółką. Jeść tutaj? Nigdy w życiu! Pomodliła się tylko za wszystkie te dzieciaki, zbyt liczne, by je porachować, żeby Bóg miał je w opiece. I głupie ciotki również.

Zanim dojechała do kościoła, o mało się nie rozpląkała. Mimo słownych zapewnień o zawieszeniu broni wojna trwała na całego. Ale jeśli Jeffersonowi by się cokolwiek stało – poprzysięgła sobie – rozpocznie osobistą wendetę przeciwko swojej rodzinie!

Zaparkowała przed plebanią i zadzwoniła do drzwi pastora Wise'a, kładąc sobie skrzyżowane ręce na ramiona. Słyszała donośne głosy i śmiech. Poczowała też unoszący się w powietrzu zapach domowej kuchni. Dlaczego jej życie nie mogło być też po prostu zwyczajne?! Tak pragnęła normalności, że gdy duchowny – mężczyzna potężnej postury, w koloratce i z szerokim uśmiechem – otworzył jej drzwi, łzy same pociekły dziewczynie po policzkach.

– Wchodź, kochana, ktoś tu na ciebie czeka – powiedział, obejmując Odelię ramieniem. – Pastorze Mitchell, oto i panna młoda!

Ukryła twarz w szerokiej piersi wielebnego Wise'a i głęboko wciągnęła powietrze, powstrzymując cały ładunek płaczu. Ktoś inny poklepał ją po plecach i przeprowadził przez próg. Nana Robinson uśmiechała się, stojąc obok chudej, wymizerowanej kobiety o życzliwej twarzy i wesołych oczach. Gdy tylko dziewczyna zobaczyła babcie, natychmiast rzuciła się w jej pulchne, dające bezpieczeństwo ramiona, tak jak robiła to zawsze, gdy była jeszcze dzieckiem.

– Wiem, kochana. Słyszeli my o wszystkim – uspokajała Nana Robinson, głaszcząc włosy Odelii. – Idź tera na górę z pastorową Wise, weź prysznic i włóż suknię. Posłali my po nią twojego kuzyna. Miły ochroniarz wpuścił nas do środka, więc udało nam się uratować sukienkę przed inwazją czerwonych mrówek. Ależ się kłębiły, po całym mieszkaniu! Drzwi były już otwarte, więc pewnie musiały wejść, coby okadzić dymem pokój.

– Kto? Mrówki?

– Och, najważniejsze, że mamy suknię i żeśmy je przepędzili! – zawołała babcia. – Zara sprowadzimy twojego tatę i mamę chłopaka na mały posiłek. Cała reszta głupków ma zarazę. – Zachichotała. – Chyba przywlekli to ze sobą... nie wiem, jak to się mogło stać.

– Ummm – powiedziała chuda kobieta stojąca obok Nany Robinson. – Niezbadane są ścieżki Pana.

– Babciu Jo – zwróciła się do niej dziewczyna – czyż nie miałyście zostawić wszystkiego w mocy modlitwy?

– I tak też żeśmy zrobiły – oznajmiła staruszka, przyciskając powykrzywianą dłoń do piersi. – Pastorze Mitchell, pastor wie, że my już za stare, żeby się w to bawić. Myśmy tylko przygotowały trochę jedzenia, które na pewno nikomu nie zaszkodzi. Mamy piękny tort na uroczystość... cały funt masła cytrynowego, prawdziwe ciasto, nie jakieś tam sklepowe świństwo!

Odelia rozejrzała się dookoła, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

– Bo pani jest Jo, babcia Jeffa?... – spytała niepewnie. – Ależ, skarbie, pewnie że jestem babcią Jo, a nie żadną panią. Witaj w rodzinie! Jestem jedną z

Jonesów, nie z McCoy'ów.

Okrzyki „amen” wypełniły pokój, a członkowie rodziny matki narzeczonego otoczyli dziewczynę kołem.

Oszalałym ze zmartwienia wzrokiem Odelia ogarnęła pomieszczenie.

– Czy z Jeffersonem wszystko w porządku?

– Cały i zdrowy – oznajmiła pastorowa Wise. – Jest na górze. Zakłada garnitur, który kupiła mu babcia Jo jako prezent z okazji zakończenia studiów, no i buty, i wszystko inne.

– Przeworny zawsze ubezpieczony – potwierdziła staruszka, zaciskając usta w uśmiechu samozadowolenia.

– Nie na darmo mówią, że Pan pomaga tym, którzy sami sobie pomagają – dodała Nana Robinson i obie babcie pokiwały zgodnie głowami.

– A co się stało z garniturem, który Jefferson miał...

– Później będzie mnóstwo czasu, żeby o tym porozmawiać – przerwała pastorowa, rzucając mężowi porozumiewawcze spojrzenie. – Chodź ze mną do pokoju mojej córki. Tam będziesz mogła przygotować się do ślubu.

Dziewczynę zmroziło.

– Ślub? Dzisiaj? – wydobyła z siebie pisk.

– Mamy nad nimi przewagę, słonko – spokojnie zakomunikowała Nana Robinson. – Do jutra będzie już po wszystkim. Wtedy w spokoju będziecie mogli się cieszyć, że kończycie studia. No dalej, nie po to tak daleko żem jechała, żeby gadać.

– Święta prawda! – zawtórowała babcia Jo. – Przestań płakać, szybko ubieraj się, a za godzinę będzie już po ślubie, no i w końcu będziemy mogli coś zjeść. Pierwszy raz żem zrobiła makaron z serem i chcę zobaczyć, czy będzie smakował. Potem zróbta to, co wszyscy młodzi robią. Zamówiłam wam pokój, bo wasze mieszkania do niczego się nie nadają. Tylko zbytnio nie szalejta i mata budzik nastawić, bo tak jak twoja babcia powiedziała, nie po to żem tu przyjechała, by ominęła mnie uroczystość! Chcę zobaczyć mojego wnuka, jak odbiera dyplom.

Odelia otworzyła usta, po czym zaraz je zamknęła. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Zarówno wielebny Wise, jak i Mitchell dyskretnie chrząknęli, patrząc wraz z rodzinami Jonesów i Robinsonów, jak pastorowa prowadzi Odelię na kręte schody. Dziewczynę paliły policzki, ale pastorowa Wise dodała jej otuchy, mocno ściskając za ramię.

– Nie zapomnialaś chyba, złotko, doprawić zieleniny, coby prawnuki szybko były?! – zawołała naraz babcia Jo.

– Powinnaś mnie już na tyle znać i wiedzieć, że my, kobiety z rodziny Robinsonów, w sprawach kulinarnych nie żartujem! – odkrzyknęła babcia Nana.

– To dobrze, bo tak jak mówiłam, pierwszy raz żem przyrządziła makaron

z serem.

Odelia nie była do końca pewna, czy to coś przemyciły w zieleninie, w makaronie z serem, a może w smażonym kurczaku albo w maśle cytrynowym w torcie weselnym. W pewnych sprawach żadnej z babć nie mogła ufać. Obie były zwolenniczkami dużych rodzin jak wszyscy Jonesowie i Robinsonowie, McCoy'ów oraz Hatfieldów też nie wyłączając. Mogła więc to być również sprawka tego, kto przygotował tuńczyka, sałatkę ziemniaczaną lub pataty, a może coś dostało się do zapiekanki z ryżu, fasoli i szynki? Wszystkie chwytły dozwolone, byle tylko sprowadzić na świat prawnuki. Z drugiej strony, logicznie rozumując, mógł się do tego przyczynić cały długi rok oczekiwania, a może... może jednak przyprawiona mrożona herbata? Lub po prostu miłość – sami się domyślcie.

Dziewczyna była tylko jednego pewna – że Jefferson McCoy przez całą noc nie dał jej zmrużyć oka i rano był tak spocony, jakby dopiero co wziął udział w maratonie. Ale co najważniejsze, Odelia została szczęśliwą mężatką i wcale jej nie dręczyło, że oboje spóźnią się na uroczystość wręczenia dyplomów.

O Autorze

L.A. BANKS (znana jako Leslie Esdaile Banks) urodziła się w Filadelfii. Ukończyła studia licencjackie na Uniwersytecie Pensylwanii i zdobyła tytuł magistra sztuk pięknych Szkoły Filmowej i Mediów na Uniwersytecie Tempie. Po dziesięciu latach wspaniałej pracy w charakterze kierowniczk marketingu dla kilku nowoczesnych firm dekoratorskich w 1991 roku Banks zdecydowała się na rozpoczęcie samodzielnej kariery konsultantki, co w rezultacie doprowadziło do tego, że zajęła się pisaniem powieści i scenariuszy filmowych. Ma na swoim koncie ponad dwadzieścia powieści, jest współautorką dziesięciu antologii z różnych gatunków literackich i zdobywczynią wielu nagród. Obecnie zajmuje się wyłącznie pisaniem. Mieszka wraz z mężem i dziećmi w Filadelfii. Oficjalna strona autorki: www.vampirehuntress.com.

Jim Butcher

W cudzych piórkach

Szpilka przeszła mi nogę, a ciało zeszywniało z bólu, nie mogłem się jednak poruszyć.

– Billy – warknąłem przez zęby – zabij go. Billy Wilkołak zerknął na mnie z ukosa, usiadł jeszcze wygodniej i oznajmił:

– To chyba trochę zbyt ekstremalne.

– To tortury – odrzekłem.

– Och, mój ty świecie, Dresden! – westchnął Billy rozbawionym tonem. – On przecież tylko przerabia twój smoking.

Yanof, niski, przysadzisty i silny krawiec, który niedawno wyemigrował do Chicago ze Słobovianstanu czy skądś tam, obrzucił mnie piorunującym, pełnym nienawiści spojrzeniem, ściskając w zębach kolejny tuzin szpilek. W jego oczach kryła się złość i oburzenie.

– Mam ponad metr dziewięćdziesiąt dziewięć. Nie widzę nic zabawnego w przerabianiu smokingu na kogoś mojego wzrostu na kilka godzin przed ślubem. To Kirby powinien tu stać – powiedziałem.

– Tak. Ale znacznie trudniej byłoby dopasować smoking na ciało rozłożone na wyciągu.

– Ciągłe wam powtarzam chłopaki, wilkołaki czy nie, musicie być bardziej ostrożni.

Normalnie nie wspominałbym przy obcym o talencie Billy’ego do przemiany w wilka. Jako czarodziej zamieszkały na stałe w Chicago miałem kilka razy okazję z nim pracować, no i byliśmy przyjaciółmi. Ale Yanof nie znał ani słowa po angielsku. Najwyraźniej jego umiejętności krawieckie były tak doskonałe, że nie musiał się uczyć już niczego więcej.

Wczorajszy wieczór kawalerski Billy’ego zapamiętam na długo. Kiedy wracaliśmy w kilku do jego mieszkania, natknęliśmy się na wampira terroryzującego starszą kobietę na parkingu.

To nie była przyjemna walka. Głównie dlatego, że zbyt pobudzeni przez striptizerkę wypiliśmy za dużo kielichów. Billy miał tylko siniaki, które z pewnością nie przeszkodzą w ślubie. Na szyi Aleksa widniały paskudne szramy po pazurach wampira, ale na uparte go ujdą za szczególnie entuzjastyczne malinki. Natomiast Mitchell stracił dwa zęby, kiedy natarł na upiora, ale zamiast w niego trafił w ścianę. Do czasu wizyty u dentysty będzie musiał zostać lekomanem i garściami jeść tabletki przeciwbólowe!

O wczorajszym wieczorze przypominał mi potworny ból głowy, którego powodem wcale nie była walka. Jeśli o mnie chodzi, znacznie więcej cierpień przysparzały sznapsy.

Ale największego pecha miał Kirby, drużba mojego przyjaciela. Wampir rzucił nim o ceglany mur tak mocno, że połamał mu obie nogi i kręgosłup.

– Załatwiliśmy go, co? – przypominał mi znów Billy, podczas gdy Yanof szykował się wbić kolejną szpilkę.

– Zapytajmy Kirby’ego – odparłem. – Słuchaj, nie zawsze wystający z ziemi metalowy pręt przyjdzie nam z pomocą. Mieliśmy szczęście.

Billy gwałtownie wstał, a jego oczy się zwięziły.

– Dobra – powiedział ostrym tonem. – Mam już dość twojego gadania, co powinienem, a czego nie powinienem robić, Harry. Nie jesteś moim ojcem.

– Nie, ale...

Poczerwieniał z gniewu. Nie był wysoki, ale za to zbudowany jak transporter opancerzony.

– Ale co?! Zawsze chcesz stać w błysku fleszy i nie chcesz się dzielić sławą z nami, magikami od siedmiu boleści? Nie waż się umniejszać tego, co zrobił Kirby, i tego, co inni zrobili i poświęcili.

Jestem dobrze wyszkolonym detektywem. Zmysły wyostrzone przez lata obserwacji ostrzegły mnie, że Billy może być zły.

– Wielką wrogość wyczuwam w tobie – powiedziałem głosem starego mistrza Yody.

Billy patrzył na mnie groźnie jeszcze przez kilka sekund, a potem się uspokoił.

– Przepraszam. Za mój ton.

Yanof znowu mnie dźgnął, ale zignorowałem to.

– Nie spałeś zeszłej nocy.

– To żadne usprawiedliwienie. Ale pomiędzy walką, Kirbym a... – Wymijająco machnął ręką. – Dzisiaj.

Chodzi mi o DZISIAJ.

– Aaa – mruknałem – tchórz cię obleciał? Mój przyjaciel wziął głęboki oddech.

– No cóż, to poważny krok, prawda? Za rok większość członków Alfy pokończy szkoły. Znajdzie pracę... rozejdzie się – dokończył po chwili.

– I to tam poznałeś Georgię – powiedziałem.

– Taa – skinął głową. – A co, jeśli nic innego nas nie łączy? O rany, no! Widziałeś, gdzie mieszka jej rodzina? No a ja przez kolejne siedem albo osiem lat będę spłacać pożyczkę studencką. Skąd wiadomo, że jesteś gotowy na to, żeby się ożenić?

Krawiec wstał, wskazał ręką na moje spodnie i powiedział coś, co zabrzmiało jak: „Hahklha ah lafala krepata khem”.

– Nie spotykam się teraz z dziewczynami – zakomunikowałem Billy’emu, zdejmując spodnie i podając je mistrzowi igły ze Sloboviakstanu. – Strzeliłbyś sobie klinika, co czarusiu?

Yanof pociągnął nosem, wymamrotał coś i niepewnym krokiem wyszedł z zakładu.

– Billy, myślisz, że Georgia potrafiłaby pokonać to coś zeszłej nocy?

– Tak – odrzekł bez sekundy wahania.

– Wkurzy się, że to zrobiłeś?

– Nie.

– Nawet jak się dowie, że niektórym stała się krzywda?

– Nie.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ... – Potrząsnął głową. – Bo nie! Znam ją.

Zdenerwuje się, że są ranni. Tak, ale nie tym, że była walka. – Przybrał teraz ton naśladujący Georgię i prawdopodobnie wcale nie zdawał sobie z tego sprawy. – W walkach odnosi się rany. Dlatego nazywają się walkami.

– Stary, znasz ją wystarczająco dobrze, żeby odpowiedzieć za nią na poważne pytania – odparłem cicho. – Jesteś gotowy. Pamiętaj o tym, co najważniejsze. Ty i ona.

Przez chwilę uważnie na mnie spoglądał, wreszcie się odstłonił:

– Myślałem, że powiesz coś o miłości. Westchnąłem.

– Billy, ćwoku jeden, gdybyś jej nie kochał, to nie zamartwiałybyś się, że możesz stracić to, co jest między wami, tak czy nie?

– Masz rację – kiwnął głową.

– Pamiętaj o najważniejszym. Ty i ona. Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze.

– Tak – powiedział. – Georgia i ja. Reszta się nie Uczy. Miałem właśnie wymamrotać coś na pocieszenie, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do zakładu weszła porywająca kruczowłosa kobieta ubrana w drogą, jedwabną garsonkę w kolorze lawendy. Miała idealnie białe zęby i doskonale zaokrąglone łuki brwi, które mogły być tylko i wyłącznie wynikiem operacji plastycznej, w dodatku lśniła jak choinka od złota i brylantów. Jej buty i torebka prawdopodobnie kosztowały więcej niż mój samochód.

– No – warknęła, kładąc pięść na biodrze i spojrzała najpierw na Billy'ego, a potem na mnie. – Widzę, że już teraz staracie się z całych sił przeszkodzić w ceremonii.

– Eve – sztucznie uprzejmym głosem odezwał się mój przyjaciel wilkołak – o czym ty mówisz?

– Po pierwsze, to – powiedziała, pokazując ręką w moją stronę. Następnie obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

A ja stałem tam sobie w koszulce ze Spidermanem, w czarnych gaciach i usiłowałem wyglądać na wyluzowanego i pewnego siebie. Choć tak naprawdę z trudem się powstrzymałem przed tygrysim skokiem ku moim spodniom. Jednak po prostu obróciłem się i powoli wciągnąłem nogawkę po nogawce, zachowując w ten sposób godność.

– W twojej bieliźnie jest dziura – słodko oznajmiła Eve. – Na tyłku.

Szybko naciągnąłem dzinsy, czerwieniąc się po same uszy. Głupia godność!

– Niedobrze, że nalegasz, by ten drobny rzezimieszek wziął udział w ceremonii wraz z cywilizowanym społeczeństwem. Yanof odchodzi od zmysłów – kontynuowała Eve, zwracając się cały czas wyłącznie do Billy’ego. – Zagroził, że zrezygnuje.

– Łał! – zawołałem. – Mówisz po sloboviakstańsku?

– Co? – zerknęła w moją stronę.

– Ponieważ Yanof nie mówi po angielsku. Inaczej skąd byś miała wiedzieć, czym nam groził? – posłałem jej słodki uśmiech.

Eve obrzuciła mnie wyniosłym, wściekłym wzrokiem i udawała, że nic nie powiedziałem.

– A teraz będziemy musieli zrezygnować z jednej z drухen. Nie wspomnę już o fakcie, że z nim stojącym z jednej strony i z Georgią z drugiej będziesz wyglądał jak karzeł. Trzeba zawiadomić fotografa i nie mam pojęcia, jak to wszystko ponownie zaplanować na ostatnią chwilę. Przysięgłbym, że słyszałem, jak Billy zgrzyta zębami.

– Harry – poinformował mnie tym samym sztucznie uprzejmym głosem.

– To jest Eve McAlister, moja przyrodnia teściowa.

– Nie uznaję tego określenia. Tyle razy już ci to mówiłam. Jestem twoją teściową, a właściwie będę, jak tylko zakończy się ta katastrofa, w którą zmieniłeś, godny szacunku ślub.

– Jestem pewien, że coś wymyślimy – zapewnił ją beznadziejnym głosem Billy.

– Georgia spóźnia się i nie odbiera telefonu – napierała dalej. – A o czym miałabym rozmawiać z jej pocztą głosową?! Przypuszczam, że niziny społeczne, z którymi ją wczoraj zapoznałeś, zatrzymały Georgię wczoraj do późna. Tak jak ten tutaj ciebie.

– Hej, bez przesady! – odezwałem się, pracując nad tym, by mój głos brzmiał jak najbardziej rozsądnie i przyjaźnie. – Billy miał ciężką noc. Z pewnością pomoże pani, jeśli tylko da mu pani szansę, żeby...

Wydała z siebie dźwięk zdegustowania i weszła mi w słowo.

– Czy powiedziałam lub zrobiłam cokolwiek, co mogłoby implikować, że chciałabym wysłuchać twojej opinii, szarlatanie? Niziny społeczne! Ostrzegałam ją przed takimi jak ty.

– Nawet mnie pani nie zna – przypomniałem.

– Ależ owszem, znam – poinformowała mnie. – Wiem wszystko o tobie. Widziałam cię w „Larry Fowler Show”.

Spojrzałem na nią, marszcząc brwi. Wyraz twarzy Billy’ego był jeszcze bardziej bliski paniki. Wyciągnął ręce, a dokładnie wnętrze dłoni ku górze i posłał mi błagalne spojrzenie. Ale ponieważ po pierwsze doskwierał mi kac, a po drugie życie jest za krótkie, by znosić ataki słowne ze strony małych tyranów, którzy oglądają kiepskie talkshowy, wypaliłem:

- No dobra, przyrodnia teściowo Billy’ego...
- Nie nazywaj mnie w ten sposób! – przerwała. Jej oczy błyszczały.
- Nie lubi pani, aby tak ją nazywać? – spytałem dla uściślenia.
- Wcale.

– Mimo że z pewnością nie jest pani matką Georgii? To może będę panią nazywać zdobyczną żoną? – zasugerowałem.

Rzuciła mi krótkie spojrzenie, a jej oczy stały się ogromne. Billy ukrył twarz w dłoniach.

– Gorąca bańka do łóżka? – wymyślałem dalej. – Nawrócona kochanka? Produkt uboczny kryzysu wieku średniego? – Potrząsnąłem głową. – W razie wątpliwości zawsze sięgnij do klasyki. – Pochyliłem się trochę bliżej i posłałem jej krokodyli uśmiech. – Łowczyńni majątków.

Krew odeszła Eve z twarzy, ukazując brzydkie różowawe plamy wysoko na policzkach. – Ach, ty... ty... Machnąłem ręką.

– Nie, wszystko w porządku. Nie mam nic przeciwko, by poszukała pani alternatywnych określeń. Rozumiem, że żyje pani w ciągłym napięciu. Musi być pani ciężko starać się ciągle dobrze wypadać przed forsiatą arystokracją, choć wszyscy oni i tak wiedzą, że tak naprawdę była pani tylko recepcjonistką, aktorką, modelką czy kimś w tym rodzaju. Szeroko rozdziawiła usta.

– To dla nas wszystkich ciężki dzień, kochana. Sio! – machnąłem na nią ręką.

Wpatrywała się we mnie przez sekundę, po czym wyrzuciła z siebie opryskliwe przekleństwo, którego nikt by się nie spodziewał po kobiecie jej klasy. Potem obróciła się na obcasie wieczorowego pantofla z włoskiej skóry i majestatycznie opuściła pomieszczenie. Gdy wychodziła z zakładu, dobiegło mnie kilka stuknięć w klawiaturę komórki, a potem jej skrzeczący głos. Nadawała zajadle, słyszałem ją jeszcze dziesięć sekund po tym, jak wyszła.

Misja zakończona. Złość wyładowana. Smoczyca pogromiona. Poczulem samozadowolenie.

– Musiałeś rozmawiać z nią w ten sposób? – Westchnął Billy.

– Tak. – Spojrzałem groźnie w kierunku drzwi, przez które przed chwilą wyszła Eve. – Jak tylko otworzyłem buzię, a moje usta zaczęły się poruszać, to było raczej nieuchronne.

– Do diabła! – ponownie westchnął mój przyjaciel.

– Ej, człowieku, daj spokój! Nic jej nie będzie. Taki zafajdany mądrała jak ja na pewno nie zrobi jej krzywdy. To nic takiego.

– Może dla ciebie. Ty nie musisz z tym wszystkim żyć. Ale ja tak. I Georgia też.

Przygryzłem dolną wargę. W tych kategoriach o tym nie pomyślałem. Nagle poczułem się strasznie mały.

– Ach! Eee... może powinienem przeprosić? Schylił głowę i chwycił w

palce czubek nosa.

– Na Boga, nie! I tak jest już gorzej niż źle.

– To dla ciebie takie ważne? Ta cała uroczystość? – zapytałem, marszcząc brwi.

– Dla Georgii.

– Ach tak! – Skrzywiłem się.

– Słuchaj, mamy tylko kilka godzin. Zostanę tu i postaram się jakoś wszystko Eve wyjaśnić – postanowił samobójczo Billy. – Wyświadczysz mi przysługę?

– Hej, od czego ma się družbę?! Żeby nie pozwolił uciec spanikowanemu panu młodemu, prawda?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Spróbuj się najpierw skontaktować z Georgią. Może ma jakieś kłopoty z samochodem, zasnęła albo co. A może nie wyłączyła na noc komórki i bateria się wyładowała?

– Jasne – powiedziałem. – To już moja broszka.

Zadzwoiłem do mieszkania Billy'ego i jego narzeczonej, ale nikt nie podnosił słuchawki. Znajac Georgię, spodziewałem się, że siedzi w szpitalu u Kirby'ego. Być może Billy był przywódcą wesołej bandy dzieciaków z college'u, które nauczyły się przemieniać w wilki, ale to Georgia była menadżerem, zastępczą matką i mózgiem w sprawach niewymagających użycia przemocy.

Kirby cały czas leżał otumaniony środkami przeciwbólowymi, ale dość przytomny, by powiedzieć mi, że narzeczonej u niego nie było. Rozmawiałem z dyżurną pielęgniarką – potwierdziła jego wersję. Powiadomiono rodzinę w Teksasie, ta już leciała, by się z nim zobaczyć, ale oprócz mnie i Billy'ego nikt pacjenta nie odwiedził.

Dziwne.

Zastanawiałem się, czy czasem nie wspomnieć o tym mojemu przyjacielowi wilkołakowi, ale tak naprawdę jeszcze nic konkretnego nie wiedziałem. Zresztą i tak był już dość zestresowany.

– Nie popadaj w paranoję, Harry – powtarzałem sobie. – Może też ma kaca? Może uciekła ze striptizerem? – Zastanowiłem się przez chwilę, czy można kupić takie wersje, ale zdecydowanie potrząsnąłem głową. – A może Elvis i John Fitzgerald Kennedy żyją sobie jako parka w jakimś domu starców?

Poszedłem do mieszkania Billy'ego i Georgii. Mieszkali niedaleko uczelni, w dzielnicy, która nie była może taka paskudna, ale przyzwoici ludzie nie waleśali się tam po zmroku. Nie miałem klucza do budynku, wciskałem więc

wszystkie guziki po kolei, aż ktoś mnie wpuścił i wszedłem na górę.

Gdy dotarłem do drzwi mieszkania, wiedziałem, że coś jest nie tak. Nie, żebym zobaczył lub usłyszał coś magicznego, ale gdy wyciągnąłem rękę ku klamce, dopadło mnie niejasne, lecz silne przeświadczenie, że miało tu miejsce coś niedobrego.

Zastukałem. Drzwi zaskrzypiały i same się otworzyły na kilka centymetrów, a górne zawiasy zapiszczały. Na powierzchni drewna zobaczyłem niewidoczne dotąd pęknięcia i rysy, a luźny łańcuch zagrzechotał po wewnętrznej stronie.

Stałem tak dłuższą chwilę, nastawiając ucha. Oprócz furkotu wentylatora na końcu korytarza i łagodnej muzyki płynącej z radia piętro wyżej nie usłyszałem nic. Zamknąłem oczy i na moment wyteżyłem moje zmysły czarodzieja, sprawdzając, czy w powietrzu nie unosi się magia.

Nie wyczułem nic oprócz delikatnej energii, która otacza każdy dom – tej naturalnie wytwarzającej się magii ochronnej nazywanej potocznie progiem. Mieszkanie Billy’ego i Georgii stanowiło kwaterę główną wilkołaków, którzy przychodzili tu lub wychodzili o różnych porach. Nigdy tak naprawdę nie miało być domem na stałe, ale wiele się w nim działo, a jego próg był wyjątkowo silny. Prawą ręką powoli popchnąłem drzwi. Te skrzypiąc, odsłoniły mi widok na mieszkanie.

Całe było zdemolowane.

Materac leżał na jednym z boków, a jego powyginane metalowe obramowanie przypominało precel. Kino domowe zostało ściągnięte ze ściany na podłogę, a płyty CD, DVD i najwspanialsze figurki bohaterów „Gwiezdných Wojen” leżały porozrzucane w całym pomieszczeniu. Drewniany stolik ktoś przełamał na dwie idealnie równe części. Ocalało tylko jedno z sześciu krzeseł – pozostałe były opalone. Z wewnętrznej ściany zbudowanej z kamienia wystawała mikrofalówka. Drzwi lodówki, zapewne lecąc przez pokój, zabrały ze sobą regał z książkami. Całe wyposażenie kuchni leżało porozrzucane na podłodze.

Wszedłem najciszej, jak umiałem, a wierzcie mi – to naprawdę diabelnie cicho. Często zdarzało mi się zakradać.

Łazienka wyglądała, jakby ktoś użył piły łańcuchowej i poprawił jeszcze materiałami wybuchowymi. Pokój, w którym Billy i Georgia mieli komputery i większość sprzętu elektronicznego, przypominała miejsce katastrofy samolotu.

Najgorzej jednak było w ich sypialni.

Ponieważ podłogę i jedną ze ścian znaczyły ślady krwi.

Cokolwiek się stało, ominęło mnie. Jasna cholera! Potrzebowałem natychmiast coś zrobić i miałem ochotę wyć z frustracji. Do tego ze strachu o Georgię zachciało mi się rzygać.

Ale w moim fachu to jednak za bardzo nie pomaga.

Wróciłem do salonu. Telefon przy drzwiach ocalał. Zadzwoiłem.

– Porucznik Murphy, Dochodzenia Specjalne – odpowiedział profesjonalny, uprzejmy głos kompetentnej policjantki.

– To ja, Murphy – powiedziałem.

Poznała mnie. Jej ton natychmiast się zmienił.

– Mój Boże, Harry, co się stało?!

– Jestem w mieszkaniu Billy’ego i Georgii. Zostało zdemolowane. Jest krew.

– Z tobą wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. Georgia zniknęła. – A po chwili dodałem: – Dziś jej ślub, Murph.

– Pięć minut – odpowiedziała natychmiast.

– Musisz coś dla mnie zabrać po drodze.

Osiem minut później porucznik Karrin Murphy pojawiła się w drzwiach. Była szefową Wydziału Dochodzeń Specjalnych w Chicago. Pracujący tam policjanci zajmowali się przestępstwami, które nie podlegały pod żaden inny wydział – na przykład atakami wampirów, tajemniczymi napaściami czy też bardziej przyziemnymi sprawami, takimi jak, powiedzmy, ograbianie grobów. No i naprawdę makabrycznymi przypadkami, których inni gliniarze nie wiedzieli, jak ugryźć, a DS miał sprawić, żeby wszystko ładnie pasowało do oficjalnych raportów i dorabiał logiczne, racjonalne wytłumaczenia do rzeczy nielogicznych oraz irracjonalnych.

Można więc powiedzieć, że Murphy codziennie wymyślała więcej fikcji niż niejeden powieściopisarz.

Nie wyglądała przy tym na policjantkę, nawet taką od wsadzania mandatów za wycieraczkę. Miała blond włosy, niebieskie oczy, śliczny nos, a także trylion nagród strzeleckich i półkę pełną trofeów z rozmaitych zawodów sztuk walki. Raz nawet widziałem, jak piłą łańcuchową zabiła gigantyczną roślinę-potwora. Zazwyczaj nosiła dżinsy, białą koszulkę, adidas i czapkę baseballową, a włosy związywała z tyłu w koński ogon. Broń zawsze miała w kaburze pod pachą, odznakę na szyi, a na ramieniu dyndał plecak.

Weszła do środka i stanęła jak wryta. Przez minutę lustrowała pokój.

– Co to było? – spytała w końcu.

Wskazałem na powyginaną metalową obejmę materaca.

– Coś silnego.

– Szkoda, że nie jestem wziętym prywatnym detektywem jak ty. Wtedy sama mogłabym to wszystko rozwikłać.

– Przyniosłaś? – upewniłem się. Rzuciła mi plecak.

– Reszta jest w samochodzie. Po co ci to? Otworzyłem zamek błyskawiczny, wyjąłem zbielałą ludzką czaszkę i położyłem ją na kuchennym blacie.

– Bob, obudź się!

W oczodołach czaszki zamigotały pomarańczowe światła, stopniowo stawały się coraz jaskrawsze. Szczeka czaszki drgnęła, a następnie zaprezentowała mi szerokie pantomimiczne ziewnięcie. Ze środka wydobył się głos. Miał dziwne brzmienie, takie jak odgłos rozmowy na zamkniętym korcie tenisowym.

– O co chodzi, szefie?

– Jezus, Maria, Józefie święty! – wykrzyknęła Murphy. Zrobiła krok do tyłu i prawie przewróciła się o pozostałości kina domowego.

Światelka w oczach Boba zajaśniały.

– Hej, jaka śliczna blondyneczka! Przeleciałeś ją, Harry? – Czaszka zawirowała w miejscu na blacie i zlustrowała zniszczenia. – Tak! Zrobiłeś to. I to jak, ogierze!

Poczułem gorąco na twarzy.

– Nie, Bob. – Spojrzałem groźnie na czaszkę.

– Och! – odpowiedziała zbita z tropu.

Murphy zamknęła usta i mrugając, patrzyła na Boba.

– Hm, Harry?

– Wybacz, to jest Bob Czaszka – dokonałem prezentacji.

– To czaszka – powiedziała policjantka – która mówi.

– Właściwie Bob jest duchem, który mieszka w środku. Czaszka to tylko taki pojemnik.

– Hej! – zaprotestował Bob. – Nie jestem jakies tam TO. Zdecydowanie jestem ON.

– Bob jest moim asystentem w laboratorium – wyjaśniłem.

Szefowa Dochodzeń Specjalnych spojrzała ponownie na czaszkę i potrząsnęła głową.

– A już myślałam, że ta cała magia nie może być dziwniejsza.

– Bob, rozejrzyj się tu trochę i powiedz, co zrobiło tę demolkę – poprosiłem.

Czerep posłusznie zawirował i natychmiast dał odpowiedź:

– Coś silnego.

Murphy spojrzała na mnie z ukosa.

– Bez żartów, Bob! – przywołałem go do porządku. – Musisz mi powiedzieć, czy wyczuwasz jakąś pozostałą tu magię.

– Ungawa, bwana – powiedział duch w czaszce, po czym wykonał kolejny, tym razem wolniejszy obrót, a jego pomarańczowe światelka w oczodołach się zwały.

– Pozostała magia? – zapytała policjantka.

– Za każdym razem, gdy używasz magii, dookoła pozostaje niewielka ilość energii. W większości przypadków jest tak niska, że wraz ze wschodem słońca nie ma już po niej śladu. Nie zawsze mogę ją wyczuć.

– Ale on może? – ciągnęła Murphy.

– Ale on może – zgodził się Bob. – Tylko nie przy tej całej gadaninie. Ja tu pracuję, jakbyście nie zauważyli.

Potrząsnąłem głową i ponownie podniosłem słuchawkę. Wystukałem numer.

– Tak – odezwał się Billy. Dyszał do słuchawki, jakby gdzieś pędził, a w tle było słycać mnóstwo hałaśliwych odgłosów.

– Jestem u ciebie w mieszkaniu – powiedziałem. – Przyszedłem tu, bo chciałem złapać Georgię.

– Co?

– W twoim mieszkaniu – powtórzyłem głośniej.

– Och, Harry! – westchnął mój przyjaciel. – Sorry, wkurza mnie ten telefon. Nic nie słyszę. Eve przed chwilą rozmawiała z Georgią. Właśnie tu jest. Zmarszczyłem brwi.

– Co? Nic jej nie jest?

– A niby co? – odrzekł Billy. Potem dotarły do mnie tylko wrzaski w tle:

– Cholera, bateria siada! Problem rozwiązany. Przyjeżdżaj! Przyniosłem ci smoking.

– Billy, czekaj!

Ale on się rozłączył.

Zadzwoiłem ponownie, jednak usłyszałem tylko pocztę głosową.

– Aha! Ktoś przemienił się w wilka, tu przy sypialni – zdał raport Bob – I były tu więdźmy.

– Więdźmy? Jesteś pewny?

– Na sto procent, szefie. Próbowaliśmy zatrzeć ślady, ale próg uchwycił energię ich siły życiowej.

Skinałem głową.

– Niech to szlag! – mruknąłem.

A potem popędziłem do łazienki, usiadłem na podłodze i zacząłem grzebać w rumowisku.

– Co robisz? – zapytała Murphy.

– Szukam Georgii – odparłem.

Odnalazłem plastikową szczotkę, na której pełno było długich kosmyków koloru włosów narzeczonej Billy’ego i wziąłem kilka z nich do ręki.

Mój zmysł namierzania uroków wykorzystywany od lat stawał się z biegiem czasu coraz doskonalszy. Miałem nadzieję, że tym razem okaże się całkiem doskonały. Wszedłem do przedpokoju i kawałkiem kredy narysowałem

na podłodze dookoła siebie krąg. Następnie przycisnąłem do czoła włosy Georgii, maksymalnie koncentrując się i przywołując siłę woli. Nadałem odpowiedni kształt magii, którą chciałem stworzyć i wymruczałem „Interessari, interessarium”, uwalniając energię.

Magia wydostała się ze mnie na włosy, a potem wróciła. Gdy przerwałem krąg stopą, siła zaczęła działać i poczułem delikatne ciśnienie na potylicy. Odwróciłem głowę, a w odpowiedzi ciśnienie przepłynęło mi przez czaszkę, ucho i kość policzkową, by w końcu zatrzymać się dokładnie pomiędzy oczami.

– Jest z tej strony – powiedziałem. – Uhum.

– Uhum? – nie zrozumiała Murphy.

– Jestem zwrócony w kierunku południa.

– I to jakiś problem?

– Billy mówi, że Georgia jest na ślubie. Dwadzieścia mil stąd. Na północ. Policjantka otworzyła szeroko oczy. Zrozumiała, o co chodzi.

– Wiedźma zajęła jej miejsce? – Tak.

– Ale dlaczego? Próbuje podstawić szpiega?

– Nie – odparłem. – To na złość. Pewnie dlatego, że Billy i reszta pomogli mi kiedyś w bitwie, w której został zamordowany ostatni Rycerz Słońca.

– Ale to było wieki temu.

– Wiedźmy są cierpliwe. – Pokiwałem głową. – I nie zapominają. Billy jest w niebezpieczeństwie.

– Myślałam, że Georgia – zdziwiła się Murphy.

– Chciałem powiedzieć, że Billy też jest w niebezpieczeństwie.

– Jak to?

– To nie przypadkiem dzieje się na ich ślubie. Wiedźmy chcą to wykorzystać przeciwko nim.

– Co? – zmarszczyła brwi blond policjantka.

– Ślub to nie tylko uroczystość – wyjaśniłem. – Jest w nim też moc, powierzenie się drugiej osobie, połączenie energii. Jest w nim magia.

– Skoro tak mówisz, co z nim będzie, jeśli poślubi wiedźmę? – spytała z kwaśną miną.

– Konserwatyści naprawdę się zdenerwują – powiedziałem nieobecny myślami. – Ale, mówiąc magicznie, nie jestem pewny. Bob?

– Hm... – mruknął duch. – Cóż, jeśli przyjmemy, że to jedna z Zimowych Wiedźm, to będzie miał szczęście i przeżyje miesiąc miodowy. Jeśli tak się stanie, to dobrze. Po jakimś czasie będzie miała na niego wpływ długoterminowy. Będzie z nią związany tak jak Zimowi Rycerze z Królowymi Zimy. Będzie mogła narzucić mu swoją wolę. Zmienić sposób, w jaki myśli i odczuwa.

Zazgrzytałem zębami.

– Jeśli go zmieni w wystarczający sposób, to doprowadzi do oblędu.

– Tak. Zazwyczaj tak się dzieje – przyznał Bob – ale nie ma co rozpaczać szefie. Są duże szanse, że jutro do wschodu słońca będzie już martwy. Może nawet umrze szczęśliwy.

– Po moim trupie – zdecydowałem i spojrzałem na zegarek. – Ślub jest za trzy godziny. Georgia może potrzebować teraz pomocy.

Zerknąłem na Murphy.

– Uzbrojona?

– Tak. Dwa przy sobie. Reszta w samochodzie.

– No, ta dziewczyna wie, jak się bawić! – odezwał się Bob.

Wrzuciłem czaszkę z powrotem do plecaka, trochę mocniej niż było trzeba i zasunąłem suwak.

– Czujesz, że zbawiasz świat?

Oczy policjantki zaiskrzyły, ale przybrała profesjonalny, znudzony ton.

– W weekend? Brzmi bardziej jak robota. Wyszliśmy razem z mieszkania.

– Zapłacę ci w pączkach.

– Dresden, ty świnió! Pączki i gliny to złośliwy stereotyp.

– Pączki z małymi różowymi posypkami.

– Nakreślanie profilu zawodowego jest równie szkodliwe co stereotypy rasowe.

– Taa – przytaknąłem. – Ale wiem, że chcesz tę małą różową posypkę.

– Nie o to chodzi – ucięła wyniośle, po czym wsiedliśmy do samochodu.

Kiedy zapięliśmy pasy, odezwałem się cicho:

– Nie musisz ze mną jechać, Karrin.

– Ależ owszem. Muszę.

Kiwnąłem głową i skoncentrowałem się na namierzaniu energii, wskazując na południe.

– Tędy.

Najgorsze w moim fachu są ludzkie założenia i oczekiwania. Prawie wszyscy sądzą, że jestem oszustem, ponieważ powszechnie wiadomo, że coś takiego jak magia nie istnieje. Większość z tych, którzy wiedzą lepiej, uważa, że po prostu pstrykam palcami i puf – mam wszystko, czego chcę. Brudne naczynia? Pstrykam palcami i same się myją, tak jak w „Uczniu czarnoksiężnika”. Muszę pogadać z przyjacielem? Pstryk, teleportuję go sobie, no bo magia sama z siebie wie, gdzie go znaleźć.

Tymczasem ona nie działa w ten sposób. I jestem pewny jak diabli, że nie poprowadziłaby starego, rozklekotanego volkswagena.

To prawda, ma moc, jest użyteczna i niezmiernie przydatna, ale w końcu to sztuka, nauka, fach, narzędzie. Nie wydobywa się sama ot tak i nie załatwia

spraw. Nie tworzy czegoś z niczego i nie dostaje się nic za darmo. Używanie magii wymaga talentu, dyscypliny, praktyki i dużo wysiłku.

Właśnie dlatego, gdy doprowadziła nas do centrum Chicago, nagle stała się... mniej przydatna.

– Okrążyliśmy ten blok już trzy razy – powiedziała Murphy. – Nie możesz tego bardziej sprecyzować?

– A czy wyglądam jak jaki bajer z GPS?

– Zdefiniuj „bajer” – zażądała Karrin.

– To moja siła namierzania. Jest zbieżna z punktami kompasu. Tak naprawdę kiedy go projektowałem, nie chodziło mi o oś wschód-zachód, ale tylko na nią reaguje, kiedy jestem u celu. Ciągłe sobie powtarzam, że muszę to kiedyś naprawić, tylko nigdy nie ma na to czasu.

– Moje małżeństwo też tak wyglądało – mruknęła Murphy.

Stała na światłach i spojrzała w górę. Kompleks składał się z sześciu budynków – trzech mieszkalnych, dwóch biurowców i starego kościoła.

– Gdzieś w środku? Przeszukanie wszystkiego może zająć trochę czasu – oznajmiła policjantka.

– Więc wezwij wszystkich podwładnych i ich rumaki. Potrząsnęła głową.

– Może uda mi się ściągnąć kilku. Jestem w osłabieniu, odkąd Rudolph przeszedł do Spraw Wewnętrznych. Jak zacznę ściągać ludzi z lewa i prawa bez diabelnie logicznego, racjonalnego, całkowicie normalnego powodu...

– Kapuję. Podjedź. Im bliżej będę Georgii, tym precyzyjniejsza będzie siła namierzania.

Murphy skinęła głową i zaparkowała przy hydrancie przeciwpożarowym.

– Dobra, pogłówkujmy. Jest sześć budynków. Do którego z nich mogła ją zabrać wiedźma?

– Kościół odpada. Święte miejsca nie są dla nich wygodne. Apartamenty też nie. Za dużo ludzi. Łatwo ktoś mógłby coś usłyszeć lub zobaczyć.

– Biurowce w weekend? – zasugerowała Karrin. – Puste jak bęben. Który?

– Rozejrzyjmy się. Może siła mi coś podpowie.

Przez dziesięć minut obchodziłem oba budynki. Mój wewnętrzny kompas wciąż był cudownie nieprecyzyjny, ale i tak wiedziałem, że Georgia znajduje się gdzieś w promieniu stu metrów. Zdegustowany usiadłem na krawężniku.

– Do diabła! Musi coś być.

– Czy wiedźma potrafiłaby tu wejść, a potem wydostać się za pomocą magii?

– Tak i nie. Nie mogłaby po prostu przejść przez ścianę czy wniknąć do środka. Ale mogłaby wejść pod jakąś inną postacią, tak że nikt by jej nie spostrzegł albo zobaczyłby złudzenie, które chciałyby, żeby zobaczyć.

– Możesz znowu poszukać tych pozostałości energii?

To był niezły pomysł. Wyciągnąłem Boba i wypróbowałem go, a Murphy usiłowała dodzwonić się do Billy'ego lub do kogokolwiek, kto mógłby go złapać. Po godzinie wspólnymi siłami osiągnęliśmy wielkie nic.

– Tak na wszelki wypadek, gdybym wcześniej o tym nie wspomniał, to rozprawianie się z wiedźmami jest wkurzające – ostrzegłem. – Są niezwykle upierdliwe.

Z przejeżdżającego samochodu ktoś wyrzucił wciąż dymiący niedopałek papierosa, który wylądował na betonie tuż obok mnie. Z obrzydzeniem kopnąłem go do rynsztoka.

– Znów zatarła ślady? – Tak.

– Jak?

– Jest mnóstwo sposobów. – Wzruszyłem ramionami. – Mogła rozsiać dookoła energię, żeby nas zmylić, albo użyć magii tylko w niewielkim stopniu, żeby nie zostawić dużego śladu. Gdyby zrobiła wszystko w zaludnionym miejscu, to siła życiowa przechodzących ludzi wszystko by zatarła. Mogła też wykorzystać bieżącą wodę, żeby...

Zamilkłem, a mój wzrok powędrował w stronę kratki ściekowej. Bieżąca woda! Słyszałem jej cichy miarowy szum.

– Na dole – powiedziałem. – Zabrała Georgię do Podziemnego Miasta.

Murphy spojrzała na schody prowadzące w dół do murowanego tunelu i potrząsnęła głową.

– Nigdy bym nie uwierzyła, że takie coś istnieje.

Staliśmy na końcu nieukończonego skrzydła podziemnego tunelu metra przy częściowo zburzonej ścianie. Kilka starych kładek prowadziło w ciemności Podziemnego Miasta.

Policjantka jeszcze w samochodzie narzuciła na T-shirt starą kurtkę skauta. Wymieniła też broń, odkładając swojego ulubionego sigę i biorąc glocka, którego nosiła w futerale na biodrze. Pistolet miał u dołu lufy wbudowaną małą latareczkę, którą Murphy właśnie włączyła.

– Wiesz, zdawałam sobie sprawę, że istnieją stare tunele, ale nie coś takiego.

Chrząknąłem i wyjąłem zawieszony na szyi srebrny pentagram. Trzymałem go w prawej dłoni, palcami przyciskając łańcuszek do okrągłego kawałka dębu. Miał około pięciu centymetrów długości i pokrywały go wyrzeźbione runy oraz magiczne pieczęcie. Była to moja wybuchowa różdżka. Przesłałem moc do amuletu i srebrny pentagram zaczął świecić łagodnym niebiesko-białym światłem.

– Tak – powiedziałem – tu w tych tunelach prowadzono Projekt

Manhattan, zanim nie przeniesiono go na południowy zachód. Do tego miasto przez sto pięćdziesiąt lat zanurzało się w bagnie. Istnieją całe budynki zatopione w ziemi. Mafia kopała tu kryjówki w latach prohibicji. Ludzie budowali schrony przeciwbombowe w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. I inne jeszcze rzeczy przyczyniły się do powstania furtek prowadzących do świata duchów.

– Inne rzeczy? – zapytała Murphy z bronią gotową do strzału. – Jakie?

– Różne – odparłem, patrząc w dół na ciepły, pozbawiony światła mrok Podziemnego Miasta. – Wszystko, co nie lubi światła lub towarzystwa. Wampiry, upiory, niektóre z najpaskudniejszych wiedźm oczywiście też. Kiedyś walczyłem z takim dziwadłem, które zwoływało demony grzybów.

– Wciskasz mi kit? – Policjantka zmarszczyła brwi.

– Chciałbym! – westchnąłem. – Zszedłem kilka razy na dół. Nigdy nie było dobrze.

– Jak to zrobimy?

– Tak jak załatwiliśmy norę wampirów. Pójdę pierwszy z osłoną. Jeśli coś na nas wyskoczy, ja to powalam i trzymam, dopóki ty tego nie zabijesz.

Murphy ze zrozumieniem pokiwała głową. Przełknąłem ze strachu ślinę. Żołądek podchodził mi do gardła i czułem się, jakbym miał w nim bryłę lodu.

Przygotowałem swoją osłonę. Otoczyło ją takie samo światło, jakie emanowało z pentagramu, i zaczęło wysłać nieregularne strumienie zimnych biało-niebieskich iskier. Gdy byłem już gotowy na ewentualne użycie wybuchowej różdżki, zacząłem schodzić po schodach, podążając za siłą namierzania w kierunku Georgii. Stare ceglane stopnie kończyły się przy nierównym spadzie w głąb ziemi. Po ścianach spływała woda, łącząc się w strumyczki po bokach tunelu. Szliśmy do przodu przez stary budynek, który – sądząc po zgniłych stosach drewna i starej tablicy – mógł być kiedyś szkołą. Podłoga miała przechył na jedną stronę. W kolejnej części podziemi rozlało się brudne bajoro, pełne lodowatej, sięgającej do kolan wody. Następnie tunel biegł w górę i w bok – za róg, którego ściany zostały wycięte ostrymi narzędziami, po czym weszliśmy do szerszego pomieszczenia.

Była to nisko sklepiona jaskinia – nisko dla mnie w każdym razie. Większość ludzi nie miałaby problemu. Metr od wejścia podłoga zniknęła w cichej, czarnej wodzie, która rozciągała się poza zasięg mojego niebieskiego magicznego światła. Murphy stanęła obok mnie, a latarka na jej broni wysłała srebrnobiały słup nad podziemnym rozlewiskiem.

Na płycie kamienia, który wystawał z wody na parę centymetrów, leżała Georgia.

Światło policjantki powędrowało po niej. Georgia była wysoką kobietą – w wystarczająco wysokich obcasach mogła spokojnie spojrzeć mi w oczy. Kiedy ją poznałem, była chuda jak tyczka i miała kręcone włosy. Dziesięć lat nadało jej rysom miękkości i wydobyło z nich naturalną pewność siebie oraz

inteligencję, co uczyniło narzeczoną Billy'ego niezmiernie atrakcyjną, jeśli nie rzec piękną, kobietą. Teraz naga leżała na plecach z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ułożonymi jak do ostatniego spoczynku. Oddychała bardzo powoli. Jej skóra była biała z zimna, a usta miały niebieskawy kolor.

– Georgia! – zawołałem, czując się jak ostatni kretyn, ale nie przyszło mi do głowy, jak inaczej sprawdzić, czy nie śpi.

Nie wykonała najmniejszego gestu.

– Co teraz? – zapytała Murphy. – Idziesz po nią? Mam cię osłaniać?

Potrząsnąłem głową.

– To nie będzie takie proste.

– Dlaczego nie?

– Bo nigdy nie jest.

Spuściłem na chwilę głowę, przycisnąłem lekko palce do czoła pomiędzy brwiami i skoncentrowałem się, aby przywołać Widzenie.

Jedną z rzeczy wspólnych wszystkim magom jest Wizja. Nazwijmy to szóstym zmysłem, trzecim okiem. Jakkolwiek tego by nie nazwać, każdy, kto ma odpowiednią dozę magii, posiada Widzenie. Pozwala ono dostrzec siły energii – życie, śmierć, magię, cokolwiek. Nie zawsze mogę z łatwością zrozumieć, co widzę, czasami nie jest to przyjemny widok, ale cokolwiek dostrzegam w Wizji, pozostaje jak nagrane na rolce filmowej i nigdy nie znika. Nigdy.

Dlatego trzeba być ostrożnym, kiedy chce się coś URZEĆ. Nie lubię tego robić. Nigdy nie wiadomo, co się ZOBACZY.

Nie miałem jednak dużego wyboru – musiałem sprawdzić, jaki rodzaj magii jest pomiędzy mną a Georgią. Otworzyłem swoją Wizję i spojrzałem ponad wodą na leżącą kobietę.

W bajorze dostrzegłem pełno obślizgłych wici zielonkawego światła. Energia, energia uśpiona tuż pod spokojną powierzchnią! Gdyby woda poruszyła się...

Kamień, na którym leżała Georgia, skupiał stłumioną, pulsującą moc – posępne fioletowe promieniowanie, które wolno owijało głaz hipnotyzującymi spiralami. Byłem pewien, że to jakieś magiczne więzy. Inna siła działała nad i wewnątrz Georgii. Miała postać chmury ciemnoniebieskich iskier, które umiejscowiły się przy skórze kobiety, a szczególnie wokół głowy. Siła usypiająca? Stałem za daleko, żeby to ustalić.

– No i? – odezwała się Murphy.

Zamknąłem oczy i uwolniłem Wizję, co było zawsze lekko dezorientującym doświadczeniem. Pozostałości kaca też w żadnym razie nie pomagały. Zdałem policjantce relację z tego, co udało mi się ustalić.

– No – podsumowała – niezmiernie się cieszę, że nad sprawą pracuje mag. W przeciwnym razie stalibyśmy tutaj, nie mając zielonego pojęcia, co

dalej robić.

Odpowiedziałem jej nieprzyjemnym grymasem twarzy i podszedłem do krawędzi rozlewiska.

– To magia wodna. Dość śliska sprawa. Spróbuję zdjąć siłę alarmującą z powierzchni, a potem podpłynę i zabiorę Geo...

Bez ostrzeżenia woda u moich stóp wybuchła gejzerem gorącej piany. Niespodziewanie z bajora wyrosły szpony wyglądające jak obcegi wielkości kilku piłek do koszykówki i zacisnęły się wokół mojej kostki.

Wydałem z siebie okrzyk bojowy. Z pewnością wielu ludzi mogłoby go wziąć za nagły skowyt strachu, który nie przystoi mężczyźnie, ale zaufajcie mi – to był okrzyk bojowy.

Cokolwiek mnie zaatakowało, teraz ciągnęło moją nogę w głąb wody. Dostrzegłem gładką, mokrą, czarną skorupę. Skierowałem różdżkę wybuchową w kierunku stwora i warknąłem: „Fugeo!”.

Wystrzelił słup ognia grubości kciuka. Celowałem w tułów potwora, trafiłem jednak w wodę. Ta natychmiast zagotowała się, a para wypełniła wnętrze skorupy stwora z taką siłą, że oderwała cielsko od szponowatej kończyny. Uniosłem w górę osłonę – blado-niebieskie światło w kształcie sierpa księżycy, które w porę zlało się, zanim para dotarła do moich oczu. I cały czas wiałem się na tyłku, dziko strząsając z siebie odnóże ciągle zacisnięte na mojej kostce.

Woda ponownie się podniosła i pochwyciło mnie kolejne obślizgłe stworzenie w skorupie. A potem następne i następne. Tuziny takich maszkar ruszyły w naszym kierunku, fala, jaką wytworzyły, sięgała prawie metr ponad powierzchnię.

– Otoczaki muszlowate! – wykrzyknąłem i skierowałem płomień w stronę najbliższego. – To otoczaki muszlowate!

– Być może – powiedziała Murphy, stając obok mnie. Zaczęła strzelać.

Trzeci otoczek został trafiony trzy razy w środek skorupy i pękł z trzaskiem jak homar w restauracji. To dało mi niezbędne sekundy, żeby móc zadziałać. Podniosłem wybuchową różdżkę i szybciej spróbowałem czegoś nowego, łącząc błysk ognia z moją magią ochronną. Skierowałem różdżkę w stronę brzegu, zebrałem moc i zagrzmiałem: „Ignus defendarius”.

Słup ognia wystarczająco jaskrawy, by móc oślepić, wystrzelił w jedną stronę pomieszczenia. Końcem różdżki pociągnąłem w poprzek kamienia, aż płomień przyłgął do niego. W końcu wytworzył pomost prowadzący do kamienia, na którym leżała Georgia i solidną barierę pomiędzy nami a wodą wysoką na blisko metr. Zza tej ogniowej zasłony dobiegł nas wściekły grzechot i odgłos rozpryskiwanej wody.

Podtrzymywanie ognia pochłaniało sporo energii i gdybym dalej próbował, prawdopodobnie bym zemdlał. Co gorsza ogień, żeby się palić,

potrzebował tlenu, a w ciasnym tunelu nie było go zbyt wiele. Oznaczało to, że musieliśmy coś zrobić w ciągu kilku sekund. Szybko. Inaczej nie mielibyśmy czym oddychać.

– Murphy, czy dałabyś radę ją zanieść? – zapytałem. Policjantka spojrzała na mnie szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Broń miała cały czas w pogotowiu wymierzona w kierunku otoczków.

– Co?

– Czy dasz radę ją przenieść?

Zazgrzytała zębami i kiwnęła głową. Na jedną chwilę nasze oczy się spotkały.

– Ufasz mi? – dodałem.

Ogień trzaskał. Woda się gotowała. Syczała para.

– Tak, Harry – szepnęła. Posłałem jej szeroki uśmiech.

– No to skacz na ogień. Biegnij po nią.

– Biegnij?

– Tylko pośpiesz się! – ponagliłem. Podniosłem lewą rękę i skoncentrowałem się, a moja bransoleta ochronna zajaśniała niebiesko-białą energią. – Teraz!

Murphy rzuciła się do biegu i popędziła nad ścianą ognia.

– „Forzare!” – wykrzyknąłem, wyciągnąłem lewą rękę i wyteżyłem siły.

Ponownie uformowałem osłonę, nadając jej tym razem płaski, szeroki prawie na metr kształt. Przez ścianę ognia wystrzeliłem ją ponad wodą w kierunku głazu i leżącej na nim Georgii. Policjantka wylądowała na pomoście czystej energii, złapała równowagę i popędziła w kierunku nieprzytomnej młodej kobiety.

Gdy dotarła na miejsce, włożyła broń do kabury, schwyciła Georgię i z wysiłkiem zarzuciła sobie wysoką dziewczynę na plecy. Zaczęła biec z powrotem. Znacznie, znacznie wolniej.

Otoczaki natarły jeszcze bardziej rozwścieczone, tymczasem dawało o sobie znać moje zmęczenie. Poczulem pająkowatą, trzęsącą się niemoc w nogach i rękach. Zacisnąłem zęby i z całych sił trzymałem ściany pomostu, tak aby Murphy mogła wrócić. Wzrok mi zaczął szwankować.

I wtedy policjantka krzyknęła ponownie, zanurzając się powoli w ogniu. Wrzasnęła z bólu, kiedy płomień przypalił jej nogę, ale chwilę potem była już przy mnie.

Z wielką ulgą uwolniłem energię podtrzymującą most.

– Szybko, uciekamy!

Nawet we dwójkę ledwo mogliśmy udźwignąć Georgię. Wiedziałem, że ścianę ognia oddzielającą nas od otoczków zdołam utrzymać tylko chwilę. Zdołaliśmy przejść jakieś piętnaście metrów, kiedy musiałem uwolnić energię, w przeciwnym razie bym zemdlał i wszyscy zostalibyśmy w Podziemnym

Mieście. Na szczęście muszlowate stwory nie należały do sprinterów, bo udało nam się przed nimi uciec, wlokąc ze sobą nagą dziewczynę aż do samochodu Murphy. Przez cały ten czas Georgia nawet nie drgnęła.

Na szczęście policjantka miała w bagażniku koc. Owinąłem nim Georgię i usiadłem obok niej na tylnym siedzeniu. Murphy odpaliła silnik i ruszyła w stronę hotelu Linconshire Marriot, który znajdował się dwadzieścia mil na północ od miasta i był jednym z najbardziej okazałych miejsc w okolicy nadających się na ceremonię zaślubin. Na ulicach panował spory ruch, a według zegara w samochodzie mieliśmy mniej niż dziesięć minut do rozpoczęcia uroczystości.

Robiłem, co mogłem na tylnym siedzeniu, żeby Georgia nie objęła się o dach i jednocześnie niezadarnie otwierałem plecak, nie zwracając uwagi na cięcia zostawione na mojej nodze przez szczypce otoczaka.

– Czy ona ma na twarzy krew? – zapytała Murphy.

– Tak – odparłem. – Zaszła krew. Ale to chyba nie jej. Bob mówił, że w mieszkaniu przemieniła się w wilka. Myślę, że Georgia zatopiła kły w ciele Zielonozębnej Jenny, zanim ta ją porwała.

– Jenny jakiej?

– Zielonozębnej – powtórzyłem. – To jedna z zausznic. Szlachta wśród wiedźm, przydupnica Zimowej Pani.

– Czy jej zęby są zielone?

– Jak szpinak ugotowany na parze. Kiedyś, jeszcze na wojnie wiedźm, widziałem jak stała na czele dużej watahy otoczaków, takich jak te nasze. Jeśli Maeve chciała się zemścić na Billy’ m i spółce, to Jenny jest właśnie tą, którą by wysłała.

– Taka niebezpieczna?

– Znasz opowiadania o stworzeniach, które zwabiają człowieka na brzeg wody, a potem go wciągają i topią? O syrenach, które kuszą marynarzy i zanoszą ich do swoich podmorskich siedzib?

– Tak.

– To właśnie Jenny. Tylko nie tak potulna. Wydobyłem Boba z plecaka. Czaszka spojrzała na śpiącą, nagą Georgię, po czym złośliwie powiedziała:

– No tak. Najpierw seks-demolka z milutką policjantką, a teraz mały trójkącik i to wszystko w jeden dzień! – zawołał. – Harry, musisz o tym napisać do „Penthouse’a”.

– Nie teraz, Bob. Zidentyfikuj urok rzucony na Georgię. Czaszka wydała zde gustowany dźwięk, po czym skoncentrowała się na dziewczynie.

– O rany! – powiedziała po chwili. – Ten jest niezły. Z pewnością robota zausznicy.

– Domyślałem się, że chodzi o Zielonozębną Jenny. Podaj szczegóły.

– Jenny upolowała zdobycz. To siła usypiania – sprecyzował Bob. – I to

potężna. Złośliwa jak diabli.

– Jak mogę ją znieść?

– Nie możesz.

– Świetnie. Jak mogę ją przełamać?

– Nie rozumiesz. Siła działa wewnątrz ofiary. Jest napędzana przez jej siłę życiową. Jeśli ją przerwiesz...

Skinąłem głową.

– Kapuję. Przerwę również siłę życia. Czyli nie mogę się jej pozbyć?

– Nie, wcale. Tylko chodzi o to, że TY nie możesz. Mógłby to zrobić tylko ten, kto ją uśpił. Ale jest jeszcze inne wyjście.

Rozgniewałem się i spojrzałem na niego spode łba.

– Jakie wyjście, Bob?

– Hm. Pocałunek mógłby to załatwić. No wiesz. Prawdziwa miłość, książę z bajki, te sprawy.

– To da się zrobić – powiedziałem nieco odprężony. – Zdamy na ślub, zanim Billy odjedzie z Jenny i ta będzie mogła go utopić.

– Dobrze. Ale dziewczyna i tak umrze. Cóż, nie można ratować wszystkich.

– Co? – zażądałem wyjaśnień – Dlaczego Georgia ma umrzeć?

– Och, jeśli nasz mały Wilkołak przejdzie przez ceremonię, przysięgnie Jenny i tak dalej, to będzie skażony. Chodzi o to, że skoro poślubi inną, to nie będzie to już prawdziwa miłość. Jenny będzie miała do niego prawo i dlatego pocałunek nie zadziała.

– Co oznacza, że Georgia się nie obudzi. – Zagryzłem dolną wargę. – W którym momencie ślubu się to dzieje?

– Chodzi ci o to, kiedy będzie już za późno? – zapytał Bob.

– Tak. No to kiedy? Wtedy, gdy mówią „tak”, wymieniają obrączki, czy kiedy?

– Obrączki i przysięgi – wyjaśnił duch z pogardą w głosie. – Grubo przereklamowane.

Murphy zerknęła w lusterko, spojrzała na mnie i powiedziała:

– Gdy się całują, Harry. Gdy się całują.

– Buffy ma rację – zarechotał Bob.

Spojrzałem w lusterko na policjantkę.

– Tak. Chyba powinienem się domyślić. Uśmiechnęła się lekko.

– Pocałunek przypieczętowanie umowy – zaszczębiotał Bob. – Jeśli Billy pocałuje Zielonozębną Jenny, to długonoga dziewczyna nie obudzi się, a i jego nie będzie długo na tym świecie.

– Murphy – powiedziałem stanowczo.

Opuściła szybę, postawiła na dach koguta i włączyła syrenę, a potem wcisnęła gaz do dechy.

W normalnych okolicznościach podróż do hotelu zajęłaby pół godziny. Nie mówię, że Murphy jechała jak samobójca. Nie, zupełnie. Ale gdy po raz trzeci o mało co nie zderzyliśmy się z innym samochodem, zamknąłem oczy i zacisnąłem usta, żeby nie powiedzieć bezwiednie: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”.

I tak dojechaliśmy w dwadzieścia minut.

Opony zapiszczały, gdy policjantka skręcała na hotelowy parking.

– Wyrzuć mnie tutaj – powiedziałem, wskazując miejsce. – Zaparkuj za namiotem, tak żeby nikt nie zobaczył Georgii. Przyprowdzę Billy’ego.

Wyskoczyłem z samochodu, jeszcze w biegu schwyciłem wybuchową różdżkę i popędziłem do hotelu. Recepcjonistka spojrzała na mnie zza lady.

– Ślub! – warknąłem – Gdzie? Wskazała palcem w dół korytarza. – W sali balowej.

– Dobra – kiwnąłem głową i pognałem we wskazanym kierunku.

Widziałem otwarte podwójne drzwi i usłyszałem męski głos mówiący przez mikrofon: „...dopóki śmierć was nie rozłączy?”.

Eve McAlister stała w drzwiach ubrana w swój jedwabny lawendowy kostium i gdy mnie zobaczyła, jej oczy zrobiły się wąskie jak dwa ostre odłamki lodu.

– Tam, to ten. To ten mężczyzna.

Pojawiło się dwóch dużych, muskularnych facetów w źle dopasowanych kasztanowych kurtkach – osiłki z ochrony hotelowej. Przecięli mi drogę, a większy z nich powiedział:

– Proszę pana, to zamknięta uroczystość. Muszę pana prosić o opuszczenie sali.

– Chyba żartujesz – zazgrzytałem zębami. – Zamknięta? Jestem pieprzonym drużbą!

Głos przez mikrofon oznajmił:

– Z mocy prawa nadanego mi przez Boga...

– Nie pozwolę, abys dłużej zakłócał ślub albo opluwał moje dobre imię – z tryumfem w głosie powiedziała Eve. – Panowie, proszę wyprowadzić tego pana z budynku, zanim urządzi jakąś scenę.

– Tak jest – odezwał się ten większy i ruszył w moim kierunku, spoglądając na wybuchową różdżkę. – Proszę pana, chodźmy do wyjścia.

Zamiast do wyjścia ruszyłem do przodu, co ogromnie zaskoczyło osiłków.

– Billy! – krzyknąłem.

Ochroniarze ocknęli się w mgnieniu oka i pochwycili mnie za ramiona.

To były profesjonalne osiłki. Zwalili się na mnie i ledwo mogłem oddychać.

– ...mężem i żoną. Możesz teraz pocałować pannę młodą – usłyszałem.

Leżałem na wznak przygnieciony jakimiś dwustu pięćdziesięcioma kilogramami czystych mięśni, walcząc o oddech i gapiąc się na sufit.

A na suficie było całe mnóstwo automatycznych zraszaczy przeciwpożarowych.

Walnąłem głową w nos ważniejszego z ochroniarzy, a drugiego ugryzłem w ramię tak mocno, że wrzasnął i wyrwał się, uwalniając w ten sposób moją prawą rękę.

Skierowałem różdżkę ku górze, zebrałem moc i wycharczałem:

– ...fugeo... Fala ognia popłynęła w kierunku sufitu.

Zawył alarm przeciwpożarowy. Spryskiwacze zamieniły wnętrze hotelu w miniaturowy monsun. Rozpętał się chaos. Sala balowa wypełniła się okrzykami. Podłoga zadygotała, gdy setki gości zerwały się na równe nogi w poszukiwaniu wyjścia. Osiłki z ochrony były na tyle mądre, by zdać sobie sprawę, że mają nie lada problem, i w porę zdążyły odsunąć się od drzwi, unikając stratowania przez gości.

Wstałem na nogi i ujrzałem pastora uciekającego z podwyższenia, na którym stała zgarbiona postać ubrana w suknię ślubną Georgii, a obok Billy odstawiony w smoking, patrzący na nią w niewyobrażalnym szoku. Woda ze spryskiwaczy wystarczyła, by skruszyć każdy czar, którego użyła panna młoda. I przemienić ją z powrotem w to, czym wcześniej była. Skurczyła się o jakieś pięć centymetrów, a brązowe włosy Georgii nabrały koloru szmaragdów i wodorostów.

Zielonozębna Jenny zwróciła się ku Billy'emu, jej ręka powędrowała do gardła pana młodego, obnażając niehumanitarne, błyszczące szpony.

Mój przyjaciel z pewnością był zszokowany, jednak nie na tyle, by nie uświadomić sobie zagrożenia. Odciągnął jej szpony i natarł na Jenny, wyciągając do przodu obie dłonie, w które popłynęła cała energia z jego rąk, ramion i nóg. Cios odepchnął wiedźmę aż na krawędź podwyższenia. Spadła w dół w płataninie białego materiału i koronek.

– Billy! – wykrzyknąłem i prawie udało mi się to zrobić głośno.

Prawie! Moje wołanie nikło w okrzykach paniki i hałasie wyjących alarmów przeciwpożarowych. Zacisnąłem więc zęby, nadałem mojej ochronnej bransolecie najjaśniejszą, najbardziej iskrzącą i świecącą moc i skierowałem ją w tłum ludzi. Musiałem wyglądać jak człowiek machający rakieta, bo zawsządobiegał strumień okrzyków, które brzmiały jak coś w rodzaju „iii!”.

Ruszyłem do przodu przez tłum. Zanim się przedarłem, Zielonozębna Jenny zdążyła wstać i zerwać z siebie suknię ślubną, tak jakby była zrobiona z papieru. Wyciągnęła jedną rękę i szponami zacisnęła powietrze. Fala rozgniewanej mocy zadrgała pomiędzy jej palcami i obrzydliwa kula zielonego

światła pojawiła się w dłoni wiedźmy.

Nieskrępowana suknią z lekkością wskoczyła z powrotem na platformę, ale do tego czasu byłem już w jej zasięgu. Stojąc na podłodze tuż obok podwyższenia, posłałem jej różdżką strzał w kolana. Cios wyrwał z niej okrzyk bólu. Cisnęła kulę w moim kierunku, ta odbiła się jednak od mojej bransolety ochronnej i powędrowała w stronę Jenny, zostawiając na jej udzie czarną, osmaloną krechę. Wiedźma wrzasnęła i odskoczyła w tył, opierając się całym ciężarem ciała na jednej nodze.

– Teraz wygrałeś, czarodzieju, ale i tak zemszczę się w imieniu mojej pani, w dwójnasób – obiecała.

Po czym pełnym gracji skokiem przefrunęła ponad naszymi głowami jakieś piętnaście metrów w kierunku drzwi, by zniknąć nam z oczu lekko i zgrabnie jak łania.

– Harry – powiedział Billy, ogarniając zszokowanym wzrokiem mokrusieńkie pomieszczenie. – Co tu się do jasnej cholery dzieje? Co to u diabła było?

Chwyciłem go za smoking.

– Nie ma czasu. Idziemy.

– Ale po co?

– Musisz pocałować Georgię. – Co?

– Znalazłem Georgię. Jest na zewnątrz. Ta wodna zdzira wie o tym. Zabije ją. Musisz ją natychmiast pocałować!

– Och – wykrztusił.

Pobiegliśmy. I nagle to do mnie dotarło. Zemsta w dwójnasób.

O Boże, Zielonozębna Jenny chciała również zabić Murphy!

Na zewnątrz hotelu panowało zamieszanie. Ludzie biegali dookoła stadami. Słysząc już było syreny alarmowe straży pożarnej. Kilka samochodów wpadło na siebie na parkingu, próbując jednocześnie wyjechać na drogę. Wydawało się, że wszyscy z uporem maniaka postanowili włączyć nam w drogę, spowolniając w ten sposób pościg.

Dobiegliśmy do miejsca, w którym Murphy zaparkowała samochód.

Leżał przewrócony na bok. Szyby były potłuczone, a jedna para drzwiczek wyrwana. Nikogo w pobliżu nie było widać. Nagle Billy zadarł głowę i wskazał na namiot. Podbiegliśmy najciszej, jak się dało, a mój przyjaciel rzucił się do środka. Usłyszałem jego krótki okrzyk.

Wszedłem za nim.

Georgia leżała na ziemi ledwo przykryta kocem. Miała rozłożone kończyny. Billy ruszył w jej stronę.

W tyle zobaczyłem Murphy.

Zielonozębna Jenny pochylała się nad nią przy stoliku z przekąskami. Dłonie miała zatopione we włosach policjantki i wpychała jej twarz w miskę pełną ponczu. Oczy złej wiedźmy błyszcząły w furii, obłądzie i prawie w cielesnym uniesieniu. Ręce Murphy zadrżały przez chwilę, a Jenny, oddychając na wpół otwartymi ustami, natarła mocniej. Ręka policjantki machnęła raz jeszcze, po czym opadła nieruchomo.

Zanim się spostrzegłem, okładałem Zielonozębną Jenny wybuchową różdżką, wrzeszcząc jak opętany i tłukąc najmocniej, jak tylko potrafiłem. Odciągnąłem wiedźmę od Murphy, która bezwładnie osunęła się na ziemię.

Jenny odzyskała równowagę, zdzieliła mnie jedną ręką i wtedy odkryłem coś, o czym wcześniej nie wiedziałem.

Zielonozębna Jenny była czymś NAPRAWDĘ silnym.

Wylądowałem kilka metrów dalej, niedaleko Billy'ego i Georgii, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem fruujące dookoła małe ptaszki i gwiazdeczki. Na stoliku obok mnie stała kolejna misa ponczu.

Wiedźma skoczyła na mnie. W jej nieludzko pięknej twarzy i kocich oczach tliło się pożądanie.

– Billy – wymamrotałem zduszonym głosem – pocałuj ją, do cholery! Już!

Wilkołak zerknął na mnie. Następnie odwrócił się w kierunku swojej narzeczonej i złożył na jej ustach pełen desperacji i namiętności pocałunek.

Nie zobaczyłem, co się stało, ponieważ szybciej, niż można powiedzieć „niedotlenienie”, Zielonozębna Jenny złapała mnie za włosy i trzasnęła moją twarzą o miskę z ponczem. Walczyłem, ale była silniejsza niż jakiegokolwiek ludzkie stworzenie i władała różnymi mocami. Poczułem ją przyciśniętą do mnie, niemal przyklejoną. Jej ciało naprężyło się i zaczęło ocierać się o moje. Mordując, miała orgazm. Pociemniało mi w oczach. Wiedziała, co robić. Na szczęście dla mnie – nie ona jedna.

Upadłem, ściągając na siebie miskę z ponczem. Złapałem oddech i starłem piekący płyn z oczu w samą porę, by zobaczyć jak dwa wilki – jeden wysoki i smukły, a drugi mniejszy i cięższy – skoczyły na Zielonozębną Jenny, powalając ją na ziemię. Słysząc było wrzaski pomieszane z warczeniem i ani jedne, ani drugie nie przypominały ludzkich odgłosów.

Wiedźma próbowała uciekać, ale smukły wilk zatopił kły w jej nieoparzonej nodze, zrywając ścięgno. Padła na ziemię. Drapieżniki osaczyły ją, zanim zdążyła ponownie krzyknąć. Koło zatoczyło się – teraz to ona była bez szans. Wilki wiedziały, co robić.

To był ICH żywioł.

Doczołgałem się do Murphy. Patrzyła szeroko otwartymi oczami, a jej ciało było bezwładne. Jakaś cząstka mojego mózgu przypomniała sobie zasady

reanimacji. Ułożyłem policjantkę na wznak, odgiąłem jej głowę, przylgnąłem ustami do ust i wdmuchałem powietrze. Potem ucisk. Wdech. Ucisk.

– No dalej, Murphy – szepnąłem. – No dalej!

Ponownie przyłożyłem usta i wdmuchałem powietrze. Przez sekundę, przez jedną małą, malutką chwileczkę, poczułem, jak jej wargi się poruszyły. Jej głowa zmieniła położenie, usta stały się miękkie i moja profesjonalna reanimacja! – przez moment, ale tylko przez moment, wyglądało to prawie, PRAWIE jak pocałunek.

Potem zaczęła kaszleć i odpluwać, a ja poczułem ulgę. Przewróciła się na bok, ciężko oddychając, by wreszcie podnieść wzrok do góry i spojrzeć na mnie oszołomionymi niebieskimi oczami.

– Harry?

Pochyliłem się, a stróżki ponczu ściekły mi do oka.

– Tak? – zapytałem cichutko.

– Masz poncz na ustach – szepnęła.

Jej dłoń odnalazła moją. Była słaba, ale ciepła. Chwyciłem ją. Usiedliśmy obok siebie na ziemi.

Billy i Georgia pobrali się tej samej nocy. Ksiądz Forthill odprawił mszę w ogromnym starym kościele pod wezwaniem Najświętszej Marii od Aniołów. Nie widział tego nikt oprócz nich, ojczulka, Murphy i mnie. Reszta i tak powszechnie uważała, że pobrali się podczas tej katastrofalnej parodii ślubu w Linconshire.

Ceremonia była prosta, ale bardzo szczerą. Stałem obok Billy'ego. Murphy stała obok Georgii. Oboje promieniowali szczęściem. Cały czas, oprócz momentu wymiany obrączek, trzymali się za ręce. Murphy i ja odsunęliśmy się w tył, kiedy składali sobie przysięgę.

– Niezupełnie jak ślub z bajki – szepnęła policjantka.

– Jak to nie? Był magiczny pocałunek, zła macocha i w ogóle.

Murphy posłała mi uśmiech.

– Prawem nadanym mi przez Boga – powiedział ojczulek, patrząc promiennie znad okularów na młodą parę – ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pa...

Nie dali mu skończyć.

O Autorze

JIM BUTCHER (ur. 1971) jest autorem „Akt Harry’ego Dresdena” (*The Dresden Files*), bestsellerowego kryminału magicznego o Harrym Dresdenie, jedynym profesjonalnym magu-detektywie we współczesnym Chicago. Polscy czytelnicy mieli okazję poznać ponad połowę powieści należących do tego cyklu. Obejmuje on jednak także wiele opowiadań, z których jedno prezentujemy w tym zbiorze (więcej informacji na www.jimbutcher.com). Na podstawie śledztw Harry’ego Dresdena powstał serial telewizyjny, także pod tytułem *The Dresden Files*, który miał swoją premierę w USA i Kanadzie 21 stycznia 2007 r.

Jim Butcher jest entuzjastą sztuk walki. Ma piętnastoletnie doświadczenie m. in. w taekwondo i w różnych stylach karate, jak Ryukyu Kempo, Shorei ryu, poznał również kungfu. Jest doświadczonym jeźdźcem, pracował na letnich obozach jako kowboj, występując przed ogromną publicznością i prezentując zarówno swoje umiejętności w ujeżdżeniu, jak i sztuczki wołyżerskie.

Jim lubi szermierkę, śpiewanie, kiepskie filmy science fiction i polowania. Mieszka w Missouri z żoną, synem i złośliwym psem obronnym.

Jim Caine

Na umrzyka skrzyni

– I to właśnie – powiedział Ian Taylor, lustrując kołyszący się na wodzie statek – nazywam przygodą!

Skierował olśniewający uśmiech w stronę swojej przyszłej żony. Odnalazł jej dłoń, którą leciutko dotykała jego dobrze umięśnionego przedramienia i delikatnie poklepał.

– Będzie wspaniały – zapewnił. – Lepszy niż jakikolwiek ślub w kościele, co?

Spojrzała na niego, nie mogąc wykrztusić ani jednego słowa. Jego metr dziewięćdziesiąt pięć stało przy jej pękatym metr sześćdziesiąt trzy i miało zniewalające, opalone ciało – takie zazwyczaj można zobaczyć tylko na scenie w gejowskim klubie ze striptizem. Jedwabiste blond włosy. Niemożliwie białe, równe zęby. Duże niebieskie oczy. Wypisz, wymaluj – model z okładki romansu.

Dla kobiety, której wyobrażenie o sobie zawierało się w słowach „myszowata” i „niska”, spotkanie takiego mężczyzny jak Ian można było porównać do rozjechania przez pędzący Pociąg Miłości. Zwalił ją z nóg (dosłownie, wózkiem sklepowym) i cucąc na parkingu lokalnego Wal-Martu, uwiódł swoją poetycko wymiętoloną koszulą oraz kwiecistymi komplementami.

Ich romans – wczoraj minęły dwa miesiące – był jak wspaniały, różowy sen, a ona ciągle czekała, kiedy nadejdzie ten moment, gdy się z niego przebudzi. Sen jednak zaczął zmierzać w kierunku surrealistycznej paniki i wszystko, co Cecilia mogła wykrzesać w odpowiedzi na entuzjazm Iana, sprowadziło się do nikłego uśmiechu i cichego:

– Wygląda wspaniale.

I chyba tak by właśnie wyglądał ten statek dla bohaterki z okładki romansu. Kiedy Ian wspomniał o niespodziance, to z desperackim optymizmem pomyślała o rejsie liniowcem, o czymś w rodzaju pływającego miasta, z drogeriami, kręgielniami i siedmioma jadalniami wielkości sali balowej. Zrobiła nawet rekonosans wśród ofert *last minute*.

Ale ten ogromny statek kołyszący się na wodzie jak korek nie był liniowcem, na którym spędza się nudny, stary, dobry miesiąc miodowy. Nie, wyglądał jak wyjęty prosto z opowieści o piratach – wysokie maszty, bocianie gniazdo... Miał nawet piracką flagę. Co za idiotyzm!

– Kiedy? – Starła się, by jej głos nie brzmiał jak pisk. – Kiedy... – „Utopimy się – pomyślała. – Tak, zatoniemy i utopimy się”. – Kiedy odpływamy? – wykrztusiła wreszcie.

– Odpływamy? – powtórzył Ian, podniósł ją do góry i zaczął nią wywijać przyprawiające o zawrót głowy i nudności spirale. – W ciągu godziny, Cess. Czyż to nie wspaniale?

To, że nie poskarżyła się na przekłętą zdrobnienie imienia, najlepiej świadczyło, jak ją wszystko przytłoczyło. Cess?! Ohyda! „Cecilia, jeśli nie masz

nic przeciwko” – wyobraziła sobie, że mówi te słowa z chłodnym dostojeństwem, jak bohaterki w powieściach, prostując ramiona i posyłając mu władcze spojrzenie.

Zacisnęła oczy i uczepiła się Iana, jakby walczyła o życie, aż świat dookoła przestał w końcu wirować. Cóż, przynajmniej miała blisko siebie jakieś męskie mięśnie. Jeszcze dwa miesiące temu ich nie było. Nie miała nic prócz siebie samej.

„Ach! – westchnęła jakaś wiarołomna część jej serca. – Czyż to nie było wspaniałe życie?”

Zszokowana uświadomiła sobie, co usłyszała przed chwilą: „ODPLYWAMY? w ciągu godziny?!”.

Chyba musiała wydobyć z siebie jakiś pisk protestu, bo Ian, którego włosy jedwabiste jak łany kukurydzy i koszula poety romantycznie powiewały na wietrze, spojrzał ku niej w dół i powiedział:

– Zaufaj mi. Pokochasz to. Jestem pewien.

Zdołała jakoś przejść kilka kroków po skraju nabrzeża, głównie dzięki temu, że jak niedźwiedź obejmował jej ramiona. Ze strachu zamilkła i dała sobą kierować.

– Oto on, Cess. Czyż nie jest piękny? Pomyślała, że pewnie tak, na jakiś przerażająco piracki sposób. Statek stał zakotwiczony niedaleko, kołysał się na falach, a jego strzeliste maszty obwiązane linami wyglądały jak gałęzie pokryte pajęczyną. Zaczęło się chmurzyć, a znad oceanu nadciągała kipiąca mgła. Doskonale! Cóż, można by ją wykorzystać i zniknąć.

Już zaczęła się przesuwac bokiem, kiedy Ian tłamszącym objęciem znów przyciągnął ją do siebie. Uciekła się do sceny dostojeństwa, którą wcześniej sobie wyobrażała – do tej z wyprostowanymi plecami.

– Ian, nie możemy tego zrobić. To jest niemożliwe.

– Nie możemy? O co ci chodzi? Powiedziałaś, że za mnie wyjdiesz, prawda?

Cóż... tak. Powiedziała. Ale było to coś w rodzaju „Tak, oczywiście, kiedyś...”, a nie „Tak, Boże, zawlec mnie do portu i wsadź na swoją łajbę!”.

– Ian, posłuchaj – zaczęła znowu. – Ja naprawdę nie mogę...

Zamilkła, bo zaprowadził ją na krawędź drewnianego pomostu i nagle pomiędzy nią a mazistą, zdradliwą wodą nie było nic oprócz jego ramienia. Głos uwiązał Cecilii w gardle.

Gdzieś w gęstniejącej mgłę usłyszała rytmiczny plusk wiosel.

„Powiedz mu. Powiedz mu, że nie możesz za niego wyjść. POWIEDZ MU!” – rozkazał głos w jej głowie.

Otworzyła usta, żeby tak właśnie zrobić, kiedy z szarej mgły wyłoniła się łódź. Czarna, błyszcząca szalupa z sześcioma mężczyznomi u wiosel i jednym stojącym prosto z założonymi rękoma jak jakiś posąg. Z pewnością był to

dowódca. Szyper czy inny herszt piratów.

„Cóż – pomyślała drętwo Cecilia – Ian zadbał o autentyczność”.

Nigdy w życiu nie widziała bardziej wiarygodnie wyglądającego zbira. Brązowa od słońca skóra. Masa ciemnych, kręconych, przyprószonych siwizną włosów byle jak związanych przepaską i sponiewierany trójkątny kapelusz na głowie. Nie był wysoki, z pewnością nie tak jak Ian. Miał na sobie ciężki, wyglądający jak antyk płaszcz z zardzewiałymi miedzianymi guzikami i startymi monetami na rękawach. Spłowiały i poplamiony morską wodą.

Jego oczy były ciemne i dzikie, a przez szczecinę wąsów i kocią bródkę nie mogła dostrzec wyrazu twarzy mężczyzny. Ale na ile mogła ocenić, miał chyba właśnie zamiar wyciągnąć zza pasa przerażający kord i zażądać, żeby oddała pieniądze, jeśli jej życie miłe.

– Ach! – zawołał Ian na jego widok – kapitanie Lockhart, pozwoli pan, że przedstawię moją przyszłą żonę, Cecilie Welles.

Kapitan Lockhart przeniósł swoje niezgłębione spojrzenie z Cecylii na Iana i z powrotem.

– Jeśli pan musi – powiedział najbardziej niedbałym tonem, jaki w życiu słyszała.

Wcześniej chciała odwrócić się i dać drapaką, ale właśnie w sposób nagły, denerwujący i porażający dotarło do niej, dlaczego tak naprawdę tu jest. Znalazła idealnego faceta i nie było powodu, absolutnie żadnego powodu, żeby nie potraktować tego jak niewiarygodnie szczęśliwego przełomu w jej życiu. Byłaby głupia, gdyby się odwróciła i uciekła, bo na pewno już za sekundę jakaś inna kobieta stałaby tu przyklejona do Iana.

Cecilia wyprostowała ramiona i poraziła obszarpanego żeglarza takim spojrzeniem, jakim nie byłaby nigdy zdolna obrzucić Iana.

– Tak – oznajmiła. – Musi. Czy to nasz pojazd?

Pirat splótł ręce za plecami i z łatwością kołysał się wraz z rytmem fal nacierających na małą łódź. Jego twarz przybrała łaskawy wyraz.

– Nie ma koni – powiedział. – Co?

– To nie pojazd, kochana. Nie ma koni.

Doznała niejasnego poczucia satysfakcji, że udało jej się sprowokować jakąkolwiek reakcję z jego strony.

– Nasz... środek transportu. – Tak, to było dobre słowo, jak z romansu. – Środek transportu.

Zobaczyła nagle błysk zębów spod szczeciny wąsów.

– Tak jest – odrzekł. – To jest środek transportu, jeśli nieszczególnie dba pani o terminologię. Niech już pani wsiada. Zaraz będzie odpływ.

Ian wskoczył do łodzi z łoskotem i zamaszystym ruchem wsadził Cecilie do środka, zanim ta nabrała powietrza, by zaprotestować.

Za późno. Siedziała i konwulsyjnie trzymała się burty, a łódź tańczyła na

falach.

Wiosłujący z lewej strony odepchnęli ją od pomostu i rozpoczęło się obrzydliwe kołysanie.

– Ian, zaczekaj! Czy... czy nikt już z nami nie płynie? Twoja rodzina? Moi przyjaciele? Powinniśmy mieć świadków...

Poklepał ją tylko po ramieniu.

– Kapitan Lockhart i jego ludzie podpiszą wszystkie niezbędne papiery, Cess.

Zadrżała. Siedziała w swojej koszulce i niebieskich dzinsach cała przemoczona i nieszczęśliwa.

– Widzisz? Mówiłem ci, że to będzie niespodzianka.

Kapitan Lockhart rzucił w jej stronę ostre spojrzenie, po czym podniósł brew i spoglądał na niewidoczny horyzont. Łódź wpłynęła we mgłę.

Statek nazywał się „Słodki Lament” – jak odczytała Cecilia, kiedy wiosłowali w stronę rufy. Wcześniej stwierdziła, że statek jest duży, teraz jednak musiała zmienić zdanie. Był ogromny! I musiała się do tego przyznać, poczuła dreszcz emocji, gdy czarna, lśniąca góra kadłuba wyłoniła się z mgły. Żagle były zwinięte i przywiązane do poprzeczek – „Grotów czy rei?” – próbowała sobie przypomnieć – a na górze, na takielunku, jak małe pająki w sieci roili się ludzie.

Wioślarze kapitana Lockharta podpłynęli łodzią do gigantycznego, podskakującego kadłuba statku. Tam równo z poziomem łodzi wisiało przerzucone przez nadburcie coś, co przypominało fragment drewnianego pomostu.

– Świetnie – powiedział wesoło Ian. – No to hop na pokład, Cess!

Zanim zdążyła raz na zawsze powiedzieć mu, żeby przestał tak do niej mówić, schwycił ją w pól i postawił na zwisającej desce.

– W górę! – ryknął nieprzyjemnym głosem Lockhart.

W okamgnieniu uniosła się w powietrze. Chwyciła jakąś linę. Gdy była piętnaście metrów wyżej otoczyła ją mgła, ledwo widziała łódź w dole. Poczowała się jak marionetka zawieszona na palcu olbrzyma.

A potem usłyszała skowyt kołowrotu i skrzywienie liny. Nad burtą pojawił się cień i wciągnął rozkołysany pomościk na pokład. Jej stopy z łoskotem dotknęły desek. Statek opadł wraz z falą. Natychmiast straciła równowagę i by nie upaść, schwyciła się pierwszej rzeczy która była w zasięgu ręki.

Był to kołnierz znoszonego płaszcza kapitana Lockharta. Spojrzała na niego z nieukrywanym zdziwieniem, gdy ten z niesmakiem rozluźnił uścisk jej zacisniętych palców i postawił Cecilę z powrotem w pozycji pionowej.

– Jak pan się tu pierwszy dostał? – zapytała ze złością.

– Wspiąłem się – odpowiedział i ruchem głowy pokazał powiazaną w supły linę przerzuconą przez nadburcie.

Teraz ta lina zatrzeszczała pod wpływem ciężaru i po chwili ukazał się czubek głowy Iana, a potem jego zaczerwieniona twarz. Na kapitanie Lockharcie nie było nawet kropelki potu.

– Jest robota na pokładzie. Pan i pańska... – mrugnął w kierunku Iana, który wdrapywał się przez poręcz – ...pańska przeznaczona możecie zaczekać na nadbudówce.

– A cóż to niby ma znaczyć?! – wybuchnęła.

Lockhart chwycił ją za ramię, obrócił dookoła i ponad gęstym lasem masztów i lin wskazał schody prowadzące na drugi poziom. W wirze mgły ukazało się ogromne czarne koło.

– Nadbudówka – powiedział i popchnął Cecilie w tamtą stronę. Obejrzała się i spojrzała na niego złowrogo, ale on już ruszył przed siebie. Gdy ponownie straciła równowagę, złapał ją Ian. Cały statek to nachylał się wraz z jedną falą, to gwałtownie wyskakiwał w górę z kolejną.

– Czyż nie jest ogromny?! – zawołał z entuzjazmem zdyszany Ian. – To okręt kursujący pomiędzy Indiami a Europą. Nie zobaczysz większego żaglowca, Cess. Nic takiego nie żeglowało po morzach przynajmniej od stu lat.

– Wspaniale – mruknęła z przekąsem. – Słuchaj...

– Normalnie byłoby na pokładzie około trzystu ludzi, ale powiedziano mi, że gdy nie zabiera się ładunku, może płynąć z mniejszą załogą. – Ian zignorował potok jej słów, jeszcze nim ten się wylał. – Zabawna historia, jak znalazłem...

– Ian, kapitan powiedział...

– Zabawna historia, jak znalazłem ten statek. Byłem w tym pubie i...

– Kazałem wam iść do nadbudówki!!! – ryknął kapitan Lockhart.

Nagle marynarze wybiegający z luków zalali pokład jak jedna wielka plama wypalonych słońcem twarzy, blizn i zniekształceń. Wątpiła, by którykolwiek z nich kapał się w ciągu kilku ostatnich miesięcy, a widząc ich nagie, pokryte modzelami stopy, doszła do wniosku, że więcej niż połowę swojego życia spędzili, chodząc bez butów. Z trudem przecisnęła się przez tę zgraję i dotarła do stopni prowadzących na nadbudówkę, Ian szedł tuż za nią szeroki jak ściana. Była mu za to wdzięczna, ponieważ po raz trzeci z kolei pojawił się przed nimi kapitan Lockhart, stojąc w swoim wyświechtanym, poplamionym wodą morską płaszczu nieruchomo jak na paradzie wojskowej.

– Jak pan się tu... – zaczęła bezmyślnie.

Smutno potrząsnął głową i patrzył, jak kolejna fala rzuca nią z jednej strony na drugą.

– Panie Argyle, podnosimy kotwicę i odpływamy – rozkazał.

– Tak jest, kapitanie – powiedział stojący za nim niski mężczyzna w

oślepiająco jaskrawym czerwonym płaszczu oszpeconym przynajmniej trzema wypalonymi dziurami na piersiach. Miał fryzurę w stylu Napoleona, wyszukane, małe okulary i wyglądał nawet słodko, dopóki nie ryknął jak syrena mgłowa.

– Richards, kotwica w górę! Żagle gniezdne, panie Simonds, byle dziś, bo inaczej będzie pan jutro całował maszt!

Ciężki, wibrujący szczepek pofrunął echem i statek stęknął jak żywa istota. Rozkazy przekazywane z jednego końca pokładu na drugi niknęły w gęstniejącej mgle. Cecilia przywarła do nadburcia, wsłuchując się w skrzywienie lin i nagły łopot płótna żagli. W jednej chwili przerażająco jasno zdała sobie sprawę, że jej własne życie całkowicie wymknęło się spod kontroli.

Kapitan Lockhart dzierżył w dłoniach masywne, wielkie koło steru, nieznacznie nim poruszając.

„Steruje na czuja” – pomyślała sobie.

Nic nie było widać. On jednak nie spuszczał swoich ciemnych oczu z jakiegoś oddalonego punktu we mgle. Może pod tą swoją siwą czupryną miał w uchu słuchawkę? Może ktoś ukrywał się pod pokładem z radarem i podawał mu kierunek? Tak, Cecilia uznała, to musi być to. Bo jeśli nie to... Nie! Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że jakiś wynajęty aktor udający pirata na ślepo płynął z nimi w morze.

Płótno załopotalo i poczuła nagle przyspieszenie. Twarz Lockharta odprężyła się i wypląnęło na nią coś, co prawie przypominało uśmiech. Jego palce delikatnie pieściły ster. Spojrzał na niskiego mężczyznę, który cały czas mu towarzyszył.

– Na południowy wschód, panie Argyle – odezwał się z kamienną twarzą.
– Pokażę naszym... gościom... ich kwatery. Zostawiam statek w pańskich rękach.

Argyle szybko zrobił krok do przodu i schwycił koło.

Zwinnie jak małpa Lockhart zeskoczył na główny pokład i gwałtownie otworzył drzwi pomiędzy dwoma rzędami schodów. Idąca za nim Cecilia, pomimo że miała na sobie tenisówki, poślizgnęła się na mokrych deskach.

– Niech się pani pozbędzie tych śmiesznych papci – doradził Lockhart. – Najlepiej chodzić boso. Chyba nie chcemy wylądować za burzą, prawda?

Jego słowa brzmiały nawet uprzejmie, jednak mężczyźni pracujący w pobliżu zaczęli się śmiać.

Cecilia z trudem przełknęła ślinę i przypomniała sobie o swojej scenie godności, której nie zdążyła odegrać. Wyprostowała plecy i spojrzała żeglarzowi prosto w oczy.

– Jestem pewna, że nie chce pan, kapitanie – rzekła z wyższością. – Nie byłaby to dobra reklama dla pańskiego liniowca, nieprawdaż?

– Liniowca? – powtórzył jak echo Lockhart i powoli się uśmiechnął. – A tak, z pewnością.

Weszli do kabiny wielkości szafy. No... może niezupełnie szafy. Znajdowały się w niej dwa niewzbudzające zaufania hamaki, ładna porcelanowa umywalka z miednicą, dzban, wisząca na haku lampa naftowa i nocnik z pokrywą, stojący na podłodze w kącie pomieszczenia. Na hamakach leżały dwa stroje. Na ile jej niedoświadczone oko było w stanie ocenić – coś w charakterze epoki. Ubiór Iana składał się z ładnego niebieskiego płaszcza, białej koszuli z żabotem i szarych spodni. Buty były do kolan. Przypominał kostium dawnego dżentelmena.

Za to jej przebranie wyglądało jak z castingu do roli Dziewczyny z Tawerny.

– O do diabła, nie! – wymamrotała, podnosząc do góry koszulę z głębokim dekoltem i gorset. – Ian, nie założę tego! Nie ma takiej opcji! Ian?

Z korytarza dobiegł stukot stóp, po czym z kosmykami włosów przyklejonymi do twarzy przez drzwi przecisnął się Ian. Nigdy przedtem nie widziała go w takim nieładzie. Wyprostował się i uderzył głową o drewniany sufit. Zaklął, spoglądając na belki.

– Argyle przyjdzie po was później. Bądźcie ubrani – powiedział Lockhart, wykrzywiając usta.

Trzasnęły za nim drzwi. Szczęknął metal. Zaciekawiona Cecilia podeszła i nacisnęła klamkę. Drzwi nie otworzyły się. Spróbowała mocniej.

– Ian! Ian, on nas zamknął!

– Nie. Pewnie się zacięły. Morskie powietrze – powiedział marudnym głosem Ian.

– Nie, poważnie! Są zamknięte.

Przycisnęła jedną stopę do ściany przy futrynie i zaczęła ciągnąć klamkę tak mocno, że o mało co nie pękły jej mięśnie ramion. Następnie opadła, dysząc.

Kiedy spojrzała na Iana, trzymał w ręku nocnik. To był całkiem ładny rekwizyt, pokryty białą emalią i pomalowany w kwiatki.

– Dlaczego pod łóżkiem stoi garnek? Mamy coś gotować?

Nie mogła powstrzymać śmiechu, gdy wyjaśniała mu sposoby wykorzystywania tego garnka. Autentyczność! Pomyślała, że pewnie aż tak bardzo na tej autentyczności mu nie zależało.

A potem było... nic. Długie nic. Wydawało się, że mjjają godziny. Nic do roboty, żadnej telewizji, książek, nikogo z kim mogłaby porozmawiać. Tylko Ian. Bała się do tego przyznać, ale i on zaczął tracić urok. Wypróbowała hamak. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jest nawet wygodny. Potem jego kołyszący ruch w połączeniu z monotonnym tonem głosu Iana wysłał ją prosto do krainy snu.

Obudziła się gwałtownie, gdy usłyszała skrzypienie. To pan Argyle z

hukiem otworzył drzwi i zajrzał do środka. Ciągle miał na sobie swój czerwony płaszcz z wypalonymi dziurami na piersiach.

– A niech to! Miała się panienka przebrać – powiedział. – Kapitan chce, żebyście wyglądali odpowiednio. No już, pospieszcie się!

Trzasnęła ponownie drzwiami. Cecilia usiadła i prawie lądując tyłkiem na podłodze, uświadomiła sobie, że nie ma sposobu, aby z gracją zejść z hamaka. Ian schwycił ją za ramię i przytrzymał. Spojrzała na niego zdziwiona.

Stał wyelegantowany w swoim kostiumie z epoki, a ten strój na nim... zapierał dech w piersiach. Jak większość ubrań zresztą. Ian błysnął olśniewającym, pewnym siebie uśmiechem.

– Lepiej szykuj się, Cess. Oni chyba nie żartują.

Zerknęła na kotłowaną ubrań leżących na końcu hamaka. Długa spódnica w różowo-białe pasy nie była może aż tak okropna, ale czarny ciasny gorset wprost Cecilie przerażał. Właśnie patrzyła na niego z nieszczęśliwą miną, kiedy ponownie z hukiem otworzyły się drzwi. Tym razem był to Lockhart. Pan Argyle stał na jego skrzydle.

– Miał pan dopilnować, żeby się ubrała – z westchnieniem przypomniał mu szyper.

– Tak jest, kapitanie, ale...

– Następnym razem, jak zobaczę ją w męskich spodniach, pan będzie chodził w spódnicy, Argyle.

– Tak jest. – Wyprężył się niski okularnik. – Przepraszam, sir.

Lockhart machnął ręką.

– No cóż, panno Welles – zwrócił się do Cecylii. – Zamierza pani zostać poślubiona w spodniach?

– Czy zamierzam co? – Mocno ścisnęła gorset w dłoniach.

– Zostać poślubiona – powtórzył kapitan i kontynuował, wymawiając każde słowo z przesadną dokładnością: – Wziąć ślub. Złączyć się w świętym związku. Połączyć węzłem małżeńskim. Stać się jednym ciałem, tak mi dopomóż Bóg.

– Nie rozu... co, to znaczy teraz? Zaraz?

Ian, który ostrożnie usadowił się na brzegu hamaka, zmarszczył brwi.

– A cóż w tym złego, że teraz?

– Cóż, chyba nic – westchnęła. Oprócz tego, że ją zmroziło, a kolana miała jak z waty, to chyba nic. – W porządku.

Spróbowała podnieść głowę, ale znów zrobiło się jej niedobrze. Zakryła więc ręką podbródek, tak by był mniej widoczny.

– Hm... w takim razie powinnam się chyba przebrać. Panowie wyjdźcie, proszę.

– Wyjdźcie? – Lockhart uniósł brwi. – A tak. Pięć minut i wychodzi pani. Ubrana lub nie. Wszystko mi jedno.

Zatrzasnął drzwi. Cecilia patrzyła za nim z otwartymi ustami.

– Zaczynj się lepiej ubierać, Cess – powiedzia| Ian. – Wygląda na to, że on chyba nie żartuje.

– Ty też. No już! Nie ma cię tu.

Nie przywykła do wydawania mu poleceń, więc zabrzmiało to raczej jak prośba, a może nawet pytanie.

– Kobiety – westchnął po chwili i podszedł do drzwi. Ku jej zaskoczeniu, natychmiast się otworzyły. Ian zniknął za nimi. Z korytarza usłyszała męskie chichoty. Świetnie! To by było na tyle, jeśli chodzi o rycerskość, galanterię czy jak to tam zwał.

Pięć minut później zmagala się jeszcze ze sznurkami. Znaczna część kształtów Cecylii wypływała z wydekoltowanego, ciasno związanego czarnego gorsetu. O wiele za dużo, niż większość projektantów sukien ślubnych uznałaby za stosowne. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Różowo-biała pasiasta spódnica była o wiele cięższa, niż przypuszczała, ale za to... miła w dotyku. I prawie elegancka. No i w ciasno zasznurowanym gorsecie przynajmniej miała wymówkę, dlaczego jest jej tak słabo i nie może oddychać.

Tym razem, kiedy ponownie otworzyły się drzwi, nie była już zdziwiona. Lockhart, który chciał właśnie zrobić jakąś uszczypliwą uwagę, zaniemówił i zamrugał oczami. Nawet oschły pan Argyle rzucił jej dość zaskoczone spojrzenie. Kapitan odchrząknął.

– No dobrze. Wychodzimy. Miejmy to już z głowy.

Odsunął się o krok, a ona popłynęła w kierunku otwartych drzwi, próbując to zrobić po królewsku. Nie trafiła jednak do wyjścia, ponieważ nadepnęła na rąbek swojej ciężkiej spódnicy, Ian i Argyle byli już w połowie drogi w dół korytarza. Poczula gorący przypływ wstydu. Wiedziała, że Lockhart będzie z niej drwić. Zdołała jednak wyjść z podniesionym czołem. To było duże zwycięstwo.

Na pokładzie uderzył ją oszałamiający podmuch świeżego powietrza. Rozwiał włosy Cecylii i odurzył, aż ugięły się pod nią kolana. Świeże, chłodne, mgliste powietrze. Dopiero teraz, kiedy owiało jej skórę, zdała sobie sprawę, jak bardzo go brakowało w kajucie. Te kilka godzin, które tam spędziła, było gorsze niż tydzień w jej ciasnej kabinie w pracy.

Zniecierpliwiony Lockhart szturchnął Cecilię w ramię. Szła po otwartym pokładzie, spojrzała w górę i... zakochała się.

„Magia – pomyślała urzeczona. – To tak właśnie wygląda magia”.

To nie statek czy dziwacznie ubrani piraci. To niebo było magią. Gwiazdy gęsto rozsiane, lśniące jak diamenty, osłonięte tu i tam srebrną siecią mgły. Nigdy wcześniej w całym swoim życiu nie widziała tylu gwiazd. Księżyc świecił mocno i wyglądał jak zapierający dech w piersiach srebrnobiały sierp. I to morze – ogromna, urzekająca sieć odbłasków, iskierek i płynnego srebra.

Zimne i piękne.

– Zamknął nas pan – przypomniała. Chciała, żeby zabrzmiało to oskarżycielsko, ale w nocy było coś tak pięknego, że nie mogła się nawet rozżłościć.

– Ach, cóż. Wolałbym to nazwać trzymaniem was z daleka ode mnie – odparł Lockhart. Nie mogła stwierdzić, czy sobie z niej drwił. – Z morzem jest jak ze zdradziecką dziwką. Jest na co popatrzeć, gdy jest w dobrym nastroju. – Jego niski, ciepły głos stał się nagle niespodziewanie szorstki. – Jak z większością kobiet zresztą. Niech pani lepiej idzie i nie pozwoli czekać swojej, prawdziwej miłości.

Publiczność już się zebrała – przypuszczalnie cała załoga albo przynajmniej tylu ludzi, ilu akurat nie miało nic do roboty. Minęła ich zdenerwowana, rozważając, jak wejdzie po stopniach. W spodniach – żaden problem, ale w spódnicy – wielki.

Ian, wystrojony i olśniewający blaskiem, stał dzielnie jak księżę na szczycie schodów. Wiatr rozwiewał mu surduty i plątał falbanki żaboty przy jego szyi, a włosy powiewały jak srebrna flaga. Bardzo romantycznie.

Nie ruszył się, by pomóc jej wejść.

Wspinała się szybko, próbując trzymać spódnice tak ciasno wokół nóg, jak tylko było to możliwe. Ciężko oddychając, dotarła na górę. Ian pocałował ją niedbale w policzek, po czym się odsunął.

Straciła równowagę. Chwyciła ją czyjaś ręka, ale nie była to duża, silna dłoń Iana. Ta była ciemniejsza, bardziej żyłasta, szorstka i czuć było, że nigdy nie zaznała manicure'u. Zerknęła do góry w twarz kapitana Lockharta i przez jedną sekundę zobaczyła w niej coś dziwnego. Coś w rodzaju żalu, coś, co po raz pierwszy kazało jej spojrzeć na niego jak na kogoś prawdziwego, nie jak na parodię pirata w obdartym ubraniu. W staroświecki, dżentelmeński sposób wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę przyszłego męża.

Nie mogła powstrzymać się od porównań. Ian miał starannie wyrzeźbione ciało, dzieło własne i osobistych trenerów. Opaleniznę fundował sobie raz w tygodniu w najlepszym salonie w mieście. Piękne włosy były poddawane tylu zabiegom, ilu całe ciało Cecilii prawdopodobnie nigdy nie doświadczyło. Stał tam wypolerowany i zmontowany tak, że mógłby zaspokoić upodobania każdej kobiety. Kiedy się uśmiechnął, wcześniej tylko kielkujące wątpliwości rozlały się w jej umyśle i sercu jak plama oleju na morzu.

Lockhart wsunął chłodne palce Cecilii w dłoń Iana, po czym wyciągnął swoją prawą rękę. Argyle pośpiesznie zrobił krok do przodu i wręczył mu małą książeczkę. Kapitan otworzył ją, zerknął z ukosa na stronicę, obrócił i długo kartkował strony, nim w końcu znalazł odpowiedni fragment.

– Tak – powiedział i odchrząknął. – Ianie Taylor, czy bierzesz sobie tę kobietę jako swoją prawną żonę i tak dalej, i tak dalej?

– I tak dalej? – bezmyślnie powtórzył Ian. – Eee, tak. Jasne!

Zanim ostatnia sylaba opuściła jego usta, Lockhart już czytał dalej.

– Dobrze. Cecilio Welles, czy bierzesz sobie tego mężczyznę, Iana Taylora, jako swojego prawnitego męża i dajesz mu władzę nad wszystkimi swoimi dobrami doczesnymi oraz swoim ziemskim ciałem, dopóki śmierć was nie rozłączy?

Nie należała może do ekspertów, ale była całkiem pewna, że większość ceremonialnych pytań na ślubach brzmiała inaczej. I nie aż tak ponuro. Ciemne oczy kapitana zdawały się dostrzegać wszystko – jej wątpliwości, strach i przerażający brak pewności siebie, które doprowadziły Cecilie wprost do tej okropnej chwili nieszczęścia.

„Nienawidzę oceanu. Nienawidzę łodzi. Nienawidzę piratów”.

„Nienawidzę Iana”.

„Nienawidzę samej siebie. I to jest prawdziwy problem”.

– Tak – usłyszała swój własny szept przeczący myślom.

Oczy Lockharta otworzyły się odrobinę szerzej, ale jego twarz nie zmieniła wyrazu.

– Zatem jesteś zamężną kobietą, panią Taylor – oznajmił i rzucił przez ramię książeczkę w Argyle’a. – Niech Bóg cię zachowa.

Argyle niezdarnie chwycił książeczkę w powietrzu i ostrożnie schował ją do kieszeni płaszcza, wygładziwszy wcześniej zagiętą stronę. Lockhart szeroko otworzył ramiona, jakby obejmował swoją stojącą w dole i obserwującą ceremonię załogę.

– No dobra. Skończone. Do roboty, psubraty! Marynarze mruknęli. Cecilia stała uczepiona ciepłego ramienia Iana, licząc na więcej, niż tylko wsparcie moralne. Żagle zatrzęszczały, chorągwie zatrzepotały na świeżym, chłodnym wietrze, a księżyc był teraz już nie piękny, lecz straszny. Przez ciągłe kołysanie morza znowu zrobiło się jej słabo.

– Nie powiedział „możesz pocałować pannę młodą”, ale i tak pozwolę sobie – powiedział Ian, schwycił ją w miażdżącym uścisku i przywarł mokrymi ustami do jej ust. Próbowwała go odtrącić, a jemu z jakiegoś powodu wydawało się to śmieszne.. Przyciągnął ją z powrotem i przycisnął do siebie. Nogi Cecylii gwałtownie wymachiwały w powietrzu, nadaremnie szukając pokładu.

– Kapitanie Lockhart! – zawołał Ian po chwili. Żeglarz odwrócił się. Dłonie miał splecione z tyłu.

Chwilowy ślad człowieczeństwa, który Cecilia wcześniej dostrzegła, zniknął jak kamień rzucony w ocean.

– Do usług.

– Będę potrzebował papierów, które mi pan obiecał. Z podpisami świadków.

– Tak. Oczywiście. – Usta kapitana rozchyliły się, ukazując zaskakująco

biały uśmiech. – Świadkowie. Tak. Panie Argyle, zaświadczy pan, że tych dwoje pobrało się, prawda?

– Całkowicie legalnie – potwierdził tamten.

– Całkowicie – zgodził się Lockhart. – Wszystko, co pozostało, to skonsumować święty związek, tak jak to uważacie za stosowne.

– Absolutnie – kiwnął głową Ian.

Ruszył w kierunku nadburcia. Gwałtownie posadził Cecilie na cienkiej, drewnianej poręczy. Wyciągnęła ręce, żeby schwycić się jego szerokich ramion, znalazła jednak tylko klapy surduta, bo statek ponownie podskoczył na fali. Ian skrzywił usta w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Nie dostałaś tego, co?

– Czego?

Wyciągnął z kieszeni list.

– Moja praca na poczcie ma jedną dobrą stronę. Człowiek natrafia na różne rzeczy. Na przykład to. Napisał do ciebie Tom Carruthers, adwokat. „Z przykrością zawiadamiam, że po krótkiej chorobie odeszła pani ciotka Nancy Welles Paulson...” Bła, bła, bła. Teraz ta najciekawsza część: „Proszę zadzwonić w celu omówienia szczegółów dotyczących spraw spadkowych”. Spadek, Cess! Dwa miliony czterysta tysięcy dolarów i jako wdowiec po tobie dziedzicę wszystko. Tragiczny wypadek podczas miodowego miesiąca. Założę się, że po pogrzebie będę mógł liczyć na orszak współczujących mi w bólu.

I wyrzucił ją za burzę.

Krzyczała, lecąc w dół. Uderzyła o powierzchnię wody z siłą zapierającą oddech. Przeniknęło ją zimno. Trzepała bezradnie rękami. Fala chlusnęła jej w twarz, a potem kolejna, uniemożliwiając nabranie powietrza. Słona woda paliła w gardło i oczy. Zakrzuszyła się, zaczęła kaszleć i połknęła zimną słoną wodę. Czuła, jakby za kostki i dłonie chwytały ją czyjeś ręce i ciągnęły w dół, a za chwilę poniżej szyi nie czuła już nic oprócz zimna i ciśnienia...

Cecilie zakryła kolejna fala. Kiedy z trudem wydostała głowę na powierzchnię, zobaczyła, że był ktoś, kto ją obserwował. Stał na górnym pokładzie. Trójkątny kapelusz. Masa ciemnych włosów. Stary, zniszczony płaszcz.

Nawet nie wiedziała, dlaczego to zrobiła, ale uniosła rękę w jego kierunku.

„Proszę!!!”

Uderzyła kolejna fala. Powietrze, które Cecilia z trudem złapała do ust, było stęchłe i bezużyteczne. Wypuściła je więc na zewnątrz, z ust popłynęły ładne, srebrne bańki. Pewna jej część uciekała. Reszta zanurzała się w ciemności...

A potem czyjaś dłoń mocno zacisnęła się na jej ramieniu i wyciągnęła ją na powierzchnię. Księżyc eksplodował w oczu Cecilii swoją bladością. Kapitan

Lockhart, śliski jak foka, bez kapelusza i bez płaszcza, przewrócił ją na plecy.

– Nie ruszaj się. Nie walcz ze mną! – rozkazał. Ramieniem twardym niczym stal opasał Cecilie pod piersiami i popłynął jak delfin. Ale to jeszcze nie był koniec. Statek oddalał się, zostawiając ich w szerokim srebrzystym kilwaterze.

Nagle żagle ustawiły się do wiatru, zatrzepotały i gwałtownie opadły połami na reje. Krzyki na pokładzie popłynęły echem ponad wodą. Drabinka sznurowa z trzaskiem uderzyła o powierzchnię i oblała się o pomalowany na czarno kadłub.

Ian stał przechylony przez burtę. Nie mogła dokładnie zobaczyć jego twarzy, tylko zarys, ale nie wyglądał na szczęśliwego.

– Miał pan pozwolić, żeby utonąła! – ryknął na Lockharta. – Zapłaciłem ci, draniu! Zapłaciłem ci ciężką forszę!

Kapitan zamachał ręką i zawołał:

– Panie Argyle!

– Tak jest! – padła odpowiedź.

– Przycumować ten jazgot.

– Tak jest, kapitanie.

Argyle zgrabnie walnął Iana w głowę i odholował go gdzieś poza zasięg ich wzroku. Cecilia krzyknęła nie tyle ze strachu, co ze zdziwienia.

– To najlepszy sposób, naprawdę – powiedział Lockhart i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Żadnej konieczności zwrotu pieniędzy. A teraz włącz, panno. Bez obawy, jest za ciemno, żebyś mógł ci zajrzeć pod spódnicę.

Wrzeszczenie nic nie dawało.

Cecilia krzyczała i waliła w zaryglowane drzwi absolutnie nadaremnie. Jeśli wcześniej myślała, że uratowanie oznaczało również podniesienie jej statusu, to beznadziejnie się myliła. Jak tylko Lockhart postawił stopę na pokładzie, kazał ją wrzucić do ciemnej ładowni, która cuchnęła zepsutymi rybami i spleśniałym chlebem, w dodatku nie miała nawet tak nikłej namiastki komfortu jak hamak. I jakby tej zniewagi było mało, kilka minut później do środka wrzucono kolejne osłabione, jęczące ciało. Ian. Może i nie pozwolili się jej utopić, ale prawdopodobnie nic ich nie obchodziło, czy ten łowca posagów skończy swoją robotę czy nie. Tymczasem kołysanie oceanu było coraz silniejsze. Gdy statek zaczął podskakiwać, jakby nic nie ważył, z jękiem objęła głowę rękami. Potem potknęła się o koryto i upadła... wstała... i znów upadła...

Ian pojękiwał cicho. Usłyszała, jak grzebie przy drzwiach, które przed chwilą zatrzasnęły się za nim. Było ciemno, więc nie mogła go dostrzec, ale wyobrażała sobie, że musi wyglądać jak kupka nieszczęścia.

– O Boże! – jęknął. – Chyba mam pękniętą czaszkę.
– No to umieraj – powiedziała. – Szkoda, że cię nie zastrzelili. Wielkimi... wielkimi kulami z muszkietu.

– Cess?

– Nie nazywaj mnie Cess! – wrzasnęła z furją. Było jej łatwiej, gdy go nie widziała. – To wszystko twoja wina! Nie mogę uwierzyć, że próbowałeś mnie zabić!

– Hm, Cecilio – usłyszała wyraźniej. O Boże, szedł w jej stronę! – To był błąd, ot co. Po prostu jesteś... trochę skołowana i...

– To nie ja mam pękniętą czaszkę. A teraz sprawdźmy, czy wszystko dobrze zrozumiałam. Pracowałeś na poczcie, znalazłeś ten list, przechwyciłeś go i zdecydowałeś, co? Uwiesić mnie? Ożenić się, a potem się mnie pozbyć?

– Eee...

– Na statku pirackim? Co ty, szalony jesteś? Co to w ogóle za plan?

– To nie jest prawdziwy statek piracki! To... tylko atrapa.

– Kto ci o tym powiedział? – zażądała z furją.

– No... jeden facet w stoczni...

– Niech zgadnę: jakiś cwany facet w stoczni? Szukałeś statku na miesiąc miodowy czy miejsca utylizacji ciał?!!! – Teraz już na niego wrzeszczała i nic ją to nie obchodziło.

Zaczęła macać dookoła ręką i natrafiła na coś okrągłego na podłodze. Obrzydliwy stary ziemniak, sądząc z dotyku. Chwyciła go w prawą dłoń.

– To nie tak. Po prostu, hm, słuchaj, mogę wszystko wyjaśnić.

Rzuciła ziemniakiem, gdy usłyszała dźwięk jego głosu. Ian gwałtownie ruszył do przodu. Odskokczyła w bok, unikając jego ciosu. Potknęła się o jakieś pudło, upadła jak długa i leżała oplątana mokrą spódnicą, a wtedy on niezdarnie zwalił się na nią całym swoim ciężarem.

„Do diabła!” – pomyślała.

– Och, Cess... ilio. Ja nie wiem, co ja... To było jakieś chwilowe szaleństwo, przysięgam. Nie wiem, co się stało... wymknęłaś mi się... To był wypadek!

Wymierzyła mu policzek. Przycisnął jej ręce do pokładu.

– Chcę rozwodu! – wrzasnęła.

– W porządku! Podzielimy się forszą po połowie!

– Nie mam żadnych pieniędzy, idioto! – wrzasnęła mu prosto w twarz. – I nie mam żadnej ciotki Nancy!

Nastąpiła długa, dźwięcząca w uszach cisza.

– Nie masz żadnej ciotki Nancy? – Nie.

– I nie odziedziczyłaś dwóch milionów dolarów?

– Nie ma takiej możliwości.

– Ale list był zaadresowany do...

– Nie tej Cecylii.

Nastąpiła długa cisza, podczas której Ian tylko westchnął.

– Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek myślałam, że ktoś taki jak ty byłby... mógłby... czy ja ci się w ogóle podobałam? – zapytała, sama nie rozumiejąc, po co w takiej chwili potrzebne jej było pocieszenie.

Albo brutalna szczerość, którą obdarował ją Ian:

– Cóż, no wiesz, prawdopodobnie przynajmniej raz wziąłbym cię do łóżka. Wszystko po prostu... wymknęło się spod kontroli.

Szukała czegoś naprawdę twardego, żeby doznał prawdziwego pęknięcia czaszki, ale zamarła, ponieważ usłyszała szcęk metalowego zatrasku. Drzwi – a może właz? – otworzyły się i oślepiło ją światło lampy.

– Ty – powiedział męski głos. – Wyłaż, panienko. Głośno przełknęła ślinę i zaczęła się podnosić, kiedy nagle pomiędzy nią a światłem stanął Ian.

– Czekaj! Nie możesz mnie tu zostawić!

Zobaczyła odbłask śmiesznych okularów usadowionych na wąskim nosie, krótkie siwiejące włosy i zabójczo wyglądający pistolet przyciśnięty do skroni Iana. To był pan Argyle, jej bohater...

– Mogę i zostawię. Chodźmy, panienko, jesteś za ładna, żeby umierać. Dostaniemy za ciebie dobrą cenę w jednym z naszych mniej przyzwoitych portów. No to idziemy – skinął głową w stronę Cecylii.

Minęła Iana łukiem i przeszła do większej, ciemnej kajuty. Mimo że Cecilia była niska, i tak musiała schylić głowę, żeby przejść pod belkami.

Znaleźli się w kwaterze załogi wypełnionej mężczyznami, którzy siedzieli przy stolikach, wiązali liny, naprawiali koszule i pili. Gdy przechodziła, kierowali w jej stronę spojrzenia wyrażające różne stopnie złowieszczego pożądania.

– Do góry – nakazał Argyle i dźgnął ją pistoletem. Wspięła się. Na zewnątrz było ciemno i olśniewająco bezchmurnie. Argyle wepchnął ją w znany już Cecylii korytarz przy nadbudówce. Ale zamiast otworzyć drzwi po lewej stronie, otworzył te z prawej i wprowadził ją do środka.

Po kilku krokach zatrzymała się zdziwiona. Tu było tak, jakby zeszła ze statku i znalazła się w jakiejś wykwintnej rezydencji. Eleganckie stoły, obrusy, świece w wymyślnych kinkietach kołyszące się wraz z ruchem statku. Na podłodze leżał gruby dywan.

Przy stole siedziało siedmiu mężczyzn. Kolacja chyba dobiegła już końca. Talerze były puste, półmiski opróżnione, a jedynymi niezbędnymi im jeszcze naczyniami były kryształowe szklanice. Zanim zdążyła przemierzyć długi pokój z panem Argyle u boku, zostały one napełnione, opróżnione i ponownie napełnione.

– Przyprowaździłem pannę – oznajmił Argyle, choć było to zupełnie zbędne. Wszyscy i tak podnieśli głowy. Cecilia stanowiła teraz centrum, na

którym skupiło się siedem par taksujących oczu. Najbardziej zakłopotane były te należące do kapitana Lockharta. Odniosła wrażenie, że nie widział w niej nic, co by mogło przyciągać wzrok.

– Czy raczej, powinniśmy powiedzieć, przyszłą wdowę? – dokończył pan Argyle.

– Siadaj – powiedział do niej kapitan i kopnął krzesło. Właściwie chciał kopnąć. Jego but chybił o centymetr. Lockhart wycelował raz jeszcze z wielką koncentracją, ale udało mu się tylko przewrócić krzesło do góry nogami na dywan. – Cholera!

– Widziałam już ten film – wypaliła Cecilia. – To ta scena, w której patrzy pan na mnie z pożądaniem i mówi, że jedzenie już pana nie satysfakcjonuje i przy świetle księżyca zmienia się pan w zombie. Prawda?

Nastąpiła długa chwila ciszy i zdziwienia, a potem wszyscy ryknęli pijackim śmiechem. Argyle, trzeźwy, śmiał się tak mocno, że poleciał na wyłożoną panelami ścianę.

– Panienko, czy ta zgraja tutaj wygląda na takich, których jedzenie nie satysfakcjonuje? Zrobili, co mogli, żeby talerze do czysta wylizać! Najlepsza część naszego ładunku to jedzenie i picie! – rechotał.

– Zombie w świetle księżyca! – kwiczał facet ze zwisającymi uszami siedzący po lewej stronie Lockharta. – A to dobre! Co to, u diabła, jest zombie?

– To po karaibsku – powiedział zamyślony Lockhart. Jemu jednemu zdecydowanie nie było wesoło. – Oznacza chodzących umarłych.

Śmiech natychmiast ucichł. Zapanowała dziwna cisza. Cecilia niezdarnie pochyliła się, postawiła krzesło i pozwoliła sobie na nim usiąść, ponieważ nie była pewna, czy drżące kolana zdołają ją utrzymać. To był bardzo, bardzo długi dzień.

– Zombie – powtórzył bezmyślnie Argyle. – Cóż, przyznaję się do błędu.

Obrzuciwszy uważnym spojrzeniem stół, Lockhart sięgnął po butelkę i napełnił kryształową szklanicę stojącą przed pustym talerzem Cecilii.

– Wypij – rozkazał.

– Nie, dziękuję.

– Potrzebujesz tego. Nie co dzień wychodzi się za mąż i zostaje zamordowanym – powiedział, niebezpiecznie bujając się na krześle.

Czekała, aż wywinie orła do tyłu. Nikt, nawet trzeźwy, nie utrzymałby długo równowagi na dwóch nogach krzesła przy ciągłym, piekielnym kołysaniu morza.

– Przepraszam – poprawił się – prawie zamordowanym.

Wstrzymała oddech i oczekiwała, co będzie dalej. Spojrzał na nią, ciągle łagodnie bujając się na krześle. Powoli podniosła szklanę, popiła, a potem zakaszła.

Dobry brytyjski rum rozlewał się ciepłem po jej gardle. Argyle grzmotnął

w stół na znak aprobaty.

– Nieźle, panno! – pochwalił. – Jacks, nalej jej na drugą nóżkę.

Sąsiad Lockharta usłuchał z radością i zachichotał, aż mu powyłaziły czerwone plamy na twarzy. Ktoś zaintonował pijacką pieśń, Argyle ją podchwycił zdumiewająco czystym tenorem. Przy refrenie wszyscy chwycili za szklanki, nawet Lockhart. Szybko zrobiła to samo.

Piosenka miała kilka zwrotek i sporo chórków. Zauważyła, że Lockhart tylko podnosił szklankę i precyzyjnie trafiał do ust. Też tak spróbowała, ale statek ciągle ją zwodził swoim zanurzaniem się i stawaniem dęba, więc alkohol ściekał raz do gardła, raz za dekol. Tak czy inaczej nieźle się wstawiła. Nie wspominając już o tym, że była cała oblepiona rumem.

– A teraz interesy – odezwał się Argyle, kiedy pieśń już skończyła się i zaczęto ponownie napełniać szklanki. – Co z chłopakiem, kapitanie?

Lockhart wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że za burtę. Wielkiej straty nie będzie.

Argyle posmutniał.

– Za dawnych dobrych czasów dostalibyśmy za niego spory kawał grosza. Sprzedalibyśmy go w Tortudze...

– Tortuga to już nie to co kiedyś, tak jak i każdy inny diabelny port na świecie. Nawet Singapur – odrzekł kapitan. – Nie zarobimy na jego ładnej skórze. Lepiej sobie zaoszczędzić nerwów i okoliczności obciążających.

– Chwileczkę – wtrąciła zaalarmowana Cecilia. – Wy... wymówicie o...

– Wyrzuceniu twojego niedoszłego mordercy za burtę – powiedział Argyle. – Nie musisz nam dziękować.

– Nie!

– Nie? – Okularnik popatrzył przez chwilę zakłopotany, a potem wychylił rum i huknął w stół na znak zrozumienia. – A! Chcesz najpierw posłać mu kulę z muszkietu prosto w jego czarne serce! Załatwione, panienko! Świetny kawałek zemsty!

– Nie! Oczywiście, że nie! Nie chcę! Ja chcę...

– Najpierw się napij – powiedział Lockhart, unosząc ironicznie brew. – Ja nigdy nie negocjuję o suchym pysku.

Wypiła większość dużymi łykami, zakrztusiła się i zachwiała. Stwierdziła, że powoli zaczyna przywykać do ciągłego kołysania statku. To tak jak jazda na koniu. Albo na kowboju. O rany! Piraci zawyli na znak aprobaty i wychylili swoje szklanki.

– Następna kolejka – krzyknął Argyle.

Lockhart jednak nawet nie sięgnął po swoją szklankę, tylko chwycił nagle krzesło i roztrzaskał je o podłogę. Zapadła zaskakująco trzeźwa cisza.

– Wszyscy wynocha – rozkazał kapitan. Nie podniósł głosu, ale mężczyźni odsunęli krzesła i wyszli.

Cecilia próbowała wymknąć się z nimi, ale Lockhart położył dwa palce na jej nadgarstku, przyciskając go do stołu. Zamarła.

– Nie ty.

Nie użył siły, ale ona jednak i tak nie mogła się podnieść. W ciągu kilku sekund kabina opustoszała, zostali sami. Kapitan puścił jej nadgarstek i położył łokieć na stole.

– No dobrze – zaczął. – Zdecydowałaś się oszczędzić swojego niedoszłego zabójcę?

– Tak – odparła. Kajuta zakołysała się, a Cecilia razem z nią. No cóż, teraz nie było to już takie trudne. Statek piracki, „ahoj”, Tortuga i wszystkie te bzdury! – Tak, chciałabym, żeby... żeby go pan wypuścił.

– To właśnie zamierzamy zrobić, pani Taylor. Wypuścić go. Jeśli utonie, cóż, będzie to wyłącznie brak charakteru z jego strony.

– Hej! Nie jestem mężatką! – zmusiła się, by skierować myśli na właściwy tor. – To nie fair wyrzucać go na środku osee... osee...

– Oceanu.

– Dokładnie.

– To może na wyspie? Jakiejś... nieprzyjemnej. Wrodzy tubylcy. Najlepiej kanibale.

Rozważała jego propozycję. Nawet do niej przemawiała.

– Bez kanibali – stwierdziła po chwili. – Reszta może być.

Wyciągnął głowę w jej stronę.

– No to moje gratulacje, panno Welles. Może się pani czuć rozwódką. Oczywiście byłaby pani o wiele mniej związana słowem, gdyby pozwoliła nam pani umieścić mu kulę w plecach.

Pokój zakreślił się. Czy wpadli w jakiś wir? Oparła dłonie o stół, próbując stanąć prosto, ale przeklęty statek zaczął chyba wierzgać, nogi zrobiły się jej miękkie jak z galarety i runęła w dół.

A kiedy już złapała oddech, siedziała kapitanowi Lockhartowi na kolanach.

Wcale się nie poruszał, miał tylko odrobinę szerzej otwarte oczy. Wciągnęła głęboko powietrze i owiał ją jego zapach – ostrego, męskiego potu, rumu i ubrań noszonych zbyt długo, które oprócz przypadkowego deszczu i bryzgów fal, nie widziały nigdy wody. Z płaszczka unosiła się woń paczuli. Jej lewa ręka spoczęła na jego torsie i Cecilia poczuła, jak przyjemnie tężeją mu mięśnie pod cienką koszulą.

Powoli podniósł głowę i napotkał jej wzrok.

– Ten twój Ian to ładniutki, pustogłowy kretyn i nie nadaje się dla kobiety z twoim... potencjałem. Powinnaś była to wiedzieć.

Puściła stół, żeby wykonać zamaszysty ruch ręką i zakołysała się na kolanach kapitana.

– Potencjał – pokiwała głową. – A tak, mam go całe mnóstwo. Pracę bez perspektyw, żadnych pieniędzy, żadnych przyjaciół... a Ian, on był taki...

– Przystojny? – spytał oschle Lockhart.

– Troskliwy!

Kapitan uśmiechnął się powoli.

– O tak. Zaproponowaliśmy, że dopilnujemy, aby wyrzucił cię martwą za burtę. Za dodatkową opłatą oczywiście, ale się nie zgodził. Bardzo troskliwy dla swojej książeczki czekowej ten twój przyszły mężulek. Zatroscopył się o oszczędności i pozwolił ci utonąć.

Ogarnęło ją gorąco – fizyczne, lepkie, bolesne – i przez chwilę sądziła, że po prostu zemdleje. „Och, Ian...”

– Cecilio – odezwał się cicho Lockhart, po raz pierwszy nazywając ją po imieniu – on chciał, żebyś umarła w ten czy inny sposób. Tego możesz być pewna.

Cofnęła rękę spoczywającą na jego torsie, a gdy statek znów się zakołysał, poczuła wir w głowie. Świat był teraz spiralą szarych iskierek. Ześlizgnęła się bokiem i o mało nie spadła na tańczącą podłogę.

Złapał ją obiema rękami i jak na kobietę, która tego samego wieczoru powiedziała „tak” innemu mężczyźnie, znajdowała się w raczej nieprzyzwoitej pozycji. Jednak w blasku świec jego ciemne oczy były tak cudowne, że zatopiła palce w ciągle jeszcze wilgotnych włosach kapitana i pocałowała go.

Zdziwienie Lockharta trwało sekundę, po czym jego usta poruszyły się i zatopiły w jej wargach ciągle chłodnych od wody. Założyła mu ręce na szyję, pojękując, i pomyślała sobie: „Mój Boże, jesteś pijana!”. Ale nie rum był tego przyczyną. Alkohol pozwolił jej tylko zapomnieć o wszystkich powodach, dla których to, co teraz robiła, wydawałoby się bardzo, bardzo złym pomysłem.

Był to długi, cichy, powolny pocałunek. Nie tak energiczny jak pocałunki Iana... pełne obietnic. Ten był opanowany i miał posmak jakiejś wibrującej szalonej energii, którą wyczuwała w kapitanie i która wywoływała mrowienie pod skórą.

A potem Lockhart zachwiał się, jakby ktoś dźgnął go nożem w brzuch. Przez każdy miesiąc jego ciała przeszedł dreszcz. Zepchnął Cecilię z kolan i wstał tak nagle, że krzesło upadło z łoskotem na podłogę. Zakołysała się zdezorientowana.

– Co?...

Chwycił ją za łokieć i powlókł przez pokój. Z rozmachem otworzył drzwi. Na korytarzu, chwając się na nogach, stał pan Argyle i pocierał swój podziurawiony na torsie płaszcz.

– Zabierz ją – powiedział szorstko kapitan.

Argyle zamrugał oczami na znak, że nie tego się spodziewał.

– Sir...

– Zabierz ją! – ryknął Lockhart. Jego twarz zrobiła się biała. Trząsł się, a oczy płonęły mu pełnym żalu ogniem. Nic nie pojmowała.

Wepchnął ją w ręce okularnika, przecisnął się w wąskim przejściu i już go nie było.

– No, no – odezwał się powoli Argyle. – Robisz wrażenie, co? Do środka!

Otworzył drzwi do jej kajuty. Tej samej, w której ona, Ian i nocnik w kwiatki czekali na morski ślub.

– Zaczekaj – powiedziała i położyła rękę na jego płaszczu, akurat tam, gdzie były trzy czarne dziury. Otworzył szerzej oczy.

– Jesteś dość bezpośrednią dziewczyną, co? Prawie nie zwróciła uwagi na jego słowa, ponieważ coś wolno zaczęło jej świtać w otumanionym rumem umyśle. Zsunęła rękę, dotykając nadgarstka Argyle'a. Błysnął oczami zza swoich śmiesznych okularów a la Benjamin Franklin. Odwróciła jego dłoń i przyłożyła dwa palce do bladej skóry, tam gdzie widniały niebieskie ślady żył.

– Nie ma pulsu – powiedziała. – On też nie miał.

Argyle powoli zdjął płaszcz. Na koszuli były trzy czarne dziury, a pod koszulą zobaczyła blizny – zamknięte, ale jeszcze niewygojone. Były ciągle świeże, choć nie krwawiły.

– Usiądź – odezwał się Argyle. – Przypuszczam, że doskonale już wszystko wiesz.

Usiadła na hamaku. Argyle spacerował przez chwilę, po czym usiadł nerwowo obok. Zaczął w pośpiechu opowiadać niskim głosem:

– Na początku panienko, korsarstwo było szanowaną profesją. Królestwo kazało nam napadać na Francuzów i Hiszpanów. Ale wszystko się zmieniło i królewska łaska odwróciła się od nas. Niektórzy twierdzili, że zatapialiśmy statki lojalnych angielskich kupców i wkrótce z korsarzy staliśmy się piratami. Bez szansy, żeby przedstawić naszą wersję. Wypłynęliśmy jako bohaterzy, a wróciliśmy jako potępięcy.

Zrobił przerwę, odchrząknął i wbił wzrok w deski pod swoimi stopami.

– Zawinęliśmy na Jamajkę, która była nam zawsze przyjazna. Odkryliśmy, że miejscowy gubernator napadł na nasze domy i zabrał wszystko, co posiadaliśmy. A co się tyczy oficerów, to powywieszał ich rodziny jak zwykłych złodziei. Okropne czasy, panienko. Bardzo okropne.

Odwróciła głowę zszokowana. Nie patrzył na nią. Jego twarz była skupiona i zawzięta.

– Kapitan Lockhart miał młodą żonę. Był bardzo zakochany, naprawdę. Powrócił z tryumfem do domu i zobaczył, że ją powiesili. Wisiała od trzech dni. Ja straciłem dwóch synów.

– O Boże! – szepnęła.

– Bóg nie miał z tym nic wspólnego. – Potrząsnął głową. – To żona gubernatora zaczęła rozsiewać plotki, wlewając swoją truciznę do chętnie

sluchających uszu. Była kiedyś kochanką kapitana, ale odwrócił się od niej, a ona mu tego nigdy nie zapomniała. To była mała zemsta kobiety, jednak zginęli przez nią niewinni.

Cecilia nie mogła oddychać. Ton Argyle'a był odarty z emocji, mimo to uchwyciła w nim ducha bólu. Zatrząsał się lekko zatopiony we wspomnieniach.

– Powiem ci *szczerze*, panienko, byliśmy jak żądni krwi szaleńcy. Wdarliśmy się do domu gubernatora, wywlekliśmy go z żoną i wypłynęliśmy w morze. Za nami ruszył wściekły pościg. Wkrótce znaleźliśmy dobre, głębokie miejsce i wyrosnięte rekiny. Wystawiliśmy deskę za burtę. To nie było w porządku i wiedzieliśmy o tym, ale żal i gniew każe człowiekowi robić niegodziwe rzeczy. Nigdy nie zapomnę, jak poczerwieniała woda i zawsze będę słyszał te krzyki. Nawet jej, choć sobie na to zasłużyła.

Nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Argyle kontynuował opowieść suchym, lodowatym, pełnym desperacji tonem:

– Jak była na desce, rzuciła na nas przekleństwo, czarownica jedna. O północy dopadł nas sztorm. Gdy szalał, przyplłynął angielski statek, a jego kapitanem był sam diabeł, przysięgam. Nie mieliśmy szans. Żadnych. Zabrał statek prosto do piekła.

– Ale... – oblizwała wargi – ...ale wy nie jesteście...

– O, jesteśmy całkiem nieżywi, panienko! Wszyscy jak jeden mąż. Ale nie próżnujemy. Jesteśmy przekłeci, musimy żeglować przez wieczność bez wytchnienia, bez ziemi, bez rodzin. Nigdy nie postawimy stopy w żadnym porcie. Już ona o to zadbała, kiedy sprowadziła na nas przekleństwo.

„Ludzie przy zdrowych zmysłach nie wierzą w takie rzeczy, czyż nie? A już na pewno nietrzeźwi” – uznała Cecilia. Jednak po chwili, pewnie przez rum, znów poczuła, jak staje się łatwowierna, i znów zakreśliło jej się w głowie.

– Jak długo już jesteście... no...

– Przekłeci? – zapytał. – O wiele za długo. Kapitan każe nam żeglować, ale my nie mamy już do tego serca.

Wszyscy pragniemy końca, udajemy tylko.

– Nie próbowaliście zdjąć tego... przekleństwa? – Poczuli się głupio, wymawiając to słowo.

– A pewnie! – Argyle odwrócił głowę, spojrzał na nią i poklepał po dłoni chłodnymi, bladymi palcami. – Próbowaliśmy wszystkiego, ale gdy ta jęzda umierała, zawołała diabła, sprowadziła na nas zgubę, co do tego nie ma wątpliwości. – Spojrzał uważnie na Cecilię i zapytał: – Chcesz usłyszeć? Jej słowa?

Skinęła głową. Argyle zamknął oczy i co było niesamowite, głos, który wydobył się z jego ust, nie był jego głosem. Był wysoki, cienki i dziwny. Trząsał się ze strachu i wściekłości i z pewnością należał do kobiety:

– Przeklinam cię, Liamie Lockhart, a razem z tobą ten statek i jego

załogę. Krew w twoich żyłach ostygnie, zanim ta noc się skończy, a serce w twojej piersi pozostanie zimne i milczące. Nie będziesz miał ani domu, ani schronienia, ani wytchnienia i nigdy nie zawiniesz do żadnego portu, póki miłość cię nie porzuci, tak jak porzuciła mnie. Sprowadzam na ciebie zgubę i strącam was wszystkich do piekła.

Odpreżył się, wypuścił powietrze i zadrżał. Potem znów przemówił swoim głosem lekko zdyszany:

– Miłość! Jakby coś na ten temat wiedziała. Nie, nie można zdjąć takiej klątwy. Ale uprzejmie z twojej strony, że o tym pomyślałaś, panienko.

– Skoro nie próbujecie zdjąć przekleństwa, to dlaczego... wzięliście Iana i mnie?

– Zatrzymujemy się tu i tam, żeby uzupełnić zapasy. Musimy. Przeklęła nas, musimy żeglować. Jednak nie powiedziała nic o tym, że na głodnego.

Uśmiech rozjaśnił mu na moment twarz, a Cecilia pomyślała, że chciałaby częściej widzieć, jak się uśmiecha. W innych, lepszych okolicznościach, gdy nie będzie pijana i taka bezbronna.

– To strasznie dużo kosztuje, nawet sam rum, woda i inne małe, cenne nagrody. Wchodzimy na cudze statki i stwierdzamy, że są wypełnione czarnym mułem albo głupimi zabawkami zamiast prawdziwym, porządnym towarem. Nie ma już złota na tych morzach ani cennych ładunków, które mają prawdziwą wartość. Dlatego prosimy inne załogi, żeby szepnęły słówko, że zabieramy pasażerów za pieniądze. Planowaliśmy cię obrabować i wyrzucić bez grosza w jakimś porcie, ale panicz Ian miał troszkę inną propozycję.

– A wy zamierzaliście po prostu pozwolić mu, żeby mnie zabił?

– Kapitan uważał, że to sprawy rodzinne. Przykro mi, kochana. Mimo wszystko jesteśmy piratami.

Siedziała odrętwiała, zdezorientowana i pijana. Było jej zimno. Wybuchła płaczem.

Argyle uciszył ją, zamknął drzwi i przekręcił zamek.

– Panienko?

Cecilia otworzyła gorące, opuchnięte powieki i zwilżyła usta. Leżała w ubraniu, owinięta drapiącym wełnianym kocem. W środku nocy zrobiło jej się bardzo zimno, a potem zaczęła się pocić. Czuła, jakby jej głowa była lżejsza niż powietrze. Kiedy próbowała przełknąć ślinę, dopadł ją ostry kaszel.

– Święty Jezu! – powiedział Argyle i dotknął chłodną ręką jej czoła. – Jesteś chora, panienko. Dlaczego nie zawołałaś?...

Wymamrotała coś, ale nie miało to żadnego sensu. Argyle cofnął rękę, zwilżył wodą jej twarz i wysuszone usta.

– Spokojnie. Masz zimnicę. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. To dlatego, że wylądowałaś w wodzie. Spokojnie, panienko. Pomożemy ci.

Zasnęła. Kiedy znów otworzyła oczy, oślepiło ją światło lampy i dobiegły ją świszczące odgłosy kłótni, która toczyła się kilka metrów dalej. Nie potrafiła rozróżnić poszczególnych słów, ale chyba chodziło o jakieś tabletki. Miała wrażenie, że rozpoznaje głos Iana.

Ktoś na siłę otworzył jej usta. Bolało. Ktoś nalał wody i umieścił tabletkę na opuchniętym języku. Wydawała się ogromna.

– Połknij – kazał jakiś głos i czuła, że był to głos, którego powinna usłuchać. Nie należał do Iana.

„Nigdy więcej nie słuchaj Iana. Ian zrobił... coś okropnego!”

Cecylii śniło się, że jakiś niski, ciepły głos szeptem powtarza jej imię jak sekret.

Kiedy ponownie się przebudziła, była słaba, ale umysł miała jasny. Na krześle obok niej siedział kapitan Lockhart. Czytał jakieś poplamione czasopismo, które wydało się jej dziwnie znajome. Gdzie, u diabła, mógł dostać egzemplarz magazynu „Oprah”? Wyglądało na to, że ma kilka lat...

Przez chwilę myślała, iż nie zdawał sobie sprawy, że otworzyła oczy.

– Argyle zbiera takie rzeczy. Książki, gazety i tym podobne. Zabiera je ze statków, które... odwiedzamy. Większość załogi nie lubi tego oglądać. Uważają, że to dzieło czarownic. Dopiero co udało mi się ich przyzwyczaić do latających metalowych potworów.

Wręczył jej filiżankę, a ona łapczywie wypila zawartość. Woda ściekała w dół jej gardła gładka jak szkło.

– Jak długo? – zdołała wychrypieć.

– Trzy dni, odkąd ostatni raz się obudziłaś – powiedział Lockhart. Namoczył ręcznik w misce i przetarł jej czoło. – Nie powiem, żeby twój najdroższy zbyt się stresował.

– Był tutaj?

– Potrzebowaliśmy jego opinii na temat pewnych zapasów, które kilka lat temu zabraliśmy z jakiegoś frachtowca. Antycośtam.

– Antybiotyki. – Długie słowo nadwreżyło jej siły. Kapitan przytaknął i wycisnął chłodną wodę z ręcznika, aby zwilżyć jej szyję.

– Pomógł? – spytała.

– Cóż, daliśmy mu jasno do zrozumienia, że jeśli nie wydobrzejesz, będzie badał dno oceanu.

– Dziękuję.

Lockhart wrzucił ręcznik do miski.

– Argyle opiekował się tobą. Ja jestem tu, tylko gdy on stoi na wachcie. Nie jestem żadną pielęgniarką!

– Nawet całkiem dobrze ci wychodzi.

Odwrócił wzrok, zamrugał, po czym znów spojrzął na nią.

– Niech pani lepiej podciągnie koc, panno Welles. Jesteśmy już jakiś czas na morzu bez...

Spojrzała w dół i zdała sobie sprawę, że ktoś, najprawdopodobniej Argyle, zdjął jej spódnicę i gorset i zostawił ją w białej koszuli, z której nisko zwisał sznurek. Ściekające strużki wody spowodowały, że tkanina zaczęła prześwitywać. Koszula przykleiła się do jej piersi i wyraźnie widać było zarys ciemnych otoczek oraz stwardniałe brodawki.

– Och! – szepnęła i poczuła, jak gorąco nabiega jej do policzków.

Nic tak jak choroba nie wzbudza większego odczucia, że jest się pogwałconym, a teraz jeszcze to... Niezdarnie usiłowała naciągnąć koc. Po chwili wahania Lockhart zdecydował się jej pomóc. Jego palce musnęły wilgotną skórę Cecylii. Nagle drgnął i zgiął się wpół, jakby otrzymał potężny cios w brzuch.

– Kapitanie! – wycharczała zaalarmowana.

Uniósł drżącą dłoń i zaczął wdychać i wydychać powietrze jak w agonii. Opadł na krzesło i przez dłuższą chwilę unikał jej wzroku. Potem wstał.

– Niedługo będziemy w pobliżu portu. Argyle odstawi cię do brzegu. Z pewnością zdołasz stamtąd trafić do domu. Kobiety mają swoje sprytny sposoby.

– Co?

Jego głos stał się szorstki.

– Jeśli sobie wyobrażasz, że coś między nami jest, to lepiej skończ z tymi dziewczęcymi fantazjami. To, co się stało... No cóż, rum zrobił swoje, a kiedy w grę wchodzi rum, to rozum odchodzi. Co do mnie, nie mam zamiaru obarczać się jakąś ladacznicą. Albo płyniesz do brzegu, albo za burtę.

Patrzyła, jak wychodzi, zbyt oszołomiona, by zaprotestować. Za każdym razem, gdy już dostrzegła w nim jakiś błysk życzliwości, wychodził z siebie i stawał się obraźliwy. Niegrzeczny nawet jak na pirata.

Przystanął jeszcze w drzwiach. Patrzyła, jak wciska swój zniszczony trójkątny kapelusz na głowę. Widziała tylko jego profil. Nie chciała przeproszać – nie miała powodu – ale samo to się z niej wyrwało.

– Przepraszam – powiedziała. – Przeze mnie jest pan ciągle urażony.

– Źle mnie zrozumiałaś – warknął. – To przez samego siebie jestem urażony.

Dopiero następnego dnia w pełni odzyskała głos, a po dwóch dniach nabrała trochę siły. Jednak zanim zapadła trzecia noc, ręka w rękę spacerowała już po pokładzie z Argyl'em. Od niego dowiedziała się, że Ian wrócił do ładowni za przewinienia, które pan Argyle niejasno zdefiniował jako „niesubordynację”. Niezbyt zaskakujące.

Ciemna, cicha sylwetka Lockharta była widoczna w świetle księżyca. Chodził w tę i z powrotem po nadbudówce. Nawet jeśli ją spostrzegł, nie dał nic po sobie poznać. Nie przyszedł już do niej więcej, by porozmawiać.

Czuła, że jeśli tylko miałby możliwość, bez jednego słowa wyjaśnienia odstawiłby ją do brzegu. Doprowadzało to Cecilie do takiej furii, której nie zdołałaby wywołać żadna zniewaga Iana.

– Tak sobie myślałem – odezwał się nagle Argyle – O tym, co powiedziałaś o klątwie.

– O tym, co powiedziałam? Eee... a co ja takiego powiedziałam?

– Żeby ją znieść. Jest możliwość. – Argyle wciągnął głęboko powietrze i celowo powoli wypuszczał je po trochu, zanim skończył myśl: – Możliwość, żeby to zrobić.

– Jak?

Rzucił jej spojrzenie z ukosa.

– Miłość oczywiście. „Póki miłość cię nie porzuci”. Tak powiedziała. A co, jeśli nie?

– Nie rozumiem... O, chyba pan żartuje!

– Od dawna na nikim i niczym mu nie zależało, panienko. Rzuciłby się za burłę, gdybyś tylko kiwnęła palcem.

– Chyba pan oszalał.

– Dwa razy poczułem, jak mnie coś naszło: jakby cień śmierci. Zaczęło się po tym, jak ty i kapitan tam, po kolacji...

Kiedy była tak pijana. Kiedy go pocałowała. Poczwała w środku gorąco, ale nie było to poczucie wstydu. Nie, zupełnie nie!

– Ja... – zaczęła.

– Nie musisz wiedzieć – powiedział Argyle, co było miłe z jego strony. – Nieważne, co zaszło. Chodzi o to, że czujemy ból za każdym razem, gdy on przy tobie jest. Rany wtedy strasznie rwą.

Bezwiednie potarł tors, tam gdzie przeszły go kule z muszkietu. Zastanawiała się, czy ciągle tam tkwiły, jak czarne perły w sercu kościstej ostrygi.

– Wszyscy to czujecie? Każdy z was?

– Każdy, kogo pytałem. Cóż, dwóch skłamało, że nie, ale i tak widziałem to w ich oczach. Klątwa trzyma wszystkich tak samo. Przeklęła jego, a przez niego nas. Kapitan jest kluczem.

– Nic dziwnego, że się boi, skoro sprawia wam taki ból.

– On się boi?! – Argyle zaśmiał się kwaśno. – Nie, panienko! Nie Liam Lockhart. Nie z powodu jakiegoś tam lekkiego bólu, jaki czuje jego załoga. To człowiek morza. Ludzie cierpią i umierają. To normalne na morzu i on o tym wie. Chodzi o to, że sprawiłaś, iż na nowo zaczął czuć, rozgrzałaś jego krew i serce.

– Łamiąc klątwę?

– Tak jest – westchnął. – Nie, żeby naprawdę kiedykolwiek pozwolił sobie cię pokochać.

– Co? Dlaczego nie?

– Ta harpia, która rzuciła klątwę, nie miała na myśli szczęśliwego końca w tym czy innym świecie. Jeśli pozwoli sobie kogoś pokochać, to może zdejmie klątwę, a może wszyscy padniemy trupem albo zamienimy się w proch czy w coś równie okropnego. Kapitan Lockhart ma pod sobą dwustu ludzi załogi i czuje się za nich odpowiedzialny. Lepiej półżywy niż martwy, jak powiadają.

– Ale jeśli jest szansa, że mogłoby to was uratować, może powinnam z nim porozmawiać?

Argyle chwycił Cecilie mocno za obie ręce, patrząc jej prosto w oczy.

– To nie ty musisz nas ratować, panienko. Każdy ratuje samego siebie. Każdy. Zadbaj o własną skórę i nie myśl o...

Skrzywił się nagle i spojrzał w kierunku Lockharta. Tak jak i każdy marynarz na pokładzie „Słodkiego Lamentu”. Dziwnie zaplanowane, ponure odwrócenie wszystkich głów.

Kapitan obserwował ich oparty o burtę. Jeśli odczuwał ból, nie można było tego z dala stwierdzić. Z piersi Argyle’a wydobyło się westchnienie, a potem żeglarz potarł pierś na wysokości serca.

– Jest zazdrosny – powiedziała. To denerwowało Cecilie, ale równocześnie jej pochlebiało.

– Tak. To już i tak wiem.

– To dlaczego tak pan ze mną paraduje?

– Musiałem się upewnić, prawda? Ja też dużo ostatnio myślałem panienko, w imieniu załogi. Większość z nich uważa, że nie warto żyć takim półżyciem. Nie, jeśli jest szansa, żeby położyć temu kres. Więc zamierzam... sprowokować reakcję.

– Czy kapitan o tym wie?

– Konspiracja na statkach kończy się chłostą albo czymś gorszym. My diskutujemy sobie teoretycznie, jak dwoje rozsądnych ludzi. Ufasz mi?

– Oczywiście.

Ufała mu, musiała to przyznać, chociaż było to szaleństwem.

– No to nie odstępuj od tego, bo za chwilę zdradzę człowieka, któremu służyłem bez mała trzysta lat. Zważ, że to dla jego własnego dobra.

Właśnie miała zapytać, o czym, u diabła mówi, kiedy Argyle przyciągnął

ją do siebie i dość stanowczo pocałował.

Był nieporadny i wiedziała, że robił to bez serca, ale i tak odstawił niezły show. Stała szokowana, zastanawiając się, czy nie powinna go odepchnąć. To jednak i tak nie miało znaczenia, bo wraz z następnym biciem serca zachwiał się i z bólu przycisnął obie ręce do piersi. Uderzył o burzę, ześlizgnął się i niezgrabnie usiadł, ciężko dysząc. Cecilia gwałtownie ruszyła w jego stronę, ale po chwili się zawahała. Co niby miałyby zrobić? Sprawdzić puls? Zmierzyć temperaturę? Jak zbadać człowieka, który i tak nie żyje?

Pod czerwonym płaszczem zobaczyła świeżą krew na brudnej białej koszuli. Mnóstwo krwi. Argyle miał płytki, sapiący oddech. Zrobił się jeszcze bledszy, prawie siny. Wszyscy marynarze dookoła jęczyli, niektórzy z bólu leżeli zwinięci na pokładzie.

– Co pan zrobił?! – zawołała. Chwyciła Argyle’a za kłapy i potrząsnęła nim. – O mój Boże, co to jest? Co się dzieje?

– Dowód – poruszył bladymi ustami. – Dowód, że cię kocha. Musisz znaleźć jakiś sposób, panienko. Nie pozwól, żeby wysadził cię ze statku, zanim czegoś nie wymyślisz. Zdejmij kławę. Teraz wszystko w twojej mocy.

Lockhart stał na nadbudówce ciężko uczepony burty. Widziała, jak ugięły się pod nim kolana i jak z nadludzkim wysiłkiem je wyprostował. Gdy się odezwał, w jego głosie brzmiała złość i pretensja:

– Jeśli chcesz kobietę Argyle, to weź ją na dół i ujeźdź porządnie. Precz mi z oczu! Oboje!

– Jesteś niewiarygodnym draniem! – wrzasnęła i z dziką furią ruszyła ku schodom na nadbudówkę. – To twój przyjaciel!

Kapitan zeskoczył w dół i majestatycznym, pełnym godności krokiem zmierzał w jej kierunku. Jeśli odczuwał ból – a tak musiało być, skoro Argyle ciągle dyszał i miał białe usta – ukrywał to pod maską bezgranicznej wściekłości.

– Kobieto, jeśli zamierzasz ostro handlować z moją załogą, to zrobmy losowanie. Nie chciałbym, żeby ktoś powiedział, że coś było nie fair.

No cóż, Argyle chciał sprowokować reakcję i z pewnością mu się to udało. Rzuciła w jego stronę pełne udreki spojrzenie. Próbował coś powiedzieć. Z ruchu warg żeglarza odczytała słowa: „Skończ to”.

Lockhart się zbliżał, ale minęła go i ruszyła w dół wąskiego korytarza. Wbiegła do swojej ciasnej kajuty i trzasnęła drzwiami, a potem ponownie. Taki rodzaj oczyszczenia się ze złości.

– On próbuje cię uratować! – krzyknęła. – Nie jesteś go wart, ty okrutny, zimny...

– Draniu – dokończył kapitan chłodnym, opanowanym głosem i schwycił drzwi, zanim ponownie trzasnęły. – Pani Taylor...

– Nie jestem mężatką!!! – wrzasnęła, a jej cierpliwość dobiegała już

końca. – Kłątwa kłątwa, ale wiesz co, założę się, że zawsze byłeś zimną, podłą pijawką żerującą na innych. Pasożyt! Oto czym jesteś, piracie.

– Chyba coś cię do nich ciągnie – zauważył Lockhart i oparł łokieć o drzwi. – Młody panicz Taylor na przykład. No ale chyba musiał mieć jakieś inne talenty, które ci się podobały.

Poczuła, jak pali ją twarz i gardło.

– Nie podobały mi się. Ale to nie twój interes.

– W rzeczy samej. Nie obchodzi mnie to.

– Akurat! Ale obchodziło cię przed chwilą, gdy Argyle wsadził swój jęzor do mojej buzi, co?

Chciała to cofnąć, jednak było za późno. Kapitan przybrał tę swoją wystudiowaną minę zdolną ukryć tak samo ból, jak i złość, zazdrość czy inne emocje. Zeskoczyła z hamaka, podeszła do niego bardzo blisko i dotknęła łokcia Lockharta.

– Obeszło cię. I niech mnie diabli, jeśli nie obchodzi cię teraz.

Nie cofnął ręki. Z każdym jej głębokim oddechem napinały się szwy gorsetu i muskały ubranie żeglarza. Nagi szept dotyku. O tak, bolało go. Widziała to w jego mrugających oczach. Na koszuli kapitana pojawiła się świeża krew, plamiąc też jego spłowiwały niebieski płaszcz. Usłyszała powolne kapanie kropel, które spadały na jego skórzane buty.

– Zabijasz nas – odezwał się wreszcie. – Jesteś taką samą czarownicą jak ta jędza, którą wrzuciliśmy do morza.

– Zdecydowanie mam nadzieję, że jestem, ponieważ też cię przeklinam! Przeklinam cię, żebyś dostał to, czego chcesz. No dalej, przeklinaj sam siebie, żebyś nic już nie czuł, nic, nigdy, na zawsze...

Chwycił w dłonie jej twarz i spojrzał Cecilii w oczy.

– Za późno, żeby nic nie czuć. Nie wiem, czy jesteś czarownicą czy świętą, ale jesteś... we mnie...

Ugięły się pod nim kolana i upadł na pokład, z trudem łapiąc powietrze, a ona ukłękła przy nim.

– Nie jestem czarownicą – powiedziała. – I z pewnością nie jestem świętą. Jestem po prostu... marzycielką. Dlatego powiedziałam Ianowi „tak”. Ponieważ... to było tak, jakby spełniło się marzenie.

– Argyle też jest marzycielem – odrzekł pirat. – Myśli, że wszystko dobrze się skończy. Ale ja nie mam marzeń.

Jego oddech stał się ciężki. Z rany pod koszulą ciekła krew, nie krople – cały potok krwi. Umierał i to przez nią. Położyła głowę Lockharta na swoje kolana i głaskała go po włosach. To wszystko było zbyt trudne, o wiele za trudne. Może namiastka życia, nawet bez miłości i namiętności, była lepsza niż to, przez co musiała teraz przechodzić. Nigdy nie chciałaby, aby jej serce pękało tak jak teraz.

Krwawił. Wielkie, gorące krople ściekały jej na kolana. Czas uciekał. Jego ciemne oczy otworzyły się dzikie, piękne i pełne ciepła. Pełne życia.

– Argyle próbował mnie powstrzymać, wiesz? Błagała o litość, ale ja nie chciałem jej słyszeć. Byłem zimny, taki zimny, i patrzyłem jak rekiny...

– Liam, przestań. Chyba wiem, co zrobić. Pójdę. Wezmę łódź i popłynę...

– Powinnaś była to zrobić, zanim się uśmiechnęłaś.

– Liam...

Oczy miał ciągle otwarte, ale źrenice powoli zachodziły mgłą. Stały się jak niebo bez gwiazd i księżyca. Poczuli nienaturalny spokój, a wszystko wokół było teraz takie jaskrawe, ostre i nieruchome...

– Musisz żyć. To się tak nie kończy. Musisz żyć!

O świcie wypuściła Iana z ładowni. Potrzebowała go, niestety. Żeglowanie statkiem tych rozmiarów wymagało większej załogi niż ich dwoje, ale na szczęście piraci przed śmiercią nie zwinęli żagli. Wciąż wisały na rejach, a Cecilia po kilku nieudanych próbach odkryła, że za pomocą steru potrafi ustawić statek do wiatru. Bolały ją ramiona, jednak dzięki wysiłkowi mogła nie myśleć.

Przez całą noc czekała na dobrą wróżkę, która oznajmiłaby, że to wszystko jakieś nieporozumienie i machnęłaby swoją czarodziejską różdżką. Ale to nie był film Walta Disneya. Jej film był o kłątwie, krwi i bólu i nie kończył się dobrze.

Cecilia zagnała Iana do zbierania ciał.

– Powinniśmy wyrzucić ich za burtę! – zawołał, dysząc i ciągnąc kolejnego nieboszczyka w kierunku burty.

Jej niedawny mąż nie wyglądał już jak elegancki książę. Był brudny i przypominał oszalałego dzikusa. Pomyślała, że sama pewnie wcale nie wygląda lepiej.

– Nie – powiedziała twardo.

Nie zamierzała wyrzucić ich rekinom na pożarcie. Kiedy Ian zbliżył się do Argyle'a, syknęła:

– Nie dotykaj go!

– A co, to jakiś osobisty przyjaciel, Cess? Wyciągnęła zza skórzanego pasa jeden z przerażających pistoletów Lockharta.

– Przysięgam, jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie Cess... Podniósł do góry brudne, lepkie ręce.

– W porządku, kapitanie. Wszystko, co rozkażesz. – Uśmiechnął się przy tych słowach z pogardą, ale to ona miała broń.

Spędziła całą noc, zbierając wszystką broń, jaką znalazła i zamknęła ją w

kabinie Lockharta. Miała na głowie jego trójkątny kapelusz. Okazał się całkiem praktyczny – gdy rankiem przygrzało słońce, dobrze chronił przed nim nos, a poza tym miał zapach kapitana, co w dziwny sposób dawało Cecilii pocieszenie.

– Obłąkana suka – wymamrotał Ian. Wystrzeliła, trzymając pistolet oburącz. Poczowała siłę odrzutu. Chybiła, wyżłobiła za to wielki kawał drewna w burcie niedaleko Iana.

– Hej!

– Co hej? – zagroziła i wyjęła kolejny pistolet. – Strzał ostrzegawczy. Bądź miły, bo następnym razem popatrzę na słońce przez twój tors.

Wtedy żagle oklapły. Zgubiła wiatr. Odłożyła na bok pistolet i zakręciła sterem, by go schwytać.

– Dokąd płyniemy?

– W tamtą stronę – powiedziała, wskazując głową horyzont. – Zabawne, planeta jest okrągła. Wcześniej czy później znajdziemy ląd.

– Och, cudownie! Cóż za nawigacja! I wszędzie te potwory. – Ian zaklął i wytarł brudne czoło równie brudnym rękawem.

– Pamiętaj, że ze wszystkich na tym statku ty podobasz mi się najmniej.

Po południu zjedli stary chleb i soloną wołowinę. Posiłek popili sporą ilością wody, żeby przetrzymać nieubłagany żar słońca. Nie mieli o czym rozmawiać. Ian od czasu do czasu próbował ją sprowokować, żeby zrobiła coś głupiego. Była jednak zbyt odrętwiiała, by reagować na jego zaczepki. Chciała się gdzieś zaszyć i płakać, ale nie mogła. Lockhartowi by się to nie spodobało. Poza tym musiała przeżyć. Powtarzała sobie, że jej życie musiało w końcu coś znaczyć. Musiało być... warte tego, co się stało. „Warte tylu martwych ludzi? Masz niezłą cenę, kochana”.

Gdy słońce przesunęło się ku zachodowi, Ian zobaczył coś i ruszył w kierunku rufy.

– Cecilia! – wrzasnął. – Widzę jakiś statek!

– Co? Gdzie?

Odwróciła się i zaskoczona zobaczyła mały stalowoszary frachtowiec płynący w ich kierunku po lewej burcie.

– O mój Boże!

Ratunek. Cywilizacja. Dom. Łzy napłynęły Cecilii do oczu, ale otarła je stanowczym ruchem ręki.

– No nie stój tak! Daj jakiś sygnał!

Ian posłusznie zdarł koszulę i zaczął nią energicznie wymachiwać ponad głową.

„I to miałoby być wszystko? Koniec opowieści? – nie dowierzała. – Ho, ho, ho, płynie sobie zaklęty statek. To nie w porządku”.

Zostawiła Lockharta, bladego i milczącego, na dole w swojej kajucie. Chciała go znowu zobaczyć. Chciała usłyszeć, jak wymawia jej imię swoim

niskim, pieścizotliwym głosem, tak jak wtedy, gdy była chora i zagubiona. Chciała... chciała...

W końcu z taką siłą, jakby w jej wnętrzu buchnęło słońce, dotarło do niej, że pragnęła Liama Lockharta i nikogo innego na świecie.

– Kocham cię – szepnęła i z jej oczu pociekły łzy – ty okrutny piracki draniu. Nie możesz mnie tak zostawić.

Kocham cię, słyszysz? Kocham cię! Wiem, że mnie słyszysz. To, że nie żyjesz, to żadna wymówka. No już, obudź się!

Wstrzymała oddech. „No dalej, czarodziejska matko chrzestna, ty stary, trzęsący się babsztylu!”

Minał moment. Powiew wiatru startł łzy z oczu Cecylii.

Było po wszystkim. Żadnej magii, żadnego szczęśliwego zakończenia, a ona zejdzie ze statku, wróci do domu i już nigdy więcej nie będzie marzyć.

– Płyną! – wrzasnął Ian i zbiegł po schodach na pokład. – Zwolnij albo co! Wciśnij hamulce!

Zakręciła sterem i ustawiła statek pod wiatr. „Słodki Lament” zasyczał i zwolnił. Słońce prześwitywało przez fale.

– Hm, Cecilio – Ian wycofywał się ze sterburty – pamiętasz, jak mówiłaś, że piraci ciągle pływają po morzach?

– Tak.

– Chyba miałaś rację.

Ruszyła, żeby zobaczyć nadpływających. Tak, piraci! Nie jacyś tam dziwacznie ubrani, ale współcześni mordercy. Było ich przynajmniej dwudziestu lub trzydziestu, wszyscy uzbrojeni po same zęby w nowoczesną broń. I co gorsza, wyglądali na takich, co znają swoją robotę. Ustawili się rzędem wzdłuż burty, szczerząc zęby i gestykułując.

– Może powinniśmy uciekać – powiedział Ian. – Jesteśmy szybcy, prawda?

– Z załogą! Nas dwoje to nie załoga!

Z frachtowca posypał się w ich kierunku grad ognia. Cecilia padła na deski, Ian chwilę potem. Kule odrywały z burty kawały drewna. Latające odłamki rozcięły jej ramię.

Podniosła się, chwyciła ster i ustawiła statek do wiatru. Ian wrzasnął, gdy statek gwałtownie uniósł dziób i posypały się na niego wszystkie ciała. Trup Argyle’a sunął bokiem wzdłuż pokładu i kątem oka Cecilia zobaczyła, jak jego ręka chwyta się burty.

„No tak – uznała. – Całkiem mi odbiło”.

Jednak Argyle uniósł głowę i trzęsącymi się palcami zaczął uciskać swoją pierś.

– Chryste – wyjęczał słabym głosem. – To było cholernie nieprzyjemne. Przypomnij mi, żebym cię więcej nie całował.

– Argyle! – pisnęła, wymachując obiema rękami nad głową. – Taaak!
Dziękuję ci!

Odmachał jej trzęsącą się dłonią i wstał.

– Nie dziękuj mi, panienko. Ja tylko...

Padł jak długi, gdy kolejna seria ognia tuż nad pokładem.

– W coś ty nas, do diabła, wpakowała?

– W piratów! – wrzasnęła.

Stos ciał zaczął się poruszać. Mężczyźni kleli jeden na drugiego, próbując usiąść. Argyle chwycił najbliższego i potrząsnął go za ramię.

– Na takielunek! – krzyknął i uraczył kilku innych kopniakami, rzucając tubalnym głosem przekleństwa.

– Dalej, sukinsyny! Mamy tu bitwę do stoczenia! Gdzie, do stu piorunów, są moje pistolety?

O Boże, przecież wszystkie je zamknęła!

– Panie Argyle, ster! – krzyknęła, naśladowując ton Lockharta i puściła koło.

Dookoła świszczwały kule. Schyliła się i dopadła schodów po lewej. Argyle wdrapał się z prawej strony. Zbiegła w dół korytarza do swojej kajuty. Zaczęła szukać odpowiedniego klucza spośród wszystkich umieszczonych na masywnym żelaznym kółku.

Czyjeś dłonie ześliznęły się po jej talii, uniosły ją do góry i postawiły obok. Brązowe poranione palce wzięły z rąk Cecilio pęk kluczy, wprawnie znalazły odpowiedni i otworzyły drzwi.

Kapitan Lockhart zlustrował ją od stóp do głów, a na jego ogorzałej twarzy pojawił się szeroki, piracki uśmiech.

– To mój kapelusz – powiedział, zabierając swoją własność. – Nie wspomnę o innych rzeczach, które bym chciał.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Westchnęła.

– Hm, kapitanie... chyba nie mamy czasu na... Uśmiech Lockharta stał się bardzo uwodzicielski.

Wyciągnął pistolety zza jej pasa. Nie spieszyło mu się. Ból żeber przypomniał Cecilio, że trzeba by już zacząć oddychać.

– Będziesz musiał naładować. Strzeliłam do Iana.

– Ach! Trafiałś?

– Chybiłam.

– Szkoda.

Kapitan odpiął skórzany pas z jej talii. – Jesteś małą, zaciekłą jędrą, Cecilio. No ale mówiłem ci już, że masz potencjał.

Przypiął do pasa rapier, dodał pistolety i pocałował ją. Energicznie i gorąco. Tak, bardzo gorąco.

– Zaczekaj! – Chwyciła go za ramię, gdy ruszał w dół korytarza. – Ty żyjesz, prawda?

– Tak – odrzekł. – Śmiertelnie, a to oznacza, że mogę umrzeć, moja panno. Chyba nie w porę, co? Przynieś pistolety.

– No cóż – westchnął z zalem Argyle. – Trochę wyszliśmy z wprawy. Od dziesiątek lat nie stoczyliśmy porządnej bitwy. Za szybko się skończyła.

Nalał kapkę rumu do szklanki i podsunął Cecilii, która szybko ją opróżniła.

– Wszyscy razem utopmy diabła. – Argyle wyszczerzył zęby w uśmiechu i nalał więcej trunku. – Jeszcze zrobimy z ciebie pirata, panienko.

– Szkoda, że nie ostrzeżliście mnie o armatach – westchnęła.

– Nie bądź niemądra – powiedział pan Jacks, a jego tęga twarz była czerwona od rumu. – To był tylko ogień zaporowy. Nawet nie oddaliśmy porządnej salwy, tylko strzelaliśmy z muszkietów na bakburcie. Mamy ich pięćdziesiąt cztery. Od lat nie musieliśmy używać więcej niż tuzina.

Cecilia wzdrygnęła się na wspomnienie metalowego frachtowca, który nie miał broni bitewnej i uległ pod ogniem armat.

– Nie mieli szans. – Pokiwała głową.

– Żałujesz, panno? Widziałaś ładownie na tym statku – przypomniał jej Argyle, uciął sobie plasterek ananasa i włożył go do drinka. – Nawet nie usunęli krwi po ostatniej masakrze. Nie wolno nigdy zostawiać krwi na tak długo, powoduje straszny smród. Zawsze trzeba po sobie posprzątać.

– Pamiętam – przytaknęła słabym głosem.

– Niehigieniczne dranie – mruknął na to Argyle i ugryzł ananasa. – Cholernie dobry towar, muszę przyznać.

Nieszczęsnego ananasa dźgnął kolejny sztylet i przesunął go w puste miejsce na stole. Cecylia spojrzała przez ramię, akurat gdy Lockhart opadł na krzesło obok niej.

– Załatwione – oznajmił. – Jesteśmy na kursie do portu w Bostonie. Tylko co zamierzasz zrobić, kiedy tam dotrzemy?

– Zejdę na brzeg – powiedziała. – Użyję mojej karty bankomatowej. Kupię ładne buty. Wyjdę za mąż.

Argyle zamarł w bezruchu. Tak jak i Ian siedzący naprzeciwko niego, który zakrztusił się z ustami pełnymi rumu. Pan Simonds wesoło poklepał go po plecach, zostawiając czerwone pręgi wielkości dłoni.

– Spokojnie, chłopcze. Nie chodzi jej o ciebie – zarechotał. – Ulżyło ci?

Lockhart bujał się na krześle.

– Ma pani plan, nieprawdaż, panno Welles?

– Całkiem dobry, prawdę mówiąc. Można zarobić. Ianowi na pewno się spodoba.

– Taaak? – przestał kaszleć.

– Widzisz, kiedy wpłyniemy do portu w Bostonie i ci ludzie zejną ze statku, pojawią się pytania, prawda? Poważne pytania.

– Absolutnie. Na przykład kim są, skąd pochodzą.

– Dwustu ludzi z przeszłości – powiedziała Cecilia. – Wszyscy będą chcieli poznać ich historię.

– Tak – odparł wolno Ian i pochylił się w jej stronę.

– Tak! Wszyscy! Mój Boże, pomyśl o możliwościach: prawa do wydania książki, prawa do nakręcenia filmu, dobrze płatne wywiady w talkshow, reklama...

Opadł z powrotem na krzesło, a błysk zniknął z jego twarzy.

– Niech to szlag! Nie ma takiej opcji, żeby ktoś kupił tę głupią historyjkę o klątwie. Wszyscy skończymy w jakimś wariatkowie.

Piraci spojrzeli groźnie. Groźnie!

– Prędzej zabiorą mnie do jakiegoś piekielnego dołu, gdy już wyciągną pistolet z mojej zimnej, martwej dłoni. Widziałem, co się dzieje w domach dla obłąkanych. – Argyle poczuł dreszcz.

– No cóż. Teraz jest lepiej – pocieszyła go szybko Cecilia. – Nie, żebyś oświadczył, no wiesz, poznała przemysł zdrowia psychicznego, ale...

– Nie dam się zamknąć w żadnym bajzlu – powiedział pan Jacks i wypił więcej rumu.

– Tak jest – poparł go zgodny chór głosów i dookoła stołu uniosły się szklanki.

Lockhart westchnął i posłał Cecilii intymne spojrzenie.

– Przykro mi, panienko. Zdaje się, że żaden ślub w kościele nie jest ci pisany.

– Cóż... nie, jeśli powiemy całą prawdę... ale... – Ale?

Wzięła głęboki oddech.

– Nikt już nie wierzy w klątwy. Co do tego Ian ma rację. Ale jest coś, w co nadal wszyscy wierzą lub chcą wierzyć. Może pomyślą, że zwariowaliśmy, ale nie założą nam kaftanów, będą się tylko śmiać.

Argyle oparł łokcie na płóciennym obrusie. Oczy mu się zaświeciły.

– Powiedz nam, panienko.

– Są tylko trzy rzeczy, które musicie zapamiętać. Po pierwsze: że ostatnie, co pamiętacie, to iż wypłynęliście z Bermudów.

– Proste.

– Po drugie, to bardzo ważne, że było jaskrawe białe światło...

– Już kapuję! – wykrzyknął Ian. – Trójkąt Bermudzki! Tak! I co tam, do diabła, paru małych, szarych, dziwacznych facetów też można wrzucić. To nada trochę miejscowego kolorytu. Och, mając taką historię będę tak bogaty...

Piraci ponownie zmierzili go groźnym wzrokiem. Przełknął ślinę.

– To znaczy pięćdziesiąt procent. Standardowa prowizja.
– Dziesięć – warknął Lockhart.
– Dziesięć jest w porządku. Dziesięć jest wspaniale! – Ian połknął swój rum. Pirat siedzący obok niego nalał mu kolejną szklanekę do pełna.
– Trzy – powiedział kapitan.
– Trzy procent?! Chciwy drań! – mruknął Ian. Lockhart zgniótł go spojrzeniem, a potem posłał Cecilii zniewalający uśmiech.
– Mówiłaś, że trzy rzeczy, najdroższa. Raz: Bermudy. Dwa: jaskrawe białe światło. Trzy...? – buchnął się na krześle.
– Trzy...
Wyciągnęła rękę, schwyciła poręcz kapitańskiego krzesła i z łoskotem postawiła wszystkie jego cztery nogi na pokładzie. Lockhart poleciał do przodu, a ona pocałowała go przy akompaniamencie uderzających w stół dłoni.
– Trzy mi się podoba. – Cofnął lekko głowę, by powiedzieć te słowa. – Myślę, że trzy najbardziej mi się podoba. Ale mógłbym jeszcze sprawdzić?
– No to w takim razie cztery – poprawiła, zakładając mu ręce na szyję. – Pobierzemy się, zanim wystąpisz u Ophry, bo potem nie będziesz mógł się opędzić swoim kordem od dziewczyn.
Dookoła stołu nastąpiła krótka chwila ciszy.
– Oprah. – Argyle wznosił szklanekę do toastu. – Podoba mi się brzmienie tego słowa.

O Autorze

RACHEL CAINE swoją pracę pisarską rozpoczęła w 1991 roku. W USA jest znana głównie jako autorka cyklu „Weather Warden” (*Strażnik Pogody*), którego szósta powieść ukazała się w 2007. Na ile czas i zdrowe zmysły pozwalają, pod różnymi pseudonimami pisuje również m. in. romanse oraz powieści osadzone w światach RPG, jako Julie Fortune jest także współautorką książkowej wersji „Gwiezdných Wrót”.

W maju 2005 roku u Rachel Caine wykryto raka piersi. Od tego czasu autorka zachęca wszystkich do wspomagania fundacji zbierających środki na walkę z nowotworami.

Więcej o pisarce można przeczytać po angielsku na jej stronie internetowej: www.rachelcaine.com. Jeśli ktoś czuje niedosyt informacji, wiemy z dobrego źródła, że Rachel Caine łatwo przekupić dobrą czekoladą.

P. N. Elrod

Cała wstrząśnięta

– Hej tam, halo, siostró! Mogłabyś mi pomóc ściągnąć spodnie?

Frankie stanęła w miejscu jak wryta na dźwięk aksamitnego, męskiego, tajemniczo znajomego głosu, który dochodził skądś z góry. Normalnie na facecie, który ośmieliłby się puścić do niej taki tekst, wyładowałaby nadmiar energii, ale ten głos...

Wychowała się na tym głosie.

Spojrzała w górę i... o tak, to był on – stał wyprostowany na platformie za kulisami gotowy do zaśpiewania pierwszego kawałka.

Wydawało się to niemożliwe, a jednak! Elvis właśnie poprosił ją, żeby ściągnęła mu spodnie.

Co do diabła...?

– Nogawki, kochanie – wskazał i posłał jej półuśmiech ze słynnym wykrzywieniem ust, a w jego niebieskich oczach pojawił się figlarny błysk.

Jego kolana znajdowały się na wysokości jej oczu. Spuściła wzrok niżej, gdzie brzegi spodni spoczywały na czubkach lśniących skórzanych butów. Zamrugła powiekami, po czym ponownie popatrzyła na niego z otwartymi ustami. Naprawdę wyglądał jak prawdziwy, ale w końcu jej pracujący cały czas w pośpiechu mózg z opóźnieniem przypomniał sobie, że to piosenkarz-sobowtór. Miał śpiewać na weselu, panna młoda bardzo nalegała. Tak. Gust miała dobry.

– Uhm, pewnie – powiedziała Frankie i nagle przypomniała sobie, że trzyma szeroką tacę obładowaną faszerowanymi pieczarkami.

Była właścicielką firmy cateringowej, której zlecono obsługę wesela i zwykle tylko nadzorowała ludzi. Ale kiedy zrobił się kocioł, zabrała się energicznie do roboty wraz z resztą swoich pracowników. Wszystko tego wieczoru działało na przyspieszonych obrotach i musiała podejmować szybkie decyzje. Pomysł, żeby nieść drinki za kulisami, nie był jednak najlepszy. Musiała się tam przeciskać wśród sprzętu do nagłośnienia, futerałów na instrumenty i kilometrów przeróżnych kabli do oświetlenia. No ale za to w pewnym sensie spotkała swojego idola sprzed lat.

Szybko położyła tacę na brzegu platformy, uwalniając ręce i mocno pociągnęła za mankiety jego spodni. Skórzanych spodni. Facet wyglądał jak Elvis z 1968 – w jego najseksowniejszym momencie życia, od stóp do głów ubrany w czarną skórę.

– Troszkę mocniej, kochanie – powiedział, najwyraźniej w pełni wcielając się w rolę.

Tylko Elvisowi uszłoby coś takiego na sucho. Ale to nie był prawdziwy Elvis, tylko cholernie wspaniały, pierwszorzędny substytut, dokładnie tej samej budowy, z tak samo ubitym tyłkiem i szerokimi ramionami, które do granic wytrzymałości wypełniały skórzaną kurtkę. Nie było w nim nic sztucznego. O rany, ciągle produkują takich facetów?

Spodnie przylegały do mięśni jego nóg jak druga skóra. Pociągnęła mocniej najpierw jedną nogawkę, potem drugą. Nie należało to może do jej obowiązków, ale... o rany, żaden kłopot, skądże znowu, oczywiście, że nie!

– Może być? – zapytała.

Obrzucił Frankie spojrzeniem – takim, które spowodowało, że jej dwudziestojednoletnia wówczas babcia wrzeszczała i zemdląła na jednym z koncertów Elvisa w 1956. Była dumna z tego incydentu, natomiast przyjaciele wciąż jej wypominali, że musieli ją cucić.

Frankie nagle zrozumiała, co czuła babcia. Trzęsące się kolana, łomot serca, wytrzeszcz oczu. Zdołała się jednak utrzymać na nogach i odwzajemnić spojrzenie. Widok był wspaniały, mimo że na chwilę doznała paraliżu i całkowitej pustki w głowie.

I to tylko od jednego spojrzenia. O rany!

Wzięła się jednak w garść. Elvis był najbardziej pożądanym z poświadanych, ale hej, tego tu zatrudniono tak jak i ją. Może i znajdował się nieco wyżej w łańcuchu pokarmowym branży ślubnej, jednak nie było za kim się uganiać. Stał przed nią jedynie wytwór kostiumu, makijażu i przyjętej pozy. Pewnie miał głupkowate imię i to nawet nie na E.

– Jak ci na imię kochanie? – zapytał, jakby czytał w jej myślach. Moc wátów w uśmiechu wzrosła. Sukinkot z pewnością był świadomy wrażenia, jakie na niej wywierał i dobrze się tym bawił.

– Catering „Mniam, Mniam” – wypaliła. Była to nazwa jej małej firmy, którą z dumą wymawiała do słuchawki za każdym razem, gdy zadzwonił telefon. I za nic w świecie nie mogła pojąć, dlaczego to właśnie powiedziała królowi rock’n’rolla.

Ale spowodowała, że zamrugał oczami trochę zaskoczony. Potem znów zobaczyła iskrę w jego oku i błysk białych zębów.

– No tak, mama i tata mieli rację. Mogę cię nazywać w skrócie mniam-mniam-kotkiem?

Poczuła, jak w jej gardle rośnie idiotyczny chichot, ale udało się jej go powstrzymać. Wiele rzeczy można było o Frankie powiedzieć, jednak nie to, że mijały lata, a ona pozostała bezmyślną, chichoczącą głupiutką gęsią.

– To znaczy... chciałam powiedzieć... jestem Frankie Foster. Organizuję tu catering.

– W takim razie miło mi cię poznać. Pachną wyśmienicie – powiedział, wskazując ruchem głowy pieczarki.

– Chcesz spróbować?

– Nie przed występem. Może po. Uchowasz trochę dla mnie i mojej ekipy?

– Pewnie – zaszczebiotała bezmyślnie. Znowu! Ktoś inny zapłacił za jedzenie i to do niego ono należało. Przed nią jeszcze całe wesele, a ten typ w

samych gaciach już sepi resztki.

Tylko że... na Boga to był jednak Elvis! No dobra, niech będzie, nie Elvis, tylko „artysta składający hołd”.

Słyszała, że tacy wolą to określenie niż „odtwórca”. Jednak pomimo to...

– No to w porządku. Na razie, panno Foster! – Ruszył rozkołysanym krokiem, rzucając jej ostatnie spojrzenie z dziesiątym czy dwudziestym z kolei błyskiem, ale kto by tam je liczył! I odszedł skonsultować się z jednym z techników ze swojej grupy.

Frankie opadła, jakby nagle uszło z niej powietrze. Czowała, że każdy mięsień jej ciała wykonał ogromną pracę. I nic dziwnego – zawsze miała słabość do artystów. Ich energia była wyjątkowa, zniewalająca i nie zawsze dla niej dobra. Czymś takim lepiej cieszyć się z daleka, z miejsca przeznaczonego dla publiczności niż z bliska i, i, i... z bardziej bliska.

Schwyciła tacę z pieczarkami. Znów była w pracy, przedzierając się przez leżący na ziemi złom. Przeszła przez platformę i dotarła do stolików.

– Muszę trzymać się z daleka od facetów z show biznesu – wymamrotała.

Podniecali ją, ale najczęściej dźwigali ze sobą jakiś bagaż albo oczekiwali, że zna niepisane reguły ich fachu. No i to ich ego! Nie zapominajmy o ego. To był całkiem inny świat niż jej, a szok kulturowy powodował zbyt duże zamieszanie w głowie i w sercu.

W swoim czasie zmarnowała sześć tygodni, umawiając się z pięknym, ale dożywotnio niedojrzałym maminsynkiem. W końcu wywołał o jedną kłótnię za dużo o to, że niewystarczająco mocno oklaskiwała go za występ w charakterze dublera mordercy w wystawionym przez lokalną społeczność „Makbecie”.

Ten Elvis... porażająco smakowity, ale nie figurował na jej karcie dań. Absolutnie! Będzie podziwiał jego talent z bezpiecznej odległości.

Catering nadawał jej życiu rozmachu i była w tym dobra. Umiała gotować jak diabli, a koszta (brutto i netto) nasiadówki dla stu osób potrafiła wyliczyć w głowie. Bez problemu przeprowadzała najbardziej zdenerwowane panny młode przez skomplikowany proces zaplanowania przyjęcia weselnego. Tak, lepiej trzymać się tego, na czym się zna i nie mieszać światów. Oczywiście nie zaszkodzi od czasu do czasu spojrzeć przez płot na zaproszony talent, ale nic więcej. Żadnego Elvisa i bzdur o tym, że on nadal żyje – jak niektórzy święcie wierzą!

Wzięła pustą tacę ze stolika z przystawkami, kładąc pełną w jej miejsce tak szybko, że stojący w rzędzie goście prawie nic nie zauważyli. Sprawdziła ilość jedzenia na stolikach i poczuła zadowolenie (oraz ulgę), że ponownie wszystko dobrze wykalkulowała. Bar sałatkowy cieszył się wzięciem. Druhny wraz z panną młodą, wszystkie chude jak tyczka modelki niczym wygłodzone króliki przeżuwały sałatę, warzywka i tom. Sprawdzenie, ilu gości jest wegetarianami, było ze strony Frankie sprytnym posunięciem. Surowa zielona

żywność nie kosztowała wiele, a to z kolei pozwalało dać upust fantazji w przygotowaniu dań mięsnych, nie przekraczając budżetu.

Pierwszorządne żeberka (popularna, aczkolwiek kosztowna klasyka) wraz z kurczakiem i rybą znikwały w szybkim tempie nakładane na talerze przesuwanej się kolejki gości. Prawa ręka Frankie, Omar, miał wszystko pod kontrolą. W miarę jak ubywało żeberko, szybko i wprawnie wykrawał nowe jednym ze swoich wielkich noży.

Oprócz rozlania się lepkiego soku owocowego (na szczęście nie drogiego wina) impreza przebiegała wyjątkowo dobrze. Dla panny młodej był to już trzeci raz, więc wiedziała dokładnie, czego chce. Łatwo było wszystko zaplanować, chociaż z początku cyfry poraziły Frankie. Nigdy wcześniej nie obsługiwała tak dużego wesela, dlatego odetchnęła, gdy panna młoda zdecydowała się na bufet. Frankie nie zatrudniała tak dużego personelu, aby mógł sobie poradzić z podawaniem do tak wielu stołów. Jednak napoje trzeba było serwować każdemu z osobna. Specjalnie na tę okazję zatrudniła kilka obrotnych osób, które miały dopilnować, by każdy dostał wybranego przez siebie drinka. Gdyby to samo musiała robić z jedzeniem, musiałaby zrezygnować z przygotowania imprezy.

Co oznaczałoby, że nie spotkałaby Elvisa.

– Jaki on jest? – zaczęła ją babcia odpowiedzialna za rolady. Miała siedemdziesiąt lat, dobrze się trzymała i lubiła być zajęta, pomagając przy weselach.

– Jaki on?

– Pan młody. No wiesz, Santiago.

Ponieważ miała w tym sporo praktyki, Frankie z łatwością powstrzymała się przed zrobieniem odpowiedniej miny, słysząc to imię, które, jak przypuszczała, facet sam sobie nadał. Był tandetnym zapaśnikiem występującym w telewizji. Duży i od stóp do głów umięśniony. Jakimś cudem magia fraka (szytego na miarę, rozmiar XXL) nadała jego ogolonej, wytatuowanej głowie wyrafinowania i klasy.

– Nie w moim typie – odparła.

Babcia, używając nosa i gardła, wydała z siebie dźwięk poirytowania.

– Obudź się i wachaj pot dziewczyno, bo on wzbudza grozę.

Mówiąc to, zadrżała lekko, ale nie z powodu strachu, lecz adrenaliny. Wiadra testosteronu płynące po sali, czyli druźbowie – masa przystojnych mięśniaków z zapaśniczego światka wywoływały w niej taki właśnie efekt. Lubiała powiedzenie: „Jestem stara, ale jeszcze żywa!”.

– To i tak nie mój typ. – Frankie aż się wzdrygnęła. Santiago odpychał ją i to nie z powodu budzącego strach wyglądu. Było w nim coś takiego, co wyczuwała, ale nie zadawała sobie trudu, by to coś zdefiniować.

Bez względu na to, co się kryło w jego wnętrzu, facet usidlił ślicznotkę,

modelkę z pierwszych stron kolorowych śliskich magazynów, która szybko zyskiwała międzynarodową sławę.

Swego czasu panna młoda brała udział w sesji zdjęciowej, podczas której pozowała w strojach wieczorowych otoczona zapaśnikami – im bardziej wyglądającymi na twardzieli, tym lepiej. On był z całej zgrai największy i tak jakoś coś się między nimi zaczęło. Być może znaleźli wspólny grunt, jakim były, powiedzmy sobie, geograficznie inspirowane imiona. Jej brzmiało Trynidad. Frankie była ciekawa, czy będą kontynuować tradycję, gdy urodzą się im dzieci. Przez miłosiernie krótką chwilę przez jej umysł przemknął obraz, na którym pozują przed kominkiem do zdjęcia na kartkę bożonarodzeniową: Santiago obejmuje Trynidad swoją niedźwiedzią łapą, a na jej kolanach siedzi mały Tierra del Fuego i jego siostra Peru.

Jakimś dziwnym sposobem Frankie wiedziała, że tak się nigdy nie stanie. Santiago... cóż w nim takiego było?

Widziała go wyraźnie w zatłoczonym pomieszczeniu. Skupiła się i pozwoliła, by to do niej przyszło. Nie robiła tego często, bo nie lubiła naruszać czyjejs prywatności, ale teraz zżerała ją ciekawość. Najmniejsze szczegóły w wyrazie twarzy i języku ciała nabrały możliwego do odczytania znaczenia. Z odległości, jaka ich dzieliła, uchwyciła nikły ślad, ale to wystarczyło. O rany! To było coś złego. Będzie chciał, żeby Trynidad została w domu, we wszystkim mu usługiwała, rodziła dzieci i dopingowała go podczas zapaśniczych pojedynków. Jej dni modelki były już policzone.

Ale z nią to nie przejdzie. Kochała swoją pracę i żeby robić karierę rozstała się już z dwoma byłymi mężami (podrzedną gwiazdą rocka i księgowym).

A niech to! Na twarzy Frankie pojawił się grymas. Rozłam nastąpi już w ciągu najbliższych miesięcy po powrocie pary z miodowego miesiąca. Teraz nie daliby wiary jakimkolwiek ostrzeżeniom. Pobrali się i byli szczęśliwi. Na razie. Niech sprawy potoczą się własnym biegiem...

Nikt nie lubił Kasandr, o czym Frankie przekonała się na własnej skórze w okresie dojrzewania, kiedy to odkryła w sobie talent do odgadywania ludzkich myśli. Nie zawsze mogła odczytać, co czeka daną osobę w przyszłości, ale potrafiła odróżnić przyjaciela od wroga. W jej branży bardzo się to przydawało. Potrafiła dokładnie stwierdzić, kto prześle jej czek, a kto nie, dzięki temu wykopywała za drzwi licznych nieskorych do zapłaty klientów, zanim jeszcze cokolwiek zamówili.

Ale, co smutne, nie była wszystkowiedząca. W grę wchodził jeszcze czynnik hormonalny. Jeśli jakiś facet uruchamiał w niej wszystkie guziki naraz, wówczas talent Frankie blokował się i przestawał działać. Tak było z tamtym aktorem od „Mackbeta”.

I tak samo działo się teraz z Elvisem.

Nie ma czego żałować, żaden problem, bo Frankie i tak nie umówiłaby się z nim, nawet gdyby poprosił. Miły posiłek składający się z weselnych resztek i rozmowa o pracy to będzie absolutny limit. Babcia i tak miałyby z tego radochę. Uwielbiała Elvisa i gdy tylko dowiedziała się, że na przyjęciu weselnym będzie występował odtwórca, to znaczy „artysta składający hołd”, od razu zaoferowała swoją pomoc. A nie miała przecież jeszcze pojęcia, jak bardzo ten mężczyzna przypominał wyglądem oryginał, przynajmniej tam za kulisami, w przygaszonym świetle. Może udałoby się zrobić jedno czy dwa zdjęcia jemu i babci? Wydawał się przyjaznym typem... no chyba że to była tylko część gry. Dopóki Frankie mentalnie się nie uspokoi, nie będzie mogła go rozszyfrować.

Rozejrzała się po przestrzennej sali w kierunku sceny za kulisami. Miała nadzieję, że go dostrzeże.

Pomieszczenie błyszczało od złotych świecidełek i lśniących baloników. Dziewczyna w kasztanowym płaszczu z szerokimi wyściełanymi ramionami grzebała przy perkusji, podczas gdy dwaj inni faceci w dopasowanych kasztanowych koszulkach sprawdzali mikrofony i nagłośnienie. Jeszcze inny muzyk umieścił na scenie gitary – akustyczną i elektryczną i upewniał się, czy ta ostatnia jest odpowiednio podłączona. Wyglądało, że będzie to raczej koncert niż weselna rozrywka. Na przedzie perkusji spostrzegła nazwę grupy: Coop's Cool Cats.

Trzy litery C były ze sobą połączone i przypominały czcionki używane w latach pięćdziesiątych. Bardzo retro. Tylko ani śladu gwiazdy.

– Jak leci? – spytała dziewczyna, która usiadła obok Frankie, żeby odsapnąć.

– Całkiem dobrze, ale nie chcę zapeszać.

Pytanie zadała Aleen, jedna z druhen. Prezentowała się naprawdę dobrze w swoim stroju, chociaż dla tradycjonalisty wyglądałaby na chodzące szkaradztwo. Aleen była zwolenniczką przekłuwania i to w dużych ilościach – uszy, język i inne miejsca, których nazw lepiej nie wymieniać. Miała czarne jak sadza włosy i tatuaże. Więc cóż jej mogło zaszkodzić kilka fioletowych satynowych koronek?

Podobnie jak Trynidad Aleen była profesjonalną modelką. Cieszyła się dużą popularnością w tych bardziej skrajnych magazynach poświęconych modzie. Były z Frankie przyjaciółkami z czasów szkolnych i to właśnie ona zasugerowała pannie młodej Catering „Mniam, Mniam”, za co Frankie wciąż jej jeszcze dziękowała. Trynidad sporo ryzykowała, powierzając swoje przedsięwzięcie mało znanej firmie.

– Trini była taka zdenerwowana przed ceremonią – powiedziała Aleen – ale ani trochę nie dała tego po sobie poznać, kiedy szła nawą. Cóż za profesjonalizm!

– Zdenerwowana? Pięciuset gości, ochroniarze, brukowa prasa, czym

niby miałyby się denerwować? – Frankie potrząsnęła głową.

– Tym, co zwykle. Do trzech razy sztuka. Ona naprawdę chce, żeby tym razem się udało.

– No to złapała nie tego faceta – odezwała się babcia, wyglądając zza tacy z chlebem, żeby posłuchać.

– Och, tylko nie mówcie mi, że znowu czujecie wibracje! – Aleen spojrzała strapiona, chociaż ciężko było to tak naprawdę stwierdzić, ponieważ ze swoim firmowym kredowo-biało-szarym makijażem zawsze tak wyglądała.

– Jak w gitarze z pękniętą struną – oświadczyła babcia.

– Frankie?

– Obawiam się, że tak – przytaknęła. Babcia też wyczuła, co siedziało we wnętrzu Santiago, tylko wcześniej po prostu wołała o tym nie mówić.

– Wy jesteście po prostu dziwne i przerażające.

– To błogosławieństwo i przekleństwo zarazem – powiedziała babcia, podnosząc wzrok w kierunku sufitu, a potem z uśmiechem wróciła do nakładania rolad.

– Co się stanie?

Frankie z wahaniem zdradziła tych kilka rzeczy o Santiago, jakie zdążyła wyczuć. Babcia poparła ją i dodała:

– Ale niekoniecznie musi tak być. Można to zmienić.

– Jak? – zażądała Aleen.

Na to babcia aż się wzdrygnęła.

– To zależy od szczęśliwej młodej pary. Może Trynidad nagle stwierdzi, że chciałyby się udomowić. Może Santiago dołączy do dwudziestego pierwszego wieku i wycofa się z próby zrobienia z niej kogoś, kim nie jest. Kluczem do każdego związku jest zaakceptowanie partnera takim, jaki jest, a nie urobienie go według własnych upodobań i wyobrażeń. Wyobrażenia zawsze zawodzą.

– Ale biedna Trini! – westchnęła Aleen. – Czuję, że powinnam ją ostrzec albo co.

– To nic nie da. Zaufaj mi. To już sprawdzone.

– Czy wasze wibracje kiedykolwiek się mylą?

– Nigdy. Ale się przydają. Pomogły mi wybrać odpowiedniego mężczyznę. Tak samo jak mamie Frankie. Miejmy nadzieję, że Frankie też będzie miała tyle szczęścia, jeśli... albo kiedy już spróbuje.

Frankie wywróciła oczami.

– Tylko nie dzisiaj. Jestem zbyt zajęta. – Pośpieszyła w stronę kolejki gości, której właśnie kończyły się ziemniaki.

Aleen została z babcią, prawdopodobnie mając nadzieję, że uda się jej ocalić małżeństwo Trynidad.

„Wibracje” – tym słowem zawsze określała wszystko, co działo się w

rodzinie Frankie po kądzieli. A działa się od dawien dawna, kiedy jeszcze kobiety określały to Widzeniem, Okiem, czarami albo wcale tego nie nazywały. Babcia nigdy nie robiła ze swojego talentu jakiegoś wielkiego halo, zupełnie jakby to było znamię czy coś w tym rodzaju. Frankie dorastała więc w minimum traumy.

Pierwszy atak głodnych gości dobiegł końca i prawie wszyscy, z wyjątkiem kilku obzartuchów, siedzieli już przy stole. Wielka sala wypełniła się głośnym echem jednocześnie prowadzonych rozmów i szczękiem kładzionych na talerze sztućców. Scenę tę uwieczniono wizualnie za pomocą aparatu oficjalnego fotografa.

Wesela przebiegały mniej więcej według tego samego planu, nawet tak duże jak to. Za chwilę nastąpi drugie podejście do jedzenia. Niektórzy zapaśnicy już stali w kolejce.

A byli to całkiem duzi faceci. Frankie miała nadzieję, że przygotowała wystarczające zapasy. W przeciwnym razie Coop's Cool Cats mogą nie mieć szczęścia i nie zasiądą do posiłku po skończonym występie.

Wszystko było jednak pod kontrolą i szło gładko. Panna młoda będzie zadowolona i może poleci Catering „Mniam, Mniam” swoim przyjaciółkom. Nie zaszkodzi mieć w biurze zdjęcie Trynidad. Jeśli chodzi o status, to wesele było nie lada gratką dla firmy Frankie.

Była właśnie w kuchni, nadzorując wstęp do sprzątania, kiedy usłyszała pobrzękujący przez ściany dźwięk gitary elektrycznej zapowiadający początek występu. Wytarła mokre ręce i poszła popatrzeć. Kolejka do głównego dania już się rozeszła. Nie pozostało nic do roboty, jak tylko posprzątać, zanim zacznie się krojenie tortu. Mogła sobie pozwolić na przerwę.

I znowu usłyszała brzdęk, a potem perkusistka zaczęła bębnić z wigorem, przygotowując zebranych na wielkie wejście gwiazdy. Frankie mogła się domyślić, że babcia znajdzie sobie najlepsze miejsce do oglądania. Kiedy ją dostrzegła w tłumie gości, ruszyła, by do niej dołączyć. Przed sobą miały tylko scenę.

– Jest zajebiiiście – powiedziała babcia, której uchodziło na sucho używanie zwrotów nastolatków, ponieważ w jej przypadku brzmiały słodko i naturalnie. Lśniaca twarz i błysk w oku świadczyły o tym, że nawet po pięćdziesięciu latach wiele w niej zostało z tamtej dziewczyny, co zemdląca przy Elvisie.

– Zajebićście – zgodziła się Frankie zmuszona, by podnieść głos, bo inaczej zagłuszyłyby ją nasilające się fanfary. W grupie był saksofonista i puzonista i oba instrumenty wzbogacały gamę dźwięków. Uwielbiała muzykę na żywo, zwłaszcza dobrze wykonaną. Dziś wieczór miała być uczta. Wyciągnęła szyję, szukając Elvisa na scenie.

– Przepraszam, piękne panie. Ten głos!

Nogi Frankie zrobiły się jak z galarety. Mężczyzna był tuż za nią i nachylał się, mówiąc prawie do jej ucha.

Babcia podskoczyła i rozdziawiła na jego widok usta, z których wydobyło się ciche „O mój Boże!”. Ależ wielkie miała oczy!

Elvis zrewanżował się uśmiechem i szybko wtrącił:

– Przepraszam, interesy czekają.

Z pewnością jego przeznaczeniem były wspanialsze wejścia niż wyskakiwanie zza jakiegoś przepierzenia na scenie.

Przecisnął się pomiędzy kobietami. Frankie wyczuła woń ostrego płynu po goleniu pomieszanego z zapachem skózanego ubrania. Po chwili był już na scenie. Perkusja i gitara rozszalały się na dobre, a w jej oczy na moment błysnęło światło reflektora. Potem już ostatecznie spoczęło na Elvisie.

Goście wydali z siebie zbiorowe westchnienie. Wielu z nich było zaznajomionych ze specyfiką przemysłu rozrywkowego, ale najwyraźniej nie oczekiwali takiej jakości. Bezlitosne reflektory bez trudu potrafiły wychwycić każdą usterkę, tylko że teraz nie było czego wyłapywać. Elvis wyglądał perfekcyjnie pod każdym względem. Z łatwością poruszał się wśród tłumu, zatrzymywał przy stolikach, rzucając to swoje spojrzenie i za każdym razem wywoływał tym okrzyki tuzinów poruszonych dziewcząt. Wyciągały do niego ręce, a on muskał kilka z nich i szeroko się uśmiechał, jakby dzielił z nimi sekretny żart. Publiczność zaczęła spontanicznie bić brawo. Frankie stwierdziła ze zdziwieniem, że bezwiednie przyłączyła się do oklasków.

Pokonał dwa stopnie prowadzące na scenę, umieścił bezprzewodowy mikrofon w statywie i stanął zwrócony plecami do publiczności, z rozstawionymi stopami i nogami wygiętymi jak nawiasy. Uniósł i zaraz opuścił ramiona, a publiczność zawyla. Potem wyciągnął w górę rękę, rozstawił palce i wskazał na sufit. Muzyka zamilkła. Cała sala gwałtownie ucichła.

Odwrócił się powoli, uniósł głowę i zgarbił lekko ramiona, rękę trzymając cały czas w górze. Wydawało się, że wszyscy wstrzymali oddech.

Przyciągnął do ust mikrofon. Jego głębokie „ha, ha, ha” obleciało całą salę i wszyscy, łącznie z Frankie, zagrzmieni w odpowiedzi. Gdyby występ skończył się w tym momencie i tak uznany by był za sukces, ale perkusistka ponownie rozpoczęła wiodący beat, zaraz dołączył się gitarzysta i Elvis rozpoczął „Hound Dog”.

Głos był identyczny jak ten, który Frankie słyszała na płytach babci, a później na kolekcji swoich kompaktów. Barwa, ton i skala były takie same, ale nie był to występ z playbacku. Mężczyzna na scenie naprawdę śpiewał i dawał z siebie wszystko. Ruchy miał tak dokładnie dopracowane, jakby sam je wymyślił. Swoim wulkanem energii zaraził także publiczność i kilka osób wstało od stolików i zaczęło tańczyć, nie mogąc usiedzieć w miejscu.

– Co o tym sądzisz, babciu? – zapytała Frankie. Hałas był taki, że musiała

wrzasnąć. – Nakarmimy ich później! Zgadzasz się?!

Babcia patrzyła szeroko otwartymi oczami na mężczyznę na scenie i nie odpowiadała. Coś się w niej rozłączyło.

– Babciu? Potrzęsnęła tylko głową.

– Nie teraz – poruszyła ustami i wskazała ręką Elvisa.

No dobra, w porządku. Frankie też chciała się dobrze bawić. Jeśli babcia ma problem, to mogą go rozwiązać później.

Elvis skończył pierwszy kawałek i uklonił się publiczności. Frankie zlustrowała tłum, dostrzegając niedowierzanie na niektórych twarzach i wyraźne uwielbienie na innych. Najbardziej oszołomieni byli starsi ludzie, którzy pamiętali prawdziwego idola. Do tej reszty urodzonej lata po jego śmierci zaczęło docierać, co takiego widzieli w nim ich rodzice i dziadkowie. Mogła się założyć, że następnego dnia pójdą do sklepu muzycznego i wzbogacą swoją kolekcję kompaktów.

Był ponadczasowy. Nagle poczuła zadowolenie, że babcia od najmłodszych lat nauczyła ją doceniać jego wartość.

Mężczyzna na scenie podziękował wszystkim i gdy mówił, jego głos również brzmiał tak samo, łącznie z nastrojowym akcentem.

Następnie przeszedł do nowej roli mistrza ceremonii. Przedstawił pannę młodą i pana młodego, rzucił łagodny żart na temat ich wyjątkowych imion i nagle wszystkim wydało się, że jest ich bliskim przyjacielem.

– To chyba nie do końca prawda, co mówią o stanie kawalerskim. Zgodzisz się, Santiago? – zapytał. – Tak, niektórzy twoi kumple opowiedzieli mi, jak to z tobą było, zanim poznałeś tę piękną damę, obok której teraz siedzisz...

Muzyka zabrzmiała i zaczął śpiewać „Are You Lonesome Tonight?”. Znajomi zaczęli gwizdać na pana młodego, który wyszczerzał zęby w uśmiechu i kiwnął na znak, że tej nocy być sam w żadnym razie nie zamierza, a potem podniósł swoją ogoloną wytatuowaną głowę, wsłuchując się, jakby wcześniej tego utworu nie znał. Gdy piosenka dobiegła końca, wyglądał dość ponuro.

– Oczywiście – ciągnął Elvis – umawiałeś się z wieloma dziewczynami, jesteś popularnym facetem, ale kiedy nie możesz znaleźć tej jednej jedynej, to jest tylko jedno miejsce, gdzie można pójść...

Zaśpiewał „Heartbreak Hotel”.

Cała kapela grała jak natchniona. Miało się wrażenie, że Elvisa wspiera cała orkiestra, a nie tylko kilku muzyków i mnóstwo amperów. Frankie widziała sporo weselnych śpiewaków, jednak żaden nie miał nawet połowy tej klasy co on.

Kiedy już ucichły oklaski, przemówił ponownie:

– I wtedy pewnego dnia, jeśli ma się dość szczęścia, znikąd pojawia się ona, jest obok ciebie i wydaje ci się, jakbyś znał ją całe swoje życie. To ta jedna

jedyna kobieta, którą możesz kochać wiecznie. Ona jest bezcenna, człowieku, bezcenna.

Santiago kiwnął głową na znak zgody i spojrzał na pannę młodą, a Elvis zaśpiewał „I Can't Help Falling In Love”. Nie był jeszcze w połowie, gdy matka panny młodej zalała się łzami. Jej mąż objął ją ramieniem. Pod wpływem muzyki i głosu piosenkarza kilka innych par również usiadło trochę inaczej. Frankie poczuła, jak coś ściska ją w gardle, i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu szklanki z wodą, którą wcześniej postawiła na stoliku.

– Babciu? Nic ci nie jest?

Babcia płakała, trzymając w ręku paczkę papierowych chusteczek, by miała czym ocierać łzy. „Nic nie poradzę, że się w tobie zakochałam” – łkała bezgłośnie wraz z sobowtórem swojego idola, ale zaraz potrząsnęła głową i ruchem ręki dała Frankie znak, że nic jej nie jest. Najwyraźniej cudownie się bawiła.

– Ale jedna rzecz to kochać kobietę, a druga umieć ją docenić – przemówił Elvis. – Pomyśl Santiago, ze wszystkich przystojnych mężczyzn na całym szerokim świecie – tu uśmiechnął się chytrze – a jestem pewien, że do nich należysz...

Okrzyki i gwizdy trwały kilka chwil.

– ...Ze wszystkich tych facetów ta piękna, cudowna dama wybrała ciebie. I jak ci się wydaje, dlaczego to zrobiła?

Santiago potrząsnął głową. Jego twarz spoważniała, jakby naprawdę potrzebował odpowiedzi.

– Bo cię kocha, człowieku! Ale nigdy na tym nie poprzestawaj. Szanuj ją, kochaj i bądź przy niej i...

„Love Me Tender” było następne i ze wszystkich wykonania, jakie Frankie kiedykolwiek słyszała, to brzmiało najdelikatniej i najbardziej słodko. Elvis zszedł ze sceny, podszedł do stolika młodych i śpiewał bezpośrednio do nich.

Ścisk gardła powrócił, a babcia rozdarła kolejną paczkę chusteczek. Wszyscy – goście, obsługa i ochroniarze, którzy z zaciętymi twarzami stali, by powstrzymywać nieproszone osoby – wydawali się głęboko poruszeni.

– Ten facet jest więcej niż niesamowity – szepnęła Frankie.

– Kochanie, ty nawet połowy nie wiesz – odpowiedziała szeptem babcia.

Kiedy już skończył, młoda para pocałowała się i nie oni jedni. Nie było to częścią jakiegoś planu, stało się tak po prostu. Frankie nagle zapragnęła, by też móc kogoś pocałować, a Elvis w skali od jednego do dziesięciu miał u niej przynajmniej dwanaście punktów. Był tylko iluzją, ale niech to diabli, cholernie dobrą i atrakcyjną iluzją!

Kiedy wracał na scenę, towarzyszyły mu odgłosy pociągania nosem i wydmuchiwania go w chusteczkę. Niewiarygodne! Większość tych ukrytych szlochów pochodziła od ekipy wielkich, twardych kumpli pana młodego.

– Znalazłeś ją, a ona wybrała ciebie i co się teraz dzieje? – zapytał Elvis i w odpowiedzi rzewnie zaśpiewał „One Night”, wkładając w to całe swoje serce, tak że Frankie musiała stłumić ochotę, by ruszyć za nim i wskoczyć na piosenkarza.

Ten przebój był gwoździem programu. Goście się przy nim tak rozszaleli, że Frankie nie mogła zrozumieć śpiewanych słów. Następny kawałek, „Hawaiian Wedding Song”, też wypadł perfekcyjnie. Ten nibyElvis był geniuszem. Nie pozostawił na sali ani jednego suchego oka. Jeszcze przez lata wszyscy będą wspominać to wesele.

– A teraz poproszę państwa młodych na parkiet. Śmiało, nie wstydźcie się! Jesteśmy tu w gronie przyjaciół.

Pierwszy taniec para zatańczyła przy „Can’t Help Falling in Love”. Elvis zachęcił publiczność do wspólnego śpiewania. Na parkiet wyszły inne pary. Frankie żałowała, że nie należy do zaproszonych gości.

Ktoś poklepał ją po ramieniu. Spodziewała się, że czeka ją jakiś kryzys w kuchni, ale nie. To był Omar, który zapraszał ją do tańca szeroko otwartymi ramionami. Zbliżał się do sześćdziesiątki i był całkowicie oddany swojej licznej rodzinie. Teraz odgrywał grzecznego dżentelmena? Nie, Frankie widziała, że i jego poruszyła muzyka. Zaśmiała się, przyjmując propozycję i wykonała kilka dystyngowanych obrotów w wolnym miejscu za stolikami.

Ktoś znowu ją poklepał – tym razem była to babcia, która też chciała wziąć udział w akcji.

– No już, dziecko – powiedziała. – Podziel się.

Omar ze śmiertelnie poważną miną wykonał ukłon przed swoją szefową i wziął babcie za rękę. Lubiła młodszych mężczyzn. Śmiała się, że tylko oni są w stanie dotrzymać jej kroku.

Frankie była zachwycona. Znowu, jak kot czyhający na ptaszka – mogła powrócić do oglądania tańca. Zdążyła akurat na koniec kolejnego pocałunku młodej pary. Cała sala wiwatowała.

Było cudownie. To był naprawdę Moment. Przez duże M.

Ale... coś było z nimi nie tak... nie... zmienili się! Co u diabła?...

Patrzyła na nich uważnie i coraz wyraźniej dostrzegała zmianę. Nie mogła się co do tego mylić. Ciągłe Santiago i Trynidad (cóż za śmieszne imiona!), ale emitowali całkowicie inne wibracje. Byli razem, naprawdę razem, jak dwoje pasujących do siebie dorosłych ludzi, którzy dążą do wspólnych celów. I którzy są połączeni jak magneścem miłością, która będzie trwać, prawdziwie trwać. Jeszcze pół godziny temu widziała co innego. Tego była pewna. Babcia zresztą też to widziała.

Frankie spojrzała na Elvisa i opadła jej szczeka.

O nie... niemożliwe. Tak dzieje się tylko w filmach. Ktoś śpiewa piosenkę i wszystko staje się lepsze?! To słodkie, ale nierealne w prawdziwym życiu. W

żaden sposób, w żaden cholerny sposób...

Elvis spojrział na Frankie z oddali i mimo że stała w słabo oświetlonym końcu ogromnej sali, odniosła wrażenie, że zatrzymał na niej wzrok. Otworzyła się troszkę, chcąc uchwycić jego wibracje, by tym razem móc go odczytać, ale nie zadziało tak, jak się tego spodziewała. Poczuła tylko jego wzrok, który skupiał się na niej jak reflektor.

Albo raczej poczuła pocisk z rakiety.

Wstrzymała oddech, serce znów w niej podskoczyło, a wszystkie światła w pomieszczeniu rozjarzyły się tak jasno, że nie mogła tego znieść.

Siły opuściły jej kolana, a umysł zawirował. Chwyciła się krzesła, by nie stracić równowagi. Na nic się to jednak nie zdało i wraz z krzesłem runęła w dół. Narobiła całkiem sporego rumoru.

Rozległy się okrzyki zaskoczenia i chwilę później już otaczały ją troskliwe głosy i pomocne dłonie. Tylko jakimś cudem nie rozwaliła sobie głowy i nie straciła przytomności na dłużej. Zemdlała jak uczennica!

Babcia była na miejscu i wyciskała wodę ze ścierki, aby skropić jej twarz. Ohyda!

– Już wszystko dobrze, kochanie.

Spróbowała wstać, ale nic z tego. Omar chwycił ją za ramiona, a ktoś inny, kogo nie widziała, w komiczny sposób uniósł do góry jej stopy. Ucieszyła się jak nie wiem co, że na ten wieczór włożyła spodnie.

– Nic mi nie jest – szamocząc się, powiedziała chrapliwym głosem. – Dajcie mi wstać.

– Nie. – Omar zaprotestował tonem, jakim zwykł przemawiać do nieudolnej pomocy kuchennej tuż przed wywaleniem jej z pracy.

W porządku, poleżę sobie jeszcze troszkę, jeśli to ma go uspokoić. Jakoś zmusi zawroty głowy, żeby sobie poszły.

„Chyba już bardziej nie można być upokorzona?” – pomyślała Frankie.

Odpowiedź brzmiała „ależ można”. Co więcej: „jak diabli można!”. Jedną z osób, które się nad nią pochylały, był Elvis.

„Grrr!” Nie miała pojęcia, w jaki sposób zdołał się tu tak szybko przedostać przez tłum. No i po co?! Leżała tu sobie rozwalona z nogami w górze... i, o tak, z pewnością robiła wrażenie.

– Przepuście mnie – powiedział. – W wojsku liznałem trochę pierwszej pomocy.

Nikt nie dyskutował z tak słodkim głosem. Ludzie rozstąpili się, a on przystąpił do działania. Zacisnęła oczy w nadziei, że gdy je znowu otworzy, wszystko to się już skończy. Jakkolwiek była zażenowana, nie uszedł jej uwagi zapach wody po goleniu (a tak, skóry też!) i to, że był bardzo delikatny i pytał ją, czy boli to lub tamto. Miał świetną okazję, aby dotknąć ją tu i ówdzie, pozostał jednak idealnym dżentelmenem.

Upewnił się, że jej czaszka jest cała i że nie ma żadnych pęknięć. Potem pozwolił Frankie wstać. Teraz, kiedy mogła już złapać oddech, zawroty głowy ustąpiły.

Ale czekała ją jeszcze większa żenada! Jak tylko piosenkarz pomógł jej wstać na nogi, tłum dookoła zaczął wiwatować. Uczepiona ramienia Elvisa chciała posłać granat w kierunku geniusza, który skierował na nich snop światła.

– Frankie, wyglądasz jak sarna oślepią reflektorami samochodu – szepnęła babcia. – Uśmiechnij się i pomachaj jak astronauta.

Takie instrukcje stanowiły w jej życiu sposób na rozwiązanie szerokiej gamy katastrof, mniejszych lub większych. Frankie zrobiła, tak jak jej kazano. Zdziałało, nastąpiła kolejna porcja wiwatów. Drużba wraz z ojcem panny młodej łokciami torowali sobie drogę. Wyglądali na zdenerwowanych – prawdopodobnie obawiali się pozwu z jej strony. Ona jednak uśmiechnęła się i uniosła kciuki do góry ciągle uczepiona ramienia Elvisa. Był całkiem umięśniony pod tą skórzaną kurtką.

Babcia składała wyjaśnienia w jej imieniu (Boże, błogosław tę kobietę!), tłumacząc, że w kuchni było za gorąco i że Frankie zbyt ciężko pracowała. Podczas gdy staruszka odwracała uwagę gości od wnuczki, ta wpatrywała się w Elvisa.

– I cóżes ze mną, człowieku, zrobił? – burknęła. Odwzajemnił spojrzenie, w którym nie było ani przeprosin, ani zaprzeczeń, ani wyrazu typu: „o co ci chodzi?”.

– Bardzo mi przykro z tego powodu. Naprawdę. Jestem tak samo zaskoczony jak ty. Nie wiedziałem, że tak się mogło stać.

– Co się mogło stać? – zapytała z furią.

– No... eee... może pogadamy o tym później. Jest mi ogromnie, ogromnie przykro.

I zaczął się wycofywać. Szybko go złapała.

– Kim ty jesteś?

Dziwny wyraz pojawił się na jego twarzy i zaraz zniknął. Coś jakby smutek z domieszką łobuzerskiego uroku, a potem ten jego uśmiech, nieśmiały, słodki uśmiech, dokładnie taki, jaki widziała na filmach.

– Cóż, mniam-mniam-kotku, myślę, że już wiesz. Nie muszę nic wyjaśniać.

Frankie straciła czucie w palcach i jej uścisk zelżał, a on odszedł, żeby dokończyć występ.

Czułaby się o wiele szczęśliwsza, gdyby reszta wieczoru minęła w miłym mglistym otumanieniu, jednak wszystko było krystalicznie ostre i trwało o wiele

za długo.

Przemowy, krojenie tortu, zdjęcia, pamiątkowy film wideo... Panna młoda rzuciła bukiet. Pan młody rzucił podwiązkę, zaczynając w ten sposób pełen krzyków, gwałtowny pojedynek pomiędzy czterema drużbami. Przez moment wyglądało to okropnie, ale zaraz się okazało, że to takie małe zapaśnicze oszukaństwo, które specjalnie wyreżyserowali. Uścisnęli sobie ręce i jak na macho przystało, śmiejąc się, walili jeden drugiego w plecy.

A Elvis śpiewał. Wszystkim było go mało.

Niespodziewana przerwa w żaden sposób nie wpłynęła na jakość występu. Coop's Cool Cats grali i ruszali się na pełnych obrotach. Każda piosenka była prawdziwym tanecznym przebojem i to tak dobrze wykonanym, że już po kilku taktach Frankie przeszła cała złość. I właśnie to znów ją rozzłościło. Chciała, żeby gniew jej nie opuszczał, żeby miała go spory zapas podczas rozmowy, którą Elvis jej obiecał. Lecz jego muzyka nie pozwoliła jej zachować tego szczególnego rodzaju impetu.

No i on – był prawdziwie pełen skruchy. Choć blokował jej wibracje, była tego całkowicie pewna.

Elvis ustawił drużny w szeregu przed sceną i poprosił je o pomoc przy następnym utworze – „Rock-A-Hula Baby”. Rozkołysz się... Cóż, to może było łatwe w czasach Presleya, ale żadna z druzhen nie miała czym kołysać, musiały więc włożyć sporo wysiłku w taniec hula. Za to jeden z zapaśników okazał się Hawajczykiem i wykazywał niesamowitą kontrolę mięśni, ku wielkiej uciechu pań, szczególnie gdy zdjął marynarkę i koszulę, zostawiając tylko muszkę.

Ale nikt nawet się nie zbliżył do poziomu gwiazdora, który poruszał się, emanując czystym, żywym seksem.

Frankie nie mogła wyjść z podziwu, jak jego czarne skórzane ubranie wytrzymało wszystko, przez co kazał mu przechodzić. Niech to diabli, wyglądał świetnie! Biodra, ramiona, długie nogi, wszystko doskonale pracowało. Ani śladu przesady czy parodii. Facet miał talent!

Tylko... było to jakby smutne.

W trosce o zdrowie swoich zmysłów Frankie wolała dojść do wniosku, że pseudo-Elvis pozwolił zawładnąć sobą prawdziwemu. Tak, na pewno! Widziała już taki przypadek, kiedy jeszcze była z tym aktorem od „Mackbeta”. Jeden z jego przyjaciół nie mógł się uwolnić od postaci, którą grał. Jeszcze długo po tym, jak przestano wystawiać sztukę, nie wychodził z roli, zanim nie poszedł na przesłuchanie do nowego przedstawienia. Nawet inni aktorzy sugerowali mu terapię, a Frankie pielęgnowała w sobie tylko gorącą nadzieję, że nigdy nie obsadzą go w roli Kuby Rozpruwacza.

Z pewnością facet na scenie miał ten sam problem.

Współczuła mu, ale to w końcu jego życie. Poza tym sprawiał wrażenie, że mu się to podoba. A co tam, byli gorsi od Elvisa, których mogło mu się

zachcieć naśladować!

Serwowanie tortu oznaczało dla cateringu początek końca pracy. Frankie dopilnowała, aby gigantycznych rozmiarów kandyzowane owoce z tortu włożono do pudełka i zafoliowano. Rozesała również wynajętych pracowników do zbierania półmisek i sztuców i sprawdziła, czy wszystko zostało dokładnie sprzątnięte, a potem zapakowane. W sali mogli przebywać do trzeciej rano, jednak Frankie nie miała zamiaru tak długo zostawać. Z zemdleniem czy bez była to strasznie pracowita noc i powoli zaczynała ją dopadać zmęczenie.

Zgodnie z obietnicą zebrała też jedzenie dla Coop's Cool Cats. Zazwyczaj jej pracownicy dzielili się resztkami tylko we własnym gronie, ale nikt nie miał nic przeciwko późnej kolacji z Elvisem i jego grupą. Najwyraźniej wszyscy doznali gwiazdznego porażenia. Omar, który nie był zbyt rozmowny, kiwnął głową i zabrał się za organizowanie uczyty, dopilnowując, by półmiski były ciepłe. Pod jego bujnym wąsem błakał się wyczekujący uśmiech. Pomagała mu babcia, znów opowiadając o tym koncercie z 1956, kiedy to zemdląca. Omar życzliwie udawał, że nigdy wcześniej nie słyszał tej historii.

Panna młoda zniknęła, aby przebrać się w strój podróżny i spakować suknię ślubną. Aleen zdradziła, że ta prosta, biała futerałowa sukienka kosztowała więcej niż całe przyjęcie. Dobry Boże! I to wszystko na sukienkę? Jednorazową sukienkę?! Czy w świecie mody mijają dwa dni i cała zawartość twojej szafy już nie jest trendy? Hm, dziwne.

Elvis bawił publiczność do czasu, gdy nadszedł wielki moment odjazdu. Na sygnał od drużby zaczął ostatni numer – „Viva Las Vegas”, które to było miejscem, gdzie młoda para rzekomo zamierzała spędzić miodowy miesiąc. Tak poinformowali brukowce. Aleen miała jednak prawdziwe informacje: wybierali się nad Niagarę, a potem mieli objechać Kanadę. Kto by pomyślał...

Babcia była zmęczona, ale odmówiła, gdy Frankie zasugerowała, żeby zabrała się do domu z jednym z pracowników.

– Chcę jeszcze raz zerknąć na ogiera – powiedziała babcia i przysunęła sobie krzesło do składanego stolika w kuchni. Nie było potrzeby pytać, jakiego ogiera miała na myśli.

Zespół miał swój rutynowy sposób składania i pakowania sprzętu do furgonetki. Każdy zajmował się swoją działką, niewiele przy tym rozmawiając. Zwijali kable, starannie umieszczali instrumenty w specjalnych odpornych na uderzenia futerałach i wynosili je do samochodu. Wkrótce zostały tylko świecidełka i balony, których goście nie wzięli sobie na pamiątkę. Wszystko to zostanie sprzątnięte przez obsługę sali do następnego przyjęcia, zjazdu Masowego, wiecu politycznego czy czego tam. Frankie już wyobrażała sobie następne wielkie wesele.

Aleen przyszła skądś z fioletową sukienką na wieszaku zawiniętą w plastik. Na jej szczupłym ramieniu wisiała duża torebka. Wciągnęła czarne

dżinsy i założyła czerwoną obcisłą koszulkę bez rękawów. Wyglądała, jakby nie jadła, odkąd skończyła szkołę, ale Frankie zdążyła już do tego przywyknąć. I wiedziała, że u jej przyjaciółki nie był to wynik anoreksji, tylko genetyki i ostrego reżimu ruchowego.

– Gdzie jest to sceniczne zwierzę? – zapytała pogodnie Aleen.

Babcia musiała jej szepnąć słówko. To cud, że więcej osób nie usłyszało i nie zostało.

– W kuchni. – Frankie ogarnęła niechęć, aby tam wracać. Została więc w głównym holu, porządkując różne drobiazgi. Kiedy była jeszcze wściekła, chciała spojrzeć facetowi w twarz i usłyszeć wyjaśnienia. Teraz nie miało to już znaczenia. Sama się domyśliła o co chodzi, a dalszy kontakt byłby dla nich obojga niezręczny. On pozostanie w swoim świecie muzyczno-aktorskiej fantazji, a ona w swojej strefie cateringu, oprócz lekkich wibracji zupełnie pozbawionej dziwactw.

„Muszę być z tym ostrożniejsza” – pomyślała. Ten incydent z zemdleniem... może to właśnie trafiło babcię pięćdziesiąt lat temu. Prawdziwy Elvis miał taką nieokiełznaną moc i jak wiele dziewcząt w tamtych czasach babcia była w nim zakochana. Może na koncercie jej wibracje dopasowały się do jego wibracji, a wtedy on poraził ją błyskiem swojej energii i prosię, kolejna fanka mdleje w przejściu.

Tyle że w przypadku Frankie chodziło o wcielenie Elvisa, „artystę składającego hołd”, a nie prawdziwego Presleya. Choć ta energia... Emanował nią na scenie i przekazał ją publiczności, którą rozruszał do maksimum. Tego nie można było udawać.

Ale on coś wiedział!

– Halo, dziewczyno-zombie! – Aleen trąciła ją łokciem. – W kuchni? Impreza?

– Tak, w porządku, świetnie.

– To była naprawdę dobra robota. Twoje pierwsze duże przyjęcie. Zrobiłaś na Trini wrażenie jak diabli.

– Po prostu byłam tańsza niż konkurencja.

– Właściwie to nie dlatego. Jak tylko dowiedzieli się, że chodzi o Trynidad, dwukrotnie podnieśli swoją stawkę. Ty wzięłaś od niej tyle samo co od innych i to ją do ciebie przekonało.

– W takim razie będzie to polityka mojej firmy.

Frankie nie wiedziała o windowaniu cen w lepszych firmach cateringowych. No i dobrze. Gra fair się opłacała.

Jej nieobecność w kuchni nie przeszkodziła kapeli w napełnieniu żołądków. Zjedli już swoje porcje i odpoczywali sobie z ekipą „Mniam, Mniam”. Talerze były zebrane, a na stole pozostały tylko puszki z lemoniadą. Wszyscy wyglądali na zadowolonych.

– Omar, to najlepsza rzecz, jaką jadłem od dłuższego czasu – mówił Elvis. – Z przyjemnością pocałowałbym kucharza, ale twoje wąsiska by cholernie przeszkadzały.

Rozległ się śmiech. Wszyscy mieli świetny nastrój, a on znowu był gwiazdą, tak samo jak i tam na scenie. Babcia siedziała tuż obok niego niesamowicie z siebie zadowolona.

Omar skinął głową i powiedział z godnością:

– Mnie i moim wąsom zrobiło się lżej na sercu, słuchając pana Presleya. – Zabrzmiało to tak, jakby mówił do prawdziwego Elvisa. Może wszyscy byli po prostu grzeczni i dostosowali się do jego fantazji... ze względu na jego talent? Frankie uznała, że to miło z ich strony.

Kiedy Elvis spostrzegł ją wchodzącą razem z Aleen, wstał, jak przystało na dżentelmena.

– To prawdziwa przyjemność, że panie do nas dołączyły. Panno Foster, w imieniu mojej biednej, wygłodzonej grupy chcę podziękować za piekielnie dobry posiłek.

Przez chwilę Frankie nie wiedziała, co ma powiedzieć. Uśmiechanie się i machanie jak astronauta tutaj nie pasowało. Wycięła więc część z machaniem i zostawiła tylko uśmiech.

– Nie ma za co. Do usług.

Grrr! Dlaczego to dodała?

– Zatem wszystko w porządku? – zapytała pozostałych.

Dookoła rozległy się odgłosy uznania. Nikt nie miał jeszcze ochoty iść do domu, co było raczej dziwne.

– Czy ktoś jest gotowy do wyjścia?

– Ciągłe się schodzą z koncertu, kochana – odparła babcia. Wyglądała, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zamknęła usta i tylko się uśmiechnęła.

„No dobra, babciu, gdzie tu jest podtekst?”

Było coś w jej umyśle, co nie dawało Frankie spokoju odkąd tylko zaczął się show.

Ale babcia sięgnęła tylko po lemoniadę w puszcze i popijała ją małymi łydkami.

Elvis nie usiadł jeszcze z powrotem na miejsce. Podszedł do Frankie, która właśnie otrzymała kolejnego szturchańca łokciem od wyszczerzonej w uśmiechu Aleen.

– Och, to jest moja najlepsza przyjaciółka, Aleen Nuutzenbaum.

– Miło mi poznać – powiedział, ściskając jej dłoń. – To niemieckie nazwisko?

– Holenderskie. Tylko żadnych aluzji do świrów, dobrze?

– Nawet by mi się to nie śniło.

Frankie ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć czegoś o zgniataniu

orzechów. Aż tak dobrze go jednak nie znała, by rzucać żarty tego rodzaju i niech to diabli, jego dżentelmeńskie maniere sprawiły, że chciała się odpowiednio zachowywać.

– A z twojego nazwiska może też miała ubaw cała szkoła? – zapytała Aleen Elvisa.

Błysnął w jej stronę tym swoim półuśmiechem i potrząsnął głową.

– Nie. Ale żartowali sobie z mojego ciągłego targania gitary. Byłem trochę nieśmiały. Ale nie myślę już o tych rzeczach.

Frankie zrobiło się zimno w środku. Aleen też temu uległa?

„Dobra, wystarczy – powiedziała sobie. – Wszyscy wyłazić z basenu! Czas wrócić do rzeczywistości. To był tylko aktor, piosenkarz, człowieczek, który zarabiał na życie, wykorzystując sławę innego. Skończmy z tym przesiadywaniem po występie. Udawanie, że jest się tym człowiekiem, tylko przynosiło obrazę jego pamięci”.

Wzięła głęboki oddech, żeby coś powiedzieć, czując jak wzrasta w niej złość i furia... i spojrzała mu w oczy.

Zobaczyła w nich coś, co ją powstrzymało. Mocno powstrzymało. To coś wyrażało prośbę, by nie zburzyła tej chwili i nie psuła wszystkim dobrej zabawy.

Cieszyli się złudzeniem, kochając każdą minutę tego wieczoru.

Nie mogła ich z tego ograbić, a już na pewno nie babcię. Ze względu na nich Frankie pozwoliła, by uszedł z niej gniew, a była cholernie blisko przepaści.

Uśmiechnął się do niej, jakby wiedział o każdej myśli, która przebiegła przez umysł Frankie w ostatnich kilku sekundach.

Zrobiła się czerwona jak burak, a świadomość, że ma wypieki, tylko pogorszyła sprawę. „No dobra, zignoruj to, dziewczyno!” Podeszła do lodówki, wyciągnęła zimną puszkę i przyłożyła ją sobie do czoła, żeby ochłonać.

– Dobrze się czujesz, Frankie? – zapytała babcia.

– Wyjdę zaczerpnąć trochę powietrza. Cały dzień wdycham zapach tego jedzenia. Mam już dość.

Wszyscy okazali zrozumienie. Popchnęła tylne drzwi. Furgonetka Cateringu „Mniam, mniam” była zaparkowana tuż obok auta zespołu, na którym widniało takie samo logo w stylu retro, jak na perkusji: Coop’s Cool Cats.

Frankie minęła je, idąc w kierunku swojego samochodu. I wtedy zobaczyła nagle... Tak, zdecydowanie stał tam różowy Cadillac Fleetwood z 1955 i to, nie do wiary, w dziewiczym stanie! Białe ścianki boczne, biały dach, a chrom w parkingowym oświetleniu lśnił jak nowy. Dobry Boże, ależ ten człowiek był drobiazgowy!

Otworzyła puszkę i piła duszkiem, nie smakując, tylko rozkoszując się lodowatym musującym napojem, który łaskotał i oczyszczał jej gardło.

– Chcesz się przejechać, mniam-mniam-kotku? Parsknęła i zadławiła się własnym śmiechem.

– Skończ z tym! – zaatakowała.

I znowu to samo: żadnego zaprzeczania i udawania, że nie wie, o czym mowa. Wyglądał jednak na zakłopotanego i trzymał się w odpowiedniej odległości, nie naruszając jej przestrzeni.

– Przykro mi, panno Foster. Nie winię pani za to, że się do pani wkradają. Chyba właściwe określenie? To ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

Zaczęła łapczywie pić z puszki, aby mieć czas na przemyślenie odpowiedzi, tylko że wcale nie mogła się na niczym skupić i to ją bardzo denerwowało. Zazwyczaj reagowała szybciej, ale pierwszy raz znalazła się w takiej sytuacji. Straciła całą swą błyskotliwość.

– Słuchaj, to niezła zabawa tak udawać, ale czasami trzeba odpuścić – powiedziała.

– Tylko że strasznie się nakręcam przed występem i trochę trwa, zanim mogę odpuścić.

– W porządku. – Kiwnęła głową. – Chcę, żebyś wiedział, że bardzo mi się podobało. Jesteś niesamowity. To był niewiarygodny show. Przynajmniej dopóki nie runęłam na podłogę. Chciałeś o tym pogadać?

– I znowu przeprosić. Cały się otworzyłem i wtedy spojrzałem na ciebie, a ty na mnie i... tak jakby cały mój świat się zatrzymał.

Świat się zatrzymał? Co do diaska? Jakie „otworzyłem się”?!

– Muszę to robić przed każdym występem, to po prostu część gry. Robię to, żeby rozruszać ludzi. Ale dzisiaj... wyczułem, że ta para pcha się prosto w kłopoty. Potrzebowali, żeby ktoś popchnął ich w odpowiednim kierunku, bo inaczej po drodze byłyby same nieszczęścia.

Chwilę trwało zanim wszystko przetrwała.

– Ty też masz wibracje?

I mógł wpływać na ludzi? O Boże!

– Tak to nazywasz? Dla mnie nie miało to wcześniej nazwy. Nigdy nie mogłem o tym z nikim porozmawiać. Do czasu, gdy za kulisami zobaczyłem ciebie. Od razu wiedziałem, że jesteś inna, że masz coś więcej niż ładny wygląd.

– No proszę, próbujesz szczęścia?

– Nie. Stwierdzam tylko fakt. Jesteś słodka i faceci oglądają się za tobą.

Usiłowała zachować kamienną twarz. Nie był to dobry moment na wielkie uśmiechy w stylu dziewczątka.

– No cóż... dzięki... ale wracając do sprawy: wibracje?

– Jeśli tak to nazywasz, to tak, mam coś takiego. Mogę dużo o ludziach powiedzieć, o nic ich nie pytając. To po prostu do mnie przychodzi. Czasem jest tego za dużo.

Nigdy nie słyszała o żadnym facecie, który miałby taki talent, ale

dlaczego nie? Nie rozmawiały z babcią zbyt wiele na ten temat.

– Czy znasz jakiś sposób, żeby to wyłączyć? – zapytał. Wyłączyć?

– Hm, chyba nie. A co, masz to dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem razy w tygodniu?

– Czasami, kiedy otacza mnie dużo ludzi. Wtedy pomaga mi muzyka. Jest buforem, który odgradza mnie od świata. I jeszcze przebranie.

Spojrzała na jego akcesoria Elvisa.

– W jaki sposób?

Błysnął nieśmiałym uśmiechem. Całkiem miłym uśmiechem.

– Cóż, wszyscy kochają Elvisa. W większości odbieram pozytywne rzeczy. Gdybym cały czas był Rickiem Cooperem, tobym oszalał. Wyłapywałbym same nieszczęścia, a temu bym nie dał rady.

– Więc... udajesz Elvisa, żeby nie zwariować? Ale to właśnie jest... wariactwo.

– Chyba tak, ale z pewnością skutkuje.

– Rick Cooper to twoje prawdziwe nazwisko?

– Tak jest napisane na prawie jazdy. – Wskazał ruchem ręki furgonetkę zespołu. – Stąd nazwa Coop's Cool Cats.

– Czy oni wiedzą o twoich wibracjach?

– Są jak rodzina, wiedzą o wszystkim. Nikomu chyba to nie przeszkadza. Czynimy też dobro. Tak jak dziś. Nie pozwalamy, by coś fajnego się zepsuło.

– Widziałam to. Nie zdawałam sobie sprawy, że można coś zmieniać.

– To wymaga trochę wysiłku, ale i tak ja sam nic nie zmieniam. To muzyka, która się ze mnie wydostaje. Gdybym usiadł przed nimi i zaczął z nimi rozmawiać, to nic bym nie wskórał. Ale muzyka może wypływać z jednej duszy i poruszyć inną w niesamowity sposób. Cały czas to obserwuję. Ciągle to do mnie dochodzi. To dość służebne.

– Słuchaj, hm, Coop?

– Może być Coop albo Rick, jeśli będziesz miała ochotę.

– W porządku, Coop. Chyba powinieneś porozmawiać z moją babcią. Ona wie więcej na ten temat niż ja. Też ma wibracje.

– Och, mogłem się tego domyślić! To bardzo miła staruszka. Bardzo chciałbym ją... was obie kiedyś odwiedzić, kiedy tylko ci pasuje.

– Jako kto? Nie chcę być niegrzeczna, ale...

– Wiem. Przy was mogę zrzucić przebranie, ale twarzy i włosów nie mogę zmienić. Tak mnie stworzył dobry Bóg, więc muszę z tym żyć.

– To niesamowite! – westchnęła.

– Tajemnicze? Skinęła głową.

– Tak, już to wszystko słyszałem. Stwierdziłem, że jedyne słuszne wyjście to zaakceptować. Do tej pory wychodziło. Miałem dobre życie.

– Jak to się zaczęło?

– Nie uwierzysz.
– Sprawdź.
– No cóż, kiedy miałem jedenaście lat, rodzice zabrali mnie na wycieczkę do Graceland.

– To tak jak ja! Babcia mnie zabrała.

– No to wiesz, jak jest: wszystko zadbane i czyste. Kiedy przechodziliśmy przez pokoje, nie mogłem się pozbyć uczucia, że lada chwila może wejść Elvis. Tak jakby cały czas tam był. I to wtedy zacząłem dostrzegać różne rzeczy. A pierwszą rzeczą, jaką dostrzegłem, był on.

– Widziałeś jego ducha?

– Nie, nic z tych rzeczy. To było... jakby obecność... tylko to nie tyle był on, co miłość, jaką wszyscy przekraczający ten próg do niego czują. Miłość do niego, jego talentu, do wszystkiego, co dał światu. To diabelnie silna energia i wnika w każdy centymetr kwadratowy tego miejsca. To w ten sposób on tam jest. Nie mam nic przeciwko duchom, ale zdecydowanie wierzę, że miejsce może uchwycić...

– Wibracje?

– Pewnie! Myślę, że pewna część tej energii wniknęła we mnie i zdomowiała się. I jeśli jest we mnie choćby jeden jego atom, to jestem zadowolony i zaszczycony, że mogę go nosić.

Podobało jej się takie podejście.

– I zauważyłeś wibracje we mnie?

– Od razu.

– Ale ja ich w tobie nie widziałam. Zamknęłam się.

– Widziałaś przebranie, to wszystko. Spróbuj, może teraz je dostrzeżesz.

A niech tam! Raz kozie śmierć. Zdecydowała, że zaryzykuje kolejne zemdlecie. Musiała dowiedzieć się...

Frankie otworzyła się... i... o rany, znowu! Teraz widziała faceta, który był Rickiem Cooperem i coś jeszcze. Energię Elvisa! Leżała ona gdzieś uśpiona, ale była jego częścią tak jak skóra, tylko że sięgała o wiele głębiej. Frankie nie przerażało to ani trochę. Nawet dawało pewne pocieszenie, że jakaś cząstka Elvisa naprawdę żyje. To właśnie musiała zobaczyć babcia i to ją poraziło: dwóch mężczyzn w tej samej przestrzeni.

Doszła do wniosku, że wszystko jest w porządku, bo gdyby było złe, babcia na pewno nie chciałaby mieć z tym nic wspólnego.

A niech to! Wszechświat był dziwnym miejscem. Dziwnym, ale nigdy nudnym.

– Zobaczyłaś to, prawda? – zapytał.

– Tak.

I naprawdę spodobało się jej to, co zobaczyła, w Ricku Cooperze, oczywiście. Elvis był strasznie fajny, ale Rick też. Wyglądał niemniej

interesująco. Przede wszystkim udało mu się z tym dziwnym darem dożyć dorosłego wieku i nie zwariować. Znalazł wyjątkowy sposób, żeby sobie z nim radzić. Frankie chciała zobaczyć więcej jego talentów i to na różnych płaszczyznach.

– A jeśli chodzi o rozmowę z twoją babcią...

– Tak?

– Chyba nie powinienem niczego narzucać, ale znam taką knajpkę, gdzie robią hamburgery i koktajle mleczne tak jak kiedyś i mają prawdziwą szafę grającą z winylowymi singlami. Jeśli uważasz, że będzie się jej...

– Na pewno się jej spodoba. Jutro na lunch?

– Będzie mi strasznie miło przebywać w twoim towarzystwie, mniam...
och, przepraszam.

– Możesz mnie nazywać mniam-mniam-kotkiem. Ale jeśli tak powie ktokolwiek inny, to mu przyłożę.

– No to w porządku. Jest jeszcze jedna rzecz, która chodzi mi po głowie przez cały wieczór, ale...

Nie musiała odczytywać jego wibracji. Widziała to w jego niebieskich, bardzo niebieskich oczach. Wyrzuciła puszkę, schwyciła go za klapy czarnej skórzanej kurtki i przyciągnęła do siebie.

O... mój... Boże...

Ricky Cooper czy Elvis – to nie miało żadnego znaczenia. Kimkolwiek był czy byli, właśnie poznała mistrza świata w całowaniu. Wiedział dokładnie, co i jak długo robić. Po raz trzeci tej nocy zabrakło jej oddechu i było to świetne uczucie.

Lepsze niż świetne.

O tak, kochanie... wstrząsnął nią całą.

O Autorze

P. N. ELROD jest znana czytelnikom głównie dzięki „Kartotece wampirów” (*The Vampire Files*), cyklu opowiadającym o przygodach dowcipnego nieumarłego Jacka Fleminga. W Polsce ukazał się tylko pierwszy tom, „Krwawa uczta”, i to na początku lat 90., ale najzagorzalsi miłośnicy wampirów do dziś wspominają go na swych forach. Jest autorką ponad dwudziestu powieści i tyluż opowiadań grozy. Redagowała kilka antologii i zajęła się również pisaniem fantasy. Także polscy czytelnicy sięgają po jej powieści (i to po angielsku!) napisane w formie pamiętników Strahda von Zarovicha, postaci ze świata gry RPG „Dungeons & Dragons”. Poza tym, jak widać, P. N. Elrod naprawdę kocha Elvisa!

Więcej informacji na oficjalnej stronie autorki: www.vampwriter.com.

Esther M. Friesner

Ślub Wyldy Sereny

Mówi się, że to Bóg tworzy małżeństwa, ale Diabeł planuje śluby. Wiem, że tak się mówi, ponieważ sam to powiedziałem.

Stworzyłem to mądre powiedzenie przy okazji trzeciego zamażpójścia mojej starszej siostry, która zresztą w sumie stawiała przed ołtarzem sześć razy. Ślubna ruja, z jaką droga Katherine obnosiła się, idąc nawą anglikańskiego kościoła pod wezwaniem świętego Jerzego, jest jedną z przyczyn mojego ciągle trwającego kawalerstwa. Skoro nie potrafisz uczyć się na błędach innych, to równie dobrze możesz zostać Demokratą.

Można by zakładać, że skoro kobieta przechodziła już tyle razy przez tę samą ceremonię (nie licząc nieprzemyślanej ucieczki z jednym z basenowych chłopców podczas swojego czwartego miesiąca miodowego na Maui), to mechanika ślubu, jak i wynikające z niego małżeństwo, będą przebiegać bardziej gładko z powodu zdobytego po drodze doświadczenia.

Ach, ale kiedyż to logika odmówiła oddania pola ludzkiej głupocie?! Naszej drogiej Katherine zawsze udawało się w jakiś sposób obrócić każdy ślub w coraz to świetniejszy pokaz obsesyjnego perfekcjonizmu, spektakularnych napadów złości i zrażonych druhien. Kiedy powzięła plan Małżeństwa VI, nie została jej ani jedna przyjaciółka, z którą utrzymywałyby kontakty, nie mówiąc już o tym, by którakolwiek zechciała stanąć przy niej w kościele pod wezwaniem świętego Jerzego w chmurze tiulu koloru mięty.

Jednak moja siostra uczyniła z konieczności zaletę i zawarła natychmiastową przyjaźń z niejaką Norą Scruggs. Panna Scruggs była zatrudniona na pół etatu w kwiaciarni, która zaopatrywała Katherine w tak dużą ilość ślubnych bukietów, kwiatów do butonierek, dekoracji kościelnych ławek, ołtarza oraz weselnych stołów. Dlatego za każdym razem, gdy przekraczała próg tej firmy, siłą trzeba było powstrzymywać właściciela przed padaniem na kolana i pokrywaniem dłoni mojej siostry pocałunkami.

Panna Scruggs była atrakcyjną, życzliwą, łagodnej postawy młodą kobietą o posłusznym usposobieniu. Wydawało się, że ma tyle zdecydowania co łyżka galaretki pomidorowej. Kiedy w ciągu dwudziestu minut moja siostra przeniosła rozmowę z „Wychodzę za mąż w maju” do „Mierzenie sukni drużny będzie w tę sobotę o dziesiątej rano. Oczywiście zapłacę za nią”, biedna dziewczyna była przerażona.

Szósty ślub Katherine okazał się wydarzeniem historycznym z wielu powodów, między innymi dlatego, że był ostatni. Otóż jej najnowszy mąż, Bryce Calhoun III, najwyraźniej źle przyjął gorący internetowy romans, który Katherine zainicjowała w cyberprzestrzeni na St. Bart podczas ich pierwszych wspólnych świąt Bożego Narodzenia. Gdy wracali do domu jednym z mniejszych prywatnych samolotów Bryce'a, doszło do strasznej kłótni. Dla mojej siostry kłótnia ta okazała się dość fatalna w skutkach, jako że jej wprowadzony z równowagi małżonek krzepkim pchnięciem pomógł jej

wysiąć. Przedziwnym zbiegiem okoliczności Bryce'a oskarżało dwóch poprzednich mężów Katherine, a dwóch innych go broniło. Przede wszystkim mam jednak nadzieję dla dobra naszej rodziny, że nieprawdą jest, jakoby moja zmarła siostra umawiała się z dziewięcioma spośród dwunastu członków ławy przysięgłych.

Abstrahując od małżeńskich ekscesów Katherine, jej finalny ślub był również znaczący pod tym względem, że dał szansę jej naprędce wyszukanej druhnie, czarująco proletariackiej pannie Scruggs, na niespodziewane *entree* do wyższej sfery społeczeństwa. Stało się to na przyjęciu, oczywiście w Klubie. To właśnie tam, w ziemskim raju skrupulatnie przystrzyżonych trawników, ze smakiem urządzonych pomieszczeń i doskonale schłodzonego szampana, uroczą sprzedawczyni z kwaciarni poznała młodego Frederika Austina-Cowlesa. Reszta to historia jak z „Kopciuszka”.

Frederick pochodził z amerykańskiego rodu tak starego, bogatego i szanowanego, że występowanie w obronie jego wieku, bogactwa i honoru było jedynym zajęciem rodziców Frederika. Ciężar bez mała czterystuletnich rodzinnych obowiązków uczynił z nich pierwszej klasy błękitno-krwistych pedantów, których jedynym zamiarem było wychowanie jedynaka na ni mniej, ni więcej, tylko najlepszej jakości obornik pod drzewo genealogiczne. Młodzieniec spędził pierwsze dwadzieścia pięć lat swojego życia mocno ściśnięty pomiędzy ich totalitarnymi kciukami. Każdy aspekt jego egzystencji – jedzenie, spanie, ubiór, edukacja, zabawa i inne – wymagał udziału legionów ludzi i był poddany surowej dyscyplinie, przy której antyczni Spartanie wyglądaliby jak podrzędnej klasy instruktorzy jogi.

Nikt oprócz zatwardziałego masochisty lub członka stowarzyszenia Skuli and Bones w Yale choćby przez chwilę nie miał wątpliwości co do tego, jaką głęboką odrazę Frederick czuł do swojego sterowanego dzieciństwa i rodziców, którzy je zaprojektowali. W wieku lat pięciu obmyślił, jak w momencie, gdy osiągnie pełnoletność, pozbawić ich patrycjuszowskie nosy współudziału w funduszu powierniczym, który założył dla niego dziadek. Wykazując mądrą awersję do jakiegokolwiek działania, które zmartwiłoby rodziców, a jemu tylko by pomieszało szyki, chłopak nie mógł skorzystać z bardziej konwencjonalnych form buntu: nadużywania różnych substancji, seksualnych ekscesów, ozdabiania skóry kleksami atramentu i kulami metalu... Choć prawdę powiedziawszy, w jego przypadku nawet zamówienie pocztą gotowego poliestrowego garnituru z katalogu Montgomery Ward już byłoby szczytem kontestacji. Był więc niesamowicie wniebowzięty, kiedy poznał pannę Scruggs i nad ich głowami zaśpiewały anioły.

Śpiewały coś z repertuaru Patsy Cline, coś tak swojskiego, prostego, szczerego i będącego solą tej ziemi, że nie mogło nie wywołać w rodzicach Fredericka ataku wściekłości. Och, jakże rozkoszował się na samą myśl o tym!

Co więcej, panna Scruggs była tak słodka, potulna i przyjemna dla oka, że nie widział wielkich problemów w tym, aby zatrudnić ją w charakterze towarzyszki do łóżka i narzędzia zemsty zarazem. Przeprowadził zdumioną dziewczynę przez szybkie jak tornado zaloty, pośpieszny ślubny lot do Las Vegas i umieścił ją w swej rodzinie, zanim moja siostra Katherine i Bryce zdążyli powrócić z miodowego miesiąca.

Na nieszczęście Frederickowi nie dane było dożyć chwili, w której mógłby smakować owoców synowskiego odwetu. Zostawił ciężarną pannę młodą w rodzinnym *piedaterre* w hotelu Central Park West, a sam pognał jak po ogień do Connecticut, żeby zrzucić na rodziców przysłowiową bombę. Jednak gdzieś na wschód od Greenwich okazało się, że jego mercedes ma zbyt słabe argumenty w konfrontacji z ciężarówką dostarczającą meble ogrodowe. Hilliard i Margot Austin-Cowlesowie dowiedzieli się, że zostali bezdzietnymi teściami i dziadkami w stadium początkowym, a Nora Scruggs prawie w tym samym czasie odkryła, że została wdową.

Oczywiście w Klubie aż huczało. Klub jest jak ul, w którym roi się od plotek. Ostatni ślub mojej siostry, źle zmotywowane poszukiwanie przez Fredericka niczego niepodjęwającej panny Scruggs, szczerzy ból świeżej wdowy po stracie ukochanego, młodego męża – wszystkie te smakowite kąski szybko zostały wysrane do ostatniej kropli i przeistoczyły się w stosownie pomnożoną liczbę ploteczek. Właśnie w tym czasie pewnego rześkiego październikowego wieczoru do baru wparował Preston Bedford i bez tchu oznajmił:

– Przyjęli ją!

Tak właśnie, rodzice Fredericka przyjęli swoją ciężarną synową. Wieści te były wystarczająco zaskakujące dla każdego, kto znał surowy i ciasny pogląd Austin-Cowlesów na to, kto był, a kto nie był towarzysko akceptowalny. Oni nawet Ojców Pielgrzymów uważali za natarczywych imigrantów, nowicjuszy, którzy byli ich zdaniem uosobieniem wszystkiego, co ciągnie Amerykę na dno populistycznego bagna.

Ale nawet ten nasz szok był jeszcze niczym w porównaniu z tym, co miało dopiero nastąpić, a mianowicie z intensywną, nagłą i dogłębną zmianą w Margot i Hilliardzie Austin-Cowles, którą wszyscyśmy zaobserwowali, gdy urodziła się mała Wylda Serena.

Była ślicznym dzieckiem jak na kogoś, kto zaczął swój żywot jako środek małostkowej odpłaty. Niezawodna, powszednia uroda jej matki była wielce pożądaną przeciwwagą dla wdzięków ojca – wyrafinowanych *a la* kawior i Cabernet, jednak słabowitych, jak przystało na geny recesywne. Jej dziecięca uroda była li tylko nikłym zwiastunem znakomitej piękności, na jaką wyrosła. Płomiennie-rude włosy, lśniąca skóra i oczy koloru świeżo rozwiniętych listków ozdabiały gibkie i tryskające zdrowiem ciało o niekwestionowanej sile

przyciągania. Nosiła się z elegancją młodej gazeli, a jej łuki brwiowe zawstydzały kręte urwiste drogi Monte Carlo.

Ogłupieni dziadkowie dawali jej wszystko. W przeciwieństwie do postępowania wobec swojego zmarłego syna każde dobrodziejstwo, jakie wyświadczali urodzonemu po jego śmierci dziecku, nie nosiło jakichkolwiek znamion ustalonego planu i miało służyć wyłącznie szczęściu wnuczki. Gdy więc tylko Wylda Serena stała się istotą zdolną do artykulacji, jedyne co musiała robić, to wypowiadać życzenia, a jakkolwiek kapryśne by one nie były, natychmiast uruchomiono wszystkie finansowe i towarzyskie wpływy rodziny Austin-Cowlesów.

Zbytne rozpieszczanie i pobłażanie młodym to jednak niebezpieczna i ryzykowna rzecz. Dzieci psują się szybciej niż ostrygi w lipcu. Niewyczerpywalne uwielbienie, jakim dziadkowie darzyli dziewczynkę, mogło spowodować, że życie małej Wyldy zepsułoby się bardzo szybko, gdyby tylko żywiła niestosowne pragnienia. Ale co niezwykle, ona nie miała żadnych, absolutnie żadnych pragnień. Przyjmowała wszystkie prezenty i dobrodziejstwa, którymi pełni uwielbienia dziadkowie zasypywali ją z cichą łaskawością, ale sama o nic nie prosiła.

I niech się wstydzi każdy, kto doszedłby do jakże pochopnego i cynicznego wniosku, że zachowanie Wyldy było na wskroś przebiegłe i że była mistrzynią starożytnej sztuki nabywania za pomocą prośby pośredniej. Nieprawda! Nigdy nie dała najmniejszego znaku, nigdy nie westchnęła na widok kosztownej błyskotki, nigdy głośno nie zastanawiała się, ile kosztuje tamten piesek, sukienka czy Daimler na wystawie. Nigdy nic takiego nie robiła, pisała tylko listy do Świętego Mikołaja.

Jeśli większym błogosławieństwem jest dawać niż otrzymywać, to dzięki młodej Wyldzie jej dziadkowie byli uświęceni szuflami. Dawali jej doczesne dary, ale ona dawała im coś znacznie bardziej cennego: szczerę, dogłębne posłuszeństwo i uległość, których, umierając, jej ojciec nie okazał. Nie miała w sobie ani krzty rebelii – ani buntowniczego serca, ani niesubordynowanego umysłu.

Pod tym względem przypominała swoją matkę. Sposób życia Austin-Cowlesów był dosłownie oszałamiający dla kobiety, która jeszcze niedawno nazywała się panna Scruggs i pracowała w kwiaciarni. W ciągu dwudziestu trzech lat dzielących narodziny Wyldy od jej ślubu była sprzedawczyni żyła, dobrowolnie usuwając się w cień swoich dynamicznych teściów. Gdyby nie sporadyczne obowiązkowe spotkania rodzinne, można by prawie odnieść wrażenie, że jej wcale nie było. To pasowało obu zainteresowanym stronom.

To właśnie w klubowym barze, gdy wraz z dziesięcioma zaprzyjaźnionymi członkami Klubu dyskutowaliśmy o wyższości piłek do golfa robionych na zamówienie, Hilliard Austin-Cowles dokonał tego wielkiego oświadczenia. Wpłynął pomiędzy nas jak fala tytoniowego dymu z domieszką burbona, kiwnął na barmana, szeptem coś zamówił, po czym usiadł w skórzanym fotelu bardzo daleko od nas. Już po chwili wiedzieliśmy, że coś się święci, ponieważ za sprawą szczególnego rodzaju magii barman przyniósł nam wszystkim kilka słusznego rozmiaru butelek wytwornego szampana Veuve Clicquot serwowanego w najlepszych klubowych kieliszkach z rżniętego kryształu.

Zachowaliśmy ciszę odpowiednią do okazji. Kiedy dżentelmen stawia alkohol takiej jakości tak wielu, byłoby niegrzecznie ponaglać go do jakichkolwiek wyjaśnień. Więc popijaliśmy małymi łydkami musujący nektar i czekaliśmy, czekaliśmy i popijaliśmy. Wiedzieliśmy, że Hilliard jest doskonale świadom naszej bolesnej ciekawości i że rozkoszował się naszym rosnącym skrepowaniem bardziej niż my jego szampanem. W końcu przemówił:

– Przyjaciele, dziękuję, że zechcieliście przyłączyć się do mnie na skromnego drinka. Nie co dzień zaręcza się jedyna wnuczka.

Grzecznie stłumiony okrzyk gratulacji wydobył się z naszych zwilżonych rarytasem ust. Kawalek po kawalku wyciągaliśmy kolejne szczegóły z grubokościstej, starej jankesowskiej powściągliwości Hilliarda. Nazwisko przyszłego pana młodego, niejakiego Milesa Martiala, nie było powszechnie znane i gdy już zostało wymówione, wymagało dodatkowych wyjaśnień.

– Czy wiecie, że to była najdziwniejsza rzecz? – zaczął Austin-Cowles. – Z początku nasza Wylda była nienaturalnie tajemnicza, kiedy Margot zapytała ją, jak poznała tego dżentelmena. Kiedy ją przycisnęliśmy, bo mamy przecież prawo wiedzieć wszystko o życiu naszej wnuczki, stała się wymijająca.

– Dobre nieba! – wykrzyknął Middleton, niezupełnie najstarszy członek naszego Klubu, ale dość posunięty w latach. – Czyżby było coś niesmacznego w pochodzeniu tego człowieka czy też jakiś aspekt dotyczący ich poznania się był... nieodpowiedni? Hilliardzie, jestem zdumiony, że dajesz jednemu i drugiemu błogosławieństwo.

Na ułamek sekundy Austin-Cowles zmarszczył swoje patrycjuszowskie oblicze.

– A ja jestem zdumiony twoim poziomem samooszukiwania się. Naprawdę, Cadby – wieloletnia znajomość pozwalała mu na użycie imienia Middletona – twoja fascynacja moją wnuczką jest wiedzą powszechną, źle skrywaną i źle postrzeganą.

Middleton zakrztusił się i poczerwieniał.

– Jestem głęboko dotknięty twoimi oskarżeniami, Hilliardzie. Oczywiście bardzo lubię to dziecko. Martwię się tylko o jej przyszłe szczęście. Jeśli

okoliczności, w jakich poznała mężczyznę, którego zamierza poślubić... – w tym miejscu nie mógł powstrzymać nieznacznego załamania głosu – są tak niewłaściwe, że je przed wami ukrywa, być może powinieneś położyć temu kres, zanim wszystko zajdzie za daleko. Wyłącznie dla dobra Wyldy, oczywiście. Jest młoda. W sprawach sercowych młodzi często wpadają na... pomysły, frywolne pomysły. Na dłuższą metę będzie dla niej korzystniej, jeśli posłucha starszych, mądrzejszych głów.

– Pff! – w ten sposób Hilliard zbył nieudolnie ukrytą intencję Middletona. – Moja wnuczka nie wpadła na ani jeden frywolny pomysł w swoim życiu. Tak się składa, że poznali się na wystawie psów w zeszłym roku w maju. Mastiff Martiala sięgający rodowodem czasów Napoleona wygrał w swojej klasie, a dawna koleżanka szkolna naszej wnuczki, Solana Winthrop, przedstawiła ją Martialowi, gdy Wylda stwierdziła, że bardzo by chciała bliżej się przyjrzeć psiemu zwycięzcy. Z tego niezmiernie odpowiedniego poznania się rozkwitło wzajemne uczucie.

– Solana Winthrop... – zastanowiłem się przez chwilę nad tym nazwiskiem. – Jak to możliwe, że była obecna na wystawie psów w zeszłym roku w maju? Powiedziano nam, że od kwietnia do grudnia będzie studiować historię sztuki w Paryżu.

– Eee, tak – powiedział Elwood Porter, który ożenił się z starszą siostrą Solany, Meredith. – Jakby to delikatnie panom powiedzieć... Jej potrzeba studiowania historii sztuki okazała się fałszywym alarmem.

Pokiwaliśmy głowami, dobrze wiedząc, co niekiedy znaczą nagłe wyjazdy do Europy i pobyty ciągnące się przez około dziewięć miesięcy.

– Więc rozumiecie, że powściągliwość Wyldy była umotywowana dyskrecją, a nie chęcią oszukania nas – dodał Hilliard. – Do czasu, aż rodzina Solany znajdzie taktowny sposób, aby ogłosić jej ponowne pojawienie się w towarzystwie, Wylda postanowiła osłaniać przyjaciółkę, a gdy nie istniała już dalsza potrzeba zachowania poufności, była stosownie szczerą ze swoją babką i ze mną. Oczywiście przeprowadziliśmy własne śledztwo. *Bona fides* Milesa Martiala są pewne. Pochodzi ze starej rodziny, która ma niekwestionowane koneksje w świecie finansowym, przemysłowym i politycznym. Ogrom jego fortuny pochodzi z materiałów wojennych, z roztropnego ulokowania majątku w technologii lotniczej, budowie statków i badaniach w dziedzinie biochemii stosowanej.

– Innymi słowy, jest jak kopalnia złota – szepnął mi do ucha Hasbrook – i prawdopodobnie tak zostanie. Na wojnach się nie bankrutuje.

– Czy szczęśliwa para ustaliła już datę ślubu? – zapytał naszego gospodarza Porter.

– W rzeczy samej, nasza Wylda zdecydowała się na czerwcowy ślub.

W tym miejscu Hilliard poświęcił chwilkę, aby zerknąć na nas *en masse*,

na wypadek gdyby ktokolwiek wykazał się wysoce złym smakiem i zaczął liczyć miesiące dzielące nas do czerwca. Naturalna, aczkolwiek niepotrzebna reakcja ze strony kochającego dziadka. Nie mieliśmy potrzeby uciekać się do złośliwych kalkulacji, aby dojść do wniosku, że dziewczyna zdecydowanie nie była w stanie błogosławionym. Dziś luty, ślub w czerwcu... Jeśli Wylda byłaby zmuszona do małżeństwa, to tylko ukazałby całemu światu swą nieostrożność, nawet gdyby poszybowała wzdłuż nawy w szczególnie dużej sukni ślubnej z podwyższonym stanem.

– No, no, czerwcowy ślub! – Middleton pozorował radosną minę, która nikogo nie zwiodła. – Jak miło widzieć, że są jeszcze młodzi ludzie, którzy cenią tradycję. A gdzie odbędzie się to wydarzenie?

– Jak to gdzie? Tutaj oczywiście – oznajmił Hilliard. – w Klubie.

Elwood Porter wydał z siebie lekki okrzyk rozpaczy i upuścił kieliszek szampana.

Jakiś miesiąc później Porter i Middleton przyszli z jakąś bardzo delikatną sprawą. Zamiast przedyskutować sprawę przy drinkach w Klubie zaprosili mnie, abym przyłączył się do prywatnej kolacji u Moreyów w New Haven. Tam wyłożyli karty na stół.

– Musisz porozmawiać z Hilliardem – powiedział Middleton. – Musisz mu uzmysłwić, że to, co zamierza Wylda, jest absolutnie wykluczone. Ślub nie może odbyć się w Klubie.

– Kto wie, co się może stać, jeśli do tego dojdzie. – Porter wzdrygnął się i rzucił oczami w prawo i w lewo, jakby fizyczne ucieleśnienie Strasznych Następstw mogło w jakiś sposób dotrzeć aż do New Haven. Był bardzo zdenerwowany, skoro zapomniał, że dostęp do rezydencji Moreyów mieli tylko wyselekcjonowani absolwenci Yale płci męskiej i – niechętnie to przyznaję – żeńskiej. Straszne Następstwa i tak wysoka liga po prostu towarzysko do siebie nie pasują.

– Przyjaciele – odezwałem się – rozumiem wasze obawy. Ja również czuję się mniej niż optymistycznie nastawiony do perspektywy takiego wydarzenia. I nie bez przyczyny: byłem członkiem Klubu, jeszcze nim nastąpił ten straszny dzień, kiedy to Simpson wywrócił nasz świat do góry nogami.

– Ach tak! – westchnął Middleton, który był członkiem Klubu jeszcze dłużej niż ja. – Simpson... – wymówił to nieszczęsne nazwisko z taką samą intonacją, z jaką ludzie średniowiecza stwierdzali zapewne: „Ach tak, Czarna Śmierć”.

Aby pojąć ogrom złego, jaki Simpson sprowadził na Klub, najlepiej będzie zacząć od zrozumienia, czym naprawdę jest Klub i co za sobą pociąga.

Usytuowany wśród najzbieleńszych, godnych Zawodowego Stowarzyszenia Golfistów pól golfowych jest monumentem znakomitego wyrafinowania i nieuwydatnionego luksusu. Jego największe błogosławieństwo stanowi jadalnia ze swoimi niezliczonymi doskonałościami kulinarnymi, które w najbardziej wybrednych smakoszach wywołują burzę frustracji, kiedy odkrywają, że nie ma tam absolutnie nic, na co mogliby narzekać. Piwnica z winami i bar są zaopatrzone i obsługiwane przez mężczyzn, którzy są raczej najwyższymi kapłanami w Świętym Bractwie Gron i Ziaren niż zwykłymi nazwiskami na liście płac.

W przeszłości Klub był miejscem zimowych balów, letnich tańców, wiosennych fet, jesiennych bankietów, kotylionów dla debutantów, lunchów dla pań, wspólnego palenia cygar dla dżentelmenów, wykwintnych herbatek i formalnych obiadów, aby opłakiwać lub celebrować wynik Gry. (JEDYNEJ Gry, tej znakomitej batalii o supremację na boisku pomiędzy Yale i Harvardem, w obliczu której wojna stuletnia była zwykłą bagatelą, historycznym syczącym napadem złości.)

Simpson wszystko to zmienił.

Był jednym z należących do tej ryzykownej, aczkolwiek nieuniknionej podgrupy wśród członków Klubu, a mianowicie Dziedziców Nazwiska. Gdyby zgłosił swój akces do naszego grona, nie powołując się na swoich przodków, jego własny charakter, postawa i finanse pozwoliłyby Komitetowi z czystym sumieniem odrzucić jego kandydaturę. Ale zgodnie z regulaminem należało go przyjąć.

Ponadto Simpson był rewolucjonistą, dziką armatą, mądrą, którego wyobrażenie o doskonałym żarcie skłaniało się ku egzotyce. To właśnie jego więcej niż ekstrawaganckie poczucie humoru spowodowało, że przywiózł z podróży po Europie pamiątkę, która zmieniła losy i oblicze Klubu w sposób nieodwołalny.

Sfinksa!

Sfinks, o którym mowa, nie był rasy egipskiej, lecz greckiej. Jego lwie ciało nie rozciągało się leniwie na wiecznych piaskach pustyni, lecz siedziało prosto, uskrzydłone jak orzeł, gotowe do akcji. Właściwie „jego” to niewłaściwy zaimek w stosunku do bestii, która miała głowę kobiety i zuchwałe nagie piersi. Co więcej, żeby ktoś nie pomyślał, że grzechem Simpsona popełnionym przeciwko Klubowi była zwykła darowizna poniekąd wulgarnej statuetki, pozwolę sobie na wyjaśnienie: ten sfinks był prawdziwy.

Nikt z nas nie miał pojęcia, jak Simpson zdołał znaleźć takie чудо, nie wspominając już o przetransportowaniu sfinksa przez kontrolę celną. Byliśmy zbyt dobrze wychowani, by pytać, a Simpson był zbyt figlarzem, by cokolwiek zdradzić. Należał do tych nudnych ludzi, którzy uważają, że siedzenie na informacjach jak kura nioska na jajkach daje mistyczną wyższość

nad bliźniami.

Sfinks Simpsona nazywał się Oenone i miał charakterystyczny dla swojej rasy pociąg do krwi i zagadek. Tradycja uczyła, że potwór nie mógł rozszarpać nikogo na krwawe kawałeczki, jeśli potencjalna ofiara zdołała odpowiedzieć na zagadkę bestii. Było to więc uczciwe na swój upiorny sposób. Ponieważ każdy w Klubie chlubił się klasyczną edukacją, wszyscy znaleźliśmy odpowiedź na zagadkę sfinksa z przypowieści o Edypie: „Co ma cztery nogi o świcie, dwie w południe, a trzy o zachodzie słońca? CZŁOWIEK”. Uzbrojeni w tę drobnomieszczańską pewność przystaliśmy na sugestię Simpsona, aby dać Oenone przestrzeń do grasowania. Wydawało się to całkowicie bezpieczne i nieco pikantne. Uczyniło Klub *innym*.

„Inny” nie zawsze jest jednak synonimem słowa „lepszy”, co ku naszemu żalowi odkryliśmy w dniu, gdy Oenone poznała kilka nowych zagadek. To wtedy zaczęły się zniknięcia.

Kiedy w końcu odkryliśmy, dlaczego tak wielu członków nie wracało ze swoich partii golfa, sfinks odleciał w nieznane strony. Podobnie zresztą jak Simpson, ale szkoda została już wyrządzona: obecność Oenone w pewien sposób nasyciła nasz ukochany Klub zapachem piżma z innego świata, które zwabiło inne mityczne istoty, tak jak kapitał przyciąga wampiry podatkowe. Okrucieństwo tych najazdów rekompensowała ich niska częstotliwość, za co byliśmy wdzięczni, na ile pozwalały okoliczności. Bo ileż ukojenia można czerpać z powiedzenia: „No cóż, owszem, mamy tu w Klubie krwawe jatki, ale nie aż tak często”?! Poczucie braku bezpieczeństwa było prawie tak samo niebezpieczne, jak same incydenty. Tak jak za czasów prezydentury Demokratów żyliśmy w ciągłym strachu, nigdy nie wiedząc, kiedy nastąpi kolejny atak.

Ten stan rzeczy powodował, że większość członków pomyślała dwa razy, zanim decydowała się uczynić Klub scenerią dla prywatnego wydarzenia na dużą skalę – na przykład wesela. Cóż za pożytek z idealnie zastawionego stołu, znakomicie przygotowanego posiłku, skoro ostatecznie i tak zostanie splugawiony inwazją harpii? Poza tym mitologia pęcznieje od opowieści o ślubach, na których coś poszło strasznie nie tak.

O, na przykład bitwa pomiędzy Lapitami i centaurami na weselu Pejritoosa, wiernego przyjaciela Tezeusza! Rozgorzała, bo nikt nie wziął pod uwagę, że stworzenia o ciele pół konia i pół człowieka nie potrafią powstrzymać żadnej połowy od alkoholu. Troszkę zbyt duża ilość wina spowodowała, że jeden z centaurów próbował wynieść pannę młodą, pozostali też nie chcieli być gorsi i tak też zaczęła się bijatyka.

Nie inaczej wojna trojańska – też zaczęła się na weselu. Przyszli rodzice Achillesa, król Peleus i nimfa Tetyda, wyobrazili sobie, że unikną przyszłych weselnych nieprzyjemności, jeśli nie zaproszą na swoje zaślubiny Eris. Tyle że

Eris była boginią niezgody, nie wybaczenia nietaktów, więc się obraziła. Jej obraza przybrała formę złotego jabłka z napisem „Dla Najpiękniejszej”, które rzuciła w trakcie przyjęcia weselnego. Galimatias związany z konkursem piękności, jaki wyniknął pomiędzy pozostałymi boginiami, doprowadził z kolei Parysa do wyboru z gatunku „tak źle i tak niedobrze”, porwania Heleny, dziesięcioletniego oblężenia Troi i ostatecznie do śmierci wcześniej wspomnianego Achillesa. Jakby nie dość było komplikacji, małżeństwo Tetydy i Peleusa zakończyło się rozwodem.

Wyldzie wszyscy życzyliśmy lepszego losu.

– Porozmawiam z Hilliardem – obiecałem. – Wykorzystam całą siłę perswazji. Nie pojmuję jego decyzji, przecież nie jest nowicjuszem w Klubie. Zna naszą historię. Nie wyraziłem obiekcji w momencie, gdy ogłosił plany weselne Wyldy tylko dlatego, że byłem wprawiony w osłupienie. Co on sobie myślał?

– Uwielbia swoją wnuczkę – przypomniał mi Middleton. – Miłość jest ślepa. Być może to słodkie dziecko bardzo chce wesela w Klubie, a on nie miał dość silnej woli, by przeciwstawić się jej życzeniu.

– Albo nie chciał jej przerażać, tłumacząc przyczyny, dla których to nie jest najszcześniejszy pomysł – dodał Porter.

– Prawda – potwierdziłem. – Dotąd wiodła życie pod kloszem. Możliwym jest odwiedzać Klub i nigdy nie poznać tych przerażających rzeczy, które się tu wydarzyły, chyba że ktoś o nich opowie.

– Przypuszczam, że jest szansa, aby wesele Wyldy nie zwróciło uwagi mitycznych potworów – odważył się stwierdzić Porter, wieczny optymista. – To taka czarująca dziewczyna! Bardzo bym nie chciał widzieć jej rozczarowanej. A przecież już długo cieszymy się przyjęciami niezakłóconymi przez chaos, rozlew krwi i skonfiskowane kauce.

– Czy sugeruje pan, że niewiele ryzykujemy, zdając się na przypadek i pobożne życzenia, że nic się nie wydarzy? Grając weselem Wyldy? – Middleton ściągnął śnieżnobiałe brwi w wyrazie skrajnej surowości. – Myślałem, że pan i ja jesteśmy zgodni, Porter: to małżeństwo nie może mieć miejsca!

– Czy nie miał pan przypadkiem na myśli tylko wesela? – zapytał Porter, poprawiając starszego dżentelmena.

Middleton spurpurowiał, chociaż nie można było stwierdzić, czy w wyniku wściekłości, zażenowania gafą popełnioną w zbyt freudowskim stylu czy z powodu obu tych rzeczy naraz.

– Niech pan nie spiera się ze mną o drobiazgi! – odrzekł sucho. – Żadna z moich krewnych nie musiała wyjeżdżać do Europy, żeby studiować historię sztuki!

Smucę się, musząc zrelacjonować, że po tych słowach Porter poczuł się zobowiązany bronić uczciwości swojej szwagierki, co też uczynił,

wykorzystując jesienną namiętność, jaką Middleton czuł w stosunku do Wyldy. I rzucił mu to prosto w sędziwą twarz. Od tego momentu dialog obu dżentelmenów zdegenerował się do rzucania osobistych uwag dotyczących rodzin Porterów i Middletonów. Im dłużej tam siedziałem, tym silniejsze było moje przekonanie, że niektórzy ludzie nie potrzebowali ani interwencji bogów, ani potworów, aby uczynić ze swojego życia obrzydliwy bałagan. Kiedy już w końcu nie mogłem znieść ich niestosownego zachowania, przeprosiłem i opuściłem klasę panującą oraz New Haven. Nie mam pojęcia, kiedy Porter i Middleton zauważyli, że odszedłem.

Austin-Cowlesów odwiedziłem w ciągu tygodnia. Okazało się, że równie dobrze mogłem zaoszczędzić sobie kłopotu: Middleton miał rację.

– To był pomysł Wyldy – oznajmiła mi Margot, gdy siedzieliśmy razem przy herbacie w towarzystwie jej męża. Oraz byłej panny Scruggs, choć dodaję to tylko dla porządku, bo teściowie podczas całej mojej wizyty poświęcili jej tyle uwagi, co stojakowi na parasole.

– Ja nie byłem z tego powodu szczęśliwa – kontynuowała Margot – ale ona nalegała: ślub i przyjęcie weselne odbędą się w Klubie.

Hilliard to potwierdził:

– Oboje próbowaliśmy wytłumaczyć jej sytuację związaną z Simpsonem, sfinksem i jak rzeczy się mają od tamtego czasu. Ale uznała, że żartujemy.

Nostalgia przebiegła po eleganckich rysach twarzy Margot.

– Pamiętasz, jak to było, zanim ten okropny mężczyzna i jego żadna krwi ukochana wszystko zepsuli? – zapytała mnie. – Przyjęcie w Klubie z okazji ostatniego ślubu twojej drogiej siostry było ostatnim normalnym wydarzeniem, jakie miało tam miejsce.

Na wspomnienie ślubu mojej siostry była panna Scruggs wydała z siebie głębokie, szczere westchnienie.

– Pamiętam to – odezwała się z pasją. Jej twarz jaśniała, oczy błyszczały od marzeń, choć jej głos był tak cichy, że prawie niesłyszalny. – Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego. To był najcudowniejszy dzień w moim życiu. Ciągle o nim śnię.

Właśnie miałem wtrącić w odpowiedzi jakąś grzeczną uwagę, kiedy Hilliard zaczął mówić dalej, tak jakby jego synowa w ogóle nic nie powiedziała.

– Na szczęście budżet Klubu opiera się ściśle na należnych wekslach i okazjonalnych legatach, w przeciwnym razie już dawno by zbankrutował. Mimo że nie każde prywatne przyjęcie ściąga mitycznych niepożądanych, nikt nie chce ryzykować.

– A mimo to nie zamierzacie postąpić inaczej? To już za trzy miesiące –

zauważyłem.

– Gdybym mógł to zmienić, zrobiłbym to natychmiast – westchnął Hilliard.

Jak każda dobrze wychowana osoba z pewną pozycją społeczną nie mogłem ścierpieć, że jestem zmuszony kłać moje usta, poruszając sprawy natury materialnej – poza nowojorską giełdą, ma się rozumieć – ale w tym wypadku czułem się zobowiązany zapytać:

– Zatem nie podjęliście prostego kroku i nie odmówiliście zapłacenia za wesele, chyba że odbędzie się gdzie indziej?

Zarumieniona po uszy Margot przez wzgląd na przyzwoitość odwróciła ode mnie wzrok, za co nie mogłem jej winić. Matka Wyldy wyraźnie zeszywniała. Hilliard ledwie pochylił głowę.

– Oczywiście, że tak – powiedział. – Bez skutku. Z jakiegoś powodu, którego nie chce wyjawic, jest dla Wyldy przerażająco istotne, aby mieć wesele w Klubie. Po wszystkich tych latach nasze słodkie, posłuszne dziecko stało się na tym jednym jedynym punkcie istną tygrysią. Zdecydowała, że wesele będzie albo w Klubie, albo wcale.

I oto nadeszła moja klęska. Wszystkie dalsze argumenty nie miały sensu. Każda twierdza jest do zdobycia poza stanowczym postanowieniem kobiety, która do tej pory była podporządkowana i uległa. Takie stworzenia zbierają całą siłę woli powstrzymaną przez okres posłuszeństwa i potulności, po czym skupiają ją w jedną tytaniczną masę i koncentrują jak wiązkę laserową.

– Zawsze była taką dobrą dziewczyną! – żałośnie westchnęła Margot. – Nigdy nic od nas nie chciała, aż do teraz. Jak moglibyśmy odmówić?

Nie mogli. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Wesele odbędzie się, kiedy Wylda zarządzi i gdzie postanowi. Ale JAK się odbędzie... dopiero zobaczymy.

Wraz ze zbliżającą się datą ślubu Wyldy w Klubie wrzało. Najpierw wyniknęła sprawa zaproszeń. Ci, których uwzględniono w zbliżających się uroczystościach, nosili zadowolone uśmiechy, aczkolwiek trochę opadające w kącikach. Zaproszenie na jakąkolwiek fetę organizowaną przez Austin-Cowlesów samo w sobie było przywilejem. Nie zabraknie żadnych luksusów, będzie rozrzutność bez chęci błyszczczenia, wystawność stonowana przez wyrafinowanie.

A mimo to najlepszy kawior nie przeszedłby nikomu przez usta bez ulotnego dreszczyku strachu i pośpiesznych spojrzeń rzuconych z ukosa w kierunku najbliższego wyjścia. Krótko mówiąc, moi współ-zaproszeni i ja sam bawiliśmy się na weselu Wyldy w zasepieniu, bo kto wie, kiedy ten piękny pokaz zostanie zakłócony...

Ci, których znajomość z Margot i Hilliardem nie była na tyle bliska, aby zaszczyścić ich zaproszeniem, pocieszali się kielichami wytrawnego Chateau. My, goście weselni, jedliśmy ostrygi, pasztet z gęsiich wątróbek, filety z wołowych polędwiczek i trufle, ale nasi wykluczeni bracia byli pewni, że łykamy tabletki na nadkwasotę przy co drugim kęsie.

Jestem przekonany, iż plotki dotyczące narzeczonego Wyldy zostały zapoczątkowane przez tych właśnie rozgoryczonych banitów skazanych na wygnanie ze zbliżającego się wesela. Mogło też być to dzieło Middletona. Jego nieodwzajemnione uwielbienie dla młodziutkiej Austin-Cowlesówny zaogniło się jak ropiejąca rana. Zawładnęła nim melancholia, a każdy dzień wysysał kolejną miarkę radości z życia sędziwego dżentelmena. Z drugiej jednak strony, biorąc pod uwagę jego wiek, być może miał po prostu zgagę. Bez względu na to, kto zapoczątkował plotki, rozprzestrzeniły się nader szybko. Według tych krążących pogłosek sprawa była dość zasadnicza. Nie chodziło o posępne szemrania na temat utajonych wad przyszłego pana młodego, przeszłej rozwiązłości, obecnych uzależnień czy byłych żon zakutych w kajdany i trzymany na strychu, ale po prostu o to, dlaczego nikt wcześniej tego człowieka nie widział?

W pewnym sensie łatwo można było zadać temu kłam – przecież Miles Martial był widziany i to nie tylko przez członków najbliższej rodziny Wyldy. Czyż to nie Solana Winthrop przedstawiła ich sobie?

Ale z drugiej strony Solana Winthrop była jedynym wyjątkiem od reguły, w dodatku cokolwiek skalany przez plamę nieprzewidzianych studiów z historii sztuki za granicą. To, czego żądali nikczemni pokątni szeptacze, sprowadzało się do jednego: „Co jest nie tak z tym człowiekiem, że otacza go taka tajemnica?”

Właśnie gdy takie plotki, domysły i spekulacje szalały w najlepsze, otrzymałem telefon od matki Wyldy, byłej Nory Scruggs, która błagała mnie, abym sprowadził pana Martiala do Klubu na obiad lub przynajmniej na koktajl. Szczerze mówiąc, w grę wchodziły pewne dodatkowe okoliczności. Moja wizyta w domu Austin-Cowlesów spowodowała bowiem, że zostałem cokolwiek porażony fizycznymi wdziękami panny Scruggs, a ponieważ dama nie była niechętna, wkrótce potem nawiązaliśmy związek obopólnych korzyści.

– Proszę powiedz, że to zrobisz – prosiła moja burżuazyjna ukochana. – To będzie najlepszy sposób, żeby ukrócić te obrzydliwe pogłoski raz na zawsze.

– Z pewnością – odrzekłem. – Ale czyż nie byłoby bardziej stosowne, aby to Hilliard przyprowadził narzeczonego twojej córki?

– On tego nie zrobi! – Nora wydała cichy, żalony krzyk. – Powiedział, że żaden Austin-Cowles nie pozwoliłby, aby banda paplających plotkarzy zmusiła go do zrobienia czegokolwiek. To oznaczałoby poddanie się. Próbowałam mu powiedzieć, że to nie jakaś tam głupia bitwa, ale nie chciał słuchać. Kochanie,

jesteś moją jedyną nadzieją!

Tylko moje serdeczne uczucia do Nory powstrzymały mnie przed uwagą, iż wymogi towarzyskie jak najbardziej są bitwą. Łatwiej jednak było dać jej to, czego chciała.

Umówiłem się z Milesem Martialem na dworcu kolejowym pewnego sobotniego popołudnia pod koniec maja. Było to traumatyczne spotkanie. Niektórzy ludzie są pobłogosławieni – choć nie jest to odpowiednie słowo – zdolnością do wypełniania sobą przestrzeni, na której się właśnie znajdują. Nie mówię o tych teatralnych indywiduach, które przybierają pozy i grają każdym ruchem. W ten sposób potrafi skupić na sobie uwagę byle komediant.

Miles Martial należał do innego gatunku, monumentalnego, ale bez domieszki melodramatyzmu. Był wysokim, krzepkim, dobrze zbudowanym okazem męskości, ale jak powiada grzeczne kłamstwo, rozmiar to nie wszystko. Był jednak wystarczająco przystojny, by móc oślepić. Widok tego opalonego blondyna o stalowo-błękitnych oczach, idealnych zębach i profilu jakby żywcem zdjętym z „Dawida” Michała Anioła napełnił moje serce wirem przytłaczającej zawiści. W tym momencie dotarło do mnie, że żadna zwyczajna istota ludzka nie mogła kiedykolwiek nie WIDZIEĆ Mileasa Martiala, a go nie SPOSTRZEC. Jest między tymi pojęciami różnica, niby subtelna, a jednak ogromna.

W krótkich odstępach czasu zdałem sobie również sprawę, że:

1. chciałem walnąć go w twarz tylko dlatego, że ją miał;
2. każdy mężczyzna w Klubie będzie podzielał moje odczucia;
3. gdybyśmy byli na tyle głupi, aby obrócić impuls w czyn, z łatwością uniknęłyby naszych uderzeń, a następnie z beztroską gracją pokazały nam, w jaki sposób powinno się to zrobić – czyli dokładnie i boleśnie;
4. każda kobieta w Klubie dostrzeże Mileasa Martiala i natychmiast zechce dokonać rzezi na drodze, słodkiej i niesamowitej małej szczęściarce Wyldzie;
5. to zabije starego biednego Middletona.

Miles wskoczył do mojego samochodu, jak tylko podjechałem na dworzec, a szeroki uśmiech rzucony w moją stronę był jedynym jego powitaniem.

– Pan Martial? – zapytałem na wypadek, gdybym zabrał przypadkowo nie tę osobę. (Ach, mijająca nadziejo, tak szybko zniweczona!)

– Bingo – powiedział, wyciągając w moją stronę palec wskazujący, jakby mierzył z pistoletu. Opuszczając kciuk, dodał: – Puf! – Posunął się nawet do tego, że po tym wszystkim zdmuchnął niewidzialny dym z koniuszka palca.

Moje wysiłki, aby nawiązać z nim lekką rozmowę podczas jazdy do Klubu, spotkały się z mieszanymi skutkami. Gdy zapytałem, czy podróż z Nowego Jorku była przyjemna, odpowiedział:

– Nowego Jorku? To stamtąd pochodzę? A tak, tak... Hej, kolego, musisz mi wybaczyć, jestem ostatnio trochę do niczego. Przejechałem szmat drogi.

Dopiero wczoraj wyleciałem ze Środkowego Wschodu. O rany, ale mnie bolała ręce!

I wypełnił moje auto nieokrzesanym śmiechem.

Pozbyć się tego człowieka to była wielka ulga – choćby na chwilę, gdy zostawiałem samochód pod opieką parkingowego. Miles Martial ku mojej radości nie zaczekał na mnie, tylko susem pokonał wejściowe drzwi i wziął Klub szturmem. Tu radość się skończyła, bo zacząłem myśleć, co zastanę wewnątrz.

Ponieważ było sobotnie popołudnie, Klub roił się od golfistów i graczy w tenisa. Martialowi pomimo tłęcej się zawiści, jaką rozniecały jego doskonałości fizyczne, jakoś udało się stworzyć podziwiającą go bufetową klikę w ciągu tych kilku minut, zanim do niego dołączyłem.

Powinienem być zadowolony, obserwując, z jaką ochotą dokonywał towarzyskich podbojów, ale w narzeczonym Wyldy było coś niejasno niepokojącego. Spokojna powierzchnia stawu odbijająca srebrne piękno księżycy też nie jest przecież gwarancją, że nie roi się w nim od aligatorów.

Żałuję, że muszę to w tej chwili powiedzieć, ale nie wyjawiałem nikomu mego niepokoję. Spełniłem prośbę Nory i swój obowiązek. Nic więcej nie musiałem robić.

Jest coś w ślubach co jest w stanie wzruszyć najmniej romantyczne serce. Do dnia zamążpójścia Wyldy stosunki między mną a Norą Austin-Cowles (z domu Scruggs) osiągnęły pewien stopień fizycznej intymności, ale to niewiele znaczyło. Zwykłe koty podwórkowe mogą się pochwalić większymi sukcesami. Lecz kiedy dama z powagą poprosiła mnie, abym jej towarzyszył, był to dla mnie większy wzrost mojego statusu niż kilka rozebranych, naolejkowanych, ochrypłych godzin spędzonych razem. Dało mi to słodką nadzieję, że może ujrzę jeszcze małżeńskie światełko na końcu mrocznego tunelu kawalerstwa.

Dzień ślubu Wyldy zaczął się jasnym, słonecznym porankiem, zasnutym nieco zrozumiałą mgłą niepokoję. Szyja niejednego gościa boleśnie się wykręcała, kiedy oczy niestrudzenie oceniały odległość od najbliższego wyjścia ewakuacyjnego.

Nie wszyscy byli jednak tak podenerwowani. Niektórzy sprawiali wrażenie spokojnych, a nawet wręcz apatycznych. Do tych ostatnich należał wiekowy adorator panny młodej, Middleton.

– Ojej! – powiedziała Nora. Staliśmy razem w drzwiach Dębowego Pokoju, gdzie odbywało się przedślubne przyjęcie koktajlowe. – To już trzecie martini pana Middletona! Mam nadzieję, że wie, co robi.

– Doskonale wie, co robi – przyznałem. – Upija się.

– Upija? – Pod wpływem szoku oczy Nory zaczęły coraz bardziej przypominać srebrne dolarówki. Po chwili jej głos zadrgał gorętszymi emocjami, gdy dodała: – Na ślubie mojej córki?!

Jako dżentelmen nie mogłem wyjawić powodu, dla którego Middleton szukał ukojenia w alkoholu. Wątpię, by obudziło to sympatię Nory. W zamian zaoferowałem jej nikłe pocieszenie, tłumacząc, że nadmiar trunku czynił Middletona melancholijnym i milczącym, a w żadnym razie nie głośnym i wulgarnym. Nie będzie zatem stanowił żadnego zagrożenia w gładko przebiegającym ślubie jej córki.

Nora zapatrywała się inaczej na te sprawy.

– Nic mnie to nie obchodzi. I tak zachowuje się jak palant. A co, jeśli później powie jej coś przykrego? Tak właśnie było z jednym z moich krewnych, który lubił sobie pociągnąć. Wyrosłam w przeświadczeniu, że nie można mieć wesela, pogrzebu, chrzcina czy nawet kolacji bez tego, by ktoś nie zrobił jakiejś sceny. Kiedy twoja siostra poprosiła mnie na swoją druhnę i kiedy zobaczyłam, jak pięknie wy się zachowujecie, to jakbym ujrzała niebo. Żadnych kłótni, żadnych bijatyk, żadnego przeklinania, nic tylko dostojeństwo, wyrafinowanie i spokój. Ach, żałuję, że Freddie i ja nie mogliśmy mieć takiego ślubu jak ten tu, w Klubie, ale on tak nalegał, abyśmy uciekli do Vegas!... Cóż, może ja nie miałam ślubu moich marzeń, ale Wylda będzie miała!

Byłem w stanie takiego zamroczenia, że pozostałem nieświadomy prawdziwego wydźwięku tych słów: „Wylda będzie miała ślub moich marzeń (i niech Bóg ma w opiece każdego, kto temu przeszkodzi)”.

Przyjęcie przedślubne zakończyło się i przystąpiliśmy do głównej ceremonii, która miał się odbyć w klubowym ogrodzie różanym. Sceneria była idylliczna, powietrze przepełnione perfumami, kwiaty w idealnym stadium rozwoju – kwitły, ale płatki były jeszcze delikatnie stulone. Goście siedzieli w rzędach na składanych białych krzesłach udekorowanych śnieżnobiałymi satynowymi wstęgami. Jako towarzysz matki panny młodej siedziałem z przodu obok niej, uśmiechając się niczym sentymentalny głupiec. Wreszcie kwartet smyczkowy zagrał delikatną arię Vivaldiego, aby oznajmić wejście pana młodego.

Miles Martial wyglądał oszalamiająco w płaszczu w stylu księcia Edwarda i eleganckich szarych spodniach. Kiedy zajął swoje miejsce obok pastora z parafii świętego Jerzego, który na żądanie Austin-Cowlesów zgodził się na wizytę domową, jego uśmiech był wystarczająco olśniewający, by osłepić legion paparazzich.

Samotna druha, Solana Winthrop, przeszła wzdłuż nawy przy akompaniamencie sonaty Mozarta, a potem pojawiła się Wylda prowadzona pod rękę przez swego dziadka. Kiedy smyczki zaczęły grać tradycyjny wagnerowski kicz, wstaliśmy wszyscy i obróciliśmy się, aby uhonorować pannę młodą.

– Przerwijcie ślub! – Wysoka, piękna, a przy tym zupełnie naga kobieta wypadła nagle po prostu znikąd i popchnęła Hilliarda na gości z ostatniego rzędu. Kiedy krzesła przewracały się jak domino, schwyciła Wylde za kark i przyłożyła do gardła dziewczyny jakieś długie, złote ostrze.

– Niech nikt się nie rusza! To jedna z najostrzejszych strzał Erosa i nie zawaham się jej użyć!

Wydaliśmy wszyscy z siebie wspólny okrzyk strachu i przerażenia. Niezwykły wzrost i splendor kobiety, jej absolutny brak wstydu i swobodna wzmianka o Erosie, antycznym bogu miłości, nie pozostawiły nam żadnych wątpliwości, że po raz kolejny zadziałała niepożądana magia Klubu. Niestety, tym razem zostaliśmy zaatakowani przez istotę bardziej niebezpieczną niż jakikolwiek sfinks, harpia, gorgona czy minotaur – przez stworzenie, które panowało nad wzbudzającą największą grozę i najbardziej destrukcyjną siłą w całym wszechświecie: przybyła Afrodyta, królowa miłości.

Zresztą nie przybyła sama.

– Droga wolna, mamó! Rozpracuj to! – zawołał pewnym siebie głosem jeden z dwóch wysokich, przystojnych młodych mężczyzn, którzy zmaterializowali się obok bogini. Ich twarze, włosy i zniszczone przepaski wystarczające im za cały strój były poplamione sadzą, popiołem, smarem oraz... tak, oraz krwią.

– Nie nazywaj mnie tak – warknęła naga kobieta. – To, że przeleciałam twojego ojca, nie czyni ze mnie twojej matki, Deimosie!

– Więc kim teraz jesteś, kiedy będzie go przelatywał kto inny? – zapytał fałszywym głosem ten drugi.

– Nie martw się, Fobosie – odrzekła bogini. – Kto ci powiedział, że tak właśnie?

– O mój Boże! – wykrzyknęła Nora, zrywając się na równe nogi. – Czy tu nie ma żadnej ochrony?! Ty! Tak, do ciebie mówię, wariatko! Nie dotykaj mojej córki!

– Jak mnie nazwałaś? – oczy bogini niebezpiecznie się zwięziły. Jeszcze mocniej przycisnęła ostrze strzały do ciała Wylde. Jęki przerażenia tego biednego dziecka doprowadziły dwóch niestosownie odzianych młodych mężczyzn do ekstazy.

Zakryłem dłonią usta mojej ukochanej i posadziłem ją z powrotem na krześle.

– Jeśli życie Wylde jest ci drogie, to bądź cicho – szepnąłem jej gwałtownie do ucha. – Właśnie tego się obawiałem.

Po czym tak szybko i zwięźle, jak to było możliwe, poinformowałem moje rozkosznie niedoedukowane kochanie o prawdziwej naturze naszych nieproszonych gości.

Dla tych, którzy znają stare greckie opowieści, istnieje specyficzna ironia

w chwytliwym sloganie: „Czyńcie miłość, nie wojnę”. Choć Afrodyta była żoną Hefajstosa, który wyrabiał broń dla bogów, bogini miłości nie mogła się oprzeć potężnemu urokowi Aresa, boga wojny. Ich cudzołożny związek stał się zresztą przedmiotem mitu całkiem dosłownie. Teraz z jakiegoś powodu Ares najwyraźniej zmęczył się swoją boską kochanicą. Jak wielu innych lubieżnych bogów – w tym jego własny ojciec Zeus – ukrył swą prawdziwą naturę, aby zdobyć urodziwą śmiertelniczkę.

– W dodatku zdaje się, że Afrodyta nie należy do tych kobiet, które dobrze znoszą odrzucenie – dodałem. – Co gorsza, jej wściekłość jest tak silna, że zabrała tu ze sobą dwóch z ich nieślubnych synów, Deimosa i Fobosa, bogów strachu i terroru. Są... Auu!

Nora ugryzła mnie w rękę i zerwała się na nogi purpurowa z wściekłości.

– Chcesz mi powiedzieć, że ślub mojego dziecka ma być zakłócony, bo ten nic niewart żołnierz posuwa tę panienkę za plecami jej męża?

– Hej!

Nora nigdy nie miała kłopotów z płucami, a bogowie z uszami. Dlatego Ares i Afrodyta usłyszeli ją wystarczająco dobrze i chórem się sprzeciwili. Rzekomy Miles Martial (no tak, teraz jego „wojenne” nazwisko było już chyba dla wszystkich całkiem jasne) ruszył w kierunku niedoszłej teściowej. Każdym krokiem jak poranna mgła rozwiewał się kolejny aspekt jego śmiertelnego przebrania, aż ujrzeliśmy hełm z brązu, napierśnik i nagolenniki, krwistoczerwoną przepaskę, lśniącą włócznię, miecz, tarczę oraz sandały z żelaznymi podeszwami. Zignorował Afrodytę i Wylde, zupełnie jakby stały sobie, rozmawiając o pogodzie.

– Co ty o mnie, kobieto, powiedziałaś?! – wrzasnął na Norę z góry. I to całkiem dosłownie z góry, bo odzyskawszy boską posturę, stał teraz nad moją ukochaną niemal jak drapacz chmur nad zwykłą kamienicą.

– Świetnie, jesteś tak samo tępy jak ona. – Nora wskazała palcem Afrodytę. – Skup się i rób notatki. Masz dwie minuty, żeby zrobić porządek z tą suką i bachorami, potem wracamy ze ślubem na właściwy tor, zanim roztopią się lodowe figurki łabędzi, bo inaczej... Zrozumiano?

– Ale mam, ja już nie chcę za niego wyjść! – płaczliwym głosem zawołała Wylde. – Okłamał mnie, ma dzieci i dziewczynę i nawet nie jest człowiekiem, i...

– Zamknij się! – Nora tupnęła nogą. – Spędziłam ostatnie dwadzieścia trzy lata mojego życia, planując ten dzień. Wyjdiesz za niego i będzie ci się to podobało!

– Ooo! – wykrzyknął Fobos, patrząc pełnymi podziwu oczami na gniew byłej panny Scruggs. – No, to dopiero jest coś przerażającego! Chyba się zakochałem.

– Pierwszy ją zobaczyłem, nieudaczniku! – ryknął Deimos i doskoczył do

swego brata.

Po chwili obaj zniknęli w wirze uderzeń i kopnięć, z którego co chwilę dobiegały obsceniczne wyzwiska. Ale strach i terror, choć były niewątpliwie potężnymi siłami, miały niewielkie szanse na pozostanie w cywilizowanym towarzystwie.

– Nie waż się tak odzywać do kobiety, którą kocham! – nad naszymi głowami rozbrzmiał piorun. Nie miał jednak nic wspólnego z bogiem wojny, który ledwo zdołał otworzyć usta. Ten grzmiący rozkaz pochodził od Middletona. Starszy pan sunął w stronę Nory pełen gniewu, jak wojownik przed bitwą. – Skoro Wylda nie chce poślubić tej kanalii, to nie zrobi tego. Jest dorosłą kobietą, a nie twoją lalką ubraną jak panna młoda i czas najwyższy, żebyś to pojęła!

Teraz już, pomimo swej zdeklarowanej tęsknoty za wyrafinowaniem, elegancją i spokojem, Nora nie była w stanie poskromić własnego dziedzictwa rodzinnego. Została przecież wychowana przez ludzi, którzy nigdy nie uciekali z pola bitwy, no chyba żeby przynieść większą broń i to się teraz ujawniło.

– Ty pijaku! – fuknęła. – Ty stary pijaku! Chciałbyś może, żeby moja córka była rozebraną ślubną lalką?! Nic z tego, dziadu. Ten ślub się odbędzie!

– Nigdy! – zaprotestowała Afrodyta. Bogini miłości nie była przyzwyczajona, by ją ignorowano i zdecydowała się z powrotem ściągnąć na siebie światła reflektorów. – Ares tak naprawdę wcale nie chce się żenić z tą małą meduzą. Zaczął tę głupią grę w stylu: „Och, jestem zakochany w śmiertelnym stworzeniu!”, bo ostatnio nie poświęcałam mu wystarczająco dużo uwagi. Tylko dlatego, że dziewczyna pójdzie na parę, no, na dziewięć filmów z Bradem Pittem...

– A czy ktoś ciebie pyta?!

Nora doskoczyła do Afrodyty i uderzyła ją w twarz. Bogini była tak oszołomiona, że upuściła złotą strzałę Erosa, uwalniając Wyldę.

– Nie zwalaj winy na moje dziecko za to, że nie umiesz utrzymać przy sobie swojego faceta.

Afrodyta stała jak wryta, kiedy Nora schwyciła córkę za nadgarstek, pociągnęła ją wzdłuż przejścia i wepchnęła w ramiona Aresa. Middleton próbował interweniować, ale dawna potulna sprzedawczyni z kwiaciarni rozłożyła go imponującym prawym sierpowym.

Widząc, jak matka ostatecznie rozprawiła się ze starszym dżentelmenem, Wylda gotowa była wybuchnąć płaczem. Bóg wojny ciągle nerwowo zerkał to na swoją narzeczoną, to na potencjalną teściową. Wyglądał na kogoś, komu nogi zrobiły się tak zimne ze strachu, że mógłby zapoczątkować nową epokę lodowcową.

– Czy ona zawsze miała takiego świra na punkcie władzy? – zapytał swoją narzeczoną.

– Tylko od momentu, gdy powiedziałam jej, że się pobieramy – odpowiedziała cicho Wylda. – Nie wiem dlaczego, ale od tego się zaczęło. To wtedy mama... zmieniła się. – Dziewczynę przeszył dreszcz na samo wspomnienie. – Kazała mi poprosić dziadków o ten ogromny głupawy ślub, tak jakby to był mój pomysł. A ja nigdy nie chciałam wychodzić za mąż w Klubie.

– Lepiej wiem, czego chcesz, a czego nie! – oznajmiła córce Nora.

– A co, jeśli ja już nie chcę tego małżeństwa? – machnął groźnie mieczem Ares, ale gdy spojrzał przyszłej teściowej w oczy, został po prostu zmiażdżony. Biedne bóstwo tak mocno się zatrzęsło, że aż słychać było grzechot jego zbroi. – Hm, zapomnijmy, że cokolwiek powiedziałem – rzekł pośpiesznie i schował miecz do pochwy.

Kiedy siedziałem, masując ugryzioną dłoń i obserwowałem ten dotąd mi nieznaną aspekt osobowości drogiej Nory, zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze – są o wiele gorsze zrządenia losu niż kawalerstwo i po drugie – mimo że mój ukochany Klub przyciągał potwory, to nie wszystkie wywodziły się z greckiej mitologii. Napady złości najdzikszej Ślubilli są niczym w porównaniu z ognistym chaosem wcielonym w matkę owego stwora.

Nie, żeby można było nazwać słodką, nieśmiałą Wyldę jakąkolwiek – illą. Biedne stworzenie wydawało się teraz tak zastraszone, aż zacząłem się zastanawiać, czy aby w miejscu kręgosłupa dziewczyna nie ma czasem tylko cukrowego pasiastego lizaka.

Choć podobno złamanym cukrowym lizakiem też można zabić człowieka...

– Nie chcesz się ze mną ożenić? – zapytała narzeczonego Wylda.

– Oczywiście, że chcę – odparł Ares, ale jego oczy ciągle nerwowo wpatrywały się w Norę.

– Nie, nie chcesz – stwierdziła dziewczyna, a jej broda zaczęła się trząść jak u dziecka, które zaraz wybuchnie płaczem. – Nie chcesz i każdy tu o tym doskonale wie. Mówisz to tylko, bo mama tak cię przeraża, że zaraz zsikasz się w spodnie.

– To nieprawda! – wykrzyknął bóg wojny. – Nie noszę spodni.

– A ja nie wychodzę za mąż! – Wylda zerwała swój welon i cisnęła go na ziemię. – Odchodzę.

Zanim Nora zdołała ponownie wyrzucić na niej swoją władczą siłę, dziewczyna pobiegła w stronę wyjścia. Afrodyta wiwatowała, a matka panny młodej zerwała się na równe nogi w szaleńczym pościgu za krnąbrną córką. Jeśli jednak myślała, że zamiarem Wyldy była tylko ucieczka, to dziewczyna szybko udowodniła jej, jak bardzo się myliła. Bo nagle przystanęła i podniosła coś leżącego na trawie, a potem zawirowała dookoła, w sam raz, by czołowo zderzyć się z matką. Obie jak ogromna, nieforemna śnieżka potoczyły się po trawniku i wylądowały prosto w kolczastym krzaku róż.

– Wylda, wracaj do swojego narzeczonego, w tej chwili! – wrzasnęła Nora. – Psujesz mój ślub.

– Jak tak bardzo chcesz tego ślubu, to go sobie miej – wybuchnęła dziewczyna i pchnęła matkę w serce.

Nora spojrzała wolno w dół na wąskie, błyszczące ostrze sterczące jej z piersi. Dotknęła lekko strzały, a ona rozkruszyła się w pył i rozwiała na wietrze. Nie było ani śladu po ukłuciu, ani kropli krwi, ani najmniejszego rozdarcia na sukni. Matka panny młodej wolno spojrzała to w jedną, to w drugą stronę, jakby budziła się z głębokiego snu i nie miała pojęcia, gdzie jest ani jak się tu znalazła.

Cadby Middleton był jednak dżentelmenem starej szkoły. Nie mógł pozwolić, aby dama znajdująca się w niezręcznej sytuacji pozostała w towarzystwie bez asysty, nawet jeśli dopiero co sprasowała mu szczękę, jak bokser walczący o mistrzowski pas. Ostrożnie obszedł dookoła Wyldę – na którą teraz spoglądał nie tyle z miłością, co z lękiem – i zbliżył się do upadłej Furii.

– Czy mogę? – spytał spokojnie.

Ciągle oszołomiona Nora przyjęła zaoferowaną dłoń.

Niebo zafalowało. Ziemia się poruszyła. Anioły w niebie zaśpiewały: „Hosanna!”. Róże eksplodowały jak sztuczne ognie, strzelając fontannami pachnących płatków. Aureola oślepiającego srebrnego światła otoczyła Middletona i była panną Scruggs, a kiedy blask zniknął, ujrzeliśmy ich złączonych w pocałunku tak namiętnym, że sama Afrodyta zrobiła im owację na stojąco.

Był to śliczny ślub. Ares poprowadził pannę młodą do ołtarza, a Afrodyta asystowała jej jako honorowa drużna. Po ceremonii Hilliard Austin-Cowles wznosił pierwszy toast. Właściwie nawet nie tyle toast, co oświadczenie, że prędzej zobaczy nas wszystkich w piekle, niż zapłaci za choćby jedną sekundę tego ślubu. Jednak szczęśliwy pan młody natychmiast wypisał czek na okrągłą sumę, zmiął go i wepchnął Hilliardowi w ucho.

Jednak Wylda Serena nie wzięła udziału w przyjęciu weselnym matki. Jak zawsze altruistka, zaproponowała, że odwiezie mnie do szpitala, gdzie opatrzą moją dłoń, zanim wda się infekcja.

Jechaliśmy w milczeniu, aż w końcu zauważyłem:

– Cóż za miła niespodzianka, że osoba z twojego pokolenia tak dobrze zna mitologię grecką. Wiedziałaś, że strzała miłości zmieni serce twojej matki, tak że zawiadnie ono jej umysłem ogarniętym ślubną obsesją, a aureola mocy Erosa wzbudzi miłość w pierwszej osobie, która ją dotknie. Doskonale.

– Niezupełnie – powiedziała skromnie Wylda. – Po prostu chciałam ją zabić. Ale tak, jak się stało, też jest dobrze.

Uniosłem do góry jedną brew i spojrzałem uważnie na dziewczynę.

– Wygląda na to, że nie doceniałem cię, moja droga. Jakie jeszcze

niespodzianki kryją się pod tą fasadą łagodności i posłuszeństwa?

– Jesteś miłutki jak na starszego faceta. Może razem się dowiemy? – zaproponowała z uśmiechem i wyciągnęła rękę, żeby poklepać mnie po nodze.

To znaczy zakładałem z początku, że chciała poklepać mnie po nodze...

W każdym razie to była długa jazda, a na jej końcu kolejny śliczny ślub. Co prawda w Las Vegas, ale przynajmniej pastor ściągnięty z Kościoła Wiecznego Blichtru kończył Harvard. Tak przynajmniej utrzymywał.

O Autorze

Dwukrotna zdobywczyni nagrody Nebula, ESTHER M. FRIESNER, jest autorką ponad trzydziestu powieści i ponad stu pięćdziesięciu opowiadań. Jej utwory publikowano w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Japonii, Niemczech, Rosji, Francji, w Polsce („Faceci w czerni II”) i we Włoszech. Jest również poetką, pisze sztuki teatralne i kiedyś prowadziła dział porad „Zapytaj Ester”.

Mieszka w Connecticut, jest mężatką, ma dwójkę dzieci i jak przystało na autorkę fantasy – także koty. Co jednak wyróżnia ją spośród kolegów po piórze i kocie, Esther M. Friesner to miłośniczka chomików, których zmienna populacja stale jest obecna w domu pisarki.

Więcej informacji na stronie: www.sff.net/people/e.friesner.

Lori Handeland

Oczarowana przez księżyc

Obudziłam się o poranku w dzień mojego ślubu z wielkim, huczącym bólem głowy. Najprawdopodobniej przyczyniło się do tego morze wina wypite na – jak to żartobliwie nazwaliśmy – próbnym weselu, które miało mi posłużyć za znieczulenie uprzyjemnione stekami i cabernetem. A może ból w moim mózgu był reakcją na słowa „małżeństwo”, „męża” i „czy ty, Jessie McQuade...” zawarte w jednym zdaniu?

Postradałam zmysły, ale nie byłam dokładnie pewna kiedy.

Czy może tego dnia, kiedy powiedziałam Willowi, że go kocham? A może w ten wieczór, kiedy poprosił, bym za niego wyszła, a ja nie miałam serca powiedzieć znowu „nie”? Zdecydowanie musiałam być czymś odurzona, gdy zgadzałam się na tę ceremonię z całym towarzyszącym jej nonsensownym zamieszaniem.

Jęcząc, zwlekłam się z łóżka i odsłoniłam zasłonę. Ostre czerwcowe słońce uderzyło mnie w oczy jak odłamki lodu. Pozwoliłam, by żaluzja z powrotem opadła po szybie.

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że zgodziłaś się przez to wszystko przechodzić.

Wydałam z siebie skowyt, gwałtownie odwróciłam się skrzywiona z bólu i położyłam rękę na głowie, żeby mi czasem nie odpadła.

– Mówiłam ci, żebyś nie piła tego ostatniego galonu, ale nie chciałaś słuchać.

Leigh Tyler-Fitzgerald, jedna z moich nielicznych pozostałych przy życiu przyjaciółek, wkroczyła do pokoju. Jak na tak wczesny ranek wyglądała zbyt blond i zbyt ślicznie. Zawsze tak było.

– Kto do diabła, dał ci klucz?

– O, o, o! – Leigh potrząsnęła styropianowym kubkiem. – Czy w ten sposób rozmawia się z kobietą, która przyniosła kawę?

– Dawaj!

Wyciągnęłam ręce jak dziecko po cukierka, a ona zlitowała się nade mną.

Przypuszczam, że powinnam wyjaśnić mój niedobór przyjaciół. Ludzie, którzy ze mną przebywają, zazwyczaj kończą martwi. Takie ryzyko zawodowe. To samo można by powiedzieć o Leigh i prawdopodobnie dlatego stałyśmy się sobie bliskie.

Jesteśmy Jager-Suchers, co tłumaczy się „łowczynie-poszukiwaczki” dla tych, co wolą język polski. Polujemy na istoty, które preferują noc. Specjalizujemy się w wilkołakach.

Hej, z początku sama nie mogłam w to uwierzyć, ale kiedy patrzy się śmierci w twarz i ta śmierć ma oczy osoby, którą się kiedyś kochało lub przynajmniej znało, to twój system wartości dostaje niezłego kopniaka.

Jager-Suchers są wyselekcjonowaną, tajną grupą operacyjną usiłującą uczynić świat bezpiecznym, jeśli nie dla demokracji, to przynajmniej dla ludzi,

którym nie rośnie sierść przy świetle księżyca. Na nieszczęście praca ta nigdy się nie kończy. Wilkołaki nie tylko lubią zabijać, ale lubią się również rozmnażać – i właśnie to robią ich wszystkie demoniczne kohorty.

Wypiłam pół kubka kawy na bezdechu. Wciąż bolała mnie głowa, jednak już nie tak mocno.

– Ile mi jeszcze zostało do ślubu?

– Wystarczająco długo.

– Wątpię.

– Mówisz tak, jakbyś szła na pogrzeb. – Leigh usiadła na łóżku. – Co jest, Jessie? Nigdy nie widziałam bardziej zakochanych ludzi niż ty i Will Cadotte.

Chyba że mówiłybyśmy o niej i jej mężu, Damienie, ale nie mówiłyśmy. Przynajmniej nie dziś.

– Nie chodzi o miłość.

– A o co?

– Nie chcę wychodzić za mąż.

– To dlaczego to robisz? Spojrzałam jej prosto w oczy.

– Nie mam pojęcia.

– Coś kręcisz...

– Will prosił mnie prawie od roku, żebym za niego wyszła.

Nie poznałam Williama Cadotte w zbyt normalnych okolicznościach. Zresztą różniliśmy się we wszystkim tak, że bardziej już chyba nie można. Will był profesorem specjalizującym się w totemach rdzennych Amerykanów. Ja byłam gliną – przynajmniej jeszcze wtedy. On był Indianinem z plemienia Czipewejów, aktywistą noszącym okulary, obejmującym drzewa, denerwującym maniakiem książkowym.

Był też więcej niż atrakcyjny. Kiedy przechodził, kobiece głowy prawie wykręcały się z szyj. Może i lubił książki, ale lubił też ćwiczyć. Uprawiał taichi, rozciągał zarówno umysł, jak i ciało dłużej, niż ja nosiłam broń. Ale przyciągnęło mnie to jego poczucie humoru. A może niesforny kosmyk włosów wystający zza ucha?

Nigdy nie zrozumiałam, co Will widział we mnie. Faceci tacy jak on zazwyczaj szukają dziewczyny podobnej do Leigh, ale on nawet na nią nie spojrzał. Pomyślałabym, że jest gejem, gdybym mi nie udowodnił nieraz w łóżku czegoś wręcz przeciwnego.

Byłam dużą dziewczyną – wszędzie. W dodatku ani słodką blondynką, ani ognistą brunetką, a oczy miałam raczej przenikliwe niż marzycielskie. Przypuszczam, że mogłabym doprowadzić się do stanu prezentowalności, gdyby mi na tym zależało, ale miałam ważniejsze sprawy na głowie.

Musiałam być silna i w formie – inaczej byłabym martwa. Potrafiłam trafić z pistoletu w cokolwiek, co znajdowało się w odległości stu metrów. Miałam pracę, którą kochałam i mężczyznę, którego też kochałam. Ślub... cóż,

tego nie było w moich planach.

Aż do ostatniego razu, gdy Will znów mnie poprosił, a ja z niewyjaśnionych powodów powiedziałam „tak”.

– Nie zliczę, ilu ludzi znałam, którym było ze sobą dobrze, aż do momentu, gdy założyli obrączki – powiedziałam Leigh. – A potem bach, dwa miesiące później się nienawidzą.

– Ty i Will to co innego. Na zawsze będziecie razem.

– „Na zawsze” to w naszym zawodzie całkiem niedługo.

Na twarzy Leigh pojawiło się zrozumienie.

– To cię właśnie gryzie? Że jutro możemy już nie żyć?

– Jutro możemy już nie żyć – wymamrotałam. Nigdy nic nie wiadomo.

– Tu jesteśmy bezpieczne.

– Nigdzie nie jesteśmy bezpieczne, Leigh i ty o tym wiesz. Wzdrygnęła się.

– W każdym razie bezpieczniejsze. Nikt się tu na nas nie zacai.

Wynajęliśmy domek myśliwski nad Jeziorem Górnym w Minnesocie. Will chciał, żebyśmy się pobrali przy świętym drzewie, powyginanym czerwonym cedrze, które jak głosiły wieści, miało trzysta, czterysta, może nawet pięćset lat – w zależności od tego, kogo się słuchało. Drzewo stanowiło świętość dla Czipewejów z Grand Portage, współplemieńców Willa.

Dorastał w rezerwacie wychowywany przez babkę po tym, jak jego rodzice się ulotnili. Kiedy umarła, przechodził w ręce kolejnych ciotek i wujków. Teraz wszyscy już nie żyli, ale Will wspominał to miejsce z wielką miłością, a drzewo darzył ogromnym szacunkiem.

Ja nawet w dzieciństwie nie bawiłam się w Indian, ale Grand Portage wydawało mi się okey.

– A co, jeśli jednak ktoś się na nas zacai? – zapytałam.

– Wtedy będziemy wiedziały, że to wilkołaki i wyślemy je do piekielnego wymiaru. To właśnie zrobimy, Jessie.

– Wolalabym nie na moim ślubie.

Do diabła, wolalabym nie mieć ślubu! Więc dlaczego go miałam?!

Ponieważ może i byłam najtwardszą i najdzikszą z Jager-Suchers, ale jeśli chodziło o Willa Cadotte, w ogóle nie miałam odwagi. Nie chciałam go stracić. I czyż nie było to najsmutniejsze i najżałośniejsze przyjęcie oświadczyn na całym świecie?

Pewnej nocy oślepił mnie srebrnym kółkiem i brylantem w kształcie księżycy. Przy otaczających nas ciałach wilków, które nie były w rzeczywistości wilkami, wyciągnął pierścionek z kieszeni, wsunął na mój palec i tak mnie zaczarował, że zgodziłam się za niego wyjść.

A może oczarował mnie księżyc? Wszystkich innych tak.

– Skoro Edward uważa, że jesteśmy bezpieczne, to tak jest – powiedziała

Leigh i wiedziałam, że ma rację.

Edward Mandenauer, nasz szef, był starym, budzącym strach człowiekiem. I najlepszym myśliwym na całej planecie. Wiedział, jak znaleźć bezpieczne miejsce. Skoro powiedział, że wilkołaki nie przeszkodzą w moim ślubie, to tak będzie albo sam zginie, próbując temu zapobiec. Powierzyłabym mu nie tylko własne życie, nawet życie Willa.

Podczas drugiej wojny światowej Edward został wysłany do Europy, aby unicestwić najlepiej skrywany sekret Hitlera – armię wilkołaków. Niedobrze się stało, że zdążyły uciec, zanim on zdołał wypełnić misję. Ale nie spoczął na laurach.

– Chcesz coś zjeść? – Leigh wstała.

– Błę – udawałam, że wymiotuję.

– Cudownie. Teraz rozumiem, dlaczego Cadotte jest w tobie taki zakochany.

– A ja nie.

Moja przyjaciółka podniosła głowę.

– Chyba nie myślisz, że cię nie kocha?

– Wiem, że mnie kocha. I ja jego też.

– No to z czym masz problem?

– Małżeństwo to przestarzały zwyczaj.

– No dooobra! – Leigh zaczęła obracać swoją ślubną obrączkę na palcu.

– Bez urazy – powiedziałam.

– W porządku.

– Nie wiem, dlaczego się zgodziłam. – Wyrzuciłam w górę rękę.

– Najzwyczajniej w świecie obleciał cię tchórz. Nadzieja zdjęła mi ciężar z serca.

– Z tobą też tak było?

– No cóż... nie.

I nadzieja umarła. Miałam jakieś poważne braki, skoro nie byłam zdolna oddać się w pełni jednemu mężczyźnie, jakiego kiedykolwiek kochałam. Podejrzewałam to zresztą już od dłuższego czasu.

– Może powinnaś z Willem porozmawiać? – zasugerowała Leigh.

– Panna młoda nie powinna widzieć pana młodego przed ślubem. To przynosi pecha.

– Jeszcze gorszy pech to wyjść za mąż, nie mając pewności.

Miała rację, poza tym że...

– Za każdym razem, gdy go widzę, chcę... – zaczęłam.

– Przyłożyć mu. Rozumiem to. – Przewróciłam oczami.

– Chciałam powiedzieć: „zgodzić się na wszystko, co mówi”.

Leigh zmarszczyła brwi.

– To do ciebie niepodobne.

– Właśnie.

Mimo wszystko musiałam podjąć ostatnią próbę zrozumienia, dlaczego jestem w północnej Minnesocie z suknią ślubną w szafie i wyznaczonym spotkaniem z sędzią pokoju przy świętym drzewie tuż po czwartej dzisiejszego popołudnia.

Było trochę kłopotu z uzyskaniem pozwolenia na ślub w tym miejscu, ponieważ Czipewejowie wykupili drzewo kilka lat wcześniej. Potrzebny był koncesjonowany przewodnik, jeśli chciało się podejść w jego pobliże.

Zasugerowałam, by ślubu udzielił nam szaman (mały ukłon w stronę indiańskich korzeni Willa, a zarazem ogromne wyjście ewakuacyjne dla mnie), ale on nalegał, aby ceremonia odbyła się oficjalnie i zgodnie z prawem, co w jego przypadku było nowością.

Aresztowano go za więcej protestów, niż chciałoby mu się liczyć. Przez swoją działalność na rzecz społeczności rdzennych Amerykanów został umieszczony jako osoba wymagająca obserwacji na tylu listach policyjnych, że nawet nie wiedziałam, iż tyle może istnieć. Jego kartoteka policyjna wydawała mi się imponująca, choć sama zawsze grałam zgodnie z regułami – przynajmniej dopóki nie poznałam jego.

W końcu Willowi udało się uzyskać pozwolenie na ceremonię na tej podstawie, że był członkiem plemienia, a zatem współwłaścicielem drzewa. Zawsze był dobry w wyszukiwaniu różnych furtek prawnych.

Umyłam zęby, włożyłam dzinsy i koszulkę, po czym, machając do Leigh na pożegnanie, cichutko pobiegłam wzdłuż korytarza i zapukałam do drzwi Willa.

Nikt nie otwierał. Może był pod prysznicem.

Otworzyłam własnym kluczem, wetknęłam głowę i zamruczałam:

– Will?

Nie usłyszałam wody ani nic innego. Z niejasnym poczuciem winy weszłam do środka.

Łóżko było puste, choć tej nocy na pewno ktoś w nim spał. Obok zobaczyłam ślubne ubranie Willa – tradycyjny strój Czipeweja: legginy, przepaskę biodrową, skórzaną bluzę z mnóstwem haftowanych wzorów i parę mokasynów z ponaszywanymi jaskrawymi koralikami. Wszystkie te rzeczy leżały w nieładzie, więc zrobiłam się niespokojna. Niewykluczone, że jeden z wilkołaków uciekł – a kilkorgu zawsze się to udawało – i porwał Willa, żeby dopaść mnie.

Ja byłam łowczynią, on profesorem. Jasne, że zabił kilka włochatych demonów z wielkimi kłami, ale nawet nie zbliżył się do moich osiągnięć. Obok Edwarda i Leigh byłam najbardziej wzbudzającą strach Jager-Sucher. Musiały być wyznaczone jakieś premie za moją głowę i wilkołaki nie cofnęłyby się przed zamordowaniem mężczyzny, którego kocham.

Wilczy obłęd jest wirusem przenoszonym w ślinie stworzenia jeszcze w wilczej postaci. Do niedawna jedynym lekarstwem na tę dolegliwość była srebrna kula. Po zainfekowaniu ludzie stają się wilkami za każdym razem, gdy zajdzie słońce. Żyją, by zabijać, niszczyć i produkować innych na swoje podobieństwo. Ich samolubność i zło są wręcz demoniczne.

Są setki, niech będzie – tysiące tych bestii włączających się po świecie, chodzących po ulicach jak zwykli ludzie, jak ty i ja, a nocą aż do wschodu słońca przeistaczają się w potwory. Którykolwiek z nich mógł schwytać Willa, gdy spałam.

Pospieszyłam do telefonu, zamierzając zadzwonić do Edwarda, by zarządził poszukiwania. Ale gdy przechodziłam obok łóżka, zauważyłam dziwne wybrzuszenie na ślubnej bluzie Willa.

Jak to ja, zawsze podejrzliwa, zaczęłam ją obszukiwać. I z kieszeni (hm, ciekawe czy w dawnych czasach Indianie też mieli kieszenie) wyciągnęłam coś, co okazało się chyba świętym zawiniątkiem, o ile dobrze pamiętałam zdjęcie z podręcznika historii. Niektórzy Czipewejowie do dziś mieli takie amulety i wkładali do środka przedmioty wskazane przez duchy. Ale nigdy nie widziałam podobnego woreczka u Willa.

Wywróciłam zawiniątko do góry nogami. Zioła, ziarna, kawałek tkaniny – wszystko wylądowało na bielutkim prześcieradle. Nie odkryłam niczego niezwykłego poza małutkimi figurkami mężczyzny i kobiety wyrzeźbionymi w drewnie i przywiązanymi do siebie.

Widziałam już wcześniej talizmany. Dwa razy wilkołaki wykorzystały je, próbując zawładnąć światem. Ale ich amulety miały kształt wilków – jeden biały, drugi czarny, oba równie magiczne.

Nie miałam pojęcia, co mogli oznaczać ci wyrzeźbieni mężczyzna i kobieta. Jednak to, że znalazłam figurki w dniu mojego ślubu, nie mogło wróżyć niczego dobrego.

Dotknęłam jednym palcem zioła i nasiona, a potem chwyciłam materiał. Dreszcz owiał moją skórę. Kawałek tkaniny pochodził z moich ulubionych dresów. Miałam je od czasów, gdy byłam w szkole średniej i nadal wszędzie je ze sobą zabierałam.

Poczułam się jak naga, zwłaszcza że przyszłam tu bez broni. Wepchnęłam wszystko z powrotem do woreczka i ściskając go w dłoni, pośpiesznie wróciłam do swojego pokoju. Chciałam obejrzeć moje dresy.

Leigh nie było, dzięki Bogu. Nie miałam czasu, by cokolwiek teraz wyjaśniać, nawet gdybym potrafiła.

Położyłam święte zawiniątko na nocnym stoliku, wyciągnęłam spod materaca srebrny nóż sprężynowy, otworzyłam walizkę i wyciągnęłam magnum 44.

Miałam kiedyś szefa, który lubił cytować Clinta Eastwooda. Denerwująca

cecha, ale co do jednego miał rację w tym powtarzaniu – magnum to rzeczywiście najpotężniejsza broń krótka na całym świecie. Odstrzeliłam nim niejedną głowę. Magnum to była dobra rzecz, gdy się miało do czynienia z wilkołakami.

Odpowiednio uzbrojona otworzyłam szafę i... zapatrzyłam się jak głupia na suknię ślubną, którą – ciągle nie mogłam w to uwierzyć – kupiłam.

Była futerałowego kształtu w kolorze szampana i każda dziewczyna wyglądałaby w niej jak księżniczka. Nawet ja wyglądałam w niej spektakularnie. Więc dlaczego zawsze na jej widok miałam ochotę w coś walnąć?

Kolejna z wielu tajemnic.

Zostawiłam suknię w szafie, wyciągnęłam dresy i zaczęłam szukać rozcięcia lub dziury. Sama myśl, że jakiś debilowaty wilkołak albo co gorsza – mój debilny przyszły mąż, zabrał kawałek z jednej z moich ulubionych rzeczy, wystarczyła, bym nabrała ochoty coś zabić.

Nie znalazłam żadnych widocznych znaków. Żadnego rozcięcia na kolanie ani na tyłku. Jak można zdobyć kawałek materiału bez pozostawienia jakichkolwiek śladów?

Wywróciłam elastyczną gumkę na dole każdej nogawki i po prawej stronie znalazłam malutkie nacięcie wzdłuż miejsca, gdzie był nadmiar materiału.

– Bingo – wymruczałam Ale co ten fetyszizm Willa miał znaczyć? Zamierzałam się tego dowiedzieć.

Obróciłam głowę i gdybym należała do piszczących dziewczuch, pisnęłabym na widok mężczyzny stojącego w drzwiach. Zamiast tego wyciągnęłam broń.

Na szczęście nie postąpiłam zgodnie z procedurą panującą w Jager-Sucher: „Najpierw strzelaj, potem pytaj” – w progu stał Will.

– Co ty tu, do diabła, robisz?! – warknęłam.

Zabolała mnie pierś, bo moje serce próbowało wyskoczyć ze swego miejsca. Byłam zarówno wniebowzięta, że widzę go żywego, jak i zła, że się tak zakradł, a robił to często.

– Zostawiłaś otwarte drzwi. – Jego ciemne oczy powędrowały w kierunku mojej czterdziestki czwórki. – Wiesz, że uwielbiam, jak do mnie celujesz. To mi zawsze przypomina tę noc, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem.

Tak jak już mówiłam, nie poznaliśmy się w zbyt normalnych okolicznościach.

– Cha, cha – wymruczałam, opuszczając broń. – Gdzie byłeś?

– Ćwiczyłem taichi.

Ponieważ miał na sobie tylko luźne bawełniane spodenki i zmiętą koszulkę w ręce, powinnam się była sama domyślić.

Jego gładka, cynamonowej barwy skóra lśniła od potu, co teoretycznie powinno być nieatrakcyjne, ale wcale nie było. Ten lekki połysk podkreślał tylko fale i rzeźbienia dobrze umięśnionego ciała.

Przez ten cały rok, jaki byliśmy ze sobą, ani razu nie obciął włosów i sięgały mu teraz prawie do ramion, a czarno-granatowe pasemka bawiły się w chowanego z tym jego sterczącym kosmykiem.

Szkoda, że nie mogliśmy pominąć ślubu i od razu przejść do miesiąca miodowego.

– Czy to twoja suknia? – zapytał, zapuszczając żurawia do szafy.

– Wynoś się, czarusiu! Nie możesz jej zobaczyć. Zignorował mnie jak zwykle, kopniakiem zamknął drzwi, przeszedł przez pokój i zatrzymał się tak blisko, że mogłabym przysiąc – poczułam unoszącą się z jego skóry parę.

– Nie powinienem zobaczyć cię w sukni aż do ślubu.

– Wydaje mi się, że mnie samej też nie powinieneś zobaczyć.

Strzepnął włosy z mojego policzka i wyszeptał:

– Nie mogłem wytrzymać z dala od ciebie.

Kiedy mówił takie rzeczy, nie mogłam mu niczego odmówić. Ani mojego serca, ani ciała, ani przyszłości. W tym momencie chciałam Willowi jeszcze raz wszystko obiecać.

Jasne, że małżeństwo mnie przerażało, ale wilkołaki kiedyś też. Skoro jedno przeszło, to i drugie przejdzie.

Jednak mój napad paniki był całkiem zrozumiały, jeśli wziąć pod uwagę, w jakiej rodzinie dorastałam. Ojciec ulotnił się mniej więcej w tym samym czasie, gdy zaczęłam mówić – czyżbym już wtedy powiedziała coś nie tak? – i od tamtej pory go nie widziałam. Matka tak naprawdę nigdy mnie nie lubiła.

Poważnie, nie lubiła. Poczekala, aż skończę osiemnaście lat, po czym też się ulotniła. Och, zostawiła numer, pod którym można ją znaleźć, ale zainwestowała w przystawkę wyświetlającą, kto dzwoni. I rzadko podnosiła słuchawkę przy tych kilku okazjach, kiedy byłam wystarczająco pijana, by chcieć z nią gadać. Teraz też nie zadała sobie kłopotu, żeby się odezwać, gdy zostawiłam jej wiadomość o ślubie. To, że wychodzę za kolorowego, było z pewnością wygodnym pretekstem.

No i dobrze! Jedyna rodzina, jaką miałam, była teraz ze mną w Grand Portage. Rodzina, którą sama wybrałam, tak jak być powinno.

– Znowu za dużo myślisz. – Ręka Willa ślizgała się wokół mojej szyi. Jego usta musnęły zmarszczoną linię pomiędzy oczami, czubek nosa, a potem usadowiły się przy moich ustach. Westchnęłam i pozwoliłam, aby mi przypomnieli o jedynej rzeczy, która naprawdę się liczyła.

O nas.

Przyciągnął mnie bliżej. Nasze ciała dopasowały się jak zawsze. Był wystarczająco wysoki, abym mogła wygodnie położyć mu głowę na ramieniu.

Był na tyle silny, by móc mnie podnieść, przerzucić dookoła siebie i skopać mi tyłek, jeśli bym mu na to pozwoliła. Wszystko w Willu było doskonale oprócz osobliwego pragnienia posiadania żony.

Smakował jak zimowy wiatr w środku upalnego lata. Poddałam się pożądaniu. Od samego początku pragnęliśmy siebie i to pragnienie nigdy nie osłabło. Czasami zastanawiałam się, na ile łączy nas miłość, a na ile zwykłe seksualne zaślepienie. Ale z drugiej strony istniały gorsze rzeczy, którymi można być zaślepionym.

Tyłem kolan uderzyłam o łóżko i mruczając, runęłam na pościel, a on wylądował prosto na mnie. Coś ukłuło mnie w ramię. Wiercenie spowodowało, że koszulką zaczęłam ocierać sutki. Stwardniały i stercząc, dotykały nagiej piersi Willa.

Jeśli jego pomrukiwanie niskim głosem i nagły wybuch erekcji miały coś znaczyć, znaczyły z pewnością, że go zachęciłam.

Postanowiłam zignorować ból w ramieniu i skupić się na przyjemności. Jednak gdy Will pociągnął za guzik moich dżinsów, nagła zmiana pozycji jego ciała spowodowała, że wydałam z siebie stłumione „auć!”.

– Auć? – Jego palce znieruchomiały.

– Zejdź na chwilę, dobrze?

Nie zadając żadnych pytań, sturlał się na bok łóżka.

Wsadziłam dłoń pod swoje ramię i... wyciągnęłam święte zawiniątko. Zanim zdążyłam cokolwiek wyjaśnić, wyrwał mi je z ręki i zeskoczył z łóżka.

– Hej! – zaprotestowałam, ale on już podniósł swoją koszulkę z podłogi i wyciągał z kieszeni okulary. Potem zaczął wysypywać zawartość woreczka na dłoń.

Przez minutę patrzyłam na niego w osłupieniu. Oprócz kolczyka jego okulary też mnie dobijały. Ten cały jego wygląd roztargnionego profesora zawsze powodował, że chciałam się na niego rzucić.

– Urok miłości – mruknął. – Czipewejów.

– Jak on działa?

– Wykorzystuje magię i powoduje, że jedna osoba zaczyna drugą kochać.

– Wierzysz w to? Podniósł głowę.

– A ty nie?

Coś w jego głosie spowodowało, że zwięziłam oczy.

– Jedną cholerną chwileczkę... Myślisz, że to moja sprawka? Wiem tyle co nic o urokach miłosnych Czipewejów. Poza tym, mądralo, znalazłam to w twoich ubraniach.

– Moich? – Zaczął obszukiwać kieszenie spodenek. – Hmm?

– W twoim stroju ślubnym. Zesztywniał.

– Byłaś w moim pokoju?

Powiedział to w taki sposób, jakbym ukradła jego sekretny dziennik i

przeczytała co lepsze kawałki w CNN.

– Czy to jakiś problem? – zapytałam. – Masz coś do ukrycia?

Oprócz tego, że rozzłościły mnie jego oskarżenia, zaczynałam być również niespokojna. Może Will jednak miał coś do ukrycia? Na przykład urok miłości.

Zaczęłam myśleć, dlaczego ostatnio tak cholernie zgadzałam się na wszystko, co proponował. Pewnie, że żartowałam, że zaczarował mnie księżyc, ale nigdy nie wpadło mi do głowy nic o dosłownym uroku miłości. A powinno, naprawdę!

– Jeśli sporządziłbym urok miłości, z pewnością nie zostawiłbym go tam, gdzie mogłabyś go znaleźć. I nie oglądałbym go teraz, jakbym coś takiego widział pierwszy raz w życiu. Co jest zresztą prawdą.

Wzbierała w nim złość. Zazwyczaj był spokojny, ale kiedy już się wściekł, to nawet ja szukałam kryjówki.

– Przepraszam – wymamrotałam. – Rozumiem, masz rację.

– Gdyby nawet to było moje święte zawiniątko – ciągnął z pozornym spokojem – nie powinnaś w nim grzebać tak jak wtedy, gdy znalazłaś mój sekretny magazyn czekolady.

– To było tylko raz. Poza tym powiedziałaś, że i tak była dla mnie.

Zignorował moje usprawiedliwienia.

– W dawnych czasach Czipewejowie wieszali zawiniątka na drzewie dla bezpieczeństwa. Nawet dzieci wiedziały, że nie wolno ich dotykać. Muszą być otwierane z wielką czcią i tylko przez właściciela. Nikomu obcemu nie wolno ich ruszać.

– Obcemu?! – Mój głos stał się wysoki i piskliwy, a gniew napędzany przez nerwy i niepewność powrócił. – Chcesz, żebym ci przywaliła?

Westchnął i odwrócił wzrok, wolno zdejmując okulary i odkładając je na bok. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała w rytmie, który dobrze znałam. Wykonywał swoje oddychanie taichi. O rany, chyba też chciał mi przyłożyć!

– Uspokójmy się – wymamrotał.

– Chcesz, żebym się uspokoila, a oskarżasz mnie, że wykorzystuję urok miłości, bo chcę cię zmusić do małżeństwa? To ty mnie poprosiłeś, czarasiu. I to niejedynym razem.

– Wiem.

– Zastanawiałam się, dlaczego powiedziałam „tak”. Dlaczego tak cholernie łatwo można się ze mną ostatnio dogadać.

– Wiele by można o tobie powiedzieć, Jess – parsknął – ale z pewnością nie można by użyć słowa „łatwo”.

– Kupiłam dla ciebie suknię. – Wycelowałam palec w stronę szafy. – Jeśli to nie wynik magii, to nie wiem czego.

– Chwileczkę! – Will zmarszczył brwi, patrząc na zioła i nasiona. –

Powinien być jakiś skrawek materiału z ubrania ukochanej.

– Znalazłam kawałek moich szarych dresów.

– Och! – Will uważnie na mnie spojrzał. Wiedział, co one dla mnie znaczyły.

Wsadził palec do woreczka i wyciągnął puszysty ścinek. Ostrożnie wyłożył wszystkie rzeczy na nocny stolik, a potem mnie objął, opierając swoje czoło o moje.

– Przysięgam, że tego nie zrobiłem. Chcę, żebyś za mnie wyszła z własnej woli, a nie dlatego, że jesteś do tego zmuszona.

W jego ramionach gniew całkowicie mnie opuścił.

– Nie powinnam była cię oskarżać.

– Miałaś dość przekonujące dowody.

– Znalazłam zawiniątko, ale nie mogłam znaleźć ciebie. Wiesz, że miałam już do czynienia z talizmanami i nigdy nie miały nic wspólnego z miłością. Bałam się, że ktoś chce znowu zrobić coś złego.

Will delikatnie uwolnił się z moich ramion i podniósł figurki.

– Skoro ja tego nie zrobiłem i ty też nie, to w takim razie kto?

– Dobre pytanie.

Wpatrywał się w małego mężczyznę i drobniutką kobietę.

– Lepszym pytaniem byłoby, kiedy ktoś mi to podrzucił.

– Co? – zamrugałam oczami.

– Ostatni raz miałem na sobie ten strój dawno, zanim cię poznałem.

Włosy na rękach i karku stanęły mi dęba i mimo upalnego poranka przeszył mnie dreszcz.

Zastanawiałam się, dlaczego mnie kochał. I czy w ogóle.

– Nie – mruknął naraz Will.

– Nie co? – zmartwiałam.

– Tylko nie myśl, że cię nie kocham.

Nieraz czułam, że zna mnie lepiej niż ja sama. Próbowalam się uśmiechnąć, ale nie dałam rady.

– A co, jeśli nie, Will? Nie tak naprawdę.

Rzucił talizman na łóżko i chwycił mnie za ramiona, a jego palce wpijały się w moją skórę prawie z rozpaczą.

– Wiem, co czuję. Kocham cię. Zawsze będę cię kochał.

– Jestem pewna, że uczucia wywołane przez magię wydają się prawdziwe.

– Zapominasz o jednej rzeczy, Jess.

– O czym?

– W zawiniątku był kawałek twojego ubrania, a zawiniątko było w mojej bluzie.

Spojrzałam na niego tępym wzrokiem.

- Według legendy oznacza to, że urok przeznaczony był dla ciebie, żeby sprawić, abys ty pokochała mnie – wyjaśnił.
- Ja naprawdę cię kocham.
- Może nie, Jess. Nie tak naprawdę.
- Nie mów mi, co czuję! – zaskowyczałam.
- Grzeczna dziewczynka. – Jego uścisk osłabł. Spojrzałam na zegar stojący na nocnym stoliku.
- Do ślubu pozostały cztery godziny.
- Nie możemy się pobrać, dopóki się nie upewnimy.
- Ktoś tu musi coś wiedzieć na temat uroków miłości – stwierdził Will.
- Na przykład co?
- Jego oczy spotkały moje.
- Jak je złamać.

Zostawiłam wiadomość dla Leigh na kartce wyrwanej z notesu w moim pokoju. Gdyby nie mogła mnie znaleźć, na pewno znów użyje swojego klucza. Nie chciałam do niej dzwonić ani jej teraz widzieć. Nie chciałam wyjaśniać, co zamierzamy zrobić, bo sama nie byłam do końca pewna.

Cokolwiek jednak by to było, Will i ja musieliśmy to zrobić razem. Leigh ani Edward nie mogli mi pomóc.

Poza tym w ich zwyczaju było najpierw uderzać, potem pytać, a my potrzebowaliśmy teraz odpowiedzi, a nie martwych ciał.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam, gdy Will skierował samochód na główną drogę.

– Do rezerwatu.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?! Ponieważ zbyt się przejęłam, że dzień mojego ślubu zmierza w stronę piekła. Nie, żebym oczekiwała różu i fajerwerków, ale przeciwności wyobrażałam sobie jako krwawy atak wilkołaków, a nie zdradziecki urok miłosny.

Rezerwat Grand Portage rozciągał się na osiemnaście mil wzdłuż pięknej linii brzegowej Jeziora Górnego. Byłam zdziwiona, że rząd go nie skonfiskował – zgodnie z dawnym amerykańskim zwyczajem – kiedy tylko odkryto, że ziemia Indian przynosiła jakikolwiek rodzaj zysku.

Weźmy na przykład święte Góry Czarne, które zostały przekazane Siuksom, a potem im zabrane, jak tylko odkryto, że znajduje się w nich złoto. Czy można ich winić, że skopali za to tyłek generałowi Custerowi?

No i było też Terytorium Indiańskie, gdzie spędzono wszystkie plemiona wywleczone z ich ojczystej ziemi i łaskawie pozwolono im tam wymierać. Było ono jednak *indiańskie* tylko dopóty, dopóki nie odkryto tam ropy naftowej i

nagle powstał stan Oklahoma.

Zastanawialiście się kiedyś, skąd wzięto działki dla wszystkich tych, którzy ruszyli do Oklahoma w poszukiwaniu ziemi? Jakim sposobem mogli otrzymać dwa miliony akrów dokładnie w samym środku Terytorium Indian? W każdym razie ówczesne władze najwyraźniej nie wykalkulowały dobrze, ile letnich domków można by było zbudować nad brzegiem jeziora, a może po prostu Czipewejowie znaleźli lepszych adwokatów. W dzisiejszych czasach też lepiej dochodzić sprawiedliwości przy pomocy adwokata niż z tomahawkiem w ręku. Chociaż ten stary sposób jest jakby bardziej w moim stylu.

Will zwolnił, kiedy dotarliśmy do miasteczka Grand Portage, gdzie stały budynki plemienne. Kilku starych mężczyzn wyszło na frontowy ganek zniszczonego szarego, długiego parterowego domu. Will zatrzymał samochód i wysiadł.

– *Nimishoomis* – zwrócił się z szacunkiem do mężczyzny, który wyglądał na najstarszego – nazywam się William Cadotte. Mieszkałem tu jako chłopiec. Pochodzę z klanu Wilków.

Czipewejowie wierzą, że każdy ród pochodzi od jakiegoś klanu zwierząt, a rodziny należące do tego samego klanu uważa się za spokrewnione. Więc jeśli nawet mężczyzna od pokoleń mieszkał w Grand Portage w Minnesocie, a kobieta gdzieś w Montanie, to jeśli oboje należą do klanu Wilków, mają tę samą krew i nie mogą się pobrać.

Fakt, że Will wywodził się z klanu Wilków i teoretycznie wilki, na które ja polowałam, były jego przodkami, spowodowało nie lada kłopot, kiedy prawda wyszła na jaw. Wspomnienie tamtej kłótni wciąż nosił w postaci blizny na ramieniu.

– Mam pytanie do waszego szamana – kontynuował.

Nie mówiąc ani słowa, mężczyzna wskazał coś ruchem ręki. Podążyliśmy oczami w kierunku, który pokazał jego powykrzywiany palec i zobaczyliśmy wigwam stojący tuż za domem z cegły, otoczony przez wysokie zimozielone rośliny.

– Dziękuję – powiedział Will i ruszyliśmy w tamtą stronę.

– Widziałeś ten wigwam, jak tu jechaliśmy? – Nie.

– Więc nie było go tutaj?

Zerknął na mnie, po czym odwrócił wzrok.

– O czym myślisz?

– Nie cierpię, kiedy mnie o *to* pytasz – burknęłam. Czyżby wigwam zmaterializował się, dopiero gdy spytaliśmy o szamana? Jeszcze rok temu śmiałabym się do rozpuku z podobnego pomysłu. Ale od tamtej pory widziałam tyle dziwnych, gównianych rzeczy, że już nic mnie nie dziwiło.

Oczywiście nie powinnam chwalić dnia przed zachodem słońca...

Zatrzymaliśmy się obok kopulastej budowli, która miała około trzech lub

czterech metrów średnicy. Stanowiące rusztowanie gałęzie były pokryte korą brzozy, zapewniając mieszkańcom ochronę podczas letnich deszczów i ciepło podczas zimowych śniegów.

– *Nimishoomis!* – zawołał Will. – Jestem Will Cadotte z Grand Portage z klanu Wilków. Moja *wiijiwaaganag* i ja mamy pytanie.

– Twoja co? – wypaliłam.

– Partnerka na ścieżce życia.

Cóż, to była chyba prawda – przynajmniej do czasu, aż dowiemy się, czy to, co czujemy, jest prawdziwe czy stworzone. Na samą myśl, że wszystko, co nas łączyło, może być kłamstwem, chciałam dokonać jakiegoś aktu przemocy. Ale z drugiej strony wiele rzeczy wzbudzało we mnie takie pragnienia.

– Wejdźcie – zawołał głos z drugiej strony skórzanej zasłony, która służyła za drzwi.

Łokciem odepchnęłam Willa na bok i z ręką na broni dałam nura do środka zadziwiająco chłodnego wigwamu. Światło sączyło się przez dymnik na dachu, zamiast podłogi była goła ziemia, a wokół wygaszonego ogniska leżały tkane maty. Naprzeciwko nas siedział bardzo stary człowiek. Gdyby sądzić go po wyglądzie, z pewnością wędrował po lasach na długo przedtem, zanim pojawił się biały człowiek i wszystko schrząnił. Mimo to jego oczy były jasne, a wzrok klarowny. Białe włosy zwisały mu za pas zaplecione w warkoczyki i przewiązane opaską. Miał na sobie legginy i tunikę ze skóry jelenia, codzienny ubiór z dawnych czasów. Żadnych paciorków, żadnych kolców jeżozwierz, jego mokasyny również były gładkie.

– Masz kłopot, mój bracie? – Ruchem ręki poprosił, abyśmy usiedli.

Wybrałam matę, która pozwalała mi widzieć zarówno jego, jak i drzwi. To nie było żadne moje dziwactwo, ale uzasadniony nawyk. Nie widziałam, by starzec trzymał jakąś broń, jednak nie przestałam być czujna. Potwory często ukrywały się za pozornie niewinnymi twarzami.

– Jesteś z klanu Wilka? – zapytał Will. – Tak.

Will szybko wyjaśnił, co znaleźliśmy i po co przyszliśmy. Szaman, który przedstawił się jako Thomas Bender, wyciągnął rękę po święte zawiniątko. Zamiast jednak wysypać jego zawartość, jak my to zrobiliśmy, on ścisnął mocno woreczek i zamknął oczy.

– Co byście chcieli wiedzieć?

– Kto to zrobił? – zapytał Will. – Dlaczego? Jak możemy odczynić urok?

– Chcecie odczynić urok? – wzrok Bendera wędrował to po mnie, to po Willu. – Ale przecież to twoja *wiijiwaaganag*.

– Tak, ale z powodu uroku, czy dlatego, że naprawdę tego chce?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Tak – powiedziałam szybko. Stary człowiek westchnął.

– Jedyne sposob, aby poznać prawdę, to zapytać duchy.

– Jak?

– Usiąść na wodzie pod świętym drzewem.

– Usiąść na wodzie?! – wypaliłam. – A może jeszcze przejść się po niej jak Jezus?

Thomas Bender spojrzał dobrotliwie.

– Usiąść na wodzie w kanu.

Will położył rękę na moim kolanie – taki jego sposób powiedzenia mi, żebym już się nie odzywała.

– Poproście duchy, aby wyjawily prawdę.

– Dziękuję, *nimishoomis*.

Gdy odjeżdżaliśmy, spojrzałam w tylną szybę. Tam gdzie powinien stać wigwam, teraz rosła biała brzoza.

– To musi być kąt widzenia – mruknełam do siebie. – Wigwam został zasłonięty przez dom.

Will zerknął we wsteczne lustro.

– Pewnie, że tak.

Wróciliśmy tą samą drogą, którą przyjechaliśmy. Will zaparkował samochód obok świętego drzewa.

Wysiedliśmy, patrząc na powykrzywiane konary skierowane ku niebu. Według wszelkich praw natury ten stary cedr powinien już dawno runąć do wody ze skalnego występu. Ale z magicznymi drzewami rzadko tak bywało.

– Myślisz, że do nas przemówi? – zapytałam.

Przypomniały mi się nagle jabłonie z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. Jako dziewczynka zawsze się ich bałam jak cholera – zanim odkryłam o wiele lepsze rzeczy, których można się obawiać.

– Nie mam pojęcia – mrukneł Will.

Powiał mocniejszy wiatr. Gałęzie cedru zaczęły się bujać i skrzypieć. A co, jeśli drzewo nagle wyrwie sobie korzenie i zacznie chodzić dokoła jak te z „Władcy Pierścieni”? Ich też nie lubiłam.

Wyczułam zapach deszczu. Ciemne burzowe chmury przetoczyły się po zachodnim horyzoncie.

– Jeśli chcemy to zrobić – powiedziałam – to lepiej to zrobmy.

Will podążył za moim wzrokiem i zmarszczył brwi.

– Idzie burza. – No i?

– Nie powinniśmy być na wodzie, jak zaczną walić pioruny.

– Nie powinniśmy robić wielu rzeczy, czarusiu, ale zawsze je robimy.

Przez chwilę myślałam, że Will zrezygnuje. Ale tylko się wzdrygnął. Znał mnie dobrze. Wiedział, że gdyby stchórzył, poszłabym sama.

– Będziemy potrzebować kanu – przypomniał.

– Jesteś pewien, że nie możemy zrobić tego stąd?

– Na wodzie, znaczy na wodzie, Jess.

– Myślałam, że zwyczaje Czipewejów są niejasne.
– Legendy są niejasne, zwyczaje są dość precyzyjne. Kiedy starszy mówi, żeby usiąść na wodzie...

– ...to siadamy na wodzie. W porządku. Może tam ktoś wynajmuje kanu?

Will podążył za mną schodkami w dół do szopy niedaleko wody. Jakiś facet, z wyglądu miłośnik surfingu (choć czego taki szukał w Minnesocie, nie miałam pojęcia), przywiązywał łodzie, żeby nie odpłynęły przy silnym wietrze.

– Nie wynajmujemy, dopóki nie przejdzie burza – zapowiedział od razu.

Zrozumiałe! Skoro tornado potrafiło porwać krowę – a potrafiło – z kanu też nie miałyby problemu. Mimo to...

– DZN! – Wyciągnęłam swoją odznakę. – Mamy kłopot na jeziorze i potrzebuję kanu. Zaraz.

Zaskoczył. Musiał pochodzić z tych okolic. Chociaż Departament Zasobów Naturalnych – bardziej znany jako policja od myślistwa i rybołówstwa – nie był zbyt lubiany w północnych lasach, to jednak odznaka zrobiła swoje. Dostaliśmy kanu.

Kiedy wpłynęliśmy na jezioro, wszyscy turyści zawzięcie wiosłowali w stronę brzegu. Zanim dotarliśmy do miejsca pod świętym drzewem, na wodzie nie było nikogo, a burza nadciągała w naszą stronę.

– Czy deszcz w dzień ślubu przynosi szczęście? – zapytałam.

– Jasne – odpowiedział Will.

– Mówisz tak dlatego, żebym się zamknęła, czy naprawdę wiesz?

– Żebyś się zamknęła.

– Tak myślałam.

Zagrzmiał piorun. Chmury rzucały cienie na wodę, wzbudzając niepokój wśród ryb, które jak ogłupiałe sunęły pod powierzchnią. Wiatr smagał mnie po twarzy, a kolczyki Willa tańczyły jak oszalałe. Błysnęło, a ja zadrżałam.

– Możemy to zrobić jutro – powiedział Will. – Nasz ślub jest dzisiaj.

– Możemy go przełożyć.

– Nie! Nie wytrzymam kolejnej nocy, nie wiedząc, jak jest.

Chociaż na kanu wyszło to niezgrabnie, Will pochylił się i pocałował mnie.

Burza i prąd odciągnęły nas kilka metrów od drzewa. Wiosłowaliśmy, aż znaleźliśmy się przy nim z powrotem.

– Co teraz?

– Według szamana pytamy drzewo o prawdę.

– No to pytaj.

Will wzruszył ramionami.

– Duchu drzewa – zaczął – szukamy prawdy. Wiatr wył. Drzewo pochyliło się i zakołysało. Nic poza tym.

– Ty spróbuj – zaproponował Will.

– To ty jesteś z klanu Wilka, lalusi.

– Co w tym przypadku nie ma nic do rzeczy. Urok był zrobiony dla ciebie. Może ty musisz zapytać.

– Hej! – krzyknęłam. – Może trochę prawdy?!

– Tak miło – mruknął być może zaczarowany narzeczony.

– To cała ja.

I znowu nic się nie wydarzyło.

– Może powinnam trzymać ten woreczek albo co? Na twarzy Willa pojawiło się zaskoczenie.

– Dobry pomysł.

– Dlaczego jesteś taki zszokowany? – zdziwiłam się. – Nie jestem takim kompletnym matosem w sprawach magii.

Istotnie, miałam tego aż za dużo na szkoleniu.

Will wyjął święte zawiniątko z kieszeni. Kiedy wyciągnęłam po nie rękę, woda uderzyła o kanu, aż się na chwilę zanurzyło. Wtedy nasze dłonie zderzyły się, ściskając talizman.

Ujrzelśmy potężny błysk i usłyszeliśmy trzask pioruna, a potem poczuliśmy zapach siarki. Płomienie wystrzeliły w niebo.

– Och! – wymamrotałam.

Drzewo stało tu nienaruszone od setek lat. Jeden dzień w moim towarzystwie i staje w płomieniach.

– Czy ktoś prosił o prawdę? – Ten głos wydawał się szeptać na wietrze, ja jednak i tak go rozpoznałam, a moje serce zamarło.

Czy ze wszystkich możliwości na ziemi i na niebie, wszechświat musiał zesałać właśnie ją?

– Myślę, że powinnam poczuć swąd piekielnego ognia tuż przed jej przyjściem – powiedziałam.

– Jess – upomniał mnie Will – nie zapominaj, jak było ostatnim razem.

Pamiętałam doskonale i właśnie dlatego nie byłam zbyt szczęśliwa, widząc Corę Kopway stojącą na występie skalnym obok płonącego drzewa. Ta wysokiej rangi członkini Midewiwin, sekretnej stowarzyszenia religijnego Indian Wielkich Jezior oddanego leczeniu za pomocą starych sposobów, spędziła całe życie, studiując pokryte kurzem teksty i obcując z duchami w swoich wizjach.

Kiedyś odebrała mi głos za pomocą zwykłego machnięcia nadgarstkiem i jakiegoś dziwnego fioletowego pyłu. Bez wątplenia była całkiem potężna.

Była również całkiem nieżywa – od jakichś sześciu miesięcy. Nie powstrzymywało jej to jednak od wtykania nosa w sprawy Jager-Suchers przynajmniej raz.

Niech będzie dwa.

Teraz wyglądała tak samo jak za życia. Była wysoka, smukła i miała

czarne falujące włosy leciutko przyprószone siwizną.

– Jak na starą, nieżywą czarownicę jest zaskakująco ładna – mruknęłam.

Will rzucił mi spojrzenie, które roztopiłoby nawet srebro. Wpatrywałam się w Corę, która zaczęła iść... po wodzie, po czym stanęła kilka stóp od naszego kanu.

– Czy to nie błuznierstwo? – zapytałam. Jej oczy się zwęziły.

– Już raz cię uciszyłam, mogę to zrobić znowu. Na dobre.

Zachowywała się tak, jakby miała w tyłku kij. Ale Will ją lubił, więc zawsze ze wszystkich sił starałam się być dla niej miłą.

Niestety na to moich sił nigdy długo nie wystarczało. Jestem gliną – czy raczej byłam gliną, kiedy ją poznałam – a w dodatku białą, wygadaną dziewczyną. Popelniłam zatem wszystkie trzy grzechy główne na grzechometrze Cory Kopway.

– Dlaczego tu jesteś, *nookomis*? – zapytał Will.

– Bawiłam się dobrze w Krainie Dusz. I wolałabym nie być z niej wyrwana, żeby pomóc akurat wam – zmarszczyła nos i spojrzała w moją stronę – ale nie miałam dużego wyboru.

– No to wracaj do Wioski Umarlaków! – mruknęłam. – Gdybym wiedziała, że to ty przyjdiesz, nigdy bym nie poprosiła.

– Chcemy poznać prawdę – warknął Will. – Co za różnica od kogo?

– Możemy jej ufać?

– Nigdy nas nie okłamała.

No i to załatwiało sprawę. Mimo że potrafiła być niezmiernie denerwująca, kodeks Midewiwin zabraniał Corze kłamać. A może naprawdę sama z siebie była prawdomówna i pomocna? W każdym razie żywa czy martwa wiedziała więcej o indiańskich sposobach uwodzenia niż ktokolwiek inny.

– W porządku – zgodziłam się. – Ale nie rozumiem, dlaczego święte drzewo nie mogło nam samo odpowiedzieć.

– To nie tak się odbywa – powiedziała Cora. – Chcieliście prawdy i tylko ja ją znam.

– Jak to?

– Ja zrobiłam te talizmany.

Aż mnie zatkało. Dlaczego, do licha, miałyby używać magii, abym zakochała się w Willu? No chyba że zamierzała mnie w nim rozkochać, ale bez wzajemności.

Ha! Teraz się wszystko zemściło na jej własnym tyłku.

Nadciągała jednak silna burza. Na środku jeziora pojawiły się grzywiaste fale. Musieliśmy kończyć pogawędkę i wynosić się z wody, bo inaczej dołączylibyśmy do niej w Krainie Dusz o wiele szybciej, niż to planowaliśmy.

Może wydawać się to dziwne, ale wierzę w życie po życiu. Przyznaję, że

nie było tak, zanim nie stałam się jedną z Jager-Sucher. Jednak potem doszłam do wniosku, że skoro istnieje zło, musi też istnieć dobro, a skoro istnieją demony, muszą też być anioły. I jeśli Szatan chodzi po tej ziemi – a chodzi przebrany za okropniejsze istoty, niż można sobie wyobrazić – to Bóg też musi gdzieś tam być.

– To ja zrobiłam talizmany – powtórzyła Cora – żebyście się w sobie zakochali.

Krążyła nad rozszalałą wodą i to całkiem widoczna, a nie mglista i eteryczna jak przystało na ducha. Gdyby nie to chodzenie po wodzie, a wcześniej testy DNA identyfikujące jej ciało, pomyślałabym, że jest żywa.

– Talizmany, zakochali... Ale po co ci to było? – zapytałam.

Wydała z siebie pełne irytacji mruknięcie i wyrzuciła w górę rękę.

– Niczego się nie nauczyliście?

– Może mnie naprowadzisz?

– Miłość jest silniejsza niż nienawiść, ma więcej mocy niż zło. Razem możecie działać więcej, niż gdybyście byli osobno.

Will i ja wymieniliśmy spojrzenia, po czym znów nasza uwaga skupiła się na Corze.

– Okej – powiedziałam. – Ciągle nie kapuję.

– Wiedziałam, że twoje umiejętności w obchodzeniu się bronią destrukcji w połączeniu z inteligencją Willa mogą z was zrobić drużynę prawie nie do pokonania. Potrzebne było tylko coś, co by was związało na zawsze. I to właśnie wam dałam.

– Ale urok miał spowodować, że to ja pokocham Willa. Skąd miałaś pewność, że on też mnie pokocha? Zmarszczyła brwi.

– Powiedziałam przecież „talizmany”. Liczba mnoga.

– Tak. – Wyciągnęłam z woreczka mężczyznę i kobietę. – Jest ich dwoje.

Potrząsnęła głową.

– Jest jeszcze jeden.

– Czy ty czasem nie naoglądałaś się za dużo „Gwiezdných Wojen”?

– W niebie? – wzruszyła ramionami. – Nie wydaje mi się. \$

– Nie pokazują w niebie „Gwiezdných Wojen”? No to tam nie idę – zakpiłam.

– Wątpię, żebyś miała pójść – prychnęła pogardliwie Cora. – Ale to nie jest związane z tematem.

Zaskowyczałam, a moje palce zacisnęły się na małym mężczyźnie i kobiecie.

– Weź głęboki oddech – mruknął, Will.

– Ty z nią gadaj, czarusiu. Ja mam dość. Westchnął, chociaż nie byłam pewna, czy rozczarowany tylko mną, czy nami obiema.

– *Nookomis*, mówisz, że jest drugie święte zawiniątko?

– Jedno dla każdego z was.

Zaniemówiłam nawet bez pomocy magicznego pyłu. Już i tak było wystarczająco źle zastanawiać się, czy kocham go naprawdę. A dowiedzieć się jeszcze, że być może i on nie sam z siebie mnie kocha...

– Znaleźliśmy jedno święte zawiniątko w moim odświętnym stroju.

– Drugie jest w jej kosmetyczce.

– Ty masz kosmetyczkę? – zapytał zdziwiony Will.

– Nie żebym używała, ale było mnie stać, to kupiłam – odpaliłam z odruchowym u mnie sarkazmem, choć tak naprawdę czułam się unicestwiona przez przytłaczające poczucie smutku. Jakby ktoś, kogo kochałam, właśnie umarł.

Mój wzrok błędził po twarzy Willa, a przez mój umysł przebiegały wspomnienia tego, co razem dzieliliśmy. Analogia była bardziej trafna, niżbym chciała.

– Mówisz, że ukryłaś święte zawiniątko w rzeczach każdego z nas, abyśmy się w sobie zakochali? – sprecyzowałam, zwracając się do Cory.

– Tak.

Zmusiłam się, żeby zebrać myśli, żeby wychwycić sedno informacji, które wbijały się w mój mózg jak kolec ostu w palec.

– A więc spotkaliśmy cię dopiero po tym, jak się zakochaliśmy? – spytałam.

Moja nadzieja, że był to tylko jakiś błąd, spóźniony o kilka miesięcy primaaprilisowy żart albo miejscowy czipewejski kawał, umarła, kiedy Cora wzruszyła ramionami.

– Czas nie płynie tak samo w Krainie Dusz. Nie jesteśmy na płaszczyźnie liniowej.

– Co to, do diabła, znaczy?

– To znaczy – wtrącił się Will – że mogła wrócić do czasu w przeszłość, zanim się pokochaliśmy i wtedy podłożyć talizmany.

– To nie ma żadnego sensu! – wybuchnęłam.

– Patrzysz na sprawy oczami człowieka – powiedział.

– To wszystko co mam, czarusiu. – I umysłem człowieka.

– Jak wyżej.

– Drugi świat rządzi się innymi regułami niż ten.

– Wierzę ci na słowo. Jak mogłaś sporządzić uroki miłosne, skoro jesteś duchem? – zwróciłam się znów do Cory.

– A kto powiedział, że jestem duchem?

– No to czym jesteś?

– Midewiwin.

Ależ mi wszystko wyjaśniła! Myślałby kto!

– Już za życia miała ogromną moc, Jess – przypomniał mi Will. – Nie

wiadomo, do czego jest zdolna po śmierci.

Cora uśmiechnęła się, a jej wyraz twarzy skojarzył mi się z miną wielkiego węża czatującego na małą myszkę.

Znowu błysnęło. Zaczął padać deszcz. Płomienie na świętym drzewie zasyczały i wybuchły jezorami. Cora spojrzała na zachód, jakby ktoś zawołał ją stamtąd po imieniu.

– Muszę iść.

– *Ke-go-way-se-kah* – mruknął Will. Widząc mój wzrok, przetłumaczył:

– „Wracaj do ojczyzny”. Wierzimy, że na zachodzie leży *Ke-wa-kun-ah*, droga do ojczyzny dusz.

W mojej głowie AC/DC zaczęło śpiewać „Highway to Hell”. Stłumiłam muzykę na wypadek, gdyby Cora mogła też ją usłyszeć. Z nią nigdy nic nie wiadomo.

– Jeszcze jedno pytanie – odezwałam się do Indianki. – Jak możemy to powstrzymać?

– Powstrzymać co?

– Urok miłości.

– Chcecie, żeby magia odeszła? – Zmarszczyła czoło. – Czy miłość nie jest lepsza niż nienawiść?

– Tak. Ale prawda jest lepsza niż kłamstwo. Uniosła głowę i wpatrywała się we mnie z rozbawieniem.

– Może byłam dla ciebie zbyt ostra.

– Tak myślisz?

Zwęziła oczy, a jej palce wyglądały kieszeń tej samej kolorowej spódnicy, w której kiedyś trzymała ten uciszający fioletowy proszek.

– Daj spokój, dobrze? – mruknął Will. Z trudem zacisnęłam usta.

– Wybór należy do was – powiedziała Cora. – Jeśli chcecie, żeby wasze życie wyglądało tak, jakbym się nigdy nie wtrąciła, wszystko, co musicie zrobić, to rozdeptać figurki.

– To wszystko? – zapytał mój zaczarowany narzeczony.

– Wszystko.

Trzasnął piorun. Zamrugałam oczami, a ona zniknęła. Will wpatrywał się w miejsce, w którym przed chwilą stała.

– Zwariowałam i miałam zwidy? – Zamrugałam powiekami.

– Cora tu była – powiedział Will.

Błyskawica przecięła niebo tuż nad naszymi głowami. Zanurzyliśmy w wodzie wiosła i skierowaliśmy się w stronę brzegu, podczas gdy ciepły letni deszcz bębnił w kanu.

Zwróciliśmy je surferowi i wsiedliśmy do samochodu. Oboje ociekaliśmy wodą, ale na szczęście siedzenia były skórzane i nie wyrzadziliśmy większej krzywdy tapicerce. Oboje patrzyliśmy przez przednią szybę.

Na świętym drzewie nie zobaczyliśmy żadnego dymu, oczernionych konarów – ani śladu płomieni, które widzieliśmy z jeziora. Cedr wyglądał dokładnie tak, jak go zostawiliśmy, tylko był mokry jak my. Zaczynałam wątpić we wszystko, co widziałam.

– Drzewo paliło się, prawda? – spytałam.

– Prawda.

Will wrzucił bieg i pojechaliśmy do domku myśliwskiego.

Leigh nie było w moim pokoju. Ani Edwarda. Nie zostawili żadnej kartki ani wiadomości na poczcie głosowej. Najwyraźniej nikt nie zauważył naszej nieobecności.

– Jesteś zimna – mruknął Will.

Nie zdawałam sobie sprawy, że cała się trzęsę.

– Może zdejmiesz te mokre ciuchy? Weźmiesz prysznic?

Otworzyłam usta. Chciałam zaproponować, żeby się do mnie przyłączył – w końcu też się trząsł – ale szybko je zamknęłam. Dzieląc wodę, dzieliliśmy znacznie więcej. Zawsze tak było.

Nie mogłabym się z nim teraz kochać, a potem się dowiedzieć, że przez cały rok nie łączyło nas nic oprócz seksu.

– Po prostu zrobmy to – powiedziałam i wyciągnęłam kosmetyczkę z szafy.

Lśniący różowy winyl. W zeszłym tygodniu zdarłam emblemat Barbie. Nie mam pojęcia, dlaczego zatrzymałam tę upiorną resztę. Może dlatego, że była to jedna z niewielu rzeczy, poza kompleksem niższości, którą dała mi matka. Pamiętam bardzo dokładnie, jak pewnego jasnego letniego dnia, gdy miałam dwanaście lat, wróciła z pracy i wręczyła mi prezent.

– Spróbuj być dziewczyną – rozkazała.

Próbowałam, ale nigdy mi to zbyt dobrze nie wychodziło. Wtedy też po godzinie męczarni przy nakładaniu pudrów i innych świństwach wzięłam swój pistolet na kulki i poszłam strzelać do wiewiórek. Trzeba się trzymać tego, w czym się jest najlepszym.

– Jest strasznie mała – stwierdził Will. – Jak mogłaś nie zauważyć, że w środku jest święte zawiniątko?

– Nigdy jej nie otwieram. Przywiozłam ją tylko dlatego, że...

Wzdrygnęłam się. No bo i po co miał wiedzieć, że chciałam go olśnić w dniu naszego ślubu?!

Pociągnęłam za suwak i wyrzuciłam zawartość kosmetyczki na łóżko. Dwie pomadki, róż, tusz do rzęs i próbka podkładu wyleciały wraz z drugim świętym zawiniątkiem. Wewnątrz były takie same figurki, te same zioła, podobne nasiona i mały skrawek wytartego dżinsu.

Will chwycił materiał w palce.

– Zastanawiałem się, jakim cudem zrobiłem sobie dziurę w tych

spodniach.

– Gotowy? – zapytałam.

Ponure zdecydowanie pojawiło się na jego twarzy i szybko skinął głową. Wepchnęłam figurki, materiał i pozostałe rzeczy do zawiniątka, po czym cisnęłam je na podłogę. Uniosłam stopę.

– Zaczekaj! – Will upuścił swój talizman obok mojego, a potem chwycił mnie w pasie. Jego usta były miękkie, a dłonie twarde i jak zawsze, gdy mnie dotykał, nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o nim.

Od początku czuliśmy do siebie więcej niż dwoje ludzi powinno poczuć w tak krótkim czasie. Odepchnęłam wtedy od siebie ten niepokój, przekonując samą siebie, że jesteśmy pod wpływem stresu, walcząc o swoje życie. Prawie nie umarliśmy. Więc oczywista sprawa, że to, co czuliśmy, było tak silne, aż nieracjonalne.

Kiedy niebezpieczeństwo minęło – jak na standardy Jager-Suchers – nadal łudziłam samą siebie, że mieliśmy szczęście, odnajdując siebie. W ten sposób zagłuszałam szept w mojej głowie powtarzający, że to tylko ja byłam tą szczęściarą. Że nie powinnam zadawać pytań ani wnikać, ponieważ Will może zmądrzeć i zobaczyć, że czeka go coś lepszego niż ja.

Teraz byłam pewna, że za kilka minut naprawdę zmądrzeje. I tak samo, jak nie mogłam się zmusić, żeby ostatni raz być z nim naga, nie mogłam się też powstrzymać, by ostatni raz go nie pocałować.

Uniosł głowę i musnął kciukiem mój policzek. Był tak piękny, że aż bolały mnie oczy. Co on kiedykolwiek we mnie widział? Z pewnością nic, co nie byłoby wynikiem działania magii.

– Zniszczymy talizmany – mruknął – ale ja i tak będę czuł to samo.

Uśmiechnęłam się łagodnie, wzięłam jego dłoń i przycisnęłam usta do jego kłykci.

– Wątpię, Will.

Zamrugął oczami. Tak rzadko używałam jego imienia, że kiedy już powiedziałam „Will”, życie zrobiło się poważne.

Zrobiłam krok w stronę talizmanów. On stał nieruchomo.

– Wrzucimy je do jeziora – powiedział. – Co?

– Kocham cię, a ty kochasz mnie. Cora miała rację. Miłość jest silniejsza niż nienawiść. Jesteśmy lepsi razem niż osobno. Nie chcę cię stracić, Jess.

– Nie chcesz być z kimś, kogo tak naprawdę nie kochasz. – Wzięłam głęboki oddech. – Ja wiem, że nie chcę.

– Będziemy się kochać nawet bez magii.

– No to nam nie zaszkodzi, jak zniszczymy talizmany.

Zapadła między nami cisza. Rozważał, co powiedziałam.

– Okej – zgodził się w końcu. – Jeśli właśnie tego chcesz...

On i ja na zawsze razem było tym, czego chciałam. Widziałam to teraz

wyraźnie. Nie mogłam uwierzyć, że wcześniej miałam jakiegokolwiek wątpliwości. Dlaczego zawsze musimy coś stracić, żeby odkryć, ile to dla nas znaczyło?

A tak, ludzka natura.

Wzięłam kolejny głęboki oddech.

– Tego właśnie chcę.

– W porządku. – Kiwnął głową. – Na trzy. Raz, dwa...

Podnieśliśmy stopy.

– Trzy.

I opuściliśmy je na święte zawiniątka. Małe drewniane figurki trzasnęły pod podeszwami moich traperów. Skrzywiłam się na ten odgłos, który brzmiał jak łamanie drobniotkich kości.

Ziemia zadrżała, mignęła błyskawica, a chłodny wiatr przeleciał przez pokój, rozwiewając mi włosy i kołyszając kolczykami Willa.

Spojrzałam przez okno. Nie dość, że było zamknięte, to jeszcze świeciło słońce. Czekałam na jakieś odczucie, że coś się we mnie zmieniło. Spojrzeliśmy na siebie i zdałam sobie sprawę, że tak, coś się zmieniło. Kochałam go jeszcze bardziej!

Wstrzymałam oddech przerażona, że Cora zemściła się po raz ostatni, każąc mi desperacko kochać mężczyznę, który nie mógł znieść mojego widoku.

– Jess – powiedział Will, a w jego głosie usłyszałam wszystko, o czym zawsze marzyłam. Lub przynajmniej wydawało mi się, że usłyszałam. Jak to ja, musiałam sprawdzić.

– Jak tam serce, czarusiu? Jakies zmiany? – Ani jednej.

To dobrze czy źle? Na mojej twarzy musiała się odbić niepewność, bo przyciągnął mnie do siebie i trzymał. Jego usta musnęły moją skroń. Nie cierpię się do tego przyznawać, ale kurczowo do niego przylgnęłam.

Mój wzrok powędrował znów w stronę okna, gdy snop słonecznego światła padł na święte drzewo, zamieniając powykrzywiane ciemne konary w połyskujące złoto.

– Spójrz – szepnęłam.

– Myślę, że to jakiś omen – zamruczał Will. – A ty?

Zawsze wiedziałam, że to on jest miłością mojego życia, ale nigdy do końca nie potrafiłam uwierzyć, że myśli o mnie tak samo. Teraz uwierzyłam.

– Tak – odparłam.

Jego uśmiech mówił, że wszystko zrozumiał, że moje „tak” i dla niego jest odpowiedzią na więcej niż tylko to jedno pytanie.

– Jak się zapatrujesz na sprawę dzieci? – zapytał. Zakrztusiłam się.

O do diabła! Dzieci nie były opcją. Nie w świecie, w którym każdy może w każdej chwili zmienić się w potwora, a jak już kogoś kochamy, to widzimy w nim potencjalną przynętę dla wilków. Will potrafił zadbać o siebie, ale

dziecko...

Nie mogłam tego zrobić.

– Jeśli chcesz mieć dzieci, czarusiu, będziesz potrzebował silniejszego uroku.

– Dokładnie tak myślę.

– Nie chcesz mieć dzieci?

– Nie w naszym świecie, Jess. Chciałem się tylko upewnić, czy ty nie chcesz.

– Widzisz mnie w roli matki?

– Właściwie tak, inaczej bym przecież nie pytał. Potrząsnęłam głową zaskoczona.

– Zawsze uważasz mnie za lepszą osobę, niż kiedykolwiek mogłabym być.

– Wcale nie.

Kolejny powód, dla którego go kochałam! Pociągnął mnie za włosy.

– Możemy odpuścić sobie ten ślub, jeśli chcesz.

– Myślałam, że jesteś zdecydowany zrobić ze mnie uczciwą kobietę.

– Jesteś najuczciwszą kobietą, jaką znam.

W ustach Indianina to był zdecydowanie komplement. Wystarczająco dużo kłamstw usłyszeli w życiu.

– Poza tym – ciągnął – dla Czipeweja życie z drugą osobą przez cały rok jest równoważne z zawarciem małżeństwa.

Moje oczy zwęziły się w udawanej wściekłości.

– Nie mogłeś mi tego powiedzieć, zanim kupiłam suknię za tysiąc dolarów?!

Wzruszył ramionami zakłopotany.

– Nie potrzebujemy ślubu. W moim sercu jesteśmy zaślubieni już od dnia, gdy się spotkaliśmy.

– Bardzo się mylisz.

– Wiem. – Znow wziął mnie za rękę. – Ale chcę tego, tylko jeśli ty też tego chcesz.

– Setka wilkołaków nie mogłaby mnie powstrzymać – szepnęłam.

Przebrałam się w suknię, niewygodne buciki, nawet nałożyłam makijaż. Pozwoliłam, aby ktoś obcy zrobił coś z moimi włosami, po czym wyszłam z domku na słabnące słońce.

Stary łowca wilkołaków poprowadził mnie pokrytą żwirem ścieżką w stronę świętego drzewa i wsunął moją dłoń w dłoń Czipeweja z klanu Wilków. Trudno w to uwierzyć, ale tak było ze wszystkim w moim życiu.

– Opiekuj się nią – przykazał Willowi Edward.

– Sama umiem o sobie zadbać – wypaliłam.

– No to po co za niego wychodzisz?

Popatrzyłam mojemu Indianinowi w oczy.

– Nie mogę się oprzeć.

Edward parsknął i dołączył do pozostałych myśliwych. Mój ślub wyglądał jak zbrojownia, wszędzie tylko broń i broń, i srebrne kule też.

Sędzia pokoju, którego sprowadziliśmy z Duluth, wyglądał na zdenerwowanego w naszym towarzystwie, ale jakoś dał sobie radę.

– Ogłaszam was mężem i żoną. Zabawne, ale nie zabrzmiało to dobrze.

– Jesteśmy *wijjiwaaganag* – powiedziałam.

– Partnerami na ścieżce życia – przytaknął Will.

O Autorze

LORI HANDELAND jest autorką niezwykle popularnych w Stanach Zjednoczonych powieści z serii „Stworzenia Nocy” (*Nightcreature*). Już pierwsza książka cyklu „Błękitny Księżyc” (Blue Moon) zdobyła w 2004 roku prestiżową nagrodę RITA przyznawaną przez stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Romansów. Kolejne, w miarę ukazywania się, od razu lądują na liście bestsellerów „USA Today”.

Lori mieszka w Wisconsin z mężem, dwójką nastoletnich synów i złotym labradorem o imieniu Elwood. Oficjalna strona autorki: www.lorihandeland.com.

Charlaine Harris

Tandeta

– Nie mogę uwierzyć, że dożyłam takich czasów – powiedziała Dalia. – Poza tym jestem druhną. Idę. To nie tylko zaszczyt, ale i mój obowiązek.

Podniosła wysoko powieki, spoglądając na swoją towarzyszkę. Miała duże zielone oczy, więc zrobiła efekt.

Glenda Shore zakrztusiła się łykiem syntetycznej krwi.

– Chyba żartujesz – odparła. – Uważasz, że to zaszczyt? No cóż, wal się! Bycie druhną oznacza, że trzeba obracać się w towarzystwie paskudnych rzeczy. To tak jak z tą dzisiejszą imprezą w barze wilkołaków. Taffy specjalnie do mnie zadzwoniła, ale ją zbyłam. Nie zrobię tego! Jest wystarczająco źle przez wszystkie te drwiny, jakie muszę znosić. Maisie nazwała mnie futrzakiem! Thomas Pickens wyje jak wilk, kiedy tylko mnie zobaczy. To po prostu upokarzające.

Dalia odrzuciła w tył głowę, aby zrzucić długie, falowane, czarne włosy za ramiona. Spojrzała w dół, chcąc się upewnić, czy jej wieczorowa burgundowa suknia bez ramiączek nie zjechała za nisko. Istnieje granica dzieląca bycie cudownie prowokującą i zwyczajnie wyzywającą. Dalia była ekspertem w stapaniu po tej granicy.

– Znam Taffy od chyba dwustu lat – powiedziała cicho. – Czuję, że muszę się z tego wywiązać.

Starła się, by jej głos brzmiał swobodnie, bez odrobiny drobnomieszczańskiej wyższości. Jej towarzyszka nie żyła przecież dużo, dużo krócej. Podobnie jak dwie pozostałe wampirzyce, które Taffy poprosiła, by zostały jej druhnami.

Glenda była jeszcze płaskim jak deska podlotkiem. Została przemieniona za czasów Ala Capone w Chicago. Ciągle lubiła ubierać się w rzeczy przypominające te, które nosiła, gdy była jeszcze żywa – co Dalia stwierdziła z niesmakiem. Dzisiaj miała na sobie kapelusz w kształcie hełmu. Zdecydowanie rzucił się w oczy.

Och, oczywiście, teraz, kiedy Japończycy produkowali syntetyczną krew, która zaspokajała potrzeby żywieniowe nieumarłych, bycie wampirem stało się legalne. Ale przeżycie nie ograniczało się li tylko do wypicia duszkiem Prawdziwej Krwi czy Czerwonego Towaru w całonocnych barach, taki jak ten, w którym siedziały. Istniała garstka ludzi, którzy porywali wampiry z ulic i spuszczały z nich krew, by ją sprzedać na czarnym rynku.

Były też inne kultury, które chciały ich zwyczajnie unicestwić, ponieważ zdecydowały, że wampiry to złe, wysysające krew diabły.

Ta Glenda stanowczo powinna nauczyć się dyskrecji!

Aha, do listy zagrożeń trzeba by też dodać nienawidzące wampirów wilkołaki, które prowadziły wendetę z nieumarłymi, czasami przeradzającą się w regularną wojnę. Myśl o wilkołakach sprowadziła Dalię z powrotem do omawianego tematu, czyli ślubu swojej przyjaciółki.

– Razem z Taffy mieszkaliśmy przez dziesięć lat w jednym gnieździe w Meksyku – powiedziała. – Byliśmy sobie dość bliskie. Razem przetrwałyśmy wojnę z 1812 roku. Nic tak nie cementuje braterstwa jak przeżycie wojny. A teraz mieszkamy u Cedrica, och, już od dwudziestu lat!

– Gdzie Taffy mogła spotkać taką kreaturę? – westchnęła Glenda, obracając w palcach długaśny sznur pereł sięgający jej do pasa. W jej oczach pojawił się błysk rozkoszy. To było tak zabawne, jak dyskusowanie o niespotykanych wcześniej perwersjach seksualnych.

Dalia skinęła na barmana.

– Taffy zawsze lubiła... ryzyko. Żyła kiedyś z prawdziwym człowiekiem przez dziesięć lat.

Glenda wyglądała na przyjemnie przerażoną.

– Myślisz, że będzie w bieli? – zapytała. – A nasze suknie drухen... założę się, że będą miały różowe koronki.

– Niby dlaczego różowe koronki? – Usta Dalii zacisnęły się nagle w wąską, groźną linię. Temat ubrań traktowała bardzo, ale to bardzo poważnie.

– No wiesz, co opowiadają o sukniach drухen! – zaśmiała się głośno Glenda.

– Nie wiem – odparła starsza wampirzyca, a jej głos był tak lodowaty, że sople lodu dostałby gęsiej skórki. – Zostałam przemieniona, zanim jeszcze było coś takiego, jak mianowane asystentki panny młodej.

– O mój ty świecie! – wykrzyknęła jej towarzyszka zszokowana, a jednocześnie uradowana perspektywą wprowadzenia swojej starszej rangą przyjaciółki w ciężkie doświadczenie. – No to znajźmy jakiś kościół i zobaczymy ślub. No dobrze, może nie kościół – dodała nerwowo.

Za życia Glenda była chrześcijanką, dlatego kościoły wywoływały u niej diabelne drgawki.

– Sprawdźmy może kluby na prowincji albo znajźmy ślub w ogrodzie – zdecydowała w końcu.

W zasadzie – jak uznała Dalia – pomysł Glendy był całkiem sensowny. Pomógłby poznać najgorsze. I chociaż wszystkie drухny miały stawić się na przyjęciu na cześć szczęśliwej pary, jeśli nie będą zwlekać, to na pewno się nie spóźnią.

– Wielkie rezydencje nad brzegiem jeziora – zasugerowała Dalia. – Jest czerwcowy weekend. Czyż to nie najlepszy czas na śluby w Ameryce?

Mgliście przypomniała sobie magazyny dla młodych panien na półkach kiosków, które widziała, kupując swój miesięcznik „Kiel”.

– To świetny pomysł. Chodźmy! – zapaliła się Glenda.

W końcu najgorszym wrogiem wampira jest nuda, a każda nowa rozrywka czy zmiana są na wagę złota.

Ponieważ obie miały dar latania (a nie wszystkie wampiry posiadały tę

umiejętność), były w stanie szybko dotrzeć do najbardziej imponujących posiadłości w mieście. Glenda i Dalia poszybowały nad nimi, aby zlokalizować jakąś odbywającą się na zewnątrz ceremonię, która przypominałaby ślub.

– No i mamy ślubną żyłę. – Dalia wskazała posiadłość Van Treeve'ów.

Już za kilka dni Tiffany Van Treeve miała wyjść za Brendana Blaine Buffingtona, a tymczasem dwie nierzucające się w oczy wampirzyce wylądowały za namiotem ślubnym kogoś całkiem innego.

Dalia zlustrowała scenę krytycznym wzrokiem, żeby zrobić notatki w swoim umyśle. Szeryf w mieście Rhodes, wampir Cedric Deeming, martwił się, czy zdoła należycie udzielić ślubu w takim pośpiechu. Chociaż pod wieloma względami leniwy i nieobowiązkowy ściśle przestrzegał protokołu. Nakazał wszystkim wampirom, które z nim mieszkały, aby zdobyły szczegóły dotyczące współczesnych procedur ślubnych.

Zaczęła więc posłusznie notować wszystko w głowie. Niedaleko domu stały dwa długie stoły obładowane różnymi daniami i ogromnym tortem, chociaż w tej chwili jedzenie dyskretnie przykrywały serwety. Była również klatka pełna gołębi i ubrany w kombinezon dozoru. Może miały stać się przedmiotem rytualnego poświęcenia? Na trawniku przygotowano dwie falangi białych krzeseł stojące przodem do ogromnego białego podium udekorowanego rzędami różowych kwiatów. Środkiem biegł długi czerwony dywan aż do samego podium, gdzie w czarnej stonowanej sutannie czekał pastor.

„Wiadomość do siebie: znaleźć kogoś w rodzaju księdza” – pomyślała Dalia. Czy czasem Charles Rasmussen nie był czymś w rodzaju druida? Może on znał ceremoniał?

Kwartet smyczkowy grał Handla. („Wiadomość do siebie: znaleźć muzyków”.) Wampirzyca prześlizgnęła się wzrokiem po gościach. Nie tylko wszystkie siedzenia były zajęte, ale z tyłu stał jeszcze spory tłum ludzi.

– Kapitalna wyżerka! – szepnęła Glenda, patrząc na stoły. – Pewnie wilki będą potrzebowały jedzenia. Wygląda na to, że mamy je nakarmić. Szeryfowi się to nie spodoba. Wiesz, jaki z niego sknera. Przynajmniej nie będzie musiał zapewnić jedzenia dla połowy gości. – Mrugnęła do przyjaciółki, jakby było coś śmiesznego w tym, że wampiry nie jadły tortów ani tym podobnych rzeczy. – Będziemy potrzebować trunków dla wilkołaków i dużego zapasu krwi. Może uszczkniemy łyczek z gości?

Dalia rzuciła jej mordercze spojrzenie.

– Nawet w żartach tak nie mów – rozkazała młodszej wampirzycy. – Wiesz, co się stanie, gdybyśmy tylko coś takiego zasugerowały. Postępuj według zasad. Tylko od chętej osoby dorosłej.

– Sztywniara! – mruknęła Glenda. – Cedric już załatwił dostawcę, człowieka, który mówi, że wszystkim się zajmie, kwiatami i całą resztą. Cedric jest taki oszczędny, że wybrał najtańszą ofertę. Żadnej porządnej kolacji przy

stole, tylko... jakieś tam „weź do łapska i idź”.

Nawet Dalia nie mogła powstrzymać uśmiechu, słysząc takie określenie, a Glenda roześmiała się na głos. Kilku gości odwróciło głowy, żeby zobaczyć, kto jest taki hałaśliwy. Starsza wampirzyca walnęła przyjaciółkę łokciem prosto w żebra.

– Musimy to zrobić odpowiednio – powiedziała szeptem niesłyszalnym dla ludzi dookoła. – Nie możemy nic pominąć. To by okryło wstydem Taffy i całe gniazdo.

Jednak Glenda była zdania, że wilkołaki powinny być wdzięczne już za to, że zostaną wpuszczone do posiadłości Cedrica.

– Dziwię się, że uzna ten ślub – powiedziała.

Zabrzmiała ostatnia fanfara i goście zaczęli wiercić się w oczekiwaniu. Dwie wampirzyce obserwowały przebieg ceremonii: Glenda z jedną lub dwiema sentymentalnymi łezkami (w odcieniu czerwieni), a Dalia z zafascynowanym przerażeniem. Pan młody z miną, jakby coś ogromnego walnęło go w głowę, zajął miejsce obok pastora i wpatrywał się w pas czerwonego dywanu pomiędzy polami białych krzesel. Jego drużbowie ustawili się rzędem po jego stronie podium. Tradycyjna muzyka zaczęła grać na sygnał, którego wyciągająca się na palcach Dalia i tak nie mogła dostrzec.

– Teraz będzie najciekawsza część – szepnęła Glenda.

Jedna po drugiej z białego namiotu wyłoniły się druhny. Niektóre były wysokie, inne niskie, niektóre hoże, a niektóre smukłe jak trzcina. Ale wszystkie siedem miało na sobie taki sam strój. Dalia, najbardziej elegancka i dokładna ze wszystkich kobiet, zamknęła oczy z przerażenia.

Druhny włożyły długie do ziemi, soczysto-zielone jedwabne futerałowe suknie. Gdyby pozdejmować z nich wszystkie dodatki, nie wyglądałyby tak źle – jak pomyślała Dalia. Ale te dziewczyny miały jeszcze koronkowe rękawiczki i małe kapelusiki z woalką. Najgorsza jednak była gigantyczna kokarda w miejscu, gdzie zaczynały się dziewczęce pupy. Kiedy tak nimi majtały, idąc, wampirzyca miała również ochotę zapłakać wraz z resztą zebranych tu kobiet, chociaż – jak sądziła – z zupełnie różnych powodów.

Glenda wydała z siebie głośny chichot i Dalia straciła nadzieję, że dziewczyna nauczy się kiedykolwiek dobrych manier. Sama zachowała miły wyraz twarzy, jak przystało na gościa weselnego – pomimo okropnej perspektywy, że sama będzie musiała włożyć coś takiego. Mimo to sumiennie notowała w głowie całą procedurę. Najbardziej ją rozczarowało, kiedy gołębie najzwyczajniej w świecie pofrunęły do nieba jako kulminacyjny punkt ceremonii.

Gdy Glenda dawno już straciła zainteresowanie, Dalia zaczęła wypytywać o ślubne wydarzenia człowieka, który je wyreżyserował i ciągle krążył za gośćmi. Mimo że był dość zajęty wampirzyca w bezlitosny, choć czarujący

sposób zmusiła go do odpowiedzi na kilka wnikliwych pytań. Kiedy zdobyła te informacje, poczuła się tak, jakby serce miało jej pęknąć (choć nie było).

– Druźbowie, ci mężczyźni tam, po stronie męża, to wszystko przyjaciele pana młodego – powiedziała do Glendy, ściskając ją za ramię.

– No tak, pewnie, Dally – odparła przyjaciółka. – A niech mnie! Nie wiedziałaś o tym?

Wampirzyca potrząsnęła swoją kruczoczną głową w tę i z powrotem.

– Wilkołaki – jęknęła. – Wszyscy oni będą wilkołakami.

– Auuu! – cicho zawyła Glenda. – Będziemy musiały pozwolić, żeby nas dotknęli, Dally. Widziałaś, że każda drużna trzymała pod ramię drużbę, opuszczając ten... ten... wyznaczony teren ślubny?

I po raz pierwszy w swoim długim, długim życiu Dalia Lynley-Chivers powiedziała:

– Auuu!

Aby ukryć wstyd, szybko dodała:

– Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie Dally, przegryzę ci gardło.

Gdy mówiła takie rzeczy, mądrze było przypuszczać, że mówiła poważnie.

– Cóż, teraz to już z pewnością nie pójdę z tobą na żadną głupią imprezę do wilkołaków – obraziła się nieco jej przyjaciółka.

Dalia musiała spuścić z tonu, czyli zrobić coś, do czego nie była przyzwyczajona.

– Glenda – powiedziała sztywno – ani Cassie, ani Fortunata nie idą, a ja liczyłam na ciebie. Jako drużna masz obowiązek uczestniczyć w tym przyjęciu. Tak powiedziała Taffy.

– Jeśli myślisz, że banda głupich wilkołaków przyjmie nas tam z otwartymi ramionami, to pomyśl jeszcze raz, Panno Doskonała. Otwarte to będą mieli szczęki.

I zniknęła za namiotem, żeby nikt nie zobaczył jej odlotu. Dalia obserwowała swoją oddalającą się towarzyszkę i już sobie wyobrażała, jak Glenda będzie opisywać suknie druzhen każdej wampirzycy, która zechce posłuchać. Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Z ponurą miną ruszyła w stronę tej części Rhodes, którą rzadko odwiedzała. Tym razem wzięła taksówkę. Ludzie bardzo się denerwowali, widząc, jak lata, a ona była zdeterminowana zrobić dla swojej przyjaciółki Taffy, co tylko było w jej mocy Taffy urodziła się jako Taphronia córka Leonidasa wieki temu.

Przez ostatnie czterdzieści lat mówiła o sobie Taffy. Razem z narzeczonym, Donem Szybkonogim (oczywiście takie miał nazwisko w sforze, bo ludzkie brzmiało po prostu Swinton), świętowała swój zbliżający się ślub w barze w części miasta należącej do wilkołaków. Ponieważ pozostałe drużny

odpuścili sobie to spotkanie, Dalia bała się, że będzie jedynym obecnym tam wampirem. Miała do dyspozycji szeroki wachlarz przekleństw i właśnie teraz, jadąc przez miasto, kilka z nich wypowiedziała na głos. Na szczęście taksówkarz nie mówił w żadnym języku, którego użyła Dalia.

Wysiadła z taksówki przecznice przed barem. Ta część Rhodes była trochę zaniedbana i zniszczona. Na chodnikach nawet o tak późnej porze kłębiły się tłumy, a ludzie skaczący od baru do baru nie zdawali sobie sprawy, ile mają szczęścia, że księżyc jest w bezpiecznej dla nich fazie swojego cyklu. Oczywiście nikt, kto mieszkał w Rhodes, nie zdawał sobie sprawy, że imprezuje na terenie o dużym skupisku wilkołaków. Te stworzenia o dwóch naturach musiały zachowywać ludzkie twarze podczas swoich nocnych wypadów.

Bar o nazwie „Księżycowy Blask” szczególnie tętnił życiem i magią. Zwykli ludzie, którzy zabłąkali się tu nieproszeni, natychmiast odczuwali silne bóle głowy i szybko wracali do domu, z reguły. Przez trzy noce w miesiącu – podczas pełni – „Księżycowy Blask” pozostawał zamknięty.

Dalia upewniła się, czy jej wieczorowa suknia gładko przylega do jej bioder. Ponieważ reprezentowała swoje gniazdo, przed wejściem nałożyła na usta pomadkę i przeczesała faliste włosy. Nad barem wisiał błyszczący neonowy znak otoczony białym kręgiem, który przedstawiał księżyc, pod warunkiem, że miało się szeroką wyobraźnię.

– Tandeta – mruknęła wampirzyca.

Przeczytała notatkę przyklejoną taśmą do drzwi: „Nieczynne. Impreza zamknięta”. Ponieważ wejście do baru rojącego się od wilkołaków napawało ją lekką obawą, troszkę bardziej wyprostowała się na swoich szpilkach, co dodało jej wzrostu aż do metra pięćdziesiąt pięć. Dumnie uniosła głowę, wsunęła małą płaską torebkę pod gołe ramię i Wmaszerowała do środka. Na jej twarzy w kształcie serca pojawiła się najbardziej wyniosła mina, na jaką było ją stać.

Wejściu Dalii towarzyszył chór tak zwanych wilczych gwizdów. Oczywiście w postaci wilków ci faceci za cholerę nie potrafili gwizdać, ale gdy byli w ludzkim ciele, dawali sobie radę całkiem nieźle. Wampirzyca udała głuchą, wodziła tylko wzrokiem po barze, szukając Taffy.

Ale czegoż lepszego mogła się spodziewać w takim miejscu?! Prawdziwe wilkołaki – i faceci, i dziewczyny – to byli pasjonaci motocykli i ogromnych ciężarówek, a wszyscy obecni w tym barze należeli do wilkołaków czystej krwi. Nawet Taffy nie pokazywałyby swoim przyjacielom kundli!

Dalia nie dostrzegła jednak przyjaciółki, choć wśród gości, głównie mężczyzn, musiałaby zwracać na siebie uwagę. Wampirzyca skierowała się więc do jedynych drzwi niemających napisu TOALETA.

Nagle stanął przed nią bardzo wysoki i bardzo atletycznie zbudowany mężczyzna.

– Przepraszam panią, bar jest dzisiaj zamknięty. Mamy prywatną imprezę.

– Tak, czytałam wywieszkę na drzwiach.

– No to całkiem wolno kojarzy pani fakty.

Spojrzała w górę (i jeszcze bardziej w górę) w jasnoniebieskie oczy osadzone w szerokiej twarzy. Ten wilkołak miał gęste, kręcone brązowe włosy związane w tyłu w kucyk i był gładko ogolony. Nosił okulary w złotych oprawkach, co ją trochę zdziwiło i obcisłą koszulkę oraz džinsy... džinsy, które, jak zauważyła, były też cholernie obcisłe. I jeszcze buty. Miał długie buty.

Dalia wstrząsnęła się (mentalnie, oczywiście). Niegrzeczny palant czekał na odpowiedź.

– Szukam mojej przyjaciółki Taffy – oznajmiła lodowato, napotykając jego wzrok.

Stali tak nieruchomo przez długą minutę.

– Wampirzyca – stwierdził, a podziw w jego głosie ustąpił miejsca nienawiści. – Cholera wiedziałem, że trzeba było wkręcić tu nowe żarówki. Wtedy od razu bym zauważył, jaka jesteś blada. Czego chcesz od Taff? Też chcesz ją namówić, żeby nie wychodziła za Dona?

Jeśli można było jeszcze bardziej zeszywnieć, to Dalia właśnie to zrobiła.

– Zamierzam... właściwie to, czego chcę od Taffy, to nie twój interes, wilkołaku. Żądam rozmowy z nią. – Stała się jeszcze bardziej lodowata i sztywna.

– O tak, i pewnie mamy się przed panią płaszczyć, mała damo? – powiedział. – Powinnaś wyciągnąć ten kij z tyłka i zachowywać się tak jak Taffy. Ona nie wywyższa się jak snobka. A tak w ogóle, to co masz do nas? Żyjemy dłużej niż ludzie, jesteśmy od nich silniejsi i potrafimy zrobić takie rzeczy, których oni nie potrafią.

– Pan wybacz – prychnęła Dalia – jestem tym niezainteresowana...

– Zaraz cię zainteresuję – warknął ogromny potwór, wyciągając ręce w dół, jakby chciał podnieść wampirzycę i nią wstrząsnąć.

Chwilę później leżał na podłodze i patrzył na nią do góry, a jego przyjaciele z błyszczącymi oczami zerwali się na równe nogi. Z kilku męskich i jednego czy dwóch damskich gardel usłyszała warczenie.

– Nie! – zawołał mężczyzna leżący na podłodze, gdy Dalia uwolniła ręce. By móc walczyć, włożyła swoją malutką wieczorową torebkę za pończochę (co odwróciło uwagę mężczyzn na kilka wystarczająco długich sekund). – Miała rację, chłopaki.

– Co? – spytał jakiś blondyn zbudowany jak hydrant przeciwpożarowy. – Chcesz puścić wampirzycy płazem, że cię rozłożyła na podłodze?

– Tak, Richie – powiedział wilkołak, wstając. – Słusznie zrobiła. Sprowokowałem ją.

Reszta nie była z tego zadowolona, ale cofnęła się o jakieś kilkadziesiąt centymetrów. Dalia poczuła mieszaninę ulgi i żalu. Jej kły wydłużyły się

gotowe do walki i chętnie rozładowałyby napięcie, rozszarpując kilka kończyn.

– Chodźmy, wasza mała wysokość – powiedział mężczyzna z kucykiem.
– Zaprowadzę cię do Taffy.

Skinęła uprzejmie głową. Poszedł przodem, a ona tuż za nim. Tłum raczej niechętnie ustąpił im z drogi.

– Zimnokrwiste dziwadło – powiedziała jakaś kobieta. Zbudowana była jak wojowniczką i miała szerokie ramiona. Dalia poczuła nieodpartą ochotę zanurzyć rękę w brzuchu wilkołaczycy, ale damy nie robią takich rzeczy – nie, jeśli chcą utrzymać zawieszenie broni.

Była nawet z siebie dumna, że nie rzuciła wzrokiem tamtej kobiecie wyzwania. Zamiast tego wbiła spojrzenie przed siebie – w wypukły tyłek idący przed nią. Pierwszorzędny i w bardzo atrakcyjny sposób wciśnięty w wytarte levisy.

Skrzywiła twarz, bo – co tu dużo gadać – wcale nie chciała podziwiać wilkołaka, to samo tak jakoś wyszło...

Jej przewodnik odsunął się i Dalia z ulgą nie do opisania zobaczyła Taffy siedzącą w wyściełanym kąciku przy okrągłym stole – z Donem u jej prawego boku i z innym wilkołakiem po lewej. Wampirzyca ledwo powstrzymała się przed cofnięciem górnej wargi na znak niesmaku, jaki ją ogarnął. Zupełnie tak, jakby zobaczyła konia wyścigowego brykającego z zebrami.

– Dalia! – pisnęła Taffy.

Jej kasztanowe loki były spięte na czubku głowy i na ile wampirzyca mogła stwierdzić, jej przyjaciółka miała na sobie wiązany na szyi top i dżinsy.

„Och, doprawdy – pomyślała zirytowana Dalia, przypominając sobie, z jaką dbałością ona sama dobrała strój. – Ona wygląda jak prawdziwy człowiek. Prawdopodobnie próbuje się upodobnić. Jakby mogła!”

– Taffy – zaczęła poważnie zbita tym z tropu – czy możemy porozmawiać?

Nie chciała nawet dać po sobie poznać, że zauważyła obecność Dona. Miał rude włosy tak samo rude jak Taffy, ale były one krótkie i szorstkie jak sierść teriera.

– Hej, ślicznotko! – przywitał ją zaczepnie Don. Dalia sztywno skinęła mu głową. Nie była nieokrzesana.

Wybranek Taffy nosił brodę, a zza koszuli polo wystawały mu rude kępki włosów. Wampirzyca wzdrygnęła się. Z ulgą przeniosła wzrok z powrotem na przyjaciółkę.

– Ciągłe zachowujesz się jak zimna suka – zauważył Don. – Prawda, Todd?

– I doskonale o tym wie – kiwnął głową jej przewodnik. – Nawet nie raczyła się przedstawić.

Teraz Dalia zdała sobie sprawę, nie bez bólu, że wilkołak miał rację.

– Chociaż trzeba powiedzieć, że jest dzielną, małą istotą – ciągnął Todd. – Rozłożyła mój tyłek na podłogę.

Don wyszczerzył zęby w uśmiechu aprobaty.

– Ludzie powinni częściej to robić, stary. Zdaje się, że mięknie od tego.

Podczas gdy Dalia oceniała, ile czasu zabierze jej zabicie ich wszystkich, Taffy wydostawała się z kącika. To było okropne! Wykonywała jakieś wijące, węzowe ruchy, zupełnie bez potrzeby ocierając się o przyszłego męża i jeszcze go całując, a wilkołaki rechotały wesoło i rzucały głupie komentarze.

„Zdaje się, że tylko ja jestem w złym nastroju” – pomyślała Dalia, a jej oczy znów zupełnie bezwiednie spoczęły na wysokim wilkołaku. Nie, Todd też był mniej niż szczęśliwy. Wampirzyca zastanawiała się, czy bardziej irytuje go związek Dona i Taffy, czy jej wtargnięcie.

– To jest moja przyjaciółka Dalia Lynley-Chivers – Taffy oświadczyła tłumowi wilkołaków. – Jest moją druhną.

Zareagowali z powściągliwą grzecznością. Wampirzyca skłoniła uprzejmie głowę. Nie mogła jednak zmusić się do uśmiechu.

– Zasmarkana suka – mruknął drugi wilkołak siedzący w kąciku. Miał ciemne kręcone włosy i był wojowniczo nastawiony. – Jedna naraz w zupełności tu wystarczy.

Drobna ręka Dali wystrzeliła i wcisnęła się w gardło gbura.

Zaniemówił. Ze strachu jego oczy zrobiły się wielkie jak monety, a atmosfera w barze od razu nabrała energii.

– Dalia!!! – wrzasnęła Taffy. – Nie wiedział, co mówi. Proszę cię, dla mnie...

Wampirzyca wypuściła ciemnowłosego wilkołaka, który upadł na podłogę, ciężko dysząc. W zatłoczonym barze nastąpiło niespokojne poruszenie.

– Dzięki, kochanie – mruknęła przyszła panna młoda. – Wyjdźmy na zewnątrz, okay?

Wyprostowana jak zwykle i z wysoko podniesioną głową Dalia ruszyła za przyjaciółką, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, zupełnie ignorując nasilające się warczenie, które towarzyszyło jej wyjściu.

– Gładkie posunięcie, Dalia – powiedziała Taffy, gdy tylko znalazły się na chodniku.

– To ty mnie zaprosiłaś! Gdybyś nie była zaręczona z tym... z tym psem... to myślisz, że w ogóle przyszedłbym w takie miejsce?

– Gdzie jest reszta? – Narzeczoną wilkołaka opuścił gniew, teraz wyglądała na trochę zagubioną. Cóż, w końcu była tu jedynym wampirem!

– Ach, nie dały rady! – Dalii nie przyszedł do głowy żaden sposób, aby zatuszować niegrzeczność pozostałych drухen i szeryfa Cedrica.

– Nie wydawało mi się, abym o tak wiele prosiła – westchnęła Taffy. – Tylko przyjdź na imprezę na naszą cześć, żeby życzyć mi wszystkiego dobrego.

Gdyby mogły policzki Dalii nabraćby rumieńców. Była zażenowana niezbyt dobrymi manierami swoich sióstr.

– To, że przyszłaś, to chyba dowód na naszą przyjaźń – przyznała ruda wampirzyca. – Wiem, że jesteśmy kumpelkami. Proszę, pomóż mi! Niech ten ślub nie wygląda jak wojna. Chcę żebyś była ze mną w ten dzień i chcę, żeby moje pozostałe przyjaciółki też były. Ostatnia rzecz, jakiej oczekuję, to krwawa jatka pomiędzy nami a wilkołakami w ogrodzie Cedrica.

Tak, szeryf ku zdziwieniu wszystkich zaoferował się udostępnić ogród swojej posiadłości na miejsce ceremonii. Powiedział Dalii w swój rozlazły sposób, że jest pewien, iż Taffy wycofa się, jeszcze zanim nadejdzie dzień ślubu. Teraz, kiedy uroczystość zbliżała się wielkimi krokami i ciągle była realna, Cedric z mozołem przygotowywał teren i wzywał pomocników. Zgromadził już kilku co bardziej zrównoważonych wampirów, aby wystąpili w roli ochroniarzy w tę ważną noc, która w nadprzyrodzonym świecie urastała do miana towarzyskiego skandalu sezonu.

Ignorując wilkołaki wyglądające z baru, Dalia i Taffy zaczęły spacerować wzdłuż ulicy, idąc staromodnym zwyczajem ramię w ramię, co przyciągnęło kilka ciekawskich spojrzeń.

– Martwię się, Taffy.

– Z jakiego powodu? – zapytała łagodnie przyjaciółka.

– Wiesz, że w posiadłości Cedrica trwa wir przygotowań – zaczęła Dalia, próbując wymyślić najlepszy sposób wyrażenia swoich obaw, a jednocześnie nie wyjść na kompletną panikarę.

– Słyszałam! – zaśmiała się Taffy. – To stary drań! Dobrze mu tak za to, że złożył obietnicę, nie zamierzając jej dotrzymać.

– Ostatnio zbyt dużo przebywasz z wilkołakami. Nie okazuj braku szacunku wobec szeryfa tak otwarcie.

– Masz rację – przyznała Taffy, opanowując się wystarczająco szybko, by usatysfakcjonować zmartwioną Dalię. – Więc Cedric robi wrzawę. Z jakiego powodu?

– Nie tylko wilkołaki i wampiry mogły słyszeć o tym ślubie... – Dalia urwała. Za chwilę miała wypowiedzieć coś, czego nikomu wcześniej nie mówiła i jej głos nie był całkiem spokojny: – Ponieważ istnienie wilkołaków nie wyszło jeszcze na jaw, dla świata musi to wyglądać tak, jakbyś miała niezgodnie z prawem poślubić człowieka.

Wampiry mieszkające w Stanach Zjednoczonych i zresztą wszędzie indziej, nie miały prawa wstępować w związki małżeńskie. Dalię prawo obchodziło tyle co nic. Żyła na tyle długo, że wiedziała, jak krótkotrwałe potrafią być rządy. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że byłoby miło jawnie spacerować po ulicach, przyznając się do swojej prawdziwej natury i wiedzieć, że gdy zostanie zabita, jej śmierć będzie pomszczona przez państwo.

Cóż, być może, w pewnych okolicznościach...

Najważniejsze jednak, że społeczeństwo zmierzało we właściwym kierunku, a ten ślub mógł wywołać niepożądaną reakcję psującą ten postęp.

– Kto w świecie doczesnym wie? – spytała Taffy.

– Nie będzie miało znaczenia, że świat ludzi dowie się po fakcie. Możemy wytłumaczyć, że to wcale nie był prawdziwy ślub. Cedric może sprawić, że reporterzy uwierzą w cokolwiek. Ale jeśli wyjdzie to na jaw przed faktem, to wszędzie będziemy mieć ludzkich reporterów i demonstrantów i kto wie co jeszcze.

– Ogrodnicy Cedrica to ludzie – powiedziała wolno przysła panna młoda. – Kwiaciarz też jest człowiekiem.

Jej twarz była już teraz całkowicie poważna i Taffy wyglądała jak prawdziwa wampirzyca. Zawróciły do baru.

Dalia skinęła głową. Niezmiernie cieszyła się, widząc, że jej przyjaciółka wygląda tak jak dawniej. Po chwili uświadomiła sobie jednak, że owszem, twarz Taffy przybrała wyraz znajomego wyrachowania, ale jednocześnie zniknęła ta lekkość i radość, które powodowały, że stara wampirzyca odmłodziła.

– Więc mówisz, że możemy potrzebować większej ochrony, niż się Cedricowi wydaje?

Dalia zakłęła w myślach. Chodziło jej o to, że Taffy powinna odwołać tę szaloną uroczystość. Ale ona nawet przez moment nie rozważała takiej ewentualności.

– Siostró – zaczęła Dalia, odwołując się do łączącej je więzi wspólnego gniazda – ten ślub nie może się odbyć. Sprowadzi kłopoty na gniazdo i... i... – zaświtał jej pomysł – i może ujawnić istnienie wilkołaków, zanim będą na to gotowi! – Była pewna, że teraz zagrała kartą atutową.

– To jest wielki sekret – przyznała szeptem Taffy, którego nawet komar by nie dosłyszał – ale w przyszłym miesiącu wilkołaki będą głosować na zebraniu rady właśnie w tej sprawie.

Tajne światowe negocjacje trwały latami, by wybrać odpowiedni moment dla wampirów: miesiące współpracy, selekcji i ostrożnie napisanych tekstów przetłumaczonych na niezliczoną ilość języków. Wilkołaki prawdopodobnie staną zgarbione przed kamerami telewizyjnymi z piwskim w łapach i niech tylko świat ośmieli się odmówić im obywatelstwa!

– No to przesuniecie ślub do tego czasu – zachęciła Dalia, próbując zignorować wszystkie wątki poboczne i trzymać się sedna sprawy.

– Przykro mi, nie da rady – odrzekła Taffy.

– Dlaczego nie? – zapytała przyjaciółka, każąc swoim ustom wyprodukować uśmiech. – Przecież nie jesteś w ciąży.

Nieżywe ciała, choćby nie wiadomo jak ruchliwe, nie mogły produkować żywych dzieci.

– Nie, ale była Dona jest. – Twarz Taffy była ponura, jakby ktoś wbił jej osinowy kołek w serce. – Musimy się chajtnąć, zanim tamta urodzi, bo inaczej może stanąć przed radą i zażądać unieważnienia naszego małżeństwa, a potem anulowania ich rozvodu. Z nikim innym *Don* nie ma dzieci, a wiesz, jak wilkołakom zależy na czystej krwi.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam – powiedziała słabym głosem Dalia.

– Nikt z nas nie wie zbyt wiele o kulturze wilkołaków – westchnęła Taffy.

– Nasza arogancja prowadzi do naszej ignorancji.

Zeszły z krawężnika, aby przejść przez ulicę. Jaskrawe światła baru już biły po oczach.

– Zabiję ją! – rozpromieniła się Dalia. Tak jest, rozwiązała problem! – Wtedy będziesz mogła poczekać ze ślubem albo w ogóle go odwołać. Nie będzie już potrzeby pobierać się, prawda? Jak ta suka wygląda?

– Właśnie tak – powiedział słodki głos dobiegający z ciemności, po czym doskoczyła do nich młoda kobieta z nożem, który pobłyskiwał w świetle ulicznych lamp.

Ale gdy tylko wilkołaczycy rzuciła się, by dźgnąć Taffy, Dalia zasłoniła przyjaciółkę. Gołymi rękami odepchnęła cios, jednak niewystarczająco szybko. Nóż utkwiał w żebrach Dalii, a silna napastniczka zaczęła wwiercać ostrze. Na szczęście zanim zdążyła wbić je do końca, wampirzycy udało się w porę chwycić ją za nadgarstek i z łatwością go złamać.

Na dźwięk wrzasków wilkołaczycy, z baru wybiegła gromada jej pobratymców. Okrążyli Dalie, warcząc i prychnając, pewni, że to wampirzyca zaatakowała pierwsza, a ona stała nieruchomo, próbując powstrzymać pisk. To byłoby jej zdaniem niestosowne, a Dalia przestrzegająca zasad.

Zszokowana Taffy nie zareagowała odpowiednio szybko, jakby się można było spodziewać po wampirzycy. Zaczęła wyjaśniać narzeczonemu, co zaszło i jednocześnie odpychała ręce, które chciały wymierzyć Dalii cios. Była jednak zbyt tym zaabsorbowana, żeby jeszcze ocenić całą grozę położenia, w jakim znalazła się jej przyjaciółka. Co dziwne, to Todd uspokoił sytuację, uciszając tłum wrzaskiem niebezpiecznie zbliżonym do skowytu, po czym powiedział:

– Najpierw trzeba odgonić ludzi.

Zapanowało poruszenie i kilkoro gapiów, których uwagę zwróciła burda, przepędzono, racząc jakąś naprędce wymyśloną historyjką.

– Co się stało? – Don zapytał Taffy, niewiele zrozumiawszy z jej dotychczasowych wyjaśnień.

Kilka wilkołaczycy klęczało na ziemi dookoła jęczącej byłej żony Dona. Wilkołaczycy o wyglądzie wojowniczkę zawołała:

– Ta suka wampirzyca zaatakowała Amber i złamała jej rękę!

Z gardeł reszty zgrai wydobył się chór warknięć.

Dalia skoncentrowała się na oddychaniu. Mimo że rany wampirów goiły

się z zadziwiającą szybkością, to z początku obrażenia bolały tak samo jak w przypadku pozostałych istot. Krew wciąż spadała kroplami z jej dłoni, choć coraz wolniej. Wyciągnęła ręce do światła, a z tłumy wydobył się pomruk.

– Zrobiła to dla mnie – wyjaśniła Taffy, po czym znieruchomiła. W jej głosie słyhać było bardzo niecharakterystyczne dla wampirów drżenie. – Dalia osłoniła mnie własnym ciałem. To znacznie więcej niż należy do obowiązków druhny.

Zupełnie zagubiony Don patrzył to na kobietą leżącą na ziemi (dopiero teraz Dalia zobaczyła, co znaczy być w średnim stadium ciąży), to na swoją oszalałą narzeczoną, to na jej przyjaciółkę.

– Co masz do powiedzenia, Dalia? – zapytał szorstkim głosem.

– To, że ta pieprzona suka dźgnęła mnie nożem – powiedziała twardo wampirzyca. – I niech ktoś z łaski swojej wyciągnie ze mnie to cholerne żelastwo, zanim zagoi się razem z raną. No chyba że wolicie poużalać się jeszcze trochę nad Małą Panną Zabójczynią.

Dobrze, że nikt nie słyszał, jak wcześniej Dalia zaoferowała się zająć byłą żoną Dona. Dało to jej zdecydowaną przewagę moralną. Tyle że ciężarne kobiety były czczone prawie przez wszystkich – zarówno przez ludzi, jak i stworzenia nadprzyrodzone.

Nie wstając, ponieważ ból był tak silny, że mogłaby się przewrócić, powiodła spojrzeniem po kręgu wilkołaków odgradzających całą grupę od wzroku przechodniów.

– Todd, uczyniłbyś mi ten zaszczyt? – zapytała, zagryzając wargi. – Może ci się to nawet spodoba.

Wysoki mężczyzna zrobił minę, która mówiła, że nic nie mogłoby mu się mniej podobać. Przyklęknął, żeby spojrzeć w zielone oczy Dalii, które zwężyły się pod wpływem wysiłku, jaki ją kosztowało zachowanie godności.

– Gratuluję odwagi – powiedział, po czym położył jedną dłoń na jej brzuchu, a drugą wyszarpnął nóż.

Następne kilka minut było dla Dalii jak zamazany mrok. Słyszała surowy głos Dona, surowszy niż zwykle, nakazujący Amber powiedzenie prawdy. Amber, średnich rozmiarów blondynka z wielkim biustem, płakała obfitymi łzami i opowiadała swoją własną zagmatwaną wersję wydarzeń: przypadkiem miała ze sobą nóż, trzymała go w dłoni, ot tak – też przypadkiem, kiedy to napadła na nią Dalia. Co do tego, dlaczego akurat była w pobliżu baru, skowycząc oznajmiła, że chciała zerknąć na Dona. Nawet wilkołaki w to nie uwierzyły.

– Atak na przyszłą żonę przywódcy stada jest równoznaczny z atakiem na samego przywódcę – zawyrokował Todd.

– W takim razie ta suka jest tak samo winna złamania ręki Amber, jak Amber jest winna próby zabicia Taffy – powiedziała szeroka w ramionach

wilkołaczyca, usiłując ukryć uśmiech. – Ponieważ Amber też jest żoną Dona.

– Była moją żoną – poprawił sam przywódca stada. – Przed prawem i stadem rozwiodłem się z Amber. Jej atak na Taffy liczy się jak atak na mnie.

– Nieprawda! – klóciła się wojowniczką. – Jeszcze nie ożeniłeś się z Taffy.

– Na litość boską – mruknęła Dalia – zanudzasz mnie na śmierć.

Poczuła jak klatka piersiowa Todda dygocze i uświadomiła sobie, że wilkołak dusi w sobie śmiech. Rana w jej boku prawie się zagoiła, ale jakoś nie było jej spieszno odsunąć Todda. Był ciepły i ładnie pachniał.

Spojrzała na siebie, oceniając straty. Ubranie było zniszczone. Zniszczone! A dopiero co spłaciła rachunek.

– Moja suknia – powiedziała smutno. – Przynajmniej każcie jej zapłacić za moją suknię. Czy mam krew na butach? – Wstała i utykając, weszła w obręb światła latarni. – Tak! – Żal w jednej minucie ustąpił miejsca oburzeniu. Nowiutkie buty, jeszcze droższe niż suknia! – No dobra. Tego już za wiele.

Uniosła do góry głowę i obrzuciła Dona piorunującym spojrzeniem.

– Amber płaci za moją suknię i buty i przez rok nie zbliża się do Taffy na mniej niż pięć mil.

Jej słowom towarzyszyła cisza. Na dźwięk lodowatego głosu Dalii ucichły wszystkie rozmowy. Wszyscy się w nią wpatrywali, nawet skamląca Amber.

Don zamrugał oczami.

– To brzmi uczciwie – uznał. – Kochanie?

Nastąpił kolejny żenujący moment, kiedy zarówno Amber, jak i Taffy spojrzały na niego równocześnie. Don posłał swojej byłej pełne pogardy spojrzenie, co wywołało kolejny wybuch głośnego płaczu.

– Moim zdaniem to bardzo umiarkowany wyrok – powiedziała Taffy.

Z jej łagodnego tonu Dalia wywnioskowała, że przyjaciółka też miałaby chęć wypatroszyć i poćwiartować wilkołaczycę bez względu na jej stan.

– Zgadzasz się, Amber? – zapytał Don.

– Może by tak zapłaciła rachunek ze szpitala. Przecież muszą mi ten nadgarstek nastawić.

– To głupie, nawet jak na ciebie – rozległ się w panującej ciszy głos Todda. – Amber, jeszcze jedno wykroczenie i całe stado się ciebie wyrzeknie.

Dalia nie wiedziała, na czym coś takiego może polegać, ale groźba okazała się skuteczna. Amber trwała w niemym szoku.

Dwie wilkołaczyce załadowały ją do samochodu i odjechały, przypuszczalnie do szpitala. Tłum rozszedł się, pozostawiając na chodniku Todda, Dalię, Dona i Taffy.

Przyszła druhna – która przed chwilą wyglądała jak dama, a teraz w swych podartych pończochach jak jakaś gothka – jeszcze raz obejrzała swoją

dłoń przy świetle. Rozcięcie zagoiło się całkowicie, a kiedy dotknęła rany między żebrami, poczuła tylko delikatną miękkość.

– Pożegnaj się już – powiedziała.

Chciała się pozbyć zniszczonych ubrań, wziąć prysznic i wychylić do rana kilka litrów syntetycznej krwi.

– Odprowadzę cię do domu – zaoferował Todd równie zaskoczony swoją spontaniczną propozycją, jak i Dalia.

– To nie jest konieczne – powiedziała wampirzyca, która po sekundzie doszła do siebie.

– Wiem, że potrafisz przerzucić mnie przez ramię jak worek ziemniaków.

– Wysoki wilkołak spojrział na nią w dół. – I nie twierdzę, że ślub mojego przywódcy z wampirzycą, legalny czy nie, napawa mnie szczęściem. Ale odprowadzę cię do domu, no chyba że odlecieś.

Dalia ściągnęła brwi.

– Jakby nie było – powiedział – jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo na ślubie i jestem drużbą. A ponieważ ty jesteś druzną, rozumiem, że masz zapewnić ochronę z waszej strony. I tak powinniśmy porozmawiać.

Wampirzyca spojrzała na Dona i Taffy, którzy stali, trzymając się za ręce i wyglądali, jakby ogłuszył ich wybuch granatu.

– Zobaczymy się jutro w nocy, Taffy – powiedziała oficjalnym tonem. – Don – skinęła głową w kierunku przywódcy stada, ciągle nie będąc w stanie zdobyć się na formalną uprzejmość.

A potem duży wilkołak i mała wampirzyca szli obok siebie, mijając kolejne budynki. Każdy, kogo spotkali po drodze, ustępował im miejsca, ale ta dziwna para nawet tego nie zauważyła.

Pierwsza odezwała się Dalia, chłodnym i pewnym siebie głosem:

– Jak na wilkołaka jesteś dość elokwentny.

– Cóż, niektórzy z nas skończyli nawet szkołę średnią – odparł spokojnie.

– Jeśli o mnie chodzi, to przebrnąłem przez college i nawet nikogo tam nie rozszarpałem.

– Razem z bratem mieliśmy wspólnego nauczyciela, dopóki moi rodzice nie zdecydowali, że jako dziewczyna nie muszę się już więcej uczyć – ku własnemu zaskoczeniu wyznała Dalia.

I aby przywrócić spotkaniu rzeczowy charakter, szybko przeszła do dyskusji na temat środków ostrożności podczas ślubu. Wampiry biorą na siebie zabezpieczenie wszystkich drzwi. Jedynymi ludźmi na terenie posiadłości mają być zaproszeni goście i personel cateringu. A co do...

– Czy wszystkie wampiry mieszkające w posiadłości zostały zaproszone na ślub? – przerwał jej Todd, starając się zachować swobodny ton.

– Tak – odpowiedziała Dalia po chwili zastanowienia. – Mimo wszystko

jesteśmy mieszkańcami jednego gniazda.

– Jak to wygląda?

– Cóż, żyjemy razem pod przywództwem Cedrica, ponieważ on jest szeryfem. Tak długo, jak mieszkamy w jednym gnieździe, mamy się nawzajem ochraniać i służyć sobie pomocą.

– I dokładać do kiesy Cedrica?

– No cóż, tak. Gdybyśmy mieszkali w hotelu, też musielibyśmy płacić, więc tak jest uczciwie. – I słuchacie jego rozkazów?

– Tak, to też.

– Całkiem jak u nas: stado jest posłuszne przywódcy.

– Sam widzisz. Jaką rolę w zapewnieniu bezpieczeństwa będą odgrywać wilkołaki? – Dalia znów skierowała rozmowę na bezpieczne tory. Todd zadawał zdecydowanie za dużo niepotrzebnych pytań.

– Przy każdych drzwiach razem z wampirem będzie stał wilkołak. Musimy mieć pewność, że jeden czy drugi zna każdego, kto tego dnia będzie wchodzić na teren posiadłości. Ten ślub nie cieszy się popularnością ani u wilkołaków, ani u wampirów i chociaż Don absolutnie się niczym nie martwi, to ja przeciwnie.

– A wśród wampirów nikt się nie martwi oprócz mnie – wyznała Dalia.

Dotarli do drzwi ogromnego domu stojącego przy ulicy w samym sercu najelegantszej części miasta. Wieki oszczędzania pozwoliły Cedricowi na zakup tej perełki wśród posiadłości w Rhodes i chociaż bogaci sąsiedzi nie byli szczęśliwi, mając tuż obok siebie kogoś takiego, to ordynacja dotycząca wolności zamieszkania dawała wampirem prawo do życia, gdzie tylko przyszła im na to ochota.

– Dobranoc, umarła damo – powiedział Todd.

– Dobranoc, futrzaku – odparła. Ale zanim zdążyły się za nią zamknąć drzwi, spojrzała w jego stronę z uśmiechem.

Zbliżał się wieczór ślubu. Podobnie jak cały dzień był przejrzysty i ciepły, idealny na ceremonię na wolnym powietrzu. Współdziałając, choć nie bez zgrzytów, drużyny ochrony wilkołaków i wampirów wpuściły do środka personel cateringu, szybko sprawdzając ich dowody tożsamości. Więcej uwagi poświęcili zaproszeniom okazanym im przez stworzenia należące do ich własnego rodzaju.

Dalia sprawdziła ogród, w którym pięknie ciurkała fontanna z syntetyczną krwią, a na stole obok niej znajdowały się ułożone w słup kieliszki do szampana. Tworzyły ładny efekt i wampirzyca była dumna, że podpowiedziała ten pomysł ludziom od cateringu. Pomagała również przy zorganizowaniu

bufetu dla wilkołaków i baru z drinkami alkoholowymi i nie. Po raz kolejny szła wzdłuż stołów, sprawdzając sztucce z nierdzewnej stali, serwetki i naczynia pełne jedzenia. Wyglądało na to, że wszystkiego wystarczy, chociaż w tej sprawie nie czuła się ekspertem. Dwie osoby zatrudnione do podawania stały sztywno za bufetem, patrząc na jej inspekcję nieszczęśliwymi oczami. Zresztą cała ekipa cateringu była spięta.

„Nigdy nie obsługiwali wampirów – uznała Dalia – i może wilkołaki też emitują jakieś wibracje”.

Nie zdziwiła się, napotykając Todda zajętego oględzinami wysokiego ceglanego muru, który chronił wielkie podwórze posiadłości.

– Gdzie twoja sukienka? – zapytał wilkołak. – Już nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

Wampirzyca miała na sobie czarny kaftan skromnie przewiązany w pasie. Todd był już we fraku. Aż zamrugała powiekami na jego widok.

– Dobrze wyglądasz – pochwaliła głosem prawie tak spokojnym jak zazwyczaj, ale jej kły zaczęły się wysuwać. – „Dobrze” to definitywne umniejszenie. Jak żywa lalka Kena.

– Nie mogę uwierzyć, że wiesz, co to jest lalka Ken – zaśmiał się Todd. – Skoro ja jestem dużym Kenem, to ty jesteś miniaturową wampirzycą Barbie.

To nie zabrzmiało jak wyzwisko. Zresztą zawsze podziwiała szafę Barbie i jej zmysł mody.

– Do zobaczenia za kilka minut – powiedziała i poszła się przebrać.

Suknia drużyny wisiała na drzwiach szafy w pokoju Dalii. Po długich zmaganiach z Taffy, udało się ją przekonać, aby nie zamawiała blad różowej z koronkami ani bladoniebieskiej ze sztucznymi różyczkami powszywanymi wzdłuż stanika. I żadnej wielkiej kokardy na tyłku. I żadnego kapelusza z woalką też.

Gdy tylko wampirzyca zdążyła wskoczyć w suknię, do pokoju weszła Fortunata, współmieszkanca gniazda. Uśmiechnęła się na widok Dalii mierzającej wzrokiem długość swego ciała.

Tak, wyglądała dobrze. Taffy, pomimo braku zdrowego rozsądku w sprawie tego małżeństwa, musiała w końcu dojść do zdrowych zmysłów i zdać sobie sprawę, że wampirzyce będą prezentować się niedorzecznie w niewinnych koronkach, dziewczęcych falbankach i mdłych kolorach. Drużyny, a były ich cztery, włożyły ciemnoniebieskie długie suknie z kwadratowym dekoltem, dopasowane, ale nie marnie obcisłe. Dlatego cienkie jak makaron ramiączka pilnowały, by żadna niechcący nie pokazała za wiele, a kilka lśniących cekinów na piersi nadawało sukniom trochę blasku. Wszystkie drużyny miały czarne buty na wysokich obcasach, w dłoniach niosły bukiety z blad różowych i kremowych róż. Fortunata właśnie zdążyła włożyć małą dodatkową rzecz do bukietów. Na prośbę Dalii.

– Misja zakończona. Teraz jestem gotowa, żeby ułożyć ci włosy – powiedziała Fortunata, sprzątając bałagan z toaletki.

Od wieków zajmowała się włosami. Przed tym ślubem tak długo szcztokowała, ciągnęła i nakręcała czarne fale Dalii, aż nadała im wyraz wyrafinowanej prostoty. Pozostawiła tylko kilka loczków niedbale wiszących tu i ówdzie jako element zmysłowego zaniedbania.

– Nie jest za bardzo nieporządnie – zabrzmiał werdykt Fortunaty i Dalia musiała się z nim zgodzić.

Poczuła przyjemne łaskotanie na myśl, że Todd zobaczy ją w kompletnym stroju, ale szybko stłumiła tę myśl. Za każdym razem, gdy przeglądała się w lustrze, odczuwała przyjemny dreszczyk. I nieraz śmiała się z przesądu, jakoby wampiry nie miały odbicia w lustrze.

Wkrótce obie dołączyły do pozostałych druhen stojących po stronie panny młodej w wielkiej sali na tyłach posiadłości. Błado-rude włosy Taffy ociekały koronkami w kolorze kości słoniowej.

– Wygląda jak wielkie białe ciacho z lukrową polewą – mruknęła Fortunata.

Dalia, choć właściwie się z nią zgadzała, powiedziała jednak:

– Cicho. Wygląda pięknie.

Długie rękawiczki, koronka, welon i kornet z pereł...

– Mamy szczęście, że jesteśmy druhami – dodała.

Ruszyła przez ogromny, bogaty pokój, aby spojrzeć przez przeszklone francuskie drzwi. Prowadziły na kamienny taras, z którego schodziło się do ogrodu. Ujrzała bardzo znajomy widok. Dwa prostokąty równiutko ustawionych w rzędy białych krzeseł, a pomiędzy nimi czerwony dywan. Cedric zrobił wszystko jak trzeba, tylko zrezygnował z gołębi za namową Dalii. Obawiała się, że wilkołaki zjedzą ptaki, zanim jeszcze zostaną wypuszczone.

Jedna czy dwie czarodziejki wmieszały się w tłum po stronie pana młodego. Dobrze wiedziały, że takie jak one stanowią dla wampirów rarytas i chociaż każdy starał się zachowywać jak najlepiej, nie każdy miał ten sam próg samokontroli. Dalia rozpoznała jednego czy dwu goblinów, z którymi Cedric prowadził interesy i różnych zmiennokształtnych, w tym jednego egzotycznego, który zamieniał się w kobrę.

Nagle chór wyjących wilkołaków oznajmił przybycie ubranych we fraki drużbów. Nawet z oddali Dalia wyłowiła wzrokiem Todda. Jego głowa połyskiwała w świetle pochodni rozstawionych wzdłuż trawnika po obu stronach. Błysnęły jego okulary. Wampirzyca westchnęła.

Muzyka, którą wykonywała ulubiona grupa rockowa pana młodego, była zaskakująco przyjemna. Wokalista cudownie miękkim głosem śpiewał czule, miłosne songi. Zaczął właśnie utwór zatytułowany po prostu „Pieśń ślubna”. Dalia ją zapamiętała przez Taffy, która uparcie włączała tę piosenkę, kiedy

wybierała muzykę.

Oczywiście słowa nie były zbyt trafne, ponieważ państwo młodzi nie byli ludźmi. Don nie martwił się ani trochę, że opuści matkę, a Taffy, że pożegna rodzinny dom. Dom Taffy ześliznął się do oceanu kilka wieków wcześniej, a matka Dona była obecnie w ciąży z kolejnym członkiem stada. Ale uczucie, o którym śpiewał wokalista, zgadzało się – oboje naprawdę Ignęli do siebie.

Właśnie gdy oczy Dalii zaczęły robić się lekko mokre, przyszedł Cedric, żeby wyprowadzić Taffy. Jako szeryf miał takie prawo, zresztą już dłuższy czas pracował nad sylwetką, żeby się zmieścić w tradycyjny frak (wcześniej groził, że włoży kostium dworzanina z czasów Henryka VIII).

Tymczasem pracownicy cateringu uwijali się jak w ukropie.

„Powinni być mniej natrętni” – pomyślała Dalia i zmarszczyła brwi.

Nagle muzyka się zmieniła. Wampirzyca rozpoznała ten sygnał i pstryknęła palcami. Druhny znieruchomiały a Taffy rozejrzała się dookoła, jakby zaraz miała wpaść w panikę. Cedric szukał w kieszeni chusteczki, bo jak mawiał, był skłonny do płaczu podczas ślubów. Mimo że jakieś trzydzieści centymetrów niższy od Taffy, wyglądał dość elegancko ubrany na czarno-biało. Jego lśniąca skóra, ciemna broda i wąsy sprawiły, że wyglądał całkiem dystyngowanie i gdyby nie kilka martwiących ją drobnostek, Dalia byłaby usatysfakcjonowana prezencją wszystkich zaproszonych wampirów. Może i Cedric nie tryskał energią jak wulkan, ale był przystojny i posiadał ogładę, która przyda się na bankiecie ślubnym.

– Co tam widzisz? – zapytała Taffy. – Dobrze wyglądam?

– Przyszedł Don i stanął obok swojego przyjaciela pastora. Pięknie wyglądasz – zdała relację Dalia.

Mimo że stała na niewielkim podwyższeniu, musiała wspiąć się na palce, żeby wszystko dobrze zobaczyć. Przyjaciel Dona, który został wybrany zamiast druida, był pastorem, którego zamawiało się pocztą. Miał cudownie uroczysty głos i odpowiednią czarną sutannę. A skoro małżeństwo i tak nie będzie zgodne z prawem, więc wygląd był ważniejszy niż kompetencje religijne.

– Patrzy w stronę domu, czeka na ciebie! – Dalia robiła co mogła, żeby zabrzmiało to z entuzjazmem, a pozostałe druhny uprzejmie zaszczebotały. – Jest Todd, idzie po mnie – powiedziała, starając się ukryć emocje.

Umówili się wcześniej, że każda druhna pójdzie wzdłuż nawy w parze z wilkołakiem, tak jakby też byli młodą parą.

– To do niczego – powiedziała wtedy bez ogródek Glenda, ale Dalia spojrzała na pozostałe druhny wielkimi oczyma, i nogi się jej ugięły.

Teraz mocniej ścisnęła bukiet i kiedy Fortunata otworzyła drzwi, Dalia zrobiła krok naprzód, wychodząc na spotkanie zbliżającemu się Toddowi. Ten podał jej ramię, zebrani goście wydali westchnienie i pomruk uznania dla piękna Dalii, ale ją tak naprawdę interesowała tylko jedna opinia. Czy wilkołaka

zajaśniały jak flary. Mimo zadowolenia powstrzymała jednak uśmiech. Chwytając muskularne ramię drużby, starała się z całych sił wyglądać słodko i skromnie.

Pochylił się, aby powiedzieć jej coś poufnego, a ona czekała z najbardziej omdlewającym z uśmiechów, gdy tak wolno szli po czerwonym dywanie.

– Personel cateringu – szepnął. – Jest ich zbyt dużo.

– Jak się tu ich tylu dostało? – zapytała, uśmiechając się z trudem na prawo i lewo.

– Wszyscy mieli legitymacje.

– Może być zabawniej, niż na to liczyliśmy. – Po raz pierwszy spojrzała prosto na Todda.

Wstrzymał oddech.

– Kobieto, wzburzyłaś moją krew – przyznał szczerze. Przyspieszył mu puls.

– Uzbrojony? – mruknęła.

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby – odparł. – Jutro w nocy będzie pełnia księżyca. Możemy przemienić się dziś, jeśli się postaramy.

– Jak myślisz, kiedy to nastąpi?

– Kiedy wyjdzie panna młoda – powiedział z przekonaniem.

– Oczywiście.

Najbardziej fanatycy będą chcieli dopaść Taffy. Cóż to by był dla nich za triumf, gdyby udało się im zniszczyć nieżywą istotę, która chciała poślubić żywego mężczyznę!

– Jeśli się zmienicie... nikt nie może przeżyć – zauważyła Dalia, a jej cichy głos był słyszalny tylko dla jego wyostrzonych uszu.

– Z tym nie będzie problemu. – Uśmiechnął się do niej.

Dotarli na przód zgromadzenia. Wampirzyca była wystarczająco blisko, by zauważyć, że czekający pan młody trząsł się z nerwów, chociaż ramię Todda było niewzruszone jak skała. Teraz Dalia miała pójść na stronę panny młodej, a on na stronę pana młodego.

– Nie rozdzielajmy się – powiedziała w ostatniej chwili i stanęli ramię w ramię. Para idąca za nimi, Fortunata i przysadzisty blondyn o imieniu Richie, szybko zorientowali się w sytuacji i zrobili to samo. Pozostałe dwie pary również. Tworzyli teraz mur przed panem młodym, a wszystkie nadzieje Dalii, że jej przyjaciółka pozostanie bezpieczna zależały teraz od tego, czy Taffy przebrnie przez nawę i schroni się za utworzonym przez nich szeregim.

Mężczyźni i kobiety w białych żakietach, którzy ustawiali stoły, przynosili jedzenie z kuchni i organizowali bar z alkoholami i krwią, próbowali teraz uformować luźny krąg wokół gości, drużby i narzeczonych.

Potwierdziły się wszystkie podejrzenia Dalii.

Tłum także szybko wyczuł coś dziwnego. Goście wydali pomruk

skonfundowania, gdy najwyraźniej niczego niepodważająca jeszcze Taffy przekroczyła próg francuskich drzwi. Cedric puścił ją przodem, aby mogła wyłonić się w całej ślubnej okazałości.

Wtedy obsługa cateringu wyciągnęła spod białych zakietów i marynarek broń. Mnóstwo kul poszybowało w stronę panny młodej.

Ale Taffy już tam nie było. Skoczyła półtora metra w górę i rzuciła swój ślubny bukiet w najbliższego strzelca wystarczająco mocno, by ten upadł. Oczy jej płonęły. Włosy spływały luźno po szyi i wyglądała wspaniale – wampirzyca w każdym calu i to wkurzona wampirzyca, której pokrzyżowano ślubne plany.

Dalia puchła z dumy. Ale nie było czasu napawać się przyjemnością, bo kiedy tylko zgięty do ziemi Todd zaczął się robić włochaty, klatka piersiowa Richiego eksplodowała sprejem czerwieni, a Fortunata zasyczała z bólu. Kula przeszła jej ramię.

Widząc to, Dalia wyciągnęła ze swojego bukietu sztylet, który wcześniej kazała Fortunacie schować do środka i z żądnym krwi okrzykiem skoczyła na najbliższą kelnerkę. Wraz z resztą wampirów przeleciała jak kosa przez strzelców w białych zakietach, a brązowy wilk u jej boku był równie skuteczny.

Mimo że napastnicy zostali zapewne poinstruowani o złej i przewrotnej naturze wampirów, z pewnością nie spodziewali się tak natychmiastowego i drastycznego kontrataku, a o wilkołakach nie wiedzieli nic. Szok, jaki wywołała przemiana niektórych gości w zwierzęta, najzwyczajniej sparaliżowała niektórych zamachowców i właśnie w tym momencie dopadły ich wilki.

Jakiś młody fanatyk stawiał czoło nacierającej Dalii, otworzył ramiona i obwieścił:

– Jestem gotowy umrzeć za swoją wiarę!

– Dobrze – powiedziała wampirzyca cokolwiek zaskoczona, że był tak uprzejmy. I pozbawiła go głowy szybkim machnięciem noża.

Kiedy walka się skończyła, Dalia i Todd siedzieli plecami do siebie na stosie raczej niepożądanych ciał, rozglądając się, czy nie ma jeszcze jakiś innych atakujących. Nie było jednak żadnego, wszyscy, którzy przeżyli (choć w przypadku wampirów raczej: nie umarli jeszcze bardziej), należeli tylko do ich rodzaju.

– Chyba nie ma już więcej sprzeciwów wobec tego małżeństwa. – Dalia uśmiechnęła się do swojego towarzysza.

Po wyrazie jego pyska wywnioskowała, że tak pięknej jak teraz wilkołak nigdy jej wcześniej nie widział i to mimo krwi i zniszczonej sukni. Todd z wilka przemienił się w równie ociekającego krwią mężczyznę – mężczyznę bez ubrania.

– Och! – zawołała uradowana Dalia. – Och, brawo! W czasie walki zatrzymała się, żeby wziąć kilka łyków prawdziwej krwi (do diabła w takiej chwili z fontanną syntetycznego sztuczny!), więc teraz jej policzki nabrały

rumieńców i czuła się pełna wigoru.

– Te noże to był twój pomysł, prawda? – spytał z podziwem Todd.

Skinęła głową, próbując wyglądać na zawstydzoną.

– Jest w ludzkiej tradycji, że družba i drużna lecą na siebie podczas ślubu – powiedział.

– Naprawdę? – Dalia spojrzała na niego. – Ale wiesz co, nie było jeszcze żadnego ślubu.

Rozglądali się dookoła, idąc w kierunku tarasu. Cedric i Glenda popijali dystyngowane łyczki z filiżanek napełnionych krwią, wcale a wcale niesyntetyczną. Szeryf, który zawsze był łaskawym gospodarzem, otworzył szampana i zaoferował butelkę Donowi. Taffy, uwieszona na jego nagim ramieniu, śmiała się, nie mogąc złapać tchu. Jej perłowy kornet ciągle leżał prosto, ale suknia była rozdarta w kilku miejscach. Najwyraźniej jednak wcale jej to nie obchodziło.

Richiego, jedyną poważną ofiarę po stronie nadprzyrodzonych, oglądał lekarz, który podejrzanie przypominał hobbita.

– Ogłaszam was mężem i żoną! – zawołał przyjaciel pastor. Nie miał już jednak na sobie stosownej sutanny, był nagi jak Todd i reszta wilkołaków. Obejmował wilkołaczycę – tę muskularną o wyglądzie wojowniczkii. Wyglądali na szczęśliwych, ale nie tak jak Don i Taffy, którzy właśnie się pocałowali.

Ślub był wielkim sukcesem. Mimo że wcześniej okrzyknięto go skandalem, zaślubiny Dona i Taffy w niektórych kręgach nadprzyrodzonych Rhodes okazały się wydarzeniem towarzyskim sezonu.

Natomiast zniknięcie całego personelu firmy cateringowej Lucky uznano w kręgach policyjnych za jednodniową sensację. Na szczęście dla wampirów i wilkołaków właścicielka, Lucky Jones, nie wpisała ślubu w rejestr, ponieważ przewidywała, że ludzie zabiją wszystkich gości.

I prawdą było to, co Dalia powiedziała Glendzie, że nic tak nie rodzi braterstwa jak wspólne wojenne przejścia. Mniej niż rok później ten sam pastor wilkołak celebrował zaślubiny Todda i Dalii.

Jednak ta para mądrze zdecydowała się na mniej oficjalny ślub – właściwie tylko drobne przyjęcie. Dalia, wbrew wszelkim wskazaniom towarzyskim, zdecydowała, że catering jest po prostu tandetny.

O Autorze

CHARLAINE HARRIS pisze książki od dwudziestu pięciu lat i mieszka w Mississippi. Jest autorką beztróskich powieści o Aurorze Teagarden i bardziej mrożącej krew w żyłach serii o Lily Bard. Obecnie pracuje nad cyklem o młodej kobiecie, Harper Connelly, która została porażona piorunem, i książkami o Sookie Stackhouse. Sookie to na razie jedyna postać autorki znana również polskim czytelnikom z pierwszej powieści cyklu „Martwy aż do zmroku”, która łączy w sobie tajemnicę, wampirzy humor i romans z elementami świata nadprzyrodzonego. Książki o Sookie są również czytane w Japonii, Hiszpanii, Grecji, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Tajlandii, Rosji i Francji.

Oprócz wcielenia pisarki Harris jest mężatką i matką trojga dzieci, była zawodniczką w podnoszeniu ciężarów i karate oraz zachłanną kinomanką. Należy do Amerykańskich Pisarzy Tajemnic i Ligi Amerykańskich Pisarzy Kryminałów. Działała w radzie nadzorczej Sióstr w Zbrodni i wymienia się z Joan Hess na stanowisku prezesa Przymierza Pisarzy Tajemnic Arkansas.

Sherrilyn Kenyon

Ciężki tydzień nocnego poszukiwacza

– Czyż nie jest świetne?

Rafael Santiago nie był religijnym człowiekiem, ale kiedy czytał krótkie opowiadanie Jeffa Brinksa, które ten opublikował w magazynie science fiction, poczuł wielką potrzebę, aby się przeżegnać...

Lub przynajmniej walić studenta pałą po głowie tak długo, dopóki ten nie straci przytomności.

Zachowując z wysiłkiem obojętny wyraz twarzy, Rafael powoli zamknął czasopismo i napotkał ożywiony wzrok swojego sługi. Jeff miał dwadzieścia trzy lata, był wysoki, szczupły i miał ciemnobrązowe oczy i włosy. Sługą Rafaela był dopiero od kilku miesięcy, odkąd ojciec chłopaka przeszedł na emeryturę. Jako pełen entuzjazmu młody człowiek Jeff był wystarczająco dobry, żeby pamiętać o płaceniu rachunków na czas, prowadzić interesy Rafaela i pomagać mu w ukrywaniu przed nieznanymi ludźmi jego statusu nieśmiertelnego. Gdy jednak zaczynał zajmować się tą swoją bazgraniną... a właśnie publikowanie opowiadań fantastycznych było rzeczą, na jakiej Jeffowi zależało najbardziej.

Teraz właśnie mu się to udało...

Rafael próbował przypomnieć sobie czasy, kiedy on sam też miał marzenia o sławie i wielkości. Czasy, kiedy był człowiekiem i chciał pozostawić światu jakiś ślad po sobie.

Podobnie jak stało się z nim samym, marzenia chłopaka właśnie zmierzały ku temu, by doprowadzić go do śmierci.

– Czy jeszcze komuś to pokazywałeś?

Niech to, Jeff przypominał Rafaelowi szczeniaka cocker spaniela pragnącego, aby ktoś go głaskał po łebku nawet wtedy, gdy nieświadomie obsiusiał dywan swojego właściciela i jego najlepsze buty!

– Jeszcze nie, a dlaczego pytasz?

– Och, sam nie wiem – powiedział Rafael, rozwlekając słowa i próbując złagodzić sarkazm w swoim tonie. – Myślę, że seria o nocnym poszukiwaczu, którą właśnie zaczynasz, może być naprawdę złym pomysłem.

Chłopakowi natychmiast zrzędła mina.

– Nie podobało ci się opowiadanie?

– To nie jest tak naprawdę kwestia upodobań. Jest to bardziej kwestia tego typu, że skopią ci tyłek za ujawnianie naszych tajemnic.

Jeff zmarszczył brwi, a jego skonfundowany wyraz twarzy wskazywał wyraźnie, że nie miał pojęcia, o czym mówił Rafael.

– O co ci chodzi?.

– Wiem, że mówią: „Pisz o tym, na czym się znasz” – tym razem nie udało się mu pozbyć jadu z głosu – ale do diabła, Jeff... Ralph St. James? Nocni Poszukiwacze? Napisałeś całą legendę o mrocznym łowcy, Apollicie i wampirze i naprawdę czuję się dotknięty, że zrobiłeś ze mnie klona Taye’a Diggsa. Nie

mam nic przeciwko facetowi, ale oprócz łysej głowy, koloru skóry i diamentowego ćwieka w lewym uchu nie mamy ze sobą nic wspólnego.

Młody debiutant wziął magazyn z rąk Rafaela i choć jego opowiadanie było ukryte w środku numeru, znalazł je prawie bez kartkowania.

– Nadal nie rozumiem, o czym mówisz, Rafaelu. To nie jest o tobie ani o mrocznych łowcach. Jediną wspólną rzeczą jest to, że nocni poszukiwacze polują na przekłete wampiry tak samo jak mroczni łowcy. To wszystko.

– Uhm. – Rafael ponownie rzucił okiem na tekst i choć widział go teraz do góry nogami, jego oczy ód razu spoczęły na odpowiedniej scenie.

– A co z tym fragmentem, gdzie nocny poszukiwacz wyglądający jak Tye Diggs staje naprzeciwko daimona, który właśnie ukradł ludzką duszę, aby przedłużyć własne życie?

Jeff wydał dźwięk zdegustowania.

– To Nocny Poszukiwacz, który znalazł wampira, żeby go zabić. To nie ma nic wspólnego z mrocznymi łowcami.

Tak, akurat!

– A wampir, który ukradł ludzką duszę, aby przedłużyć swoje życie, kontra normalny hollywoodzki teatr, gdzie żyją inne wampiry wiecznie żerujące na krwi?

– Cóż, to tylko dla efektu. O wiele lepiej mieć wampiry, które żyją krótko, a następnie wbrew własnej woli są zmuszone do uderzenia na rasę ludzką. To o wiele bardziej interesujące, nie sądzisz?

Rafael nie sądził tak ani trochę. Szczególnie z tego względu, że był jednym z ludzi uwikłanych w bitwę.

– To również rzeczywistość, w której żyjemy, Jeff, a opisałeś daimona, nie wampira.

– Cóż, może pożyczyłem trochę od daimonów, ale cała reszta jest wyłącznie moja.

– Spójrzmy. – Rafael przerzucił stronę. – Co z przekłętą rasą Tybrów, która wkurzyła nordyckiego boga Odyna i wskutek klątwy może żyć tylko siedemdziesiąt siedem lat, chyba że zamienią się w wampiry i będą kraść ludzkie dusze? Zamieńmy twojego Tybra na Apollita, a Odyna na Apolla i ponownie mamy opowieść o rasie Apollitów, która przemienia się w daimony.

Młody autor tylko westchnął i skrzyżował ręce.

– A co z tym fragmentem, gdzie Nocni Poszukiwacze sprzedają swoje dusze nordyckiej bogini Frei, ubranej w biel, pełnej życia ognistowłosej *femme fatale*, żeby móc się zemścić za swoją śmierć?

– Nikt się nie domyśli, że Freja to Artemida. Na to Rafael potrząsnął tylko głową.

– Tak dla wyjaśnienia – powiedział – w przeciwieństwie do Artemidy Freja jest imbirową blondynką. Ale masz rację co do jednej rzeczy. Jest

przepiękna i niezwykle uwodzicielska. Zdecydowanie trudno jej odmówić.

– Och! – jęknął Jeff i uniósł głowę. – Skąd to wszystko wiesz?

Rafael zamilkł. Przypomnił sobie spotkanie z nordycką boginią i jak ta go skusiła. To była dopiero noc...

– Freja jest boginią, która zabiera trzecią część poległych wojowników, a potem, tak jak chciała zrobić w moim przypadku, przyłącza ich do swojego haremu.

Jeff wybałuszył oczy.

– A ty zamiast tego wolałeś walczyć dla Artemidy? Co z ciebie za głupiec?!

Czasami dzieciak potrafił być zadziwiająco bystry.

– Cóż, z perspektywy czasu okazało się, że to nie było z mojej strony dobre posunięcie. Ale Artemida proponowała mi możliwość zemsty na moich wrogach, a to mnie pociągało o wiele bardziej niż bycie niewolnikiem miłości Frei... co nas znów sprowadza do twojej historii, gdzie Freja jest Artemidą.

– Ale właśnie powiedziałaś, że to nie Artemida i że też ugania się za wojownikami. Więc mogło się tak zdarzyć. Mogła zawrzeć taki układ, jaki opisałem w mojej historii.

„A sople lodu mogą rosnać na słońcu” – pomyślał Rafael. Freja kolekcjonowała wojowników, nie odsyłała ich do śmiertelnego wymiaru, żeby walczyli z daimonami czy wampirami. Tak robiła Artemida. Było jednak oczywiste, że Jeff jest głuchy na argumenty, więc Rafael przeszedł do kolejnego podobieństwa.

– A co powiesz na to? Facet nazywa się Ralph. O rany boskie, nie mogłeś wymyślić czegoś lepszego, żeby mnie nazwać?! Był piratem z Karaibów, synem etiopskiej niewolnicy i brazylijskiego kupca...

Odwrócił czasopismo, żeby przeczytać opis:

– „Przy swoim metr dziewięćdziesiąt dziewięć Ralph onieśmiał każdego, kto na niego spojrzał. Z ogoloną głową wytatuowaną w afrykańskie symbole plemienne przez szamana, którego spotkał podczas swoich podróży, kroczył po ziemi, jakby tylko do niego należała. Co więcej, czarne tatuaże zlewały się czasem z jego ciemnobrązowym ciałem, powodując, że nie można ich było odróżnić, tak jakby miał na sobie jakąś obcego rodzaju skórę”.

Opis wydawał się Rafaelowi tak dziwnie bliski, że aż miał ochotę udusić swojego sługę. Zamiast tego wydał zdegustowane westchnienie.

– Mimo że jestem zarówno zaszczycony, jak i wielce obrażony, mogę cię zapewnić, że to nie przyniesie ci nominacji do nagrody Hugo czy do Nebuli.

Jeff ponownie zabrał magazyn.

– Dlaczego mnie obrażasz? To przecież świetna historia. Ty tak właściwie nie masz tych tatuaży, prawda?

Lewe oko Rafaela zaczęło mrugać ze zdenerwowania.

– Mam całą gmatwaninę zawijasów wytatuowaną od szyi aż do podstawy czaszki i jak twój Ralph – przy tym słowie warknął – mam je na obu rękach. Wyglądają podobnie jak w twoim opisie. Mów co chcesz, ale to moje życie, Jeff! Napisane w niezgrabny sposób. Nie chciałbym widzieć takich rzeczy drukiem. Masz szczęście, że złagodniałem po trzystu latach. Za moich ludzkich czasów rozciąłbym ci gardło, wyciągnął język przez ten otwór i zostawił cię przywiązanego do drzewa wilkom na pożarcie.

– Uuu! – zawył chłopak.

– Nie żartuję – powiedział Rafael, robiąc krok w kierunku przerośniętego nastolatka. – I zrobiłbym to skutecznie. Uwierz, nikt mnie nigdy dwa razy nie zdradził.

– A ten facet, który cię zabił?

Oczy Rafaela zapłonęły i musiał zwalczyć ochotę zamordowania chłopaka. Jednak nazbyt polubił jego ojca, który przez dwadzieścia lat był dobrym sługą. W przeciwnym razie Jeffa wypadek spotkałby właśnie teraz.

Biorąc głęboki oddech, Rafael zapytał tonem zadającym kłam jego złości:

– Jaki jest nakład tego szmatławca? Młody autor aż się wzdrygnął.

– Nie wiem. Jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy na świecie, tak mi się wydaje.

– Już jesteś strasznie nieżywy.

– Och, daj spokój! – Jeff nawet nie rozumiał, z jakim niebezpieczeństwem stanął twarzą w twarz. – Przesadzasz. Nikogo to nie obejdzie. Poza tym najlepszą kryjówką jest wyjście z ukrycia. Nigdy o tym nie słyszałeś? Wyjdź z czasów średniowiecza, Rafe. Wszędzie, gdzie spojrzysz, są wampiry i cała kontrkultura im poświęcona. Otwórz usta przy kobiecie, pokaż jej swoje kły, a będzie cię błagać, żebyś się w nią wgryzł. Uwierz mi. Mam sztuczny zestaw, który zakładam na imprezy i często z niego korzystam. W dzisiejszych czasach bycie nieumarłym nie powoduje, że będą chcieli cię zabić. Sprawia tylko, że łatwiej jest się pieprzyć.

Rafael potrząsnął głową.

– Ta rozmowa zupełnie mi się nie podoba.

– Proszę cię, oszczędź mi tego, stary mądralo. Istnieje całkiem nowa szkoła myślenia, jak najlepiej was chronić i ukrywać. Jeśli zaczniemy opowiadać ludziom o mrocznych łowcach, ale tak, uznają to tylko za jakąś fantastykę i kiedy rzeczywiście spotkają jednego z was, pomyślą, że to albo aktor, albo zagorzały fan. Lub w najgorszym wypadku wariat, ale nigdy, przenigdy nie uwierzą, że jest prawdziwy.

Po tych słowach Rafael zaczął poważnie rozważać ewentualność poddania Jeffa tomografii komputerowej, żeby się upewnić, czy dzieciak ciągle ma mózg.

– Co za Einstein to wymyślił?

– Cóż... pierwszy był Nick Gautier.

– I biedny facet jest teraz nieżywy. Czy nie powinniście czasem naśladować pomysłów kogoś innego?

– Nie. To jest doskonały pomysł. Wyjdź z podziemia, Rafe, i przyłącz się do nowej generacji. Wiemy, pod jaki numer trzeba dzwonić w razie niebezpieczeństwa.

Rafael tylko prychnął.

– To numer do informacji, Jeff, a tak w ogóle to gówno wiesz. Ale numer, o którym mówisz, będzie ci potrzebny, jak Rada się o tym dowie.

– Nic mi nie będzie, spokojna głowa. Nie ja jeden myślę w ten sposób.

Ledwo Jeff to powiedział, zadzwonił telefon komórkowy Rafaela. To była Ephani, stara Amazonka. Choć przeprawiła się do tego świata już trzysta lat temu, wciąż wielu nie mogło się do niej przekonać. Jednak Rafael bardzo ją lubił.

– Co słyhać, Amazonko? – zapytał, odsuwając się od Jeffa, podczas gdy ten nadal podziwiał swoje opowiadanie w magazynie.

Dzieciak za grosz nie miał instynktu samozachowawczego.

– Hej, Rafe! Ja, hm... ja nie jestem pewna, jak ci to powiedzieć, ale czy wiesz, co ostatnio porabia twój sługa?

Decydując się rozegrać to na chłodno, Rafael obrzucił chłopaka pełnym wściekłości spojrzeniem.

– Pisze wielką amerykańską powieść, a cóżby innego?

– Uhm. Czytałeś kiedykolwiek jedną z tych powieści, nad którymi pracował?

– Nie, aż do dzisiaj. Dlaczego pytasz? Ephani wydała z siebie długie westchnienie.

– Przypuszczam, że masz w ręku egzemplarz „Escape Velocity” z jego opowiadaniem, prawda?

– Tak.

– Dobrze, to nie będzie dla ciebie szokiem wiadomość, że moja sługa właśnie wyszła i zmierza do twojego domu, żeby porozmawiać sobie z Jeffem. Na twoim miejscu...

– Nic więcej nie mów. Już teraz opuszcza kraj. Dzięki za telefon, Eph.

– Żaden problem, amigo.

Rozłączył się i spojrzał zwięzionymi oczami na Jeffa.

– To była Ephani. Ostrzegła mnie, że zostało ci jakieś dwadzieścia minut życia.

– Co?! – Chłopak zbladł jak ściana.

– Jej sługa, Celena, pani Krwawego Rytuału, co to zabija każdego, kto złamie szyk, właśnie tu jedzie, żeby zamienić z tobą słówko. Ponieważ nie jest zbyt mocna w rozmowie, wydaje mi się, że to taki eufemizm wyrażenia „skopie ci tyłek”.

Rafael przymknął oczy i wyobraził sobie Celenę kopiając tyłek Jeffa, jej pancerne buty z czubkami jak sztylety, poza którymi za cały strój starczała jej rzemienna przepaska... Tak... zdecydowanie chciałby to zobaczyć. Urodzona w Trynidadzie Celena miała najidealniejszą cerę koloru kawy, jaką kiedykolwiek widział. Była tak gładka i zapraszająca, że aż błagała o dotyk, a jej usta... Angelina Jolie w porównaniu z Celeną w ogóle nie miała ust. W dodatku sługa Ephani poruszała się wolno i uwodzicielsko jak kotka...

Na nieszczęście ona była sługą, a on mrocznym łowcą. Według reguł panujących w ich świecie, była dla niego poza zasięgiem i chociaż Rafaela reguły gównem obchodziły, to Celenę wręcz przeciwnie.

Uważał jednak, że to wbrew prawom natury, aby tak wspaniałej kobiety nie można było zepsuć.

– Co mam robić? – z zamyślenia wyrwało go pytanie Jeffa.

– Cóż, nie obrażając człowieka, który w porównaniu z tobą wygląda jak inżynier kosmonautyki... Cóż mogę ci powiedzieć? „Uciekaj, Forrest, uciekaj”.

– Ale ja nic złego nie zrobiłem! To nowa epoka, w której...

– Naprawdę chcesz się kłócić na ten temat z kimś, kto jest o pięć minut stąd i pędzi tu najprawdopodobniej po to, by cię zabić?

Jeff zamilkł na jedno uderzenie serca.

– Gdzie mam się schować?

Gdyby nie to, że jako mroczny łowca Rafael był odporny na choroby, przysięgłby, że atakuje go migrena.

– Idź do sutereny. Nie wyglądam i nie wychodź, dopóki ci nie powiem, że jest bezpiecznie.

Jeff kiwnął głową i pobiegł do drzwi. Wrócił po dwóch sekundach. Marszcząc brwi, Rafael obserwował, jak chłopak szuka kija bejsbolowego, którego wczoraj używał podczas gry. W końcu znalazł go i przycisnął do piersi, a potem ruszył w kierunku sutereny.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Rafael.

– To dla ochrony.

Tak, akurat! Celena była idealnie wyszkolona i zabójcza. Walnięcie kijem tylko by ją wkurzyło.

– Dobrze się ukryj – przesadnie troskliwym tonem nakazał Rafael.

Jeff ponownie kiwnął głową i ruszył na dół, gdzie znajdowała się sypialnia jego pana.

Tymczasem Rafael, przyciskając dłoń do brwi – tam, gdzie poczuł migrenę – rozejrzył się po salonie swojego wiktoriańskiego domu. Chciał być pewien, czy chłopak niczego nie zostawił, na przykład bielizny. Jego zadaniem jako sługi było stwarzanie pozorów, że pan starzeje się i choć wciąż mieszka w domu, a nie leży na cmentarzu, jest do niczego, jeśli chodzi o prowadzenie gospodarstwa. Jednak na Celenie Rafael wołał zrobić dobre wrażenie.

Nie rozczarował się, pokój wyglądał porządnie. Może z wyjątkiem konsoli X-box, która pozostawiona przez Jaffa rozciągała swoje kable od telewizora plazmowego do skórzanej kanapy. Rafael ledwie zdążył wyłączyć grę i odłożyć konsolę, kiedy usłyszał natarczywe pukanie do frontowych drzwi.

Wyglądził koszulę i ruszył wolnym krokiem, by otworzyć. Już przez oszronioną szybę widział zgrabny zarys Celeny. Światło na ganku rozświetliło jej brązowe włosy zaplecione w cienkie warkoczyki i następnie związane w kucyk.

Otwierając drzwi, posłał w jej kierunku najseksowniejszy uśmiech, na jaki było go stać. Doskonałe usta miała podkreślone ciemnoczerwonym błyszcznikiem.

I te kocie oczy i uwodzicielski pieprzyk nad górną wargą po lewej stronie... Cholera, była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział!

– Cześć, Celena.

Ale ona zrobiła bardzo oficjalną minę. Jej ciemnobrązowe oczy nawet na niego nie spojrzały. Od razu zajrzała do środka.

– Gdzie jest Jeff?

– Nie wiem.

W końcu udało mu się skupić wzrok Celeny na sobie, ale tylko na moment, bo zaraz powróciła do lustrowania domu.

– Co to znaczy „nie wiem”?

Gdy zapadnie zmrok, mroczny łowca zawsze powinien wiedzieć, gdzie znajduje się jego sługa.

– Och, daj spokój! – przekomarzał się z nią Rafael. – Ty też nie wyjawiasz Ephani wszystkich miejsc, do których chodzisz po zmroku, prawda?

– Oczywiście, że tak!

Próbowała go wyminąć, ale szybko zastąpił jej drogę i zatrzymał Celene na ganku.

– Czego chcesz od Jeffa? – zapytał nonszalanckim głosem.

– To sprawa między sługami.

– Naprawdę? Myślałem, że wszystko, co dotyczy sługi, dotyczy też jego pana. To przecież mój partner, oczywiście w profesjonalnym tego słowa znaczeniu.

Kąciki jej ust zadrżały, jakby w jego słowach było coś śmiesznego. A może tylko mu się wydawało? Naprawdę chciałby zobaczyć pełny uśmiech na jej twarzy.

– Wytlumacz mi, o co chodzi – zażądał.

Jeden kącik ust Celeny uniósł się w atrakcyjnym grymasie.

– Właśnie myślałam o rumie, sodomii i chłóście, czyli o credo pirata.

Odpowiedział jej z miłym uśmiechem, choć powinien się poczuć urażony:

– Sodomii? Jak na mój gust Jeff jest zbyt owłosiony. Znacznie bardziej

wolę gładką kobiecą skórę... miękkość kobiecego ciała. Nigdy nie przepadałem za przytulaniem jeżozwierz.

Celena przełknęła ślinę, słysząc uwodzicielski, głęboki głos Rafaela. Przypominał jej Jamesa Earla Jonesa, tylko że u Rafaela słyhać było mocny brazylijski akcent. Taki, który powodował, że po plecach przechodził jej dreszcz.

Wiedziała, że nawet nie powinna o nim pomyśleć w ten sposób, mimo to rozpalał jej hormony. Szczególnie ten kuszący zapach męskiej władzy połączony z wodą po goleniu. Zabójcza kombinacja.

Nie wspominając już o tym, że miał na sobie obcisły sweter z dekoltem w szpic, który jeszcze bardziej podkreślał idealną rzeźbę jego ciała, uwidaczniając każdą wklęsłość i wypukłość mięśni. Jak kobieta miała zachować spokój, kiedy stał przed nią taki mężczyzna?!

Chrząknęła i niechętnie powróciła do interesów:

– Gdzie on jest?

Jakiś diabelski błysk w ciemnej głębi jego oczu naigrawał się z niej:

– Powiedz, czego od niego chcesz, to może ci powiem.

Gdy tak figlarnie na nią patrzył, gniew i oburzenie omal nie znikły, a to poważnie ją zdenerwowało.

– Jestem tu, żeby go aresztować i dostarczyć Radzie.

– No cóż, to cholernie niedobrze.

Choć jego ton był poważny, wyczuła, że drwił sobie z Rady i jej rozkazów.

– Napad na bank, wyjawienie hasła do sieci mrocznych łowców, uprowadzenie samochodu, napaść na ulicy, koty skrzyżowane z psami, a teraz to... napisanie opowiadania. Popełnił ciężkie przestępstwa. Przynieś linę, to go powiesimy.

Rzuciła Rafaelowi piorunujące spojrzenie. Jak śmiał to wszystko lekceważyć?!

– To pismo ma z dwunastu prenumeratorów – dodała z wielką powagą. – Jeśli nawet nikt więcej tego nie przeczyta, to oni na pewno.

– Ale Jeff podpisał się pseudonimem. Zresztą z tego, co dzieciak mówi, nie ma lepszej kryjówki niż tuż pod ludzkimi nosami. – Sam w to nie wierzył, ale czyż nie tak powinni się zachowywać przyjaciele? – Nie ma się czym przejmować.

– Nie ma?! – Była zdumiona i przerażona jego lekkim tonem. Jak mógł to traktować jak zwykłą zadrę za paznokciem?! – On nas wystawił.

– Nie, wystawił nas Talon, który dał się sfilmować w trakcie napadu szale w Nowym Orleanie. I Zarek, którego nagrano na taśmie. A to jest tylko błahostka. Do diabła, Acheron potrafił wszystko zatuszować, więc i to jakoś przejdzie.

„Cholernie mało prawdopodobne, ale logiczne” – pomyślał.

– To jest zupełnie inna sprawa – pokręciła głową Celena.

– Zgadzam się. Jeff jest śmiertelnikiem i zostało mu jeszcze kilka lat życia, a Zarek i Talon mają wieczność na to, by dalej zachowywać się jak głupcy. Nie skracajmy życia dzieciakowi więcej niż musimy, dobrze?

Bardzo nie chciała tego przyznać, ale rzeczywiście ją przekonał. Jednak nie miało to znaczenia.

– Nie ja podjęłam decyzję, tylko Rada. Moim zadaniem jest po prostu go zabrać.

– To tylko dzieciak.

– Zaledwie dwa lata młodszy ode mnie i wystarczająco dorosły, by wiedzieć, że należy trzymać język za zębami.

– Nigdy nie zrobiłaś czegoś, czego wiedziałaś, że nie powinnaś zrobić i później tego żałowałaś?

– Nie – odparła natychmiast.

– Nie? – zapytał z niedowierzaniem Rafael. – Nigdy nie złamałaś żadnej zasady, nikogo nie okłamałaś i z niczego się nie wywinełaś?

– Tylko raz okłamałam rodziców, kiedy moja siostra spóźniła się do domu, ale nie chciałam, żeby miała kłopoty. Tydzień później zrobiła to znowu, a żeby zdążyć przed świtem, jechała za szybko i miała wypadek. To mnie nauczyło, jaką wartość ma kłamstwo w dobrej wierze. Od tamtej pory nigdy więcej nikogo nie okłamałam i nie zamierzam teraz tego zmieniać. Jestem uczciwa.

– Ależ nudne masz życie! – westchnął.

– To mnie obraża! – zacięła usta, patrząc z bólem na jego ciemne, drwiące oczy, które zadawały jej torturę, patrząc z rozbawieniem i jednocześnie ubolewaniem.

– Obrażaj się, jeśli chcesz, ale to prawda. Jak ci się udało wieść tak doskonale życie?

Słyszając to, jeszcze bardziej się obraziła.

– Nie jest doskonale. Są w nim chwile... Zamilkła, zdając sobie sprawę, że o mało co się nie zdradziła. Były takie chwile, że nienawidziła swojej prawości i uczciwości. Ale za każdym razem, kiedy choćby dla żartu próbowała zrobić coś odrobinę złego, płaciła za to w najgorszy sposób.

Tak, jak wtedy, gdy siostra namówiła ją na wagary. Ledwo ujechały kawałek ulicą i zaraz wpadły na mercedesa. Albo ten jeden raz, gdy Celena przecięła drogę facetowi jadącemu przed nią i natychmiast złapała gumę.

Miała złą karmę, więc na wszelki wypadek, nawet wbrew sobie, robiła to, czego od niej oczekiwano. Gdyby to ona była na miejscu Jeffa, pewnie by umarła z powodu zatrucia atramentem lub z jakiejś innej równie dziwacznej przyczyny, kiedy tylko by opublikowano to opowiadanie. Ale tu nie chodziło o

nią, tylko o człowieka, który złamał daną przysięgę i musiał być za to ukarany.

Rafael podniósł głowę i czekał, aż Celena dokończy zdanie. Po zmarszczce na jej czole wywnioskował, że myśli o czymś, co sprawiało jej ból.

– Chwile czego?

– Niczego.

Posłał jej swój najwspanialszy uśmiech, rozważając, w jaki sposób zarazem uratować Jeffa i zdobyć jedyną rzecz, której pragnął...

– Daj spokój, Celeno. Naucz się trochę żyć.

– Muszę postępować według zasad i wykonać zadanie. Jestem pewna, że nawet ty potrafisz to rozumieć.

– Nie chciałabyś się uwolnić i trochę zabawić, choć raz w życiu?

Nie odpowiedziała, ale z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że trafił w dziesiątkę.

– Słuchaj – kuśił, próbując ją zmiękczyć jeszcze bardziej – zawrzyjmy układ. Daj mi tydzień. Jeśli nie uda mi się spowodować, że złamiesz choćby jedną zasadę sługi, dostarczę ci Jeffa i pozwolę, żebyście go powiesili. Niech tam, nawet linę kupię! Ale jeśli złamiesz choćby jedną małą, maluteńką zasadę, pozwolisz mu odejść.

Potrząsnęła głową.

– To na nic. Rada nie zechce poczekać tygodnia.

– Oczywiście, że zechce. Powiedz im, że nie możesz go znaleźć, ale że go szukasz.

– Nie mogę tego zrobić. – Zaciśnęła usta. – *To* kłamstwo.

Była twarda. Nigdy nie spotkał kogoś tak stanowczego i zdecydowanego by dobrze postępować. W śmiertelnym życiu był piratem. Nie tylko nie grzeszył wówczas wysoce moralnym charakterem, ale widział też paru takich, którzy z uporem maniaka trzymali się Dekalogu. Zazwyczaj ginęli i to dość szybko.

Właśnie dlatego tak bardzo go fascynowały twarde zasady Celeny. Jak można było wieść takie życie? Nie rozumiał tego, ale jakaś jego część bardzo chciała to pojąć.

I ta sama część chciała również dowiedzieć się więcej o tej kobiecie. Więcej niż to, co już i tak wiedział – że w czarnych dżinsach i koszulce odsłaniającej goły brzuch wyglądała bardzo apetycznie.

– Ale to wcale nie jest kłamstwo! – powiedział wesoło. – Naprawdę nie wiesz, gdzie jest Jeff, a ja mogę dopilnować, że będzie uciekał przed tobą całą wieczność.

Wydała z siebie westchnienie, jakby słowna walka nagle bardzo ją zmęczyła.

– Dlaczego to robisz? Choć raz Rafael był szczery:

– Bo Jeff, choć głupi, jest moim przyjacielem i nie pozwolę, aby go powieszono.

Celena spojrzała na niego z podziwem. Większość mrocznych łowców tak by się nie przejmowała swoimi sługami. A już żeby nazywali ich przyjaciółmi!...

– Daj spokój, Celeno – mrugnął do niej Rafael. – To twoja jedyna szansa, żeby go dopaść.

– A jeśli nie złamię zasady w ciągu tygodnia?

– Dostarczę go, jak obiecałem.

Zadarła głowę. Rafael nie słyszał z dotrzymywania słowa.

– Klniesz się na wszystko?

– Klnę i to codziennie.

– Nie o to mi chodzi i dobrze o tym wiesz! – syknęła. Po raz pierwszy jego przystojna twarz zrobiła się całkowicie poważna.

– Słowo pirata, który zginął, broniąc swojej załogi, absolutnie.

Powiedział to z takim przekonaniem, że uwierzyła. Poza tym miał rację. Gdyby ukrył Jeffa, nawet Rada niewiele by mogła zrobić, a znając ich obydwu, Jeff i Rafael nie omieszkaliby ciągle o tym przypominać.

– W porządku. Zaufam ci. Za siedem dni wrócę, by go zabrać. Niech tu na mnie czeka.

Odwróciła się, żeby odejść, ale Rafael położył jej dłoń na ramieniu.

– Hola, zaczekaj sekundkę, kochana! Chyba nie myślisz, że to takie łatwe, co?

– O co ci chodzi?

Diabelski błysk powrócił do jego ciemnych jak północ oczu.

– Wiara nie może istnieć bez wątpliwości. Ani siła bez pokusy. Aby ta transakcja była ważna, musisz tu zostać, żebym mógł sprawdzać, jak się zachowujesz.

Zesztywniała, słysząc te słowa.

– Moje słowo jest warte więcej niż złoto.

– Moje bywa w najlepszym wypadku pozłacane. Jednak skoro mamy doprowadzić rzecz do końca, chcę cię tutaj, żebyś mi usługiwała. To jedyne sprawiedliwe wyjście, bo przez ciebie jestem pozbawiony Jeffa.

– A kto się zaopiekuje Ephani?

– Zorganizuj zastępstwo. I tak byś musiała to zrobić, żeby móc go szukać, prawda?

Celena zaczynała nienawidzić tego mężczyzny.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Całkowicie. Umowa stoi czy nie? Zastanów się szybko, zanim zmienię zdanie.

I pewnie by tak zrobił, żeby ją zdenerwować.

– Dobrze, umowa stoi – zgodziła się, choć skrycie podejrzewała, że właśnie sprzedaje duszę diabłu. – Pójdę powiadomić Radę i moją panią.

Gdy tylko Celena opuściła jego dom, Rafael ruszył do sutereny. Tam na czarnej skórzanej sofie z nogami na stoliku leżał sobie Jeff i grał na swoim PlayStation, jakby nie miał na tym świecie żadnych zmartwień. Było to tak niewiarygodne, że Rafael całą minutę stał w drzwiach, wpatrując się w sługę z opuszczoną szczęką.

Jeff należał do tego typu ludzi, jaki piraci zakopaliby żywcem w piasku i pozwoliliby zgnić. Dla dobra ludzkości – tacy jak on byli zbyt głupi, żeby żyć, a jeszcze, nie daj Boże, mogliby spłodzić równie durnego potomka.

Szczerze powiedziawszy, Rafael miał silną pokusę, by go zabić. Cholernie silną. Tyle że przez wieki ogromnie złagodniał, a poza tym sługa był mu potrzebny do zdobycia Celeny.

Chłopak nie miał pojęcia, że życie uratowały mu najbardziej kuszące usta po tej stronie raju. Gdy jego pan chwycił ze stolika malutkiego pilota i wyłączył PlayStation, Jeff zrobił urażoną minę.

– Hej – fuknął – byłem na czwartym poziomie i nie zdążyłem zrobić save'a.

– Pieprzyć poziom czwarty. Musisz się stąd wynosić. Pronto!

– I gdzie mam iść?

– Na moją łódź na przystani. Zdegustowany sługa wydał usta.

– I co tam robić?

– Przeżyć noc, a jeśli nie przestaniesz mnie lekceważyć, to i tak będzie to sukces. No, wstawaj! Kupiłem ci trochę czasu, dzieciaku, ale to koniec. Musisz zniknąć na tydzień.

Podczas gdy Jeff wydawał odgłosy niezadowolenia, uwagę Rafaela przykuł laptop leżący na stoliku obok stóp chłopaka. To powinno wystarczyć, żeby go zająć i trzymać z dala od kłopotów...

Przynajmniej dopóki biedny gnojek znów czegoś nie opublikuje!

Rafael podniósł laptop i wręczył go Jeffowi.

– Idź i pisz swoją wielką amerykańską powieść, ale na miłość boską, zrób to co robią wszyscy i wymyśl całą historię.

Na twarzy chłopaka pojawił się nowy grymas.

– Wiesz, że mam morską chorobę.

– Przeżyjesz. Zatrucie ołowiem w pociskach to już inna sprawa. Na łodzi jest dosyć prowiantu, więc nic ci nie będzie. Tylko trzymaj tyłek pod pokładem, a jeśli spojrzysz choćby na koło sterowe, to osobiście skrócę cię o głowę. Pamiętaj, łódź jest więcej warta niż twoje życie. Trzymaj w pobliżu wiadro i nie obrzygaj niczego.

Jeff wykrzywił twarz, jak gdyby na samą myśl o tym, co go czeka, robiło

mu się niedobrze.

– Ale ja chcę zostać tutaj!

– A dusze w piekle chcą lodowatej wody. Wynoś się, Jeff, ale już! Mroczny łowca osiągnął częściowy sukces – chłopak się podniósł.

– Mogę zabrać Play-Station? – zaczął jednak marudzić.

– Jeśli to cię prędko stąd usunie...

– Masz więcej gier?

Z gardła Rafaela wydobyło się niskie warknięcie. Podniósł małą, czarną konsolę ze stolika i cisnął nią w sługę.

– Coś jeszcze?

– Jakby znalazła się jakaś dziwka, byłoby miło. – Jeff...

– No idę, idę!

Rafael ponownie poczuł ból w czaszce, kiedy chłopak zaczął wchodzić po schodach w tempie, z którego nawet ślimak nie byłby dumny. Do diabła, piraci zabiliby takiego dziesięć sekund po tym, jak znalazłby się na pokładzie.

– Mógłbyś przyspieszyć, Jeff? Mamy tylko osiem albo dziewięć godzin do świtu.

Spojrzał przez ramię na łowcę i wykrzywił usta.

– Jesteś takim apodyktycznym dupkiem...

– Samo przychodzi, jeśli jest się pirackim kapitanem... tak jak mój ojciec, a propos. Nie był kupcem, tak jak napisałeś w swoim opowiadaniu. Kupców to on jadał na śniadanie.

Młody pisarz zatrzymał się na schodach.

– Naprawdę?!

– Jeff – fuknął Rafael – do góry!

Mamrocząc coś pod nosem, chłopak w końcu dotarł do drzwi. Spakowanie go i pozbycie się z domu zajęło około piętnastu minut. Przez cały ten czas łowca przypominał, co zrobi swojemu słudze, jeśli ten choćby szurnie nogami po pokładzie.

Nie więcej niż pięć minut po odejściu Jeffa wróciła Celena. Rafael zmusił się, aby nie wyrzeć za sługą na ulicę. Było oczywiste, że tych dwoje musiało się ze sobą minąć, ale w przeciwieństwie do Jeffa Celena była bystra i zorientowała się, za kim spogląda mroczny łowca.

– Witaj z powrotem, moja damo – powiedział Rafael, kiedy zbliżyła się do drzwi, poprawiając plecak na ramieniu.

– Nie mogę uwierzyć, że muszę to robić – burknęła pod nosem, po czym minęła go i weszła do domu.

Poczuł się trochę urażony, dopóki nie zdał sobie sprawy, z jaką nieprawdopodobną determinacją unikała jego wzroku. To było nawet zabawne i dobrze wróżyło na przyszłość. Żadna kobieta nie zachowywałaby się w ten sposób, gdyby nie była nim zainteresowana, tylko chciała z tym walczyć.

– Pozwól, że ci pokażę, gdzie będziesz spała. Poprowadził ją w kierunku mahoniowych schodów znajdujących się pośrodku domu. Naprawdę nie mogła znieść faktu, że się tu znajduje. Nie mogła służyć mężczyźnie, który ją tak bardzo rozpraszał! Kiedy szedł schodami w górę, miała przed sobą jego jędrny, perfekcyjnie wyrzeźbiony tyłek. I wielką ochotę, by wyciągnąć rękę i go dotknąć.

Wszystko było nie tak, z wielu powodów. Jak mogła pozwolić, żeby ją do tego namówił?!

„To jedyny sposób, żeby dostać Jeffa” – powiedziała sobie w duchu. A może była to tylko wymówka, żeby z nim tu być? Nie chcąc nawet brać takiej możliwości pod uwagę, skierowała swoje myśli z powrotem ku zadaniu, które miała wykonać. Teraz to było najważniejsze, a nie jak dobrze wyglądał Rafael w dopasowanym ubraniu.

Czy może dokładniej – jak dobrze wyglądałby bez tego ubrania...

Weszli na pierwsze piętro i otworzył pierwsze drzwi po lewej stronie.

– To pokój gościnny, nie żebym kiedykolwiek miał gości z wyjątkiem... – spojrzał na nią i mrugnął porozumiewawczo. – Nie będziemy wdawać się w szczegóły. Najważniejsze, że jest czysty i dobrze utrzymany.

– Dzięki – powiedziała, zauważając od razu mnóstwo wiktoriańskich antyków.

Był to całkiem śliczny pokój z ciężkimi draperiami w kolorze burgunda i złoconymi brokatem krzesłami w stylu chippendale. Wiktoriańskie łóżko z baldachimem przykrywała pasująca do krzesel burgundowo-złota narzuta. Wyglądało bardzo wygodnie i zapraszająco.

Ale ani w połowie tak zapraszająco, niż gdyby leżał w nim nagi Rafael! Tylko cóż mogła na to poradzić?!

„Poprosić, żeby się przyłączył” – odpowiedział jakiś głosik w głowie.

„Nie!” – Wyrzucając z głowy takie niegrzeczne myśli, położyła plecak na materacu, odwróciła się i spojrzała na łowcę, który stał w drzwiach w kuszącej pozycji, ubrany w prążkowane spodnie i czarny sweter. Sweter był najgorszy – przylegał do jego ciała i powodował, że nie mogła spokojnie myśleć. Co oznaczało, że musiała się go pozbyć z pokoju, zanim całkowicie straci swoje zasady i rozbierze go do naga.

– Nie powinieneś być na patrolu? – zapytała.

– Jeszcze za wcześnie. Poza tym daimony nie są ostatnio zbyt aktywne. – Przeżegnał się. – Odkąd umarł Danger, jest dziwnie spokojnie.

– Tak, Ephani jest tego samego zdania. Jakby się wyniosły, a to jest dziwne. Można by pomyśleć, że zabicie mrocznego łowcy powinno dodać im animuszu.

Nie komentując jej słów, przysunął się... tak blisko, że jego zapach zawładnął jej zmysłami. Co więcej, całkowicie ją rozgrzał. W woni jego skóry i

wody toaletowej było coś uspokajającego. Coś kuszącego i grzesznego.

Stała, jakby ktoś rzucił na nią urok, a on tuż obok niej. Podniósł dłoń, chcąc strzepnąć z ramienia Celeny kosmyk włosów, który się tam zabłąkał. Waliło jej serce i nie była w stanie się poruszyć. Chciała tylko czuć, jak ją dotyka.

Nikły uśmiech pojawił się w kącikach ust Rafaela. Schylił głowę. Wiedziała, że zamierza ją pocałować, ale mimo to nadal stała nieruchomo.

Dopóki jego usta nie rozchyliły się i nie dostrzegła klów.

„To przecież mroczny łowca!”

Przytomna myśl wstrząsnęła nią na tyle, że natychmiast się odsunęła.

– Na czas, gdy tu będę, powinniśmy zreorganizować dom, żeby było sprawniej.

Rafael powstrzymał paskudne przekleństwo. Jeszcze sekunda i by ją miał.

– Dom jest w porządku.

– Nie, nie jest. Masz chociaż plan ewakuacji na wypadek, gdyby w dzień wybuchł pożar? Wiesz, że mógłbyś się upiec, a wtedy nie będziesz miał duszy. Ciemność i ucisk przez całą wieczność.

Jej słowa podziały na łowcę jak zimny prysznic. Było to coś, o czym wcześniej nigdy nie pomyślał.

– Często się to zdarza w starych domach – ciągnęła. – Na przykład wadliwa instalacja elektryczna. Słyszałam o jednym mrocznym łowcy, który zginął w ten sposób nie dalej jak w zeszłym roku.

– Kto?

– Nie pamiętam nazwiska, ale to było w Anglii. Totalny ruszt. Możesz sprawdzić na stronie internetowej.

Naprawdę wolał nie sprawdzać. Żaden mroczny łowca nie lubił czytać o śmierci innego. To zbyt dosadnie przypominało, że nawet na nieśmiertelnych ciągle czyhały przeróżne zagrożenia, a kto już raz umarł, tym bardziej nie chciał powtarzać podobnych doświadczeń.

Celena jednak nie ustępowała:

– Powinieneś zadzwonić do jednego z moich przyjaciół. Specjalizuje się w zabezpieczeniach przeciwpożarowych podziemnych bunkrów, które należą do mrocznych łowców. Może zainstalować system spryskiwania i...

– Niepotrzebnie się nad tym rozwodzisz! – przerwał jej gwałtownie.

– Nieprawda! Bezpieczeństwo łowcy to dla sługi sprawa priorytetowa. Tak, zadzwonię do Leonarda z samego rana i dowiem się, kiedy mógłby przyjść i zrobić rozeznanie. Powinniśmy też sprawdzić, czy w samochodzie jest belka przeciwpoślizgowa, na wypadek gdybyś miał dachowanie. Och, i jeszcze stalowa belka osłaniająca po stronie kierowcy, w razie gdybyś pod czymś przeleciał. Przy dużej prędkości dosłownie ucina głowę.

Ręka Rafaela bezwiednie powędrowała do gardła. Cholera, ta kobieta

nadawała paranoi całkiem nowe znaczenie...

– Powinniśmy też zapoznać się z historią tego domu i sprawdzić, czy nigdy nie służył za noclegownię.

– Dlaczego?

– Jeśli jakieś miejsce było wykorzystywane do celów zbiorowych, było na przykład pensjonatem, restauracją czy czymkolwiek takim, to wówczas daimony mogą dostać się do środka bez zaproszenia. Nie chcesz, żeby ci się tu wpakowały i zabiły cię, prawda?

– Nie, zupełnie.

– No to musimy sprawdzić nieruchomości. Chyba że zrobił to twój ostatni sługa.

– Nie.

Prychnęła.

– Potrzebuję kawałek papieru. To zajmie chwilę. Zresztą nie, mam tu...

Wyłowiła z plecaka notes i zaczęła robić listę, a Rafael od razu poczuł się chory. Ta kobieta powinna pracować jako inspektor budowlany. Jezu!

Nowa sługa obejrzała dom od zewnątrz, a potem zbadała stan sutereny, który jej zdaniem nie był wystarczająco dobry. Według Celeny osiadanie fundamentu mogło spowodować pęknięcie, które przy wyjątkowo nieszczęśliwym zbiegu okoliczności mogło wystawić łowcę na działanie światła dziennego.

Gdy zwrócił jej uwagę na nikłe prawdopodobieństwo, odparła, że ma obowiązek wykryć każde potencjalne zagrożenie.

Zanim wybiła godzina dziesiąta, był więcej niż gotów zacząć patrol. Wyszedł z sutereny i znalazł na stole cały arsenał.

Dwa sztylety, trzy kołki (ponieważ dwa mogły się złamać podczas walki), wykrywacz daimonów, używanie którego zawsze przeklinał, kurtka z kevlaru, telefon komórkowy i zegarek – wszystko to leżało przygotowane.

Zdziwiony patrzył na nią, gdy podniosła kevlar, żeby pomóc mu go założyć.

– Kule nie mogą mnie zabić.

– Nie, ale bardzo boją. Teoretycznie daimony mogą strzelać do ciebie tak długo, aż będziesz zbyt słaby, aby z nimi walczyć. Wtedy wbiją ci palik i zabijają.

Patrząc na nią uważnie, potrząsnął głową. Z niepokojem odłożyła na bok kamizelkę, podczas gdy on wsunął sztylety do butów.

– Może chcesz mi nałożyć taki kołnierz jak psu, aby się upewnić, że nie pozbawią mnie głowy? – zapytał z sarkazmem.

– Chciałabym – przyznała ku jego niewiarygodnemu zdziwieniu – ale Ephani rozżłościła się, kiedy próbowałam ją do tego namówić. Już nauczyłam się, że dla was ważniejsze jest wtopić się w tło niż chronić własną głowę. Ale mam to! – Wyciągnęła z kieszeni czarną stalową obrożę. – Jeśli założysz golf,

nie będzie taka widoczna.

Nie zareagował. Była to najbardziej absurdalna propozycja, jaką w życiu słyszał. Ale gdy chował kołki, musiał się powstrzymać, by nie wykorzystać ich w obronie przed swoim najnowszym zagrożeniem...

Przed nią!

Tymczasem Celena podała mu zegarek.

– Sprawdziłam, o której wszędzie słońce w serwisie pogodowym w Internecie i porównałam z danymi stacji meteorologicznej. Zapytałam też mojego przyjaciela astronoma, czy czas jest dokładny. Wschód będzie punktualnie o szóstej pięćdziesiąt dziewięć nad ranem. Nastawiłam już alarm, zadzwoni dwadzieścia minut wcześniej.

Następnie wyrwała kartkę z notesu.

– Oto lista, jak długo zajmie ci powrót z różnych miejsc na terenie miasta. Będę mieć oko na wykrywacze. Chcę się upewnić, że zdążysz wrócić do domu cało i bezpiecznie.

Potem wręczyła mu złożony czarny pokrowiec na ciało.

– W razie gdybyś nie dał rady wrócić, zapnij się w to i wciśnij przycisk alarmowy, który dodałam do twojego breloczka na klucze. Przyjadę, żeby zabrać cię do domu.

Ponownie odebrało mu mowę.

Na koniec podniosła jego telefon komórkowy.

– Wpisałam mój numer w system szybkiego wybierania pod jedyneką i numer Acherona pod dwójką. Jak to możliwe, że nie miałeś zapisanych numerów osób, które należy powiadomić w razie wypadku?

– A numer Jeffa?

– Ponieważ długo już z nami nie zabawi, nie robiłam sobie kłopotu.

To było jakieś szaleństwo. Nic dziwnego, że Ephani nie sprzeciwiała się, że ktoś przez tydzień zastąpi Celenę. Jezus, Maria, Józefie Świąty, ta kobieta była szalona!

– Coś jeszcze, mamusiu? – zapytał Rafael.

– Tak. Baw się grzecznie z innymi dziećmi i nie pozwól, by daimony cię dopadły. Używaj wykrywacza, żebyś zawsze wiedział, gdzie są.

Mroczny łowca z ulgą opuścił swój dom. Koniec z uwodzeniem Celeny! Wolałby raczej z zawiązanymi oczami i skrępowanymi z tyłu rękoma stawić czoła hordzie daimonów.

Co więcej, wolałby nawet niańczyć Jeffa. Gdyby ktoś mu kiedykolwiek powiedział, że zatęskni za tym leniwym i zmanierowanym chłopakiem, mając pod nosem gorącą karaibską boginię seksu, zaśmiałby mu się prosto w twarz.

Teraz dopiero docenił luzacką naturę swojego sługi.

„A jeśli to tylko jej taktyka...” – wpadło mu naraz do głowy.

Zastanowił się nad tą myślą. Może robiła to po to, by go zniechęcić.

Całkiem, całkiem niewykluczone... o tak, teraz ją przejrzał! Wszystko idealnie pasowało. Zatem świetnie. Zagrają w jej grę.

Uśmiechnął się, wsiadając do samochodu. *En garde, ma petite!* Właśnie zaczęli wojnę, którą on miał zamiar wygrać.

Rafael nie wygrywał wojny. Przegrywał ją beznadziejnie i to jeszcze w kiepskim stylu. Bez względu na to, czego by nie próbował, Celena wykpiwała jego wysiłki. Ta kobieta była maszyną do uprzykrzania życia i po czterdziestu ośmiu godzinach z nią pod jednym dachem miał dość.

Siedząc na tapczanie w swojej suterenie godzinę po zachodzie słońca – ponieważ, szczerze mówiąc, gdyby poszedł na górę, mógłby ją zabić – zadzwonił do Ephani. Odebrała po trzecim sygnale.

– Przyjeżdżaj i zabieraj swoją sługę – zażądał bez żadnych wstępów.

– Witam cię również, Rafaelu. Miło cię słyszeć – powiedziała oschłym, fałszywym tonem.

– Skończ z tymi bzdetami, Eph, i przyjeżdżaj zanim ją zabiję.

– Doprowadza cię do szafu? – w jej głosie usłyszał rozbawienie.

– Tak myślisz? Jak to wytrzymujesz noc w noc i nie odchodzisz od zmysłów?

– Jest trochę natrętna, ale...

– Trochę? – zapytał z niedowierzaniem. – Chyba żartujesz!

– Nie jest taka zła – parsknęła Ephani.

– Ależ jest, zaufaj mi. O mały włos daimony skróciłyby mnie o głowę już pierwszej nocy jej pobytu u mnie.

– Jak to?

Zacisnął zęby na samo wspomnienie.

– Wyobraź sobie taki obrazek: Oto ja w alejce podkradam się do grupy daimonów, która otoczyła jakiegoś studencika. I kiedy ruszam, by go ratować, odzywa się pani Dzwonię-Tylko-Po-To-By-Cię-Wkurzyć i mówi mi, że według urzędnika naprowadzającego już czas, abym wracał do domu, bo inaczej dopadnie mnie świt.

Ephani śmiała się tak mocno, że miał ochotę udusić ją przez telefon.

– To nie jest zabawne.

Śmiała się dalej, a Rafael wydał z siebie przeciągłe westchnienie.

– Zreorganizowała moją kuchnię i napełniła ją jakimiś kielkami pszenicy czy innym gównem. Próbowałem jej wytłumaczyć, że jestem nieśmiertelny i żyję wiecznie, ale ona nic nie kuma. Powiedziała, że nawet nieśmiertelni muszą się zdrowo odżywiać.

Amazonka była tak ubawiona, że sądząc po odgłosach w słuchawce,

chyba upuściła telefon.

- To naprawdę nie jest zabawne, Eph.
- Ależ jest, Rafe. Jesteś takim mężczyzną!
- Potraktuję to jako komplement.

W końcu Ephani odchrząknęła i powiedziała poważnie:

- Jest kilka rzeczy dotyczących Celeny, które musisz wiedzieć.
- Oprócz tego, że jest stuknięta, ma się rozumieć!
- Nie jest stuknięta – parsknęła.

Spojrzał w sufit. Bez wątpienia sługa była tam i obmyślała kolejną torturę mającą chronić jego, nieśmiertelnego wojownika.

- Bez urazy, ale będę się trzymał swojej wersji.
- Zaufaj mi, Czarnobrody. Nie jest stuknięta.
- No to jaka w takim razie?
- Przerażona.

Zaskoczyło go to słowo. Nigdy by nie pomyślał...

- Próbowalesz ją wypytywać o rodzinę? – spytała Amazonka.
- Kilka razy, ale nie chce o tym rozmawiać.
- Zgadza się, a wiesz dlaczego?

– Bo jest stuknięta? – próbował odgadnąć, ale już z trochę mniejszym entuzjazmem.

- Nie. Bo się boi.

– A niby czego? – warknął przekonany, że Ephani wciska mu jakąś bzdurę.

– Że straci ludzi, których kocha. Dlatego próbuje budować wokół siebie mur, który będzie ją chronił. Nie mówi o ludziach, żeby nie stali się jej bliscy. Ale to na nic. Wiem, bo kiedy rok temu zmarł jej ojciec, prawie się załamała. Ciągłe go opłakuje w środku dnia, kiedy myśli, że śpię.

Te wiadomości powaliły Rafaela. Zupełnie mu nie pasowały do tej pragmatycznej kobiety na gorze, która nie miała słabych punktów i szczerze mówiąc, nie mógł jej sobie wyobrazić płaczącej z jakiegokolwiek powodu.

- Celena?

– Tak, Celena. A wiesz, dlaczego jest taka pedantyczna w wykonywaniu swoich obowiązków?

- Bo jest stuknięta? – wrócił do swojej wersji.

– Nie – powiedziała zirytowana Ephani. – Tak jak Jeff pochodzi z rodziny sług. Mroczny łowca, z którym dorastała, zginął osiem lat temu. Został otoczony przez grupę daimonów i zabity. Jakby tego było mało, pierwsza łowczyni, do której ją przydzielono, zginęła, bo nie udało się jej wrócić przed wschodem słońca. Celena próbowała do niej dotrzeć na czas, ale łowczyni nie miała się gdzie schować i minutę potem przypominała już tost. Kiedy Rada przysłała mi Celenę, ostrzegli mnie, że jest trochę... pod wpływem traumy po tym zajściu. Do

diabła, jeśli teraz uważasz, że jest beznadziejna, szkoda, że jej nie widziałeś, jak zaczęła dla mnie pracować.

Skoro wtedy było jeszcze gorzej, dziękował losowi, że jej wcześniej nie poznał. Jednak wszystko to w dużym stopniu wyjaśniało psychozę dziewczyny.

– I chyba naprawdę cię lubi – dodała Amazonka – skoro ciągle do ciebie wydzwania, czy zdążysz do domu na czas. Nawet w stosunku do mnie tak się nie zachowuje. Ale ja zawsze postępuję według jej planu i wracam, zanim zaczniesz panikować.

Rafał milczał przez chwilę, rozważając słowa Ephani.

– To rzuca na nią wiele światła, prawda? – spytała.

– W porządku – westchnął. – Dzisiaj jej nie zabiję.

– Proszę, nie rób tego. W sumie raczej ją lubię i muszę przyznać, że wolę ją o wiele bardziej niż tą, z którą mam teraz do czynienia. Ta jest trochę leniwa. Nawet nie chciała mi zrobić jajecznicy z serem i cebulką.

Słyszając to, mroczny łowca zaśmiał się po raz pierwszy podczas tej rozmowy.

– Chyba jesteś do niej przyzwyczajona.

– Chyba tak. Odeślij Celenę jak najszybciej. Brakuje mi jej.

Potrząsnął głową.

– Przy okazji, Eph. Dzięki.

– Nie ma sprawy. Tylko dbaj o nią.

– Da się zrobić.

Zakończył rozmowę i wsunął telefon z powrotem do kieszeni spodni. W umyśle wirowały mu wszystkie rzeczy, o których się dowiedział. Ruszył na górę, gdzie czekało na niego śniadanie.

Chwytnąjąc kawałek bekonu, musiał przyznać, że była to jedna z rzeczy związanych z pobytem Celeny, która mu się podobała. W przeciwieństwie do Jeffa czuwała całą noc, przygotowywała wystarczające ilości jedzenia, a nawet pomyślała o przekasce na drogę. Oczywiście była to przekaska ze zdrowej żywności, która wyglądała jak obca forma życia, ale miło z jej strony, że pomyślała.

– Cześć – powiedział, połykając bekon.

– Cześć. – Podała mu szklanekę soku pomarańczowego i podniosła notes ze stolika. – Opracowałam schemat twojego patrolu. Zauważyłam, że zwykle przebywasz aż do północy o tu, w Columbus w pobliżu uczelni, a następnie ruszasz w kierunku Starkville. Pomyślałam, że...

Wziął od niej notes i odłożył go na bok.

– Lubię mój schemat, Celeno.

– Ale byłoby bezpieczniej, gdybyś najpierw patrolował Starkville i wracał tą drogą.

– Ale ja byłem piratem, który śmiał się, kiedy umierał i splunął w pysk

swojemu zabójcy. Bezpieczeństwo nie jest moim zmartwieniem.

– A powinno być – upierała się.

– Dlaczego?

Zatroskana zmarszczyła brwi, a na jej twarzy pojawił się nikły ślad hysterii.

– Ponieważ możesz zginąć i stać się cieniem błędzącym po ziemi bez ciała i duszy w wiecznej udręce i nieszczęściu. Pragnąc jedzenia. Pragnąc kogoś, kto by cię usłyszał. Pragnąc kogoś, kto po prostu by cię dotknął, i nie mając nikogo, kto by mógł cię zobaczyć i...

Powstrzymał dalsze słowa, kładąc palce na jej ustach. Nie podobał mu się ponury obraz, który odmalowała.

– Wszystko będzie dobrze, Celeno. Nie umrę. Ale w jej oczach widział ból i strach.

– Dlatego właśnie powinieneś przemyśleć swój schemat.

Zabrał palce z jej ust i pochylił głowę, by je objąć swoimi ustami, ale ponownie odsunęła się od niego.

– Nigdy nie chodzisz na randki? – westchnął.

– Już nie. Przyrowadzenie kogoś z zewnątrz mogłoby narazić Ephani. Co by było, gdybym ja poszła na randkę, a ona by mnie właśnie potrzebowała?

– A co by było, gdyby teraz meteoryt wpadł do domu i spłaszczyl nas oboje?

O zgrozo, nie mógł w to uwierzyć, ale ona naprawdę spojrzała do góry na sufit!

– Celeno, nie możesz całe życie martwić się tym, co mogłoby się zdarzyć.

– Znów przysunął się do niej. – I nie możesz być przez całe życie sama. Zaufaj mi w tej kwestii. Jest się cholernie samotnym.

– Ty tak żyjesz.

– Nie zawsze. Mam kogoś od czasu do czasu.

Jednak zamiast pocieszyć, tylko ją rozgniewał.

– A ja nie jestem twoją panienką na jedną noc! – krzyknęła. – Oboje mamy obowiązki. Przysięgi, których musimy dotrzymać.

– I tak bym cię pocałował, ale mam przecucie, że gdybym spróbował...

– Kopnęłabym cię w orzeszki i oderwała ci ucho! – Złość w jej głosie była prawdziwa i co do tego nie miał wątpliwości.

– To by bolało.

– I miałyby boleć.

Patrząc na nią, Rafael potrzęsnał głową. Była zabawnie podniecająca. Kiedy się od niego oddalała, nie mógł powstrzymać gorąca, jakie czuł w całym ciele, a kiedy był tak blisko niej i nie mógł jej dotknąć, odchodził od zmysłów. Nic dziwnego, że Rada zawsze przydzielała sługę przeciwnej płci niż ta, której dany łowca pożądał.

„Nie wytrzymam tego” – westchnął w duchu. Musiał się od niej oddalić.

– Idę zabijać daimony.

– Jest jeszcze wcześniej...

– Wiem, ale mam przeczucie, że już się przygotowują i muszę zacząć patrol...

„...albo zostać tu z piekielnym wzrodem i postradać resztkę zdrowego rozsądku” – dodał w myślach. Jak powiedział kiedyś Oscar Wilde, mógł oprzeć się wszystkiemu z wyjątkiem pokusy.

Zanim Rafael dotarł jednak do drzwi, zadzwonił telefon. Łowca odebrał, nie patrząc, kto dzwoni.

– Rafe?

To był Jeff szepczący spanikowanym głosem.

– Tak?

– Na przystani jest grupa daimonów.

– Jest jeszcze na nich za wcześniej.

– To im to powiedz!

– Spokojnie. Co się dzieje?

– Jest strasznie jak cholera. Jest jakaś impreza na łodzi obok. Zaczęła się o zachodzie słońca. Widziałem sześciu z nich idących w tę stronę.

– W porządku. Nie wychylaj się. Będę za kilka minut. Celena zmarszczyła brwi, słysząc troskę w głosie Rafaela.

– Czy jest jakiś problem?

– Najwyższy stan gotowości.

Zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, już go nie było, ale słowa łowcy dźwięczały jej w uszach. Najwyższy stan gotowości... Mogło być niedobrze.

„Jesteś sługą” – powtórzyła sobie w duchu. Jej miejsce było w domu, szczególnie po zmroku. I nagle oczyma duszy zobaczyła twarz Eamona. Jego śmiejącą się twarz, gdy dokuczał jej, że nie je groszku.

„Odrobiłaś lekcje, panno?” – pytał.

Boże, ależ go kochała! Był dla niej jak starszy brat, najlepszy przyjaciel i ojciec jednocześnie. I wystarczyło jedno uderzenie serca, by daimony go zabiły.

„Spójrzmy prawdzie w oczy. Z wyjątkiem Ephani wszystkich mrocznych łowców, z którymi miałaś do czynienia, spotkał zły koniec” – uzmysłowiła sobie, a im bardziej jej na nich zależało, tym gorsza była ich śmierć.

A Rafaela kochała od pierwszej chwili, gdy tylko go poznała po przeprowadzce do West Point w Mississippi. Był inteligentny, bystry i miał czarne poczucie humoru.

Teraz szedł walczyć z daimonami. Sam.

Tysiące scenariuszy przemknęło jej przez głowę, a każdy miał jedno zakończenie: śmierć. Opanowała ją panika, serce zaczęło walić jak oszalałe. Powiodła wzrokiem po pokoju. Nie mogła zniszczyć domu kolejnego łowcy.

Nie mogła służyć, czuwać i składać wyrazów szacunku komuś, kogo kochała.

Nie mogła.

I nie mogąc się powstrzymać, chwyciła ze stolika urządzenie naprowadzające i swoje klucze.

Choć Jeff powiedział, że na imprezę zmierza „grupa daimonów”, Rafael uznał, że tak naprawdę będzie ich tam najwyżej sześciu. Znał dobrze takie popijawy nastolatków lub studentów, bo często chodził na nie niezaproszony, aby chronić ludzi przed bestiami, które chciały ucztować na ich duszach. I wiedział, z iloma wrogami przychodzi się zmierzyć w takich sytuacjach.

Sługa nie wspomniał jednak mrocznemu łowcy o małym szczególe: tym razem daimony wybierały się na przyjęcie ślubne Apollitów. Sam Rafael zdał sobie z tego sprawę, dopiero gdy wszedł na łódź pełną wysokich, pięknych, blondwłosych nadprzyrodzonych istot.

Niestety mierzący metr dziewięćdziesiąt dziewięć łysy mężczyzna cały odziany w czarną skórę zdecydowanie nie wtapiał się w tłum wystrojonych nordyckich wampirów. Patrząc na groźnie mu się przyglądających Apollitów i daimony Rafael musiał przyznać, że doznał podobnego odczucia jak wtedy, gdy po raz ostatni jadł stek w klubie Kennel.

Było niesamowicie cicho. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, nawet mimo niezwykle wyostrzonego słuchu, było bicie jego własnego serca. Choć w pucharach gości była krew – wyczuwał jej zapach – nigdzie nie dostrzegł tych, których trzeba by było ratować.

Może z wyjątkiem jego samego.

Wreszcie Apollita, który stał najbliżej, uniósł w górę brew i zapytał:

– Od panny młodej czy od pana młodego?

– Jestem z cateringu – powiedział Rafael spokojnym głosem.

Jeden z daimonów zrobił krok do przodu i obrzucił go od stóp do głów zimnym, dzikim spojrzeniem.

– Taa, na moje oko wyglądasz jak jedzenie. Kobieta daimon stojąca obok niego uśmiechnęła się, ukazując kły.

– Niestety nie możemy go zjeść, bo jego krew jest dla nas trucizną. Ale zabicie go to zawsze jakaś rozrywka. Jak sądzisz?

Nie było już najmniejszych wątpliwości, że Rafael wszedł prosto do jaskini lwa. Daimonów było przynajmniej dwunastu i około dwudziestu Apollitów. Ci ostatni zazwyczaj nie walczyli z mrocznymi łowcami. Z kolei mrocznym łowcom nie wolno było ich dotykać, dopóki Apollitów nie skończą ucztować na swoich braciach i nie zabiorą się za ludzkie dusze, stając się w ten sposób daimonami. Jednak ta grupa raczej nie przejmowała się przestrzeganiem

niepisanego rozejmu. Byli naprawdę żądni krwi.

I zaczęli atakować.

Rafael wyciągnął spod płaszcza stalowy kołek i zatopił go w sercu pierwszego daimona, który na niego ruszył. Ten, wydając okrzyk cierpienia, rozsypał się w pył. Wtedy przyskoczyły dwa następne. Łowca odrzucił pierwszego szybkim uderzeniem, aż ten poszybował do tyłu i znalazł się w objęciach innego daimona. Rafael doskoczył w jednej sekundzie i dźgnął napastnika prosto w pierś.

Zanim zdążył się jednak wyprostować, daimony obsiadły go jak mrówki kostkę cukru. Upadł twarzą na pokład łodzi. Poczul na sobie pazury. Coś, może nóż, wbijało mu się w kark. Nie był jednak pewny, ponieważ szamotał się, żeby zrzucić z siebie wrogów.

Celena zdawała sobie sprawę, że łamie zasady, ale Rafael wcale nie musiał się o tym dowiedzieć. Wszystko, co zamierzała zrobić, to tylko sprawdzić, czy nic mu nie jest i wrócić do domu. Nikt się nigdy nie dowie o jej nocnym wypadzie. Nikt!

Zaparkowała samochód jak najbliżej przystani i pobiegła w kierunku wskazanym przez urządzenie naprowadzające. Targał nią ogromny strach na wspomnienie nocy, kiedy umarła Sara. Celena próbowała dotrzeć do swojej pani. Biegając, rozmawiała z nią jeszcze przez telefon. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, był wrzask łowczym, gdy ogarnęły ją płomienie.

Zawładnął nią żal, ale szybko odsunęła upiorne wspomnienia. To było teraz zagrożenie, które nie pozwalało jasno myśleć, a ona nie mogła stracić kolejnego mrocznego łowcy. W szczególności nie Rafaela. Zbyt długo go kochała, by pozwolić mu zginąć.

Nie mając jasnego planu, jak mu pomóc w razie kłopotów, pobiegła na łódź, po czym gwałtownie się zatrzymała.

Ujrzała totalny chaos. Ale co gorsza, nigdzie nie było śladu Rafaela. Przez chwilę zdawało się jej, że łowca leży na środku łodzi przywalony wielkim stosem daimonów i Apollitów. Nie była jednak pewna.

Nagle jej pełne łez oczy napotkały spojrzenie kobiety ubranej w suknię ślubną. W jednej chwili Celena wyciągnęła spod płaszcza kołek.

– Rafael?! – krzyknęła, ruszając w miejsce, gdzie wrzała walka.

Wtedy natarł na nią daimon. Dziewczyna odepchnęła go kopnięciem i parła dalej naprzód w kierunku największej grupy wrogów. Wiedziała, że właśnie tam musi być Rafael.

Odpychała, kopała i walczyła na oślep, aż w końcu zobaczyła tego, po którego tu przysła. Rafael kopnięciem zrzucił z siebie daimona, podczas gdy

inny próbował go przygnieść do ziemi. Na widok przeciwnika idącego w ich stronę z siekierą Celenę ogarnęła panika.

„Jeśli odrąbie mu głowę, to będzie koniec” – pomyślała.

Daimony odsunęły się. Ktoś schwycił ją od tyłu. Celena instynktownie walnęła swojego napastnika głową i w mgnieniu oka znalazła się u boku leżącego na ziemi łowcy. Kątem oka zobaczyła opadającą siekiere.

Skoczyła i przytuliła głowę Rafaela do brzucha. Czekwała na ból przecinającej ją siekiery.

Nie poczuła go jednak.

Nastąpiła nagła cisza i wszystko stanęło w miejscu. Z łomotem serca Celena otworzyła oczy i zobaczyła Apollitów i daimony wypatrujące czegoś ponad jej głową. Przetoczyła się po pokładzie i ujrzała daimona, który ruszył na nich z siekierą. Tylko że siekiera zniknęła.

Trzymał ją teraz pan młody, który surowym wzrokiem lustrował weselną gość.

– Dość! – ryknął. – To ma być moje wesele! Spojrzał na świeżo poślubioną małżonkę, której twarz zrobiła się blada, a delikatne usta drżały.

– Denerwujecie Chloe. Zostało mi tylko pięć lat życia i ostatnia rzecz, której sobie życzę, to banda żądnych krwi dupków niszcząca nasze wspomnienia z wesela. Koniec jatki!

Daimon obok Celeny wydał wargi.

– Zabił mojego brata.

– Twój brat był palantem i miał szczęście, że wcześniej ja go nie zabiłem – warknął pan młody. – Mówiłem wam, że nie życzę dziś sobie żadnych problemów. Mówiłem czy nie?

Zapytany daimon zbaraniał.

Apollita cisnął siekiere do wody, po czym podszedł do łowcy i jego sługi. Ku całkowitemu zaskoczeniu Celeny wyciągnął do niej rękę. Wymieniła z Rafaelem niepewne spojrzenia, nim podała dłoń panu młodemu i pozwoliła, by ją postawił na nogi.

– Nie możesz pozwolić mu odejść – powiedział szyderczo jeden z daimonów.

– To moje wesele. Mogę robić, co mi się podoba. To ma być noc świętowania...

– No to świętujmy, zabijając Mrocznego Łowcę! Pan młody spojrzał z obrzydzeniem na swojego krewkiego gościa.

– Niech ktoś wbije draniowi kołek i na litość bogów zetrzyjcie Benniego ze stołu przy fontannie. Ten pył jest obrzydliwy i dostaje się do krwi.

Podszedł do Rafaela i jemu też pomógł wstać.

– Nie martw się. To nie jest ludzka krew. Jest nasza. Łowca nie wiedział, co o tym myśleć. Patrzył tylko na stojącego przed nim Apollitę. Mogli zabić

jego i Celenę. A teraz tak po prostu pozwolą im odejść?

– Dlaczego to robisz? – zapytał. – Ponieważ życie jest zbyt krótkie – tu pan młody spojrzął na pannę młodą – aby je marnować na walkę. Zamiast tego można trzymać w ramionach osobę, którą się kocha. A miłość zbyt rzadko się trafia, by jej nie doceniać z powodu małych trosk.

Chwycił dłoń swojej żony i mocno ją ścisnął. – Jestem szczęśliwy, że mam Chloe i nie zamierzam pozwolić, by jakaś wojna, której nie zacząłem, odebrała mi choćby jedną sekundę mojego czasu z nią. Odejdź w pokoju, mroczny łowco.

Słowa Apollity zaskoczyły Rafaela, a jeszcze bardziej jego miłosierdzie.

– Jesteś dobry.

– Zobaczmy za jakieś pięć lat, he? – prychnął szyderczo pan młody. – Jeśli umrę spokojnie, wtedy będę dobry. Jeśli nie, stanimy twarzą w twarz jak drapieżcy. – Groźnie wysunął szczękę. – A teraz odejdź, zanim zmienię zdanie.

Rafael postanowił nie nadużywać szczęścia, objął ramieniem Celenę, przyciągnął ją blisko do siebie i razem opuścili pokład. Nie zatrzymywał się, aż doszli do jego łodzi. Przystanął przy dziobie i odwrócił się, spojrzął za siebie. Apollici i daimony powrócili do świętowania.

– To było cholernie niesamowite! – usłyszał. Spojrzął w górę i w ciemności zobaczył Jeffa. Sługa miał minę chłopca, któremu właśnie coś się upiekło.

– Człowieku, myślałem, że już po tobie! – kontynuował rozentuzjzmowany Jeff. – Już miałem dzwonić po pomoc do Acherona, ale zobaczyłem, jak wychodzicie. Jak się wam to udało?

Rafael nie przestawał obejmować Celeny. Oparł swoje czoło na jej czole.

– Szczęście... które zawsze przedkładałam nad zręczność.

Twarz Jeffa spoważniała, kiedy zdał sobie sprawę, kogo przyprowadził jego pan.

– Już nie żyję, tak? – Głośno przełknął ślinę. Spodziewał się, że dziewczyna odepchnie Rafaela i ruszy w jego stronę. Zamiast tego Celena objęła ramieniem biodra łowcy.

– Zawarłam umowę i wygląda na to, że z mojej strony nic ci nie grozi.

Uśmiech błąkał się w kącikach ust Rafaela, gdy patrzył na nią w świetle księżyca.

– Wracaj do domu, Jeff – rozkazał łowca.

– OK, spakuję się i...

– Nie! – powiedział stanowczo Rafael. – Wracaj natychmiast i nigdzie się nie zatrzymuj, dopóki nie będziesz w swoim pokoju. Później zabierzesz rzeczy.

Chłopak z początku chciał się kłócić, ale szczęśliwie dla niego samego właściwie zinterpretował ton łowcy. Jak tylko zniknął, Rafael zrobił to, czego od tak dawna pragnął – w końcu pocałował Celenę.

Jęknęła, gdy łowca musnął językiem jej język. Wtedy on chwycił jej twarz w dłonie, a ona wdychała ostry zapach jego skóry i wody toaletowej. To była kombinacja zapierająca dech. Jedyne, czego chciała, to rozebrać go i lizać wszystkie części ciała Rafaela.

Wiedziała, że nie powinna się z nim spoufalać, ale Apollita miał rację: były rzeczy ważniejsze niż coś tak trywialnego jak reguły.

– Dlaczego po mnie przyszedłeś?

– Bałam się, że jesteś w niebezpieczeństwie. Łowca pokręcił głową.

– Wiesz, że to było niesamowicie głupie z twojej strony. Ja jestem dla nich zepsutym mięsem, ale ty... ty to co innego. Miałaś cholerne szczęście, że cię puścili.

Uśmiechnęła się do niego.

– Tak, ale cóż, szczęście jest zawsze ważniejsze niż zręczność.

Zaśmiała się, a potem ją pocałował.

– To ciągle nie jest odpowiedź, dlaczego po mnie przyszedłeś. Złamałaś tuzin zasad, idąc dziś za mną.

Z jakiegoś powodu wcale jej to nie martwiło. Nic nie miało znaczenia poza tym, że był bezpieczny.

– Wiem, ale nie mogłam pozwolić, żebyś zginął.

– Dlaczego?

Przygryzła wargi. Rozsądna część jej umysłu błagała, by Celena już nie mówiła. Ale wszystkie lata skrywania emocji, jakie w niej wzbudzała, wezbrały w ciągu tego wspólnego tygodnia i już dłużej nie potrafiła ich tłumić, – Ponieważ cię kocham.

Rafael nie byłby bardziej oszołomiony, gdyby go dźgnęła nożem. Stał całkowicie zszokowany i patrzył, jak rozszerzają się jej oczy. Przez wszystkie wieki, jakie przyszło mu żyć, tylko jedna kobieta wypowiedziała takie słowa...

I umarła w jego ramionach w noc ich ślubu. Nie dane mu było jej posmakować ani powiedzieć, jak bardzo ją kochał.

Z Celeną tak się nie stanie. Rozpalony chwycił ją na ręce i zaniósł na łódź.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała, oplatając ramionami jego szyję.

– *Carpe noctem*. Chwytam noc. Ale przede wszystkim chwytam kobietę w ramiona.

Nic już nie mówiła, gdy niósł ją pod pokład. Kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku ewentualnych przechodniów, dosłownie zerwała z niego koszulę i w końcu mogła dotknąć ciała, które prześladowało ją w snach przez ostatnie kilka lat.

Jej praca sługi skończyła się, ale Celenę mało to obchodziło. Ważne było tylko, że jest z Rafaelem. Zadrzała, gdy ściągnął jej koszulę przez głowę i chwycił pierś przez stanik.

Odsunął satynowy materiał, by móc dotknąć jej ciała, a ona zamknęła oczy i smakowała ciepło jego dłoni. Chwytał jej usta, kiedy gwałtownie rozpięła mu rozporek i wsunęła tam dłoń. Zasyczał, a ona uniosła się z zadowolenia.

– O rany! – szepnęły jego usta przy jej wargach. – Kiedy już łamiesz zasady, to na całego.

Celena nie zareagowała, kiedy ściągał jej spodnie. Gwałtownie wstrzymała oddech, gdy zobaczyła go klęczącego przy niej. Podnosząc nogi, pozwoliła, by zdjął jej buty. Wyrzucił je przez ramię.

Jego ciemne oczy błysnęły, a po chwili wyciągnął dłoń, by zdjąć jej majtki. Całe ciało Celeny płonęło, kiedy ją obnażył, by móc pochłaniać swoim głodnym wzrokiem. Sięgnęła ręką w dół i dotknęła jego ust, a on językiem zaczął muskać koniuszki jej palców. Tysiące razy marzyła o takiej chwili.

To z jego powodu z nikim się nie umawiała. Gdy go poznała, inni mężczyźni nie mogli się z nim równać. Nie byli tak przystojni. Tak niebezpieczni.

Nie byli tak zakazani.

I właśnie teraz miała się dowiedzieć, jakie to uczucie go mieć.

Rafał powoli wstał. Prawie nie mógł oddychać. Ciągle nie dowierzał, że Celena naprawdę tu z nim była. Że ona, która żyła według reguł i zasad, złamała dla niego przysięgę sługi.

Z walącym sercem dotknął miękkości jej brzucha, a potem przesunął rękę niżej, gdzie napotkał krótkie, ostre włoski. W końcu znalazł to, czego szukał. Celena głaskała go, a on jęknął, gdy pod palcami poczuł jej mokre ciepło.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, przycisnął dziewczynę plecami do ściany i namiętnie pocałował.

Przywarła do niego i nogą objęła mu biodra. Przyjmując zaproszenie, głęboko w nią wtargnął.

Rafałowi zawirowało w głowie, kiedy niewyobrażalna ekstaza targnęła jego ciałem. Celena prawie nie straciła życia, żeby go chronić. Żadna kobieta przed nią czegoś takiego nie zrobiła. Jej siła, jej odwaga...

Niczego takiego wcześniej nie zaznał.

A teraz wyszła naprzeciw jego uderzeniom i kochali się bez opamiętania. Słuchał z uśmiechem odgłosów uderzających o ścianę koralików na jej warkoczach, które towarzyszyły każdemu jego pchnięciu.

Celena zatopiła usta w jego szyi i zmusiła się, żeby nie myśleć o jutrze. Bo nie mogła z nim zostać – zdawała sobie z tego sprawę. Był przecież mrocznym łowcą. Ale tutaj, w tej chwili należał do niej i tylko to się liczyło.

Wyginając plecy, krzyczała przy każdym jego pchnięciu i mocno go do siebie przyciągała. Pochylił głowę, aby schwycić wargami pierś dziewczyny. Dotykał jej językiem w rytm uderzeń. Objęła dłońmi głowę Rafaela, a jej ciałem zawładnęła rozkosz. Rosła z każdym uderzeniem, aż stała się nie do zniesienia.

Jej ciało wybuchło w ekstazie.

Pomrukiwał, czując orgazm Celeny Chcąc dać jej jeszcze więcej, przyśpieszył i patrzył, jak jęcząc, odrzuca do tyłu głowę.

Jego uśmiech znikł, gdy schował się w nią głęboko i zatopił we własnej rozkoszy, która wstrząsnęła nim całą siłą, a dziewczyna, gwałtownie oddychając, głaskała go po plecach, gdy powoli dochodził do siebie. To była jedna z najbardziej niesamowitych chwil w jego życiu. Nie z powodu seksu, ale dlatego, że trzymała go w ramionach kobieta, która gotowa była poświęcić dla niego samą siebie. Kobieta, która złamała reguły...

Co najważniejsze – kobieta, która go kochała.

Pocałował ją delikatnie w usta.

– Nie odchodź, Celeno.

– Zostanę do rana.

– Nie! – powiedział głosem przepelnionym emocjami, które w nim kipiały. – Nigdy nie odchodź.

Otworzyła lekko usta.

– Co ty mówisz, Rafaelu?

– Kocham cię.

Nie wierzyła własnym uszom. To więcej, niż kiedykolwiek miała nadzieję usłyszeć.

– Nie musisz tego mówić.

– Ja tego nie mówię. Ja to czuję.

Podniecona jego słowami, przyciągnęła go jeszcze bliżej, choć zdawało się to niemożliwe.

– Więc co teraz z nami będzie?

– Wygląda na to, że dołączę do rodzaju ludzkiego.

– Jesteś pewny?

Umilkł, myśląc nad tym, co powiedział. Gdyby dalej chciał być mrocznym łowcą, musiałby pozwolić jej odejść. W uszach wciąż brzmiały mu jednak słowa Apollity. Przez wszystkie te wieki był sam. Ani razu przez cały ten czas żadna kobieta nie wzbudziła w nim tak silnych emocji jak Celena. Wzbudzała w nim szal, gniew, szczęście...

Ale przede wszystkim sprawiła, że chciał fruwać.

Nie chciał żyć bez tego. Bez niej.

– Tak, jestem pewny. To znaczy, jeśli zechcesz poddać się testowi Artemidy.

– Dla ciebie, mój piracie, poszłabym przez ogień do piekła!

Epilog

Dwa miesiące później

Celena wpatrywała się w Acherona, przywódcę mrocznych łowców, który tłumaczył jej, że aby wyzwolić Rafaela spod władzy Artemidy, musiałaby go zabić.

– Chyba sobie żartujesz!

– Czy wyglądam, jakbym żartował?

Obejrzała go od długich czarnych włosów do stóp odzianych w zrobione na zamówienie długie czarne kowbojki ze sprzączkami w kształcie nietoperzy, a przy jego dwumetrowym wzroście było co oglądać. Tyle że każdy centymetr smukłej postaci Acherona był tak śmiertelnie szczery, aż ją zemdlilo.

Jak mogła zabić mężczyznę, którego kocha? Jaki psychol wymyślił takie sposoby?!

Następnie spojrzała na Rafaela, który stał w korytarzu za Acheronem. Na jego przystojnej twarzy malowała się wyłącznie ufność. Czarne oczy łowcy były życzliwe i łagodne, dodające odwagi. To sprawiło, że miłość, którą do niego czuła, wezbrała w niej jeszcze bardziej.

– Nie mogę go zabić.

Acheron westchnął, tłumacząc cierpliwie:

– Nie umrze na długo. Po prostu zatrzymasz bicie jego serca, a potem przytrzymasz ten kamień przy jego tatuażu z łukiem i strzałą. Jego dusza opuści kamień i wróci do ciała.

– Dasz radę, maleńka – powiedział Rafael z tym swoim dekadencjnym akcentem. – Dopiero co wczoraj w nocy powiedziałaś, że chciałabyś wydusić ze mnie życie.

Zamiast uśmiechnąć się, popatrzyła na niego z grymasem.

– To dlatego, że okupowałeś telefon i nie mówiłam tego na poważnie. To zupełnie inna sprawa.

– Dobrze więc – wzdrygnął się Acheron. – On nadal jest mrocznym łowcą, a Rada cię od niego oddeleguje.

Serce stanęło Celenie na samą myśl, że już więcej nie zobaczy Rafaela.

– Nie możesz im pozwolić tego zrobić.

– Ja kontroluję mrocznych łowców. Słudzy to ich zmartwienie, nie moje. Nie mam nad tym władzy i właśnie dlatego trzymają teraz Jeffa w więzieniu za to jego opowiadanie, które wydał. Osobiście uważam, że było zabawne, ale Rada nie ma poczucia humoru, czyż nie?

Dziewczyna chciała prosić, tłumaczyć, ale wiedziała, że nic to nie da. Jeśli ona i Rafael mają kiedykolwiek mieć normalne życie, to musi z powrotem stać się człowiekiem. Na razie Rada nie wiedziała nic o ich związku, jednak

prędzej czy później ta wiadomość do niej dotrze, a wtedy dla Celeny zacznie się piekło.

Chyba że się pobiorą. Wtedy Rada nie będzie mogła nic zrobić. Nie ma żadnego prawa zakazującego słudze mrocznego łowcy poślubienia zwykłego człowieka. Była to jedyna dla nich furтка.

– W porządku – westchnęła zdecydowana. – Jestem w stanie to zrobić.

Tym razem to Acheron się zawahał.

– Jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć. Spojrzała na niego rozdrażniona.

– A mianowicie?

– Kamień z jego duszą wypali ci skórę, jak tylko go dotkniesz i nie przestanie parzyć, dopóki dusza nie wróci do jego ciała. Jeśli wcześniej upuścisz kamień, Rafael stanie się cieniem.

Zadrżała na samą myśl. Cienie nie mogły jeść, nie można ich było zobaczyć ani usłyszeć. To był los znacznie gorszy niż sama śmierć, a ona przez krótką chwilę słabości mogła skazać swojego łowcę na wieczne piekło!

Jednak Rafael patrzył na nią płonąącym wzrokiem.

– Chcę być z tobą, Celeno. Jako człowiek.

Jak mogła się temu sprzeciwić? Co więcej, sama tego pragnęła! Dopóki był mrocznym łowcą nie mogli mieć dzieci. Ale gdyby go uwolniła...

Mogliby mieć rodzinę. Mogliby się pobrać i razem zestarzeć. Tylko tego pragnęła.

– Dobrze – wciągnęła głęboko powietrze. – Powiedz, co mam zrobić.

Acheron wyciągnął z buta długi, przerażający sztylet i podał go dziewczynie.

– Przekłuj jego serce i zostaw w nim sztylet, dopóki Rafael nie osłabnie.

Strząsnął z ramienia czarny plecak i wyciągnął z niego czarne pudełko wielkości piłki do softballu. Uniósł wieczko, a wtedy jej oczom ukazał się wibrujący niebieski kamień pokryty zawiłymi rzeźbieniami. W tym dziwnym, zniewalającym odprysku skały zdawało się tlić życie.

Wyciągnęła po niego rękę, ale Archeon się cofnął.

– Pamiętaj, on parzy. Podam ci go, a ty przyciśnij do znaku Artemidy.

Przełknęła ślinę, patrząc na kamień. Trudno było pojąć, że skrywał w sobie ludzką duszę Rafaela.

– Jesteś pewien, że to zadziała?

– Kyrrian, Talon, Valerius...

– Zgoda – powiedziała, przerywając Acheronowi wyliczankę imion mrocznych łowców, którzy zostali uwolnieni. – Zróbmy to.

Rafael zdjął koszulę, ukazując podwójny znak łuku i strzały na lewym ramieniu. Z walącym sercem schwyciła mocno sztylet. Napotkała jego mahoniowe oczy, w których paliła się miłość.

– Możesz to zrobić – szepnął. – Udawaj, że jestem Jeffem.

Chciała się zaśmiać z jego żartu, ale nie potrafiła. W zamian zacisnęła zęby i zrobiła najtrudniejszą rzecz w swoim życiu.

Dźgnęła go, ale sztylet ledwo przebił skórę. Zdumiona spróbowała uderzyć mocniej, jednak ostrze nie chciało wejść głębiej.

– Co się stało? – zapytała.

Przez twarz Acherona przemknął wściekły grymas.

– Cholera, zapomnieliśmy go pozbawić mocy mrocznego łowcy! Nie możesz zabić nieśmiertelnego... pozostawiając jego ciało w całości.

– No to co robimy? Przywódca podrapał się po karku.

– Nie powinienem się wtrącać, ale co tam, do diabła! Dla was dwojga zrobię wyjątek.

Wziął sztylet z dłoni Celeny i zatopił go aż po samą rękojeść w sercu Rafaela. Ten zatoczył się i powoli osunął na ziemię.

– O Boże! – krzyknęła przerażona dziewczyna i uklękła przy Rafaelu.

Jego twarz była wykrzywiona z bólu, a z kącika ust ściekała mu krew.

Instynktownie sięgnęła po sztylet, by go wyciągnąć.

– Jeszcze nie – powiedział Acheron, powstrzymując jej rękę. – Musi umrzeć. Inaczej nie będzie wolny.

Poczuła łzy napływające do oczu na widok ciężko dyszącego Rafaela. On jednak dotknął jej policzka i posłał dziewczynie nikły uśmiech.

– W porządku, Celeno.

Miała tylko nadzieję, że ma rację.

Kładąc dłoń na jego dłoni, mocno ją ścisnęła i patrzyła cały czas, jak światło znika z jego oczu. Zapłakała cicho, czując ostatni oddech Rafaela.

Wtedy Acheron znów wyciągnął z pudełka kamień i podał dziewczynie. Wbił w nią swoje świdrujące srebrne oczy.

– Nie upuść.

Kiwając głową, wzięła kamień i zaraz wrzasnęła, kiedy zajadły ból zaczął palić jej skórę. Parzył bardziej niż jakikolwiek ogień. Jedna myśl powstrzymywała ją przed upuszczeniem tego kawałka skały: „On umrze już na zawsze”.

Zacisnęła zęby, kiedy Acheron pomagał jej przyłożyć kamień do ramienia Rafaela. Łzy bólu i strachu płynęły dziewczynie po policzkach, a jej ukochany wciąż nie otwierał oczu.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim Acheron wyciągnął sztylet z jego piersi. Chwilę potem Rafael wziął głęboki oddech, otworzył oczy i spojrzał na Celene.

Śmiała się jak dziecko, kiedy zobaczyła, że jego oczy nie są już czarne, tylko jasno-bursztynowe. Skrzyło się w nich ludzkie życie i był jeszcze przystojniejszy niż przedtem. Zagryzając wargę, przyciągnęła go do siebie i

mocno ścisnęła. Acheron odsunął się, chowając sztylet do buta.

– Dzięki, szefie – powiedział Rafael, stając na nogi.

– Nie jestem już twoim szefem – odparł przywódca mrocznych łowców, wyszczerzając zęby w uśmiechu. – Ona nim jest.

– To mnie nie martwi! – zaśmiał się Rafael.

– Taa, ciesz się, że jesteś teraz człowiekiem. Nic tak nie sprawia, że tęsknisz za końcem czasu, jak służenie kobiecie przez jedenaście tysięcy lat! – prychnął Acheron.

Celena ponownie się zaśmiała.

– Dziękuję, Acheronie. Skłonił w ich kierunku głowę.

– Bawcie się dobrze, dzieciaki.

Rafael spojrzał w oczy dziewczyny i przytulił ją jeszcze mocniej.

– Będziemy, zaufaj mi.

Gdy tylko Acheron odszedł, Celena pociągnęła Rafaela w dół i gwałtownie pocałowała. Niedawny mroczny łowca poczuł jej smak i zawirowało mu w głowie. Był to smak, którym będzie się rozkoszował całe nowe życie.

O Autorze

Autorka bestsellerów „New York Timesa” **SHERRILYN KENYON** sprzedała ponad sześć milionów egzemplarzy swoich książek w dwudziestu dwóch krajach. Opowiadanie, które prezentujemy, należy do serii o Mrocznych Łowcach, którzy stali się przedmiotem międzynarodowego kultu – od tworzenia fanartów i noszenia *darkhunterowych* gadżetów po specjalne tatuaże.

Inne znane (choć jeszcze nie w polskim przekładzie) serie autorki to m. in. „Braterstwo Miecza” (*Brotherhood of the Sword*) i „Panowie Avalonu” (*Lords of Avalon*) pisane pod pseudonimem Kinley MacGregor.

Niedaleko Nashville w stanie Tennessee Sherrilyn Kenyon wiecie niezwykle niebezpieczne życie... jak każda kobieta mająca trójkę synów, męża, menażerię zwierząt i kolekcję mieczy, na punkcie której wszyscy wyżej wymienieni mają porządnego bzika.

Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej o pisarce lub bohaterach, których poznaliście w opowiadaniu, odwiedźcie koniecznie strony internetowe: www.sherrilynkenyon.com lub www.DarkHunter.com.

Susan Krinard

...lub niech zamilknie na zawsze

– Obecne tu dwie osoby zamierzają wstąpić w święty związek małżeński. Zatem jeśli ktoś zna jakiś powód, dla którego tych dwoje nie może zgodnie z prawem połączyć się, niech przemówi teraz lub zamilknie na...

– Ja znam powód!

Biskup otworzył szeroko usta, ukazując pełen zestaw krzywych zębów. Ludzie siedzący w ławkach kręcili się dookoła z wyrazem szczerego zdumienia na twarzach. W kościele pod wezwaniem świętego Bertrama z Moczarów zapanowała śmiertelna cisza.

Mężczyzna, który przemówił, stał na tyłach kościoła z buntowniczo zaciśniętymi pięściami. Chociaż miał na sobie dość porządne ubranie i gładko zaczesane włosy, jego irlandzki akcent charakterystyczny dla pospólstwa natychmiast powiedział lady Olivii Dowling, że nie było dla niego miejsca w tym towarzystwie najwyższej postawionych arystokratów Albionu. Lord Edward Parish, ciągle klęcząc przy ołtarzu, spojrzął na intruza z takim gniewem, iż wydawało się, że za chwilę pokaże swoje szatańskie moce i wznieci ogień właśnie tu i teraz.

– Kim jesteś? – zapytał.

Nieproszony gość zawahał się pod wpływem wrogich taksujących go spojrzeń, po czym zebrał całą swoją odwagę i powiedział grzmiącym głosem:

– To nie ma znaczenia.

Spojrzał prosto na lady Emmę, pannę młodą, córkę hrabiego Wakefield.

– Gdybyś tylko powiedziała mi prawdę, zrozumiałbym... – Urwał, a jego rumiana twarz zrobiła się blada.

Olivia zmarszczyła brwi i przyjrzała się mu uważniej, wykorzystując swój Talent Anatoma. Ciało mężczyzny zdradzało go. Serce zaczęło mu bić bardzo szybko, spocily mu się dłonie, a oczy rozszerzyły w gwałtownej trwodze. Olivia ponownie zerknęła na Edwarda, który ciągle klęczał przy ołtarzu. Lady Emma zachwiała się. Edward zdążył ją złapać.

Biskup w końcu odzyskał mowę.

– Kim pan jest? – powtórzył jak echo. – Zakłócił pan bardzo podniosłą uroczystość. Co ma pan do powiedzenia?

Gdy już było po wszystkim, Olivia nie mogła dokładnie powiedzieć, co czuła, zanim mężczyzna rzucił się do ucieczki. Odniosła wrażenie, że coś słyszała jego uszami – jakiś niesamowity, pełen grozy lament, który nie mógł pochodzić z gardła śmiertelnika. Wiedziała, że nieznajomym zawładnął przegromny strach, aż omal serce nie wyskoczyło mu z piersi.

Upadł na jedno kolano, wstał na nogi, po czym rzucił się w kierunku drzwi w przeraźliwej rozpacz.

Jakaś kobieta krzyknęła. Wszyscy wstali z szelestem długich spódnic i szuraniem wypolerowanych butów, a trzech gości siedzących z tyłu nawy ruszyło w pogoń za intruzem prosto w mokry, słoneczny poranek Londynu.

Lady Dowling usłyszała szorstki, męski krzyk ogromnego przerażenia, a potem nastąpiła cisza.

Chwilę później jeden z gości powrócił z ponurym wyrazem twarzy. Ruszył w kierunku ołtarza, gdzie lady Emma ciągle trzęsa się w ramionach Edwarda.

– Przepraszam – powiedziała Olivia do gości stojących najbliżej niej, przeciskając się obok nich wzdłuż nawy. Szukała wzrokiem Kita, lecz nie spostrzegłszy go, ruszyła dużymi krokami w kierunku drzwi.

Potok gości weselnych wylał się z kościoła, otaczając tłumem lady Dowling, kiedy ta zatrzymała się na szczycie schodów. Jakaś dama przy jej boku ciężko dyszała, a jakiś dżentelmen zaklął pod nosem.

Nieznajomy leżał u dołu schodów. Jego ciało było zwinięte, a głowa wykrzywiona pod nieprawdopodobnym kątem. Jeden z gości kucał u jego boku. Christopher Meredith, dla najbliższych przyjaciół Kit, w weselnym ubraniu był wyjątkowo przystojny. Jego niesforne czarne włosy zostały poskromione i stwarzały teraz pozory ładu. Nie pachniał Czarnym Psem, miał jednak ciemne okulary skrywające szkarłatny blask oczu.

Olivia przypomniała sobie o trzecim gościu, który wybiegł za nieszczęsnym nieznajomym i rozglądała się za nim w tłumie gapiów zebranych na placu, pokazującym sobie palcami ciało i plotkującym coraz śmieiej. Dostrzegła nieznanego sobie dżentelmena o arystokratycznych rysach twarzy i w dobrze skrojonym ubraniu. Sekundę później mężczyzna odwrócił się i zniknął w tłumie.

Podniosła spódnicę i zbiegła po schodach w niestosownym pośpiechu. Dołączyła do Kita, który podniósł na nią wzrok.

– Lady Olivio – skinął głową formalnym gestem – obawiam się, że nie żyje.

Uklękła obok niego, wzywając swój ulotny Talent, modląc się, aby tym razem odpowiedział na jej wezwanie. Od razu wiedziała, że diagnoza Kita była prawidłowa.

– Zdaje się, że skręcił sobie kark – mruknęła. – Jak myślisz, przed czym uciekał?

– Prawdopodobnie przemyślał swoje nagłe wtargnięcie do kościoła aż po strop wypełnionego Talentem. Widział też pana młodego zdolnego usmażyć go w butach.

– To nie czas na niepoważne uwagi, Kit – cmoknęła Olivia. – Był taki przerażony, zanim wybiegł z kościoła, jakby zobaczył...

„Właśnie, co?” – pomyślała. Wysoce nieprawdopodobne, by mężczyzna zobaczył zjawę niewidzialną dla zgromadzonych gości, chyba że jeden z nich był Iluzjonistą. Jednak...

– W powietrzu czuć magię – powiedział już poważniej Kit – ale nie mogę

jej zidentyfikować. Nie jest ludzkiego pochodzenia, to pewne.

– W takim razie do jego śmierci doprowadziły czynniki nadprzyrodzone.

– Jest to prawdopodobne – zmarszczył brwi – ale gdy tylko tu dotarłem, zobaczyłem oddalającego się mężczyznę w weselnym stroju. Nie byłoby trudno podstawić nogę komuś pędzącemu po schodach w stanie śmiertelnego przerażenia.

– A jeśli ten człowiek został zamordowany – lady Dowling zagryzła wargę – bo miał obiekcje co do małżeństwa?

Wymienili z Kitem spojrzenia. Motywy były oczywiste: w obronie reputacji córki lub narzeczonej...

– Lord Wakefield nie poniżyłby się do takiego czynu, nawet gdyby przewidział to zajście i mógł zaplanować morderstwo – zaprotestowała Olivia. – Jeśli chodzi o Edwarda...

– Też niemożliwe – pokręcił głową Kit. – Ale ktokolwiek przyczynił się do jego końca, na pewno ma coś wspólnego z diabłem. Policja jest w drodze, chociaż jestem pewny, że lord Wakefield wpłynie na wyciszenie sprawy. Biskup położy kres procedurom wszczynającym dochodzenie... a ponieważ człowiek nie żyje...

– Biedna Emma, takie coś w dniu ślubu... Cóż za ohydna rzecz! – potrząsnęła głową lady Dowling. – Zobaczysz się z Edwardem?

Jej przyjaciel westchnął:

– Będzie szalał, ale Emma... Powinnaś do niej pójść, Livvy. Jej matka z pewnością będzie miała atak hipochondrii, a pozostali krewni w niczym nie pomogą.

– Oczywiście – powiedziała, dotykając ramienia Kita. – W takim razie do zobaczenia później.

Szybko weszła po schodach i ruszyła nawą w stronę zakrystii, gdzie siedziała Emma otoczona rodziną. Ksiądz był bardzo poruszony, siostra Emmy płakała, lord Wakefield chodził z furią tam i z powrotem, jego żona hrabina leżała zdruzgotana na sofie, a Edwarda nigdzie nie było.

Olivia podeszła prosto do Emmy i chwyciła jej lodowate dłonie.

– Nic ci nie jest, moja droga? – zapytała łagodnie. Oczy panny młodej były bezdennymi studniami nieszczęścia.

– Edward jest wściekły – szepnęła. – Ślub musi być przełożony. I dowiedziałam się, że ten młody człowiek nie żyje...

– Ciii... – Olivia odgarnęła luźny kosmyk włosów z twarzy Emmy. – Nie martw się tym teraz. Chcę ci pomóc. Możesz mi odpowiedzieć na kilka pytań?

– Chyba... tak.

– Bardzo dobrze. Czy spotkałaś wcześniej tego mężczyznę?

Poczuła, jak serce Emmy podskoczyło, ale jej odpowiedź była szybka i gwałtowna: – Nie.

– Pochodził z Irlandii. Nikogo tam nie znasz?

– Tylko służbę, ale oni nie mieliby powodu... – ucięła i podniosła chusteczkę do ust, tłumiąc szloch.

Najwyraźniej nie była w stanie pomóc teraz w jakimkolwiek śledztwie, więc lady Dowling zaczęła pocieszać niedoszlą pannę młodą, zapewniając ją z całych sił, że wszystko będzie dobrze.

– Nie martw się, moja droga. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc.

Emma pociągnęła nosem, ale nic nie powiedziała. Olivia pożegnała się i wyszła na zewnątrz. Goście zaczęli w końcu się rozchodzić. Policja przyjechała i odjechała, zabierając ze sobą ciało.

– I co? – zapytał Kit, podchodząc do lady Dowling.

– Nic. Najwyraźniej Emma nie знаła tego człowieka, chociaż...

– Chociaż co? – Uniósł wysoko brew.

– Jest coś bardzo osobliwego w tej całej sytuacji.

– I naturalnie chciałabyś dojść do sedna.

– Naturalnie. Emma jest wielce zmartwiona. Jeśli śledczy stwierdzą, że nieznanemu ktoś pomógł spaść, podejrzenia padną na jej rodzinę. To może być wielki skandal.

– A ty nie mogłabyś w żadnym wypadku powstrzymać ciekawości?

Olivia zmarszczyła nos.

– Tylko mi nie mów, że sam nie postanowiłeś wkroczyć do akcji.

– Ależ oczywiście. Przecież jestem przyjacielem Edwarda – odparł Kit, podając ramię lady Dowling i razem odeszli w kierunku jej powozu. – Ale nigdy by mi się nawet nie śniło, że będę to robić z tobą u mego boku.

– A mnie, że z tobą u mego.

Uśmiechnęli się do siebie zadowoleni z doskonałego porozumienia towarzyszącego ich długoletniej trwałej przyjaźni.

– Emma zniknęła.

– Zniknęła?

– Czy moja mowa jest aż tak niezrozumiała, panie Meredith? – zapytała zirytowana Olivia, zatrzymując się, by poinstruować woźnicę, że ma ją zawieźć do hotelu. – Hrabina mówi, że Emma musiała wyjechać dziś rano przed świtem. Wymknęła się, nie budząc nawet pokojówki i zostawiła tylko krótką wiadomość niewyjawiającą żadnych powodów oprócz tego, że nie miała innego wyjścia. Zabrała tylko jedną małą torbę... co damie jej urodzenia ledwo wystarczy nawet na jeden dzień.

– Sama dobrze wiesz, że nie wszystkie szlachetnie urodzone damy czują

się zobowiązane, by w każdą podróż zabierać całą szafę – powiedział Kit, kierując w stronę lady Dowling wymowne spojrzenie. – Być może lady Emma bardziej przypomina cię niż większość tych wdzięczących się panien z towarzystwa.

– Nie bądź niemądry, Kit. Nawet gdyby tak było, to dlaczego uciekła, nie mówiąc nawet słowa rodzinie? z pewnością nie jest aż tak zawstydzona wczorajszym zajściem...

„Chyba że ma coś wspólnego z tą śmiercią” – dodała w myślach, ale Kit zaoferował mniej okropne wytłumaczenie:

– Jest całkiem możliwe, że wie, iż nieznajomy miał jakieś podstawy, by się sprzeciwić, ale nie chce się do tego przed nikim przyznać. – Rzucił Olivii kolejne przenikliwe spojrzenie. – I boi się, że jej sekret zostanie odkryty.

Olivia skrzyżowała ręce na piersi.

– Jaki sekret sugerujesz? Że Emma jest już zamężna, czy że ona i Edward są w zbyt bliskim, zakazanym stopniu pokrewieństwa? – prychnęła. – To jest niedorzeczne i doskonale o tym wiesz.

– Przyznaję, że wydaje się to bardzo nieprawdopodobne. Ale nie jest zbiegiem okoliczności, że wyjechała dzień po zakłóconym ślubie.

– Nie. A rodzina Emmy nie potrafi jej zlokalizować, chociaż zaangażowali służbę, policję i Tropicieli, gdy tylko odkryli jej zniknięcie.

Kit obejrzał pęknięty paznokieć.

– Ciągłe jesteś skłonna rozwiązać tę tajemnicę, Livvy?

– Bardziej niż kiedykolwiek.

– No to będziemy musieli przywołać Starego Demona.

Lady Dowling przewróciła oczami, słysząc tę osobliwą starą nazwę pochodzącą ze wschodniej Anglii, której Kit używał, określając swoją drugą naturę.

– Wiesz, że lubię psy tak bardzo, jak każdy porządny obywatel Albionu, ale...

– Stary Demon nie jest zwykłym psem – powiedział Kit z udawanym oburzeniem. – Naprawdę, Livvy. Skoro nawet Tropiciele nie mogą zlokalizować Emmy, to w takim razie zniknęła naprawdę na dobre. Może użyjemy Talentu?

Olivia pomyślała o swojej irytująco niewiarygodnej zdolności Anatoma – potrafiła dosłownie wejrzeć w głąb ludzkiego ciała, ale było to tylko namiastką mocy, którą otrzymała, kiedy jej babka zdecydowała się powierzyć wnuczce swoje magiczne dziedzictwo. Pierworództwo decydowało o tym, że niemagiczne dobra, takie jak ziemia czy tytuł, prawie zawsze przechodziły na najstarszego syna, pozostawiając młodszym synom i córkom pomniejsze posiadłości lub skromniejszy dożywotni dochód.

Z Talentami było inaczej. Każdy posiadający Talent w Wielkiej Rodzinie, mężczyzna i kobieta, wybierali odpowiednio chłopca i dziewczynkę z

następnego pokolenia, oddając im w spadku magię swojego rodu. Dziedzictwo to nie przechodziło na małżonka spadkobiercy. Kiedy obdarowany umierał lub chciał się zrzec swoich mocy, obdarzał nimi młodszego spadkobiercę.

Było prawie pewne, że Emma będzie spadkobierczynią lady Wakefield i otrzyma dar swojej matki, ale...

– Czy słyszałaś kiedykolwiek o Talencie z linii jej matki? – zapytał Kit, jakby czytał w jej myślach. – Edward nigdy o tym nie wspominał, co skłania mnie do wniosku, że ród lady Wakefield woli trzymać naturę swoich magicznych mocy w ukryciu.

„Prawie jak sam Kit” – przemknęło przez głowę Olivii. Jego Magia Dzikości nie byłaby zaakceptowana w dobrym towarzystwie. Nosila piętno nieprawego pochodzenia, walijskich i irlandzkich rebelii oraz mrocznych ceremonii śpiewnie odprawianych na starożytnych ołtarzach w czerni nocy.

Rodzina posiadająca Talent tylko wtedy skrywała jego naturę, gdy albo sam dar był żenująco trywialny, jak na przykład pospolite sztuczki lub gdy nosił mroczne implikacje. Takie skrywanie było źle postrzegane i mogło wzbudzić podejrzenia... ale sekret hrabiny najwyraźniej nie powstrzymał Wakefielda, aby się z nią ożenić, później zaś zapewnić ich córce znakomitej partii.

– Emma również nigdy o nim nie mówiła – powiedziała Olivia. – Zawsze zakładałam, że chodziło o jakąś pomniejszą i bezużyteczną umiejętność, jak na przykład usuwanie nieprzyjemnego zapachu. Myślisz, że sprzeciw tego Irlandczyka miał coś wspólnego z rodzinnym Talentem? – zapytała, zważając oczy.

– Nie wyobrażam sobie, aby jakiś dar mógł stanowić realną przeszkodę w zawarciu małżeństwa.

– Ani ja. Cóż, kiedy znajdziemy Emmę, będziemy musieli ją po prostu nakłonić do wyznań.

Gdy to stwierdziła, znaleźli się przy hotelu. Ohvia wysiadła, aby spakować swoje rzeczy, podczas gdy Kit zajął się własnymi sprawami. Chociaż zgodnie ze ścisłymi nakazami przyzwoitości lady Dowling powinna na każdą wycieczkę z przyjacielem zabierać ze sobą służącą, obecna sytuacja, mówiąc ściśle, przyzwoitości nie sprzyjała. Wymagała za to najwyższej dyskrecji. Dlatego Alice, zaufana służąca Olivii, mimo że była zaznajomiona z działaniem magii w Wielkiej Rodzinie, miała następnego ranka powrócić do Waveny Hall.

O zachodzie słońca, właśnie gdy lady Dowling odkładała książkę poświęconą życiu Elżbiety III, usłyszała pukanie do drzwi, którego się spodziewała. Alice poszła otworzyć i sekundę później wprowadziła do pokoju Kita.

– Znalazłem jej ślad – powiedział z szerokim uśmiechem, zdejmując okulary. Jego oczy ciągle płonęły szkarłatnym światłem Czarnego Psa. – Pojechała drogą na Oxford.

Olivia odesłała Alice i zaproponowała Kitowi szklaneczkę jego ulubionej whisky.

– Czym podróżuje?

– Powozem. Inaczej nie mógłbym jej zlokalizować. – Wypił trunek jednym haustem. – Wynajęła Ukrywacza, żeby zatrzeć ślady, ale nie dość dobrego.

– Jak daleko ją śledziłeś?

– Niedaleko. Wróciłem po ciebie. – Omiótł mały salonik spojrzeniem. – Jesteś gotowa?

– Oczywiście. Ja...

Rozległo się głośnie stukanie do drzwi, a po chwili do pokoju wparował Edward.

– Kit – wydyszał – miałem nadzieję, że cię tu znajdę. – Sztywno skłonił głowę w kierunku Olivii. – Lady Olivio, przepraszam, że przeszkadzam, ale... – Wydał policzki, spojrzał prosto na karafkę z whisky i ruszył w kierunku kredensu. – Mogę?

– Oczywiście – rzekła lady Dowling, nalewając mu trunku na jeden palec. Stwierdziła, że w jego stanie więcej wypić nie powinien. – Czy miałeś jakieś wieści od lady Emmy?

– Żadnych. – Opróżnił szklanę i odstawił ją trzęsącą się ręką. – To jest nie do zniesienia. Nie ma słów, by wyrazić, w jakim kłopotliwym położeniu Emma... – Ochrypl i przełknął ślinę. – Przyszedłem prosić cię o pomoc, Meredith. Zdaje się, że nikt nie potrafi zlokalizować Emmy, ale wiem, że ty... – chrząknął i z fascynacją spojrzał w czerwony odcień oczu Kita. – Masz pewne...

– Mroczne zdolności? – dokończył za niego Meredith z nieprzyjemnym grymasem na twarzy. – Magię Dzikości?

Edward zarumienił się, a dawno wygasłe w palenisku węgle zajaśniały nagle iskrami.

– Przepraszam. Zakładam, że lady Olivia wie...

– O tak – powiedziała, usiłując nadać rozmowie lekki ton. – Wiedziałam, już kiedy byliśmy dziećmi.

– To nie jest już żaden sekret – dodał Kit. – Przynajmniej nie dla moich przyjaciół. Ale wolałbym, by pozostało to tylko wśród przyjaciół.

– Naturalnie – odetchnął z ulgą Edward. – Czy możesz mi pomóc?

– Możecie mi pomóc – odezwała się Olivia. – Kit odkrył drogę, którą opuściła Londyn, więc teraz to tylko kwestia...

– Naprawdę? – Edward schwycił jej dłonie, zauważając torby stojące wzdłuż kanapy. – Ale ty wyjeżdżasz...

– Żeby odnaleźć Emmę – wyjaśniła. – Nie będę rozgłaszać, że jadę sama z dwoma nieżonatymi dżentelmenami, jeśli i ty nie będziesz.

– Oddam życie, by bronić twojego honoru... i honoru Emmy.

– Nie jesteś zakłopotany tym tajemniczym sprzeciwem?

– Jest dla mnie oczywistym, że moja narzeczona znalazła się w jakichś tarapatkach – powiedział gwałtownie – i zrobię wszystko, co będzie konieczne, aby ją z nich wyciągnąć.

– Bez względu na to, co mogą przynieść poszukiwania? – zapytał Kit.

– Znasz Emmę niedługo – zaczął powoli Edward. – Zmieniła się nie do poznania, odkąd wróciła z Kontynentu. Obie nasze rodziny bardzo pragnęły tego małżeństwa, więc zaręczyliśmy się, zanim wyjechała podreperować zdrowie. – Utkwił wzrok w dywan.

– Przyznaję, że wtedy jej nie kochałem. Uważałem, że jest zepsuta i bardziej niż trochę arogancka, ale byłem gotów spełnić swój obowiązek. Wszystko się jednak zmieniło, kiedy tylko zobaczyłem tę Emmę, która powróciła do Albionu.

– Ja też jej dawniej dobrze nie znałam – przyznała Olivia. – Jesteśmy dalekimi kuzynkami, ale nie miałyśmy zbyt wielu okazji, by się spotkać, a teraz wydaje się, że wszyscy chcą być blisko niej.

– Tak – odrzekł Edward – i mają dobry powód. Wspaniałomyślność i miłość do życia zastąpiły próżność i nadmierne pobbłaszanie sobie. – Jego głos złagodniał. – Wydaje się być zupełnie inną osobą.

– Bardzo ją kochasz? – zapytała lady Dowling, zerkając nieśmiało na Kita.

– Bardziej niż życie – natychmiast odpowiedział narzeczony Emmy. Spojrzał z furią na węgle w palenisku, które przestały się opierać i zapłonęły, wzniesając szary dym.

– Dlatego nie mogę znieść... czy możemy już jechać?

– Natychmiast. – Wstawała już, ale zawahała się chwilę. – Czy jest ktoś, kogo życzyłbyś sobie poinformować?

– Nie. Będzie o wiele lepiej, żeby rodzina Emmy o niczym się nie dowiedziała, dopóki... dopóki jej nie znajdziemy.

– Bardzo dobrze. Dajcie mi chwilkę porozmawiać z moją pokojówką.

Olivia pospieszyła do sypialni, by skonsultować się z Alice, a kiedy wróciła, odkryła, że mężczyźni już zabrali jej bagaż i czekali na wyjazd, z trudem panując nad sobą. Powóz stał na ulicy.

Cała trójka wsiadła do niego przy ostatnim znikającym światełku z osłoniętego chmurami londyńskiego nieba.

Gdy dotarli do zachodnich obrzeży miasta, Kit zniknął, żeby dokonać przemiany. Po chwili z kępy gęstych krzaków wyskoczył Czarny Pies. Jego gruba, kudłata sierść parowała, czerwone oczy płonęły gotowością do pościgu. Z

huczącym szczeniakiem dał susa na drogę prowadzącą do Oxfordu.

– Co się stało z jego ubraniem? – zapytał jedyny już towarzysz lady Dowling, kiedy powóz ruszył za Kitem. – Z pewnością nie zostawił swoich rzeczy poskładanych w stos za krzakami.

– Z pewnością – zaśmiała się Olivia. – Zabiera je ze sobą... chociaż tak naprawdę to nie mam pojęcia, co się z nimi dzieje. To magia.

– Oczywiście – westchnął Edward. – I przypuszczam, że jest niezmordowany i może biec przez setki mil bez zatrzymywania się?

– Magia Dzikości często tak działa, ale ma również swoje niekorzystne strony. Przypomniałam Kitowi, że możemy nie dotrzymać mu kroku. Wie, że będziemy musieli robić częste postoje, żeby zmieniać konie i jeść posiłki, ale w postaci Czarnego Psa może być dość niecierpliwy.

Zgodnie z jej przewidywaniami Kit wybiegał daleko z przodu i często wracał, aby obrzucić swych ludzkich przyjaciół purpurowymi spojrzeniami wyrażającymi dezaprobatę. W High Wycombe zatrzymali się, by zmienić konie i zjeść szybki posiłek. Na niebo wzeszedł księżyc, a Edward do jego światła dołączył kulę ognia – miniaturowe słońce, które umieścił nad powozem. Jej magiczna moc prawie się wyczerpała, zanim Kit przystanął na rogatkach Oxfordu.

– Tylko dotąd przywiódł mnie mój magiczny nos – powiedział, wyłaniając się w ludzkiej postaci zza obory stojącej przy drodze na obrzeżach miasta. Poprawił okulary i dodał: – Znajduje się tu duża stacja kolejowa. Prawdopodobnie Emma wsiadła do pociągu, upewniwszy się, że nikt nie idzie jej śladem.

Edward blady ze strachu i wyczerpania zaczął z furią chodzić tam i z powrotem.

– Możesz ją namierzyć w pociągu?

– Obawiam się, że nie. Ale nie wolno ci tracić nadziei, przyjacielu.

– Musi być w mieście ktoś, kto ją widział – odezwała się Olivia – przynajmniej w pobliżu stacji. Musimy tam natychmiast jechać.

– W środku nocy? – zapytał Edward.

– Na stacji wciąż będą ludzie – odparła. – Wątpię, czy któreś z nas będzie mogło zasnąć. Ja z pewnością nie.

Mężczyźni zgodzili się, więc ruszyli na stację. Zniecierpliwiony Edward próbował zastraszyć sprzedawcę biletów, ale lady Dowling zdecydowała, że znacznie lepiej jest po prostu zadawać pytania. Mimo że wykorzystwała cały swój wdzięk, wkrótce stało się jasne, iż ten człowiek niezupełnie jest z nimi szczery. Serce biło mu zdecydowanie za szybko, a pot wylewał się przez pory.

– Kłamie – oznajmił Kit. – Czuję to na odległość.

– Wyciągnę z niego prawdę – warknął Edward, uwalniając spod palców płomień.

Olivia drgnęła. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali, to porywcy Lucyfer wymykający się z rąk. Dotknęła ramienia Edwarda koniuszkami palców.

– Dowiemy się prawdy – obiecała. – Poczekajcie tu z Kitem, a ja popytam, kto jeszcze mógł widzieć Emmę.

Przy słowach zachęty ze strony przyjaciela, iż Olivia potrafi o siebie zadbać, Edward w końcu na to przystał. Lady Dowling obesła stację, znajdując kilku pracowników i garstkę pasażerów czekających na następny pociąg. Nikt z nich nie potwierdził, że widział podróżującą samotnie młodą, czarnowłosą, ładną dziewczynę.

W końcu Olivia znów zwróciła się do sprzedawcy biletów. Tak jak poprzednio, okazał się niechętny do współpracy, więc w końcu przyprowadziła Kita. Jedno spojrzenie na Starego Demona przekonało przerażonego człowieka, że jego najlepszą obroną będzie szczerość.

– Obiecali, że dobrze zapłacą, jeśli będę trzymał gębę na kłódkę – powiedział, przecierając czoło mokrą chusteczką. – Dodali też, że będą... wielce nieszczęśliwi, jeśli cokolwiek powiem o...

– Kim są ci oni? – zażądał Kit.

– Nie wiem – zacisnął oczy sprzedawca biletów. – Jacyś ważni, elegancy, ale nie chcieli, by ktoś ich rozpoznał. Widziałem, jak spotkali tę panią... taką, jak pani opisała, proszę pani.

– Poszła z nimi chętnie?

– Nie żebym widział. Zanieśli ją do powozu i...

Pasmo ognia wystrzeliło tuż przy głowie Olivii, prześlizgnęło się przez okienko kasy biletowej i wylądowało na ziemi tuż u stóp sprzedawcy. Zaskowytał i zatańczył jak oszalały, aby ugasić ogień.

– Dokąd pojechali? – zapytał Edward niebezpiecznie miłym głosem.

Roztrzęsiony mężczyzna skulił się w sobie.

– Na wschód. To wszystko, co wiem. To wszystko.

– Mówi prawdę – stwierdziła Olivia. – Kit, będziemy znów potrzebować twoich usług.

Na szczęście była tylko jedna droga z miasta prowadząca na wschód. Kiedy już zmienili konie i o świcie zjedli pospiesznie śniadanie składające się z chleba, sera i świeżo zerwanych jagód, Czarny Pies wywęszył ślad bez większych trudności. Prowadził do Cheltenham, gdzie nastąpiła ponowna zmiana koni i... gdzie oberżysta niechętnie wyznał, iż widział kilku „nieokrzesanych typów” ze śliczną młodą kobietą kierujących się na wschód.

Edward prawie odchodził od zmysłów, ale Olivii udało się go uspokoić, zanim podpalił gospodę. Ruszyli o poranku w dalszą podróż, mijając Gloucester i Hereford. Co było nieuniknione, droga rozgałęziała się na kilka mniejszych traktów i przy każdym z nich Kit siadał na swoim masywnym zadzie, nastawiał długie jedwabiste uszy i wciągał powietrze swoim szerokim czarnym nosem tak

długo, aż wyczuł pożądaną zapach.

Właśnie jednym z takich odgałęzień po długim dniu z kilkoma postojami dotarli do rzeki Wye na granicy Walii. Pagórkowaty kraj był poprzepłatany łąkami gęstych lasów, tajemniczymi dolinami i odizolowanymi zagrodami, z których każda mogła skrywać uprowadzoną młodą damę i jej porwaczy.

Kit nie poddawał się. Dawał do zrozumienia, że reszta ma czekać w powozie, podczas gdy on wybiegał do przodu. Olivia, Edward i woźnica podzielili się ostatnim lunchem składającym się z kiełbasy i pasztecików mięsnych. Olivia, ciągle trąkając, podtrzymywała rozmowę, aby uspokoić ogień tłący się w jej towarzyszu i skierować jego myśli na inny tor.

Czarny Pies powrócił o zachodzie słońca. Szybko przemienił się i bardzo ostrożnie podszedł do Edwarda.

– Znalazłem ją – oznajmił.

Edward aż podskoczył, lecz Kit schwycił przyjaciela za ramiona.

– Spokojnie, mój chłopcze. Jest w rękach kilku kompetentnie wyglądających facetów, a dookoła obory w której ją trzymają, są strażnicy.

– Nic jej nie jest?

– Udało mi się tylko zerknąć przez okno, ale wygląda, że wszystko z nią w porządku – powiedział Kit. – Jest jednak związana i chyba ją przesłuchują.

Na to Edward wyrzucił z siebie potok obscenicznych słów, zapominając nawet poprosić Olivie o wybaczenie.

– Na Boga – dodał chrapliwym głosem – ja ich... ja...

– Uspokoisz się i podejmiemy do tego jak rozsądni ludzie, nie dzieci – zbesztła go lady Dowling, napotykając spojrzenie Kita. – Ilu ludzi widziałeś?

– Najwyżej dziesięciu razem ze strażnikami.

– A nas jest troje.

– Nie chcę mieszać do tego prawa – wtrącił Edward.

– Nie ma takiej potrzeby – odezwał się Kit. – Jedną z najbardziej użytecznych umiejętności Czarnego Psa jest zdolność wywoływania strachu u większości osób... szczególnie dlatego, że często w mitach i legendach pojawia się jako zwiastun śmierci – wyjaśnił z szerokim uśmiechem. – Pozwólcie, że zajmę się strażnikami. Ty i Livvy poczekacie na mój sygnał i dokonamy reszty – przeszył Olivie szczególnie znaczącym spojrzeniem – kiedy będzie już bezpiecznie.

Z ponurym wyrazem twarzy Edward wyciągnął z kieszeni płaszcza pistolet i ostrożnie go sprawdził. Olivia wzdrygnęła się na samą myśl użycia przemocy, jednak zdała sobie sprawę, że może to być nieuniknione. Nie miała żadnej użytecznej broni jak mężczyźni. Nie była też Mistrzynią Marionetek, aby mieć realny wpływ na ruchy ludzkiego ciała. Za to miała w zanadrzu element zaskoczenia...

Gdy Kit wyruszył ponownie, znalazła łąkę miękkich paproci. Tam

mogła złożyć swoją zmęczoną głowę i rozdygotane ciało na kilka żałośnie krótkich chwil. Kiedy się obudziła, Edwarda przy niej nie było.

Jej własny zasób przekleństw był znacznie większy, niż by sądził ktokolwiek z przyjaciół. Zamieniła kilka słów z woźnicą, każąc mu pozostać w gotowości do szybkiej ucieczki i ruszyła przy świetle księżyca w kierunku, w którym wcześniej poszedł Kit. Idąc przez miłą, potykała się o kamienie i zbierała w spódnicach całe bogactwo gałązek i liści. Wreszcie doszła do skarpy z widokiem na porozrzucane budynki zapadających się zagród. Wszystkie były ciemne z wyjątkiem obory, z której sączyło się nisko światło. Olivia zeszła w dół stromego skalistego zbocza i stanęła na bardzo gościnnej kępie miękkiej trawy.

Nietrudno było zgadnąć, gdzie znaleźć Edwarda. Ostrożnie ruszyła w stronę obory. W jednym jej kącie paliło się gorące światło. W oddali słychać było podniesione, zaniepokojone głosy. Pobiegnęła w tamtą stronę.

Scena, którą zobaczyła, przedstawiała absolutny chaos. Ludzie uciekali z obory we wszystkich kierunkach. Szybko rozprzestrzeniający się ogień strawił na wpół zbutwiałe drewno i strzechę. Czarny Pies skakał to tu, to tam, a jego grzmiące szczekanie powodowało, że ziemia zatrzęsła się pod stopami Olivii.

Jedyną, o czym mogła myśleć, to Emma uwięziona gdzieś pośród tej szalejącej pożogi. Pomknęła w stronę otwartych drzwi obory, odskoczyła od ściany palącego żaru i wyteżyła wzrok, by móc coś dojrzeć przez kłęby duszącego dymu.

Dwie postacie, mężczyzna i kobieta, przykucnęły na środku obory. Właśnie gdy Olivia przedzierała się, by do nich dotrzeć, mężczyzna wziął kobietę na ręce, wstał i pobiegł do drzwi. Nim lady Dowling zdążyła się cofnąć, zderzył się z nią i cała trójka upadła, tworząc usmarowany sadzą, kaszlący stos.

Po chwili Olivia oprzytomniała, kiedy mokry język lizał ją po twarzy.

– Błę, Kit, czy mógłbyś...

Czarny Pies wyszczerzył białe masywne kły i pobiegł dalej. Mgnienie oka później powrócił jako Kit.

– Mężczyźni uciekli. Nic wam nie jest? – zapytał, obejmując spojrzeniem Edwarda i Emmę.

Lady Dowling wytarła ręką twarz.

– Nic mi nie jest – powiedziała – a tobie, Emmo? Młoda kobieta uniosła głowę, mrugając powiekami, w jej oślepionych oczach odbił się refleks dogasającego ognia.

– Gdzie... gdzie ja jestem?

Edward trzymał ją w ramionach, przyciskając policzek do jej włosów.

– Zdaje się, że nie wie, jak się tu znalazła – mruknął.

– Jej porywacze z pewnością zostali zaszczyceni wspaniałą zapowiedzią naszego przybycia – rzekła z niezadowoleniem Olivia. – Nie mogłeś się powstrzymać?

Edward spłonął rumieńcem.

– Zobaczyłem ją przez okno i nie mogłem znieść...

– Edward? – Emma odwróciła się w jego ramionach. – Edwardzie, to naprawdę ty?

– Tak, kochanie. Jesteś już bezpieczna. Ci bandyci nie będą cię już niepokoić.

Olivia uklękła przy kuzynce.

– Nie jesteś ranna?

– Ja... nie. – Czarna od sadzy dama zerknęła na Kita. – Wszyscy za mną przyjechaliście?

– Po prostu zniknęłaś – powiedział jej narzeczony surowym głosem. – Czego się spodziewałaś? Że się nie zainteresuję?

– Och, Edwardzie! – Ukryła twarz w dłoniach. – Narobiłam takiego bałaganu. Gdybyś tylko trzymał się z daleka...

– Jestem pewien, że wszyscy mamy wiele spraw do przedyskutowania – przerwał Kit – ale będzie najlepiej, jeśli opuścimy to miejsce, zanim ogień zwróci czyjąś uwagę. Poza tym ci ludzie mogą wrócić z posiłkami.

– Gospoda odpada. Może... – zaczął Edward, ale drugi z mężczyzn mu przerwał:

– Mam inną propozycję. Gdy umarł mój ojciec, zostawił mi wiejski domek. Jest niedaleko stąd. Bardzo skromny, ale powinien zapewnić nam schronienie i nocleg.

– Wiejski domek? – zdziwiła się Olivia. – Nigdy o nim nie słyszałam.

– Prawie tu nie bywam, już wiele lat go nie odwiedzałem – powiedział nieśmiało Kit. – Chyba mieszka tam jakiś starszy dozorca, ale nie ma żadnej służby. Chciałbym móc zaoferować wam więcej...

– Jestem pewien, że wystarczy – odezwał się Edward. – Prowadź, przyjacielu.

Wrócili do powozu tak szybko, jak pozwoliły im na to siniaki i bolące mięśnie, tylko po to, by odkryć, że woźnica Olivii zniknął. Narzeczony Emmy przyznał się, że posiada pewne umiejętności w powożeniu, ale ponieważ to Kit znał drogę, chwycił za lejce, podczas gdy zrezygnowana reszta wspięła się na swoje miejsca, by odbyć kolejną szybką i niewygodną przejażdżkę.

– Kim byli ci ludzie, Emmo? – zapytała Olivia, gdy już ujechali spory kawałek. – Czy możesz nam powiedzieć, dlaczego cię porwali?

Dziewczyna wzięła głęboki oddech. Lady Dowling zrozumiała, że chce się wyłgać.

– Lepiej powiedz nam prawdę – rzekła. – Obawiam się, że nic innego nie pomoże.

– Dobrze – kiwnęła głową Emma i utkwiała wzrok w starszej kuzynce. – Nie wiem, kim byli, ponieważ zawsze nosili kaptury albo mocno naciągnięte

kapelusze, ale jeden z nich był Inkwizytorem. To jego najczęściej widywałam.

– Inkwizytorem? – zdziwił się Edward. – Dlaczego cię wypytywali, Emmo? Czy to miało coś wspólnego z zejściem na naszym ślubie?

Odsunęła się od niego i splotła ręce na piersiach.

– Ci ludzie... i prawdopodobnie ten mężczyzna w kościele... musieli wiedzieć, że przez ostatnich kilka lat pracowałam dla ministerstwa wojny jako tajna agentka na dworze Burgundii. Moi porywacze to prawie na pewno wrogowie Albionu. Edward zbladł.

– Tajna agentka? Ty?

– Mój ty Panie – mruknęła Olivia – mgła zaczyna się rozwiewać.

Emma wylała z siebie całą opowieść, jakby nie miała już sposobu ani woli, by przestać. Z każdą nową rewelacją Edward tracił coraz więcej koloru. Gdy opowieść dobiegła końca i gdy odkrył, do jakiego stopnia narzeczona go oszukała, mimo wszystko jej wybaczył.

– Moje biedne kochanie – powiedział – przez co musiałaś przejść, ryzykując życie dla Albionu!

Ale Emma uciekła od jego wzroku. Nie chciała spojrzeć narzeczonemu prosto w twarz.

Tak jak ostrzegał ich Kit, domek był raczej niepociągający. Parterowy, otoczony zarośniętym ogrodem i kilkoma akrami gołej ziemi, nie był jednak norą robotnika. Olivia pomyślała, że mógłby spełniać rolę domku myśliwskiego lub letniej wiejskiej rezydencji dla mężczyzn, którzy pragnęli zrobić sobie wakacje bez towarzystwa kobiet. Kit wszedł do środka, podczas gdy Edward zaprowadził konie do małej obory znajdującej się niedaleko domu. Po chwili gospodarz wyłonił się z ponurą miną.

– Jest niedobrze – przyznał. – Starego Dafydda, dozorcę, nie ma w tej chwili, ale przynajmniej zostawił względny porządek. – Policzki Kita lekko się zaróżowiły. – Mogę przygotować kąpiel dla pań i coś uchodzącego za posiłek. Naprawdę przepraszam za tak lichą gościnę.

– Nie bądź niemądry – powiedziała lady Dowling. – Cokolwiek w najmniejszym stopniu cywilizowanego będzie mile widziane.

Gdy już byli w środku, Olivia spostrzegła, że mimo opieki dozorcę miejsce wyglądało na opuszczone od dawna. Oczywiście wiedziała co nieco na temat ojca Kita. Należał do starej szlachty i był również potajemnym członkiem Rebelii, co w rezultacie doprowadziło go do utraty majątku, zmusiło do opuszczenia Walii i osiedlenia się we wschodniej Anglii. Tam ożenił się z Sarą Brasnett, córką wicehrabiego, panną wyjątkowo dobrze urodzoną. Po ślubie z człowiekiem, w którego gorącej krwi płynęła Magia Dzikości, straciła nieco na

swej reputacji. I tak para żyła i wychowywała Kita w dystyngowanym ubóstwie. Ale on zawsze miał świadomość, że był kochany i nic nie było w stanie mu tego odebrać.

Teraz jednak, przygotowując pokoje dla pań, był zdecydowanie nie w humorze i odrzucał wysiłki Olivii próbującej zaangażować go w rozmowę.

„Co stało się między nami, mój przyjacielu? – pomyślała. – Zawsze byliśmy najlepszymi współkonspiratorami. Coś cię martwi i zdecydowanie jest to coś więcej niż stan tego domu”.

Nie znalazła odpowiedniej chwili, aby go o to zapytać, ponieważ wkrótce oznajmił, że sypialnie żółta i niebieska są już gotowe. Olivia, sprawdzwszy, czy Emma wygodnie się ulokowała, poszła spocząć do swojego pokoju. Dokonała pospiesznej toalety przy stojaku z miednicą i była zadowolona, że po całej nocy i dniu w klekoczącym powozie, niezależnie od tego, jak dobre miał resory, w końcu może zamknąć oczy.

Gdy obudziła się, w domu panowała głęboka cisza. Dobiegł ją zapach parzonej kawy. Zapięła szlafrok i poszła, by dołączyć do Kita i Edwarda siedzących w małym saloniku. Na jej widok natychmiast przerwali rozmowę. Było jeszcze bardzo wczesne rano, dobry czas na zwierzenia. Kit miał wypisane na twarzy niejasne poczucie winy, dlatego przysięgła sobie, że nie pozwoli, by zachowanie przyjaciela ją zraniło.

– Czuję kawę – powiedziała pogodnie. – Z przyjemnością wypiłabym filiżankę.

– Przecież nie cierpisz kawy – zaprotestował Kit ze słabym uśmiechem.

– Mimo to się napiję.

Ledwo zdążyła wziąć łyk, gdy powietrze przeszył mrozący krew w żyłach wrzask.

Edward zerwał się na równe nogi. Kit skoczył w kierunku schodów. Olivia była tuż za nim. Wyprzedziła go i zastawiła drogę do pokoju Emmy.

– Pozwólcie mi wejść. Jeśli będę potrzebować wsparcia, dam wam znać.

– Ona mnie potrzebuje! – zaprotestował Edward.

Gwałtownie ruszył w stronę drzwi, ale Kit powstrzymał go swym zdecydowanym, silnym ramieniem. Lady Dowling weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Emma siedziała na łóżku zalana łzami. Jej wzrok był skupiony na jakimś punkcie ponad głową kuzynki.

– Widziałaś to? – zapytała szeptem.

Olivia spojrzała do góry na ścianę.

– Widziałam co, Emmo?

Młoda kobieta otarła twarz rękawem.

– Niemożliwe, żebym to sobie wyobraziła. To było prawdziwe. Tak prawdziwe jak...

Przerwała, a jej oczy patrzyły na Olivię z ostrożnym wyzwaniem.

– Pomyślisz, że zwariowałam.

– Na pewno nie – powiedziała starsza kuzynka, usiadła na krawędzi łóżka i wzięła Emmę za rękę. – Wiele przeszłaś. Co takiego widziałaś?

Dziewczyna wzdrygnęła się.

– To był duch. Szczególny rodzaj zjawy, o którym... o którym często opowiadała mi moja pokojówka, Kate.

Kate O'Brennan, o czym Olivia doskonale wiedziała, spotkał przedwczesny koniec, kiedy przebywała wraz ze swoją panią w Europie. Jej tragiczna i niespodziewana śmierć przywiodła Emmę z powrotem do Albionu, ale ciało Kate zostało w odmętach Loary.

– Widziałaś ducha? – zapytała łagodnie lady Dowling.

– Nie ducha. Banshee.

– Banshee? Zjawę, która ukazuje się gdy... gdy ktoś ma...

– ...umrzeć. Tak – zadrżała Emma. – Już ją wcześniej widziałam. Pierwszy raz u świętego Bertrama... tuż zanim ten młody Irlandczyk spadł ze schodów i złamał kark.

Pomrukując, Kit wyciągnął wielką księgę z zakurzonej półki biblioteczki i kciukiem kartkował pozaginane strony.

– Banshee – mruknął. – Kobieta-duch. Irlandzki folklor. „Duch bądź zjawa, która zapowiada śmierć żalonym płaczem”.

– Chcesz powiedzieć, że to kobieta-duch zabiła tego mężczyznę w kościele? – zapytała Olivia.

– Oczywiście, że nie. One nie zabijają... one tylko ostrzegają o zbliżającej się śmierci. – Podniósł głowę i zmarszczył brwi. – To powszechna wiedza dla każdego ucznia magii. Ale z tego, co tu jest napisane, ukazują się tylko osobom o irlandzkim pochodzeniu, szczególnie gdy płynie w nich szlachecka lub królewska krew.

– Emma nie jest Irlandką – powiedział Edward.

– Niektórzy wolą nie rozgłaszać takich koneksji – wtrąciła oschle lady Dowling, mieszając zimną kawę srebrną łyżeczką. – Są tylko trzy możliwości: albo Emma wyobraziła sobie tę zjawę...

– Nie wierzę – przerwał jej Edward.

– ...albo w rodach Denholmów lub Brightwellów płynie skrywana irlandzka krew, albo ta kobieta-duch zachowuje się niezgodnie ze swoją naturą.

– Jest jeszcze jedna komplikacja – odezwał się Kit, odkładając księgę na stolik. – Kobieta-duch ukazuje się tylko wtedy, gdy ma umrzeć ukochana osoba lub członek rodziny.

– A Emma powiedziała, że zobaczyła ducha w kościele, tuż zanim tego nieznajomego spotkał przedwczesny koniec – rzekła Olivia.

Edward wyprostował się na krześle.

– Ona nie miała nic wspólnego z jego śmiercią!

– Nie sugerowałam niczego takiego. Emma zaprzecza, że go kiedykolwiek wcześniej widziała.

Jej narzeczony dalej siedział sztywno, jakby połknął kij.

– W tym domu Emma nie ma żadnej rodziny – powiedział – ale jeśli chodzi o definicję „ukochanej osoby”...

– Nic nie wskóramy, spekulując w ten sposób. Tylko Emma może to sensownie wyjaśnić, ale najwyraźniej nie jest gotowa powiedzieć nam wszystkiego, co wie.

– Czy sugerujesz...

– Skoro była szpiegiem ministerstwa wojny, jest bez wątpienia wiele spraw, których nie wolno jej wyjawiać – stwierdziła Olivia. – Jak tylko dojdzie do siebie, musimy zabrać ją z powrotem do cywilizacji i zapewnić jej ochronę Korony.

– Jeśli tego sobie właśnie życzy – wtrącił Kit. – Próbowала już uciec. Najwyraźniej nie wierzy, że ministerstwo wojny może jej zapewnić ochronę.

– Bez wątpienia ma wielu wrogów, nawet tu w Albionie – rzekł Edward. – Wydostanę ją z kraju. Pojedziemy do kolonii w Ameryce, jeśli będzie trzeba.

– Wątpię, czy ministerstwo wojny tak po prostu pozwoli jej wyjechać – ostudził go Kit – szczególnie gdy dowiedzą się, że była porwana i przesłuchiwana. Jeśli wie coś o tajemnicach państwowych...

Urwał, gwałtownie poruszył głową i ruszył w kierunku drzwi prowadzących na korytarz. Olivia prawie mogła dostrzec, jak włosy na karku stają mu dęba.

– Ktoś zbliża się do domu – powiedział. – Kilku mężczyzn, sądząc po odgłosach.

Edward schwycił pistolet, który wcześniej zostawił na stoliku.

– Powinienem był ich wyczuć, skoro nas śledzili. – Z gardła Kita wydobyło się głębokie warczenie. – Chyba że jest wśród nich Pozer.

– Czy to ci sami ludzie? – zapytała Olivia, zerkając przez zaciągnięte zasłony.

– Trzymaj się z dala od okna, Livvy – ostrzegł, rozszerzając nozdrza. – Nie mogę dokładnie wyczuć zapachu.

Zerknął na Edwarda, a potem skierował wzrok na schody.

– Zostań z kobietami, ja wyjdę im na spotkanie.

– Powinieneś zostać, Christopher. Mogę wznieść ścianę ognia, jeśli nie posłuchają głosu rozsądku.

„Niewykluczone, że Talent Emmy mógłby się teraz przydać – pomyślała

Olivia – gdyby tylko zechciała go wyjawić”.

Zakaszłała, przykrywając dłonią usta.

– Panowie... chociaż nie jestem zbyt biegła w rękoczynach czy też w sprawie broni palnej, dysponuję jednak drobną umiejętnością, która powinna dać trochę swobody wam obu. Mogę ustawić ochronę w poprzek drzwi, tak że nikt obcy nie będzie mógł tu wejść bez podniesienia wrzawy.

Edward przyjrzał się jej z ciekawością.

– Ale ustawianie ochrony jest formą czarnej magii, prawda?

– Moja cioteczna babka była leśną czarownicą leczącą ziołami – przyznała się zarumieniona Olivia. – Uważano ją za czarną owcę w rodzinie, ale był taki czas... kiedy myślałam, że mogłabym pójść w jej ślady.

– Nigdy o tym nie słyszałem – powiedział Kit z napięciem w głosie.

Przyjaciółka odwróciła od niego wzrok.

– Proponuję, by jeden z was wyszedł tylnymi drzwiami, drugi frontowymi, a ja ustawię strażę.

Z pomrukiem niedowierzania Edward udał się w stronę głównego wejścia. Kit wymknął się od tyłu. Lady Dowling uspokoiła umysł i przywołała wszystko, czego się nauczyła od ciotecznej babki, Celi. Czar przyszedł z zadziwiającą łatwością, przypominając Olivii, z czego zdecydowała się zrezygnować dla dobra rodziny.

Wkrótce magiczne strażę zadzwoniły, dając w ten sposób znak, że do środka wchodzi przyjaciel. Edward ostrożnie przekroczył próg, po czym zaryglował za sobą drzwi.

– To miejscowy policjant – oznajmił. – Jest z nim dwunastu ludzi. Mówi, że przyszli aresztować Emmę.

– Aresztować ją! Dlaczego?

– To absurdalne. Twierdzą, że zamordowała Kate O’Brennan!

– Nie zrobiłam tego – powiedziała Emma, a jej oczy buntowniczo błyszczały.

Siedziała wyprostowana na krawędzi krzesła, trzymając ręce na udach – w każdym calu córka hrabiego i zdyscyplinowana agentka. Edward przysiadł obok niespokojny, że nie pozwoliła się mu dotknąć ani pocieszyć. Można było odnieść wrażenie, iż odpychała go od siebie i mentalnie, i cieleśnie, jakby byli zupełnie obcymi sobie ludźmi.

Edward już wcześniej zaczął mieć wątpliwości, z których zwierzył się Kitowi, a ten ostrzegł Olivię o napięciu narastającym między niedoszłymi małżonkami. Ale to wydawało się teraz ich najmniejszym zmartwieniem, biorąc pod uwagę policjanta i jego ludzi ustawionych w szeregu po drugiej stronie

ściany ognia wzniesionej przez Edwarda, czekających, aż jego siła i magia opadną. Gospodarz domku jeszcze nie wrócił.

– Wierzymy ci, moja droga – powiedziała Olivia – jednak ewidentnym jest, że coś skłoniło władze, by uznać cię za podejrzaną. Myślę, że już nadeszła pora na szczerość – westchnęła, patrząc w uparte oblicze kuzynki. – Czy zdawałaś sobie sprawę, że powstały pytania dotyczące okoliczności śmierci Kate? Czy to było powodem sprzeciwu Irlandczyka podczas ślubu? A co z ludźmi, którzy cię porwali? Nic więcej nie możesz nam o nich powiedzieć?

– Nie pamiętam żadnych pytań, które mi zadawali i niewiele mogę powiedzieć o tych ludziach. Powiedziałam wam wszystko, co wiem.

– Wszystko, co wolno ci było powiedzieć, czy tak? – zapytał Edward. – Kochanie, twoja przyszłość, możliwe, że i twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Cokolwiek to jest, zrozumu...

Emma przerwała mu z szokująco zimną precyzją.

– Nawet jeśli, jak uważa Edward, ten policjant jest prawdziwy czas mojego aresztowania nie może być zbiegiem okoliczności.

– Doszłam do podobnego wniosku – zgodziła się Olivia. – Ale dlaczego tym ludziom tak zależy na tym, by cię zabrać? Skoro to wrogowie Albionu i obcy agenci, to dlaczego postępują tak jawnie nawet w tak odludnym miejscu jak to?

– Z pewnością używają Talentu, aby ukryć swój cel przed każdym, kto chciałby interweniować – oznajmił Edward – tak samo jak użyli go, by wymazać z pamięci Emmy pytania, jakie jej zadawali. Niektórzy z nich muszą być wysoko postawieni w Albionie albo za granicą. Ich pewność siebie wskazuje na to, że mają przewagę.

– Obawiam się, że możesz mieć rację – powiedziała lady Dowling. – Kimkolwiek są, z pewnością nie będą czekać wiecznie. Co tak zatrzymało Kita? – dodała, spoglądając w okno.

Edward dotknął jej ramienia.

– Christopher potrafi o siebie zadbać.

„Być może i potrafi” – pomyślała. Ale ma w sobie dziki charakter, którego nawet ona nie była w stanie przewidzieć. Mruknęła coś o poszukaniu herbaty w kuchni, uzbroidła się w pogrzebacz z paleniska i wyszła tylnymi drzwiami.

Ściana ognia Edwarda ciągle stała nieprzerwana, choć Olivia wiedziała, że Kit musiał znaleźć jakiś sposób i cało się przez nią przedostać. Kolejny specyficzny i okazjonalnie przydatny Talent Czarnego Psa, niewątpliwie. Solidna ściana płomieni sięgała do jej oczu i uszu i miała kilka stóp szerokości. Byłaby zdolna spalić każdego, obdarowanego Talentem czy nie. Lecz choć był to prawdziwy ogień, płomienie nie wydawały żadnego dźwięku i nie były podsycane żadnym paliwem. Ściana zniknie, gdy Edward wyczerpie swą

magiczną moc – to było pewne.

Obeszła dom dookoła. Na podwórku stała grupa mężczyzn, Olivia mocniej ścisnęła pogrzebacz i podeszła do ognia.

– Pan! – krzyknęła. – Konstablu! Jestem lady Olivia Dowling.

Przysadzisty, krępy policjant wystąpił z grupy i ruszył dużymi krokami w jej stronę, zatrzymując się, gdy żar był już nie do zniesienia. Zasłonił twarz szeroką dłonią i zerknął przez skaczące płomienie.

– Lady Olivio – powiedział – będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli nakłoni pani swoich towarzyszy, aby się poddali. Lady Emma zgodnie z prawem będzie miała zapewniony uczciwy proces.

Olivia uśmiechnęła się i powiedziała:

– Jestem pewna, że lady Emma byłaby bardziej skłonna do współpracy, gdyby wcześniej nie została porwana i poddana przesłuchaniu przez nieznane jej osoby. Ma pan uczciwą twarz, panie policjancie. Jestem pewna, że nic panu nie wiadomo o takich działaniach.

– Nie, moja pani – odrzekł, oglądając się za siebie. – Czy zna pani nazwiska ludzi, którzy dopuścili się tego rzekomego czynu?

– Niestety nie, a lady Emma została poddana działaniu Talentu, który wymazał z jej pamięci ten incydent. Rozumie pan, dlaczego nie jest zbyt chętna komukolwiek w tej chwili zaufać.

– Niemniej jestem przedstawicielem prawa wyznaczonym przez Koronę i...

Zamilkł, ponieważ podszedł do niego jakiś mężczyzna. Policjant nachylił głowę, aby dosłyszeć jego przyciszone słowa. Po chwili się wyprostował.

– Zgodnie z prawem mogę podjąć wszelkie kroki niezbędne do dokonania aresztowania i...

Olivia nie słyszała reszty przemowy stróża porządku. Jej uwagę przykuł drugi mężczyzna, który dopiero co rozmawiał z policjantem... mężczyzna, którego twarz skrywał kapelusz z nisko opuszczonym rondem i wysoki kołnierz. Mężczyzna, który chodząc, lekko utykał – tak lekko, że nikt oprócz Anatoma by tego nie zauważył. Wypuściła powietrze i pozwoliła, by jej Talent przejął kontrolę nad zmysłami.

Prześliznęła wzrokiem po prawej nodze mężczyzny i znalazła zagojone pęknięcie, osobliwy rodzaj złamania i grubą warstwę dawno wygojonej tkanki w miejscu, gdzie kość przebiła ciało. Przypomniała sobie, kiedy ten wypadek miał miejsce. Była tam razem z ojcem tego dnia, gdy pędzący sir Valentine Crowley, w którym jako dziecko była beznadziejnie zadurzona, z łoskotem spadł z galopującego konia.

W jednej chwili podjęła decyzję.

– Sir Valentine! – zawołała.

Zatrzymał się w półobrocie, a jego serce zabiło z zawrotną szybkością.

Czuła, jak krew nabiegła mu do mięśni.

– Sir Valentine, pamięta mnie pan? Olivia Dowling! Spojrzał jej powoli w twarz obserwowany przez zaciekawionego policjanta.

– Lady Olivia – stwierdził, a w jego głosie nie było zdziwienia.

– Sir Valentine? – Policjant spojrział na niego zaskoczony. – Kiedy przyszedł pan do mnie w sprawie lady Emmy, nie miałem pojęcia, kim pan...

– Byłoby lepiej, gdybyś mnie nie rozpoznała, Olivia – powiedział Crawley. – Nie wiedziałem, że twoja babka zmarła.

– Nie zmarła – oznajmiła lady Dowling, starając się ukryć zdezorientowanie. – Obdarzyła mnie częścią Talentu. To mieszane dobrodziejstwo... – urwała świadoma tego, że coś było bardzo nie tak. – Dlaczego lepiej, aby pana nie rozpoznała?

Westchnął, unosząc i opuszczając ramiona, a potem dotknął róna kapelusza.

– Czego chcesz, Livvy?

– Wyjaśń. Dlaczego wniesiono oskarżenie przeciwko lady Emmie? W jaki sposób pan jest w to zamieszany?

Zapadła cisza. Nagle policjant wydał z siebie niski dźwięk zaskoczenia, a Olivia ujrzała wycelowany w jego pierś pistolet.

– Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie – wycedził sir Valentine – ale zdaje się, że teraz nie można już temu zapobiec.

Zerknął na kobietę ukrytą za ścianą ognia.

– Powiedz lady Emmie, lordowi Edwardowi i swojemu przyjacielowi, panu Meredith, że nie odejdziemy, dopóki ona się nie podda. Mamy Talent i jest nas więcej. My...

Nie dokończył zdania, ponieważ policjant gwałtownie sięgnął po jego broń.

Huk pistoletu poszybował echem w powietrze. Ciało upadło na ziemię. Nie należało do sir Valentine'a.

– Szkoda – powiedział – ale musisz zrozumieć, że prędzej czy później dostaniemy lady Emmę i będzie lepiej dla niej, jak się poddacie.

Olivii zrobiło się niedobrze. Jej krew była teraz zimna jak lód. Zaciśnęła pięści w furii i niemocy.

– Kim ty jesteś, Crawley? Czym ty jesteś? Porwałś lady Emmę?

– Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

Ale ona już się wszystkiego domyśliła. „Moi porywacze to prawie na pewno wrogowie Albionu” – powiedziała wcześniej Emma. I oto teraz stał tu jeden z nich.

– Skoro zabiłeś człowieka z zimną krwią – powiedziała Olivia – zamordowałeś go... dlaczego mamy ci wierzyć, że nie zrobisz tego samego z nami?

– Ponieważ nie macie wyboru. – Podniósł w górę broń. – Ściana lorda Edwarda może powstrzymać człowieka, ale nie zatrzyma kuli.

Lady Dowling wpatrywała się w pistolet. Poczowała suchość w ustach.

– Reszta już na pewno spostrzegła moją nieobecność. Musieli usłyszeć pierwszy strzał. Emma i Edward są oboje zaradni. Wydostaną się...

Sir Valentine ruchem ręki wskazał na zebranych za jego plecami stronników.

– Nawet jeśli moim ludziom nie uda się ich złapać, z pewnością twoi przyjaciele poddadzą się, kiedy ich poinformuję, że wykrwawisz się na śmierć, jeśli natychmiast nie poślę po lekarza.

Wycelował dokładnie.

– To cię nie zabije, moja droga. Będzie czas, żeby...

Masa czarnej sierści i cielska wystrzeliła w powietrze z przeciwnej strony ściany płomieni, uderzając w Crowleya z hukiem przypominającym nadjeżdżającą lokomotywę. Chór wrzasków i warkotów wdzierał się do uszu Olivii.

– Kit! – krzyknęła.

Gdy ogromna głowa spojrzała w jej stronę, wystrzelił pistolet sir Valentine'a. Warczenie Czarnego Psa przeszło w pisk bólu. Podwładni Crowleya zebrali się na odwagę i zrobili kilka kroków w stronę kudłatej bestii. Sir Valentine już się podniósł. Jego twarz i szyja ociekały krwią, a z oczu biła dzikość. Wycelował w skulonego psa.

Olivia nie myślała o sobie. Nie miała żadnych wątpliwości, co powinna i co mogła zrobić. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie ciało Crowleya... jego serce pompujące płyn życia, jego żołądek zajęty trawieniem, jego mięśnie napięte, by zabijać. Ogarnęła ją dziwna ciemność, gorzkie nowe doznanie, które wydostawało się na powierzchnię jej świadomości jak bąbelki jakiegoś trującego gazu spod nieruchomej, ciemnej tafli wody.

Zmieniła lekko wizję, jaką stworzyła w swoim umyśle, siłą woli zmieniając pozycję molekuł. Przerażliwy krzyk sir Valentine'a był straszniejszy, niż mogła się spodziewać. Crowley upuścił pistolet i zgięty wpół ścisnął rękami brzuch. Stronnicy, patrząc to na niego, to na lady Dowling, pobledli i jeden po drugim zaczęli uciekać.

Siły opuściły nogi Olivii jak gorące powietrze uciekające z aerostatu. Uderzyła o ziemię z taką siłą, że zaparło jej dech. Walcząc o oddech, spostrzegła dziwny obraz mamroczącego sir Valentine'a, krwawiącego i utykającego Starego Demona oraz zmartwychwstającego bezimiennego policjanta.

– Spokojnie – głos stróża prawa poszybował przez ścianę ognia. – Nic pani nie będzie, lady Dowling.

Olivia podniosła się na kolana.

– Ale pan... widziałam, jak...

– Pomyślałem, że najlepiej będzie udawać martwego – powiedział policjant, zabierając Crowleyowi pistolet. – Tylko mnie drasnął w ramię. Nie tak dobry strzał, jakby mu się wydawało. A co do pani przyjaciela... – spojrzał na Czarnego Psa z ostrożnym szacunkiem – bo to jest pani przyjaciel, jak mniemam?

– W rzeczy samej – potwierdziła lady Dowling, ciągle czując mdłości i mgliste przerażenie na wspomnienie o tym, co zrobiła. – Kit! Możesz do mnie podejść?

Pies warknął, przeskoczył przez ścianę ognia i natychmiast zniknął. W jego miejsce pojawił się mężczyzna w lekko przekrzywionym ubraniu. Z rany na jego prawej nodze ściekała krew, szybko wsiąkając w czarną wełnę spodni.

– To nic takiego – burknął. – Kula nie uszkodziła niczego ważnego.

Pomacał swój nos, szukając okularów. Nie było ich tam jednak.

– Cholera jasna, zgubiłem je. Przepraszam, Livvy. Wyglądał na niezmiernie zmęczonego i obolałego, ale żył.

– Musimy cię natychmiast zabrać do środka – powiedziała Olivia. – I pańskie ramię też trzeba opatrzyć, panie konstablu.

– Greaves, moja pani – przedstawił się. – Do usług. Zabezpieczę sir Valentine'a, a państwo obniżcie ścianę.

I będziemy potrzebować wsparcia, żeby otoczyć jego sługusów.

Zamyślony spojrzał z ukosa na lady Dowling.

– Z całym szacunkiem, ale dlaczego sir Valentine skrywał swoją prawdziwą tożsamość, kiedy wręczał mi nakaz aresztowania lady Emmy? Dlaczego tak bardzo mu na niej zależy, że posunął się do strzelania do nas?

– Podejrzewam, że znam tylko część tej historii, Greaves.

Powiedziała mu o swoich przypuszczeniach: iż to właśnie Crawley porwał Emmę i on lub jeden z jego ludzi jest Inkwizytorem zamierzającym zdobyć jakieś tylko jej znane, tajne informacje.

– Reszta przewyższa moje kompetencje, ale w końcu będziemy mieć odpowiedzi.

Oderwała szeroki pasek ze szlafroka i opatrzyła nogę Kita, podczas gdy Greaves skuł kajdankami skowyczącego sir Valentine'a. Olivia i jej przyjaciel wolniutko ruszyli w stronę domu. Edward wyszedł im na spotkanie.

– Dzięki Bogu! – zawołał i potarł palce, gasząc ścianę ognia. – Słyszeliśmy strzały, ale Emma zemdlą, kiedy chciałem was poszukać. Co się, do diabła, dzieje?

Lady Dowling wyjaśniła wszystko najlepiej jak umiała, a ledwie skończyła, dołączył do nich Greaves. Policjant wepchnął aresztowanego Crowleya do spiżarni i zamknął drzwi ciężkim kuchennym kluczem. W tym czasie Kit, Edward i Olivia weszli do saloniku. Zobaczyli Emmę usadowioną na brzegu kanapy z ustami wyдутymi w kpiącym uśmiechu.

– Cóż my tu mamy? – zachichotała. – Dwa psy i sukę kuśtykających ze swoją zaszarganą ofiarą. Eddie, kochanie, doskonale zgrałeś swoją odsiecz w czasie.

– Emmo? – spytał zaniepokojony Edward, sadzając Kita na fotelu. – Nic ci nie jest?

– Od miesięcy nie czułam się lepiej. – Rozprostowała ramiona wysoko ponad głową. – Właściwie czuję się tak dobrze, że nie zamierzam wracać.

– Wracać? – powtórzyła zdziwiona Olivia. – Emmo, mamy człowieka, który cię porwał, a reszta uciekła. Jesteś bezpieczna...

– Bezpieczna! – zaśmiała się. – Gdyby to zależało od Eddiego, już bym nie żyła. Na szczęście mam kompetencje, których jemu zawsze brakowało – powiedziała do osłupiałego narzeczonego. – Eddie, kochanie, myślałeś, że z własnej woli wyjdę za ciebie z innego powodu niż pieniądze?

Olivia wolno podeszła do kuzynki, jakby zbliżała się do wściekłego psa.

– Co się z tobą dzieje, Emmo?

Zwężyła oczy świadoma szalejącej wrzawy we wnętrzu drugiej kobiety, batalii w każdym calu tak dzikiej jak ta, która się rozegrała na zewnątrz.

– Nie – szepnęła. – To nie może być...

– Co się stało, kochana. Ktoś ci uciał język? – Znow zachichotała Emma.

– Kim ty jesteś?

– Właśnie nad tym od jakiegoś czasu się zastanawiam – padło od strony drzwi.

Był to głos Greavesa. Stał w progu z pistoletem sir Valentine'a w rękę.

– Niestety lady Emma nie była łaskawa mi o tym powiedzieć, gdy byliśmy sami. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Teraz dokończymy może naszą przerwana rozmowę.

– Greaves? – zdziwił się Edward. – Cóż to jest za nonsens?

Kit chciał wstać z fotela, ale pistolet powędrował w jego stronę.

– Żaden nonsens – powiedział zrezygnowanym tonem gospodarz małego domku. – Ale myślę, że popełniliśmy poważny błąd w ocenie sytuacji.

Emma wpatrywała się w policjanta.

– Ty głupcze – sapnęła. – Mogliśmy zostać sprzymierzeńcami, gdybyś tylko był cierpliwy i nie pozwolił, aby obleciał cię strach, że zostaniemy zdemaskowani.

– Zdemaskowani? – nie mogła uwierzyć Olivia. – Zatem Greaves jest... obaj z sir Valentine'm są...

– Burgundzkimi szpiegami – dokończyła Emma. – Zrobili z was głupców.

– Sir Valentine uciekł, przebrzydły tchórz. – Greaves machnął bronią. – A teraz stańcie wszyscy obok lady Emmy.

– To nie jest lady Emma – powiedziała Olivia.

– Mylisz się – oznajmiła dziewczyna. – Ta, która zawładnęła moim

ciałem, była oszustką.

Rzuciła Edwardowi wściekle spojrzenie.

– Ta, którą ty prawie poślubiłeś. Ta, która próbowała mnie zabić.

Zszokowany narzeczony otworzył szeroko usta. Kit warknął. Wiele rzeczy zaczynało dla Olivii nabierać sensu.

– To była Kate – wyjaśniła Emma. – Kate, która zawładnęła moim ciałem, kiedy jej własne umierało.

Greaves cmoknął na znak dezaprobaty.

– Ale to nie jest takie proste, moja droga, i ty o tym wiesz.

Zwrócił się do swojej publiczności:

– Widzicie, nasza droga Emma rzeczywiście była bardzo zdolną agentką Albionu na burgundzkim dworze... i również moją kochanką. Ja byłem tajnym agentem Burgundii pracującym w Albionie aż do zeszłego roku. Miała odkryć, jakie informacje o Albionie udało mi się zdobyć w czasie mojego pobytu tutaj. Ale przestała być obiektywna i zadurzyła się w przedmiocie swojej obserwacji. Nakłoniono ją do złożenia przysięgi wierności Burgundii. Całkiem mistrzowskie posunięcie jak dla mnie...

– Kłamca! – syknęła Emma. – Nigdy wcześniej cię nie widziałam. Do wczoraj.

Lady Dowling patrzyła zdziwiona. Twarz Greavesa przeistoczyła się w całkowicie inne oblicze, a jego krępe ciało nabrało smukłych, arystokratycznych linii. Emma nie mogła złapać tchu.

– Serge! – jęknęła.

– Nie tylko ty jedna posiadasz użyteczny Talent, moja droga.

– To Symulant – mruknął Kit. Serge uklonił się.

– To jest moja szczególna umiejętność, tak jak umiejętnością Emmy jest...

Nagle wydał z siebie okrzyk zaskoczenia, a jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. Pistolet zawirował mu w dłoni, jak gdyby ożył własnym życiem.

Olivia zerknęła na Emmę. Uśmiechała się w gorzkim triumfie. W jej umyśle nie było już miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości.

– Mistrzynie Marionetek – powiedziała do kuzynki. – Jesteś Mistrzynią Marionetek!

– Bardzo bystrze z twojej strony – odparła Emma. – Dar Serga może i jest efektowny, za to mój jest nieskończenie bardziej przydatny... szczególnie kiedy muszę pozbyć się świadków, którzy mogliby wtrącać się w nowe życie, jakie zamierzam sobie stworzyć w Albionie. Od kogo by tu zacząć? Od dużego psa?

Powoli, walcząc z jej cichymi rozkazami, z zeszywniałymi mięśniami i zaciśniętą szczęką Greaves skierował pistolet w stronę Kita.

– Nie! – krzyknęła Olivia. – Kate!

Zasłoniła sobą przyjaciela. Próbował ją odepchnąć, ale stracił równowagę i runął na ziemię. Greaves ponownie wycelowął.

– Nie!

Głos był zarówno obcy, jak i znajomy. Emma zamknęła oczy, a kiedy ponownie je otworzyła, bił z nich blask bezgranicznego rozsądku.

– Już dobrze, lady Olivio – powiedziała. – Znów mam kontrolę.

Zerknęła na Serge'a.

– Opowiedz im całą historię, Beaumarchais, albo pozwolę Emmie cię zabić.

Usta Burgundczyka poruszyły się, a jego twarz pobladła.

– *Oui* – zgodził się ochryplym głosem i spojrzał na lady Dowling. – Wszystko, co wcześniej powiedziałem było prawdą, ale... – przełknął ślinę – ...ale lady Emma rzeczywiście zamierzała szpiegować dla Burgundii, tylko jej plan został odkryty przez służącą i współagentkę, Kate O'Brennan... bardzo zdolną, prostą Irlandkę, posiadającą jednak zdolności do kilku sztuczek przydatnych w naszej profesji. Emma dobrze wiedziała, że Kate spróbuje ją powstrzymać, więc postanowiła zabić dziewczynę.

– Mów dalej – zażądała zimno Kate.

– Jednak kiedy Emma uruchomiła swój dar Mistrzyni Marionetek, próbując zabić Kate, służąca wykazała się nadzwyczajną siłą i wolą jak na kogoś jej stanu. Emma straciła kontrolę nad swoim Talentem. W chwili śmierci Kate nastąpiła dziwaczna przemiana.

– Ich dusze – powiedziała Olivia. – Ich umysły... zamieniły się miejscami.

– Nie całkiem – oznajmiła Kate, w której głosie słychać było lekkie zamyślenie. – Moje ciało umarło, ale walczyłam, żeby przeżyć. I udało mi się przeżyć... w ciele Emmy.

– Wtedy o tym nie wiedziałem – przyznał Serge, wlepiając wzrok w pistolet, z którego sam celował sobie w głowę. – Kate tak dobrze grała swoją rolę, że nigdy nie podejrzewałem, iż Emma istniała tylko jako cień we własnym ciele. Poprosiła mnie o pomoc w pozbyciu się ciała Kate. Wrzuciliśmy je do Loary. Ale kiedy Emma zmieniła zdanie na temat zdrady, wiedziałem, że coś jest nie tak.

Wzjął głęboki oddech.

– Pojechałem za nią do Albionu, wiedząc, że być może od początku odgrywała rolę podwójnej agentki. Moje źródła w Albionie powiadomiły mnie, że zrezygnowała ze współpracy z ministerstwem wojny zaraz po swoim przybyciu. Ale tak długo jak pozostawała na wolności, a jej intencje nie były znane, stanowiła zagrożenie dla każdego agenta Burgundii w Albionie.

– I dlatego ją porwałś – odezwał się Kit – ale dlaczego czekałeś tak długo od jej powrotu do Albionu?

– Ponieważ nie miałem pojęcia, jak sprawy się skomplikowały, dopóki były kochanek Kate, niejaki Eamonn Lyons, nie odwiedził Emmy w posiadłości jej ojca, aby wypytać ją o śmierć swojej wybranki. Mój tamtejszy informator,

jest teraz bezpieczny w Burgundii, podsłuchał rozmowę. – Uśmiechnął się gorzko. – Lyons sam był kiedyś agentem, człowiekiem posiadającym znaczne dary. Rozpoznał jakiś osobliwy szczegół w zachowaniu, który przekonał go o prawdziwej tożsamości lady Emmy i oskarżył ją o okrutny podstęp.

– Lyons jest tym człowiekiem, który zgłosił sprzeciw na ślubie! – odgadła Olivia.

– *Oui*. Myślał, że lord Edward ma właśnie poślubić oszustkę. Wiedza ta zainspirowała nas do działania, kiedy nadarzyła się okazja, to znaczy gdy lady Emma uciekła z Londynu. I tak poznałem niezwykle fakty dotyczące tego przypadku.

– Czy to ty pomogłeś Lyonowi spaść ze schodów przy kościele? – zapytał Kit.

– Tę śmierć można przypisać sir Valentine'owi. Nie życzył sobie żadnych przeszkód z zewnątrz, dopóki odpowiednio nie przesłuchamy lady Emmy.

– O Boże! – jęknął Edward. – Nie mogę w to wszystko uwierzyć.

– To prawda – oznajmiła Kate, odważnie napotykając jego wzrok. – Zamierzałam wszystko wyjaśnić zaraz po powrocie do Albionu... ale kiedy poznałam rodziców Emmy, nie mogłam się zmusić, żeby powiedzieć im prawdę o córce. A potem... poznałam ciebie. Pokochałam cię tak gorąco, że nie mogłam znieść... nie mogłam znieść...

Schyliła głowę.

– Wiem, że między nami koniec. Mogę mieć tylko nadzieję, że pewnego dnia ty mi...

Zesztywniała, widząc w jego oczach zdziwienie.

– ...Wybaczysz jej – powiedziała tym drugim głosem i zaśmiała się szyderczo. – Nie ma potrzeby podejmować tak ekstremalnych kroków, Eddie. Kate nie całkiem mnie zabiła, kiedy zawładnęła moim ciałem, ale byłam zbyt słaba, by o nie walczyć... dopóki nie uwolniło mnie przesłuchanie Serge'a. Teraz zatrzymam to, co do mnie należy.

Po raz kolejny pistolet poruszył się w drżącej dłoni burgundzkiego agenta.

– Walcz z nią, Kate! – rozkazała Olivia. – Skoro byłaś na tyle silna, by już raz przetrwać, możesz to zrobić ponownie!

– Jej poprzednie zwycięstwo było tylko czystym szczęściem – warknęła Emma, ale lady Dowling spostrzegła, że jej czoło pokryły kropelki potu, a szczeka kuzynki porusza się z trudem.

Olivia podeszła bliżej.

– Kate, bez względu na poczucie winy, jakie możesz odczuwać, czy strach, że zabrałaś Emmie ciało, pamiętaj, że to nie ty usiłowałaś zamordować...

– Cisza! – krzyknęła Emma.

– ...i nie ty z chęcią zamordowałaś wszystkich w tym pokoju – dokończyła lady Dowling.

Broń w ręku agenta zaczęła celować w Olivię.

– Ty suko! – syknęła Emma. – Dokładnie to zamierzam zrobić.

– Nie tym razem. Kate!!!

– Ja... – Kate-Emma wydała z siebie zduszony dźwięk. – Ja nie mogę...

– Za bardzo jej zależy – powiedziała Emma. – I dlatego ona i wy wszyscy zginiecie.

Z rosnącą rozpaczą lady Dowling uświadomiła sobie, że jej kuzynka wygrywa bitwę. Miała zbyt silną, zbyt bezwzględną wolę. I nikt oprócz Kate nie mógł jej pokonać.

– Żegnaj – szepnęła właśnie Kate. – Wybacz...

– Nie! – zawołał Edward, wstał i spojrzał jej prosto w twarz. – Nie możesz mnie zostawić!

Jej oczy otworzyły się szeroko, ukazując okrucieństwo walki, jaką musiała toczyć o przeżycie.

– Edwardzie... Kocham...

– Ja też Kocham cię bardziej niż życie. Nie pozwolę ci odejść, słyszysz?!
Wróć do mnie!

Łzy pociekły po policzkach Emmy. Uniosła się lekko, jej ciałem wstrząsnęły drgawki.

– Ty... mnie Kochasz?...

– Całym sercem.

Ciało dziewczyny gwałtownie podskoczyło, jakby kierował nim kiepski animator marionetek, i osunęło się na dywan. Kit przyskoczył do Serge'a i wyrwał pistolet z jego osłabionej dłoni. Edward ruszył w stronę Kate.

– Kate! Kate, słyszysz mnie?!

Jej słabe ciało odrobinę się poruszyło.

– Edward? Pogłaskał jej policzek.

– Moja Kochana... czy to już ty?

– Emma odeszła – szepnęła. – Jestem Kate. Kate O'Brennan.

– Nie wiem, dlaczego się w tobie zakochałem... kiedy wróciłaś z Europy – powiedział Edward, ściskając dłonie Kate – ale to było prawdziwe. Tak prawdziwe jak ty teraz. Kocham cię, Kate. Jeśli mnie zechcesz...

Dziewczyna otarła łzy z kącików oczu.

– Jeśli możesz wybaczyć tak okropne oszustwo... Wziął ją w ramiona.

– To ciebie pokochałem, twoją duszę, twój dzielny i wspaniałomyślny charakter, nie Emmy.

– Ale twoja rodzina... Ja jestem prostą dziewczyną irlandzkiej krwi...

– I to wyjaśnia, dlatego zobaczyła kobietę-ducha – oznajmiła Kitowi

Olivia, gdy już przestała podsłuchiwać pod drzwiami.

– Ale tylko częściowo – sprecyzował Kit. – Coś okropnie przeraziło Eamona Lyonsa u świętego Bertrama. On też musiał zobaczyć banshee. Pamiętasz, tylko ludzie irlandzkiej królewskiej krwi mogą je widzieć.

– W takim razie Kate ma być może więcej tajemnic, niż myśleliśmy – westchnęła lady Dowling. – Dziewczyna będzie miała mnóstwo do wyjaśniania, szczególnie dlatego, że postanowiła opowiedzieć całą historię ministerstwu wojny i rodzinie Emmy. Sir Valentine i jego sprzymierzeńcy muszą być aresztowani. A i Kate bez wątpienia ponosi część winy za śmierć swojego irlandzkiego przyjaciela u Świętego Bertrama.

– Ale to nie ona ani kobieta-duch spowodowały jego śmierć.

– Nie, ale gdyby powiedziała wcześniej prawdę, może by do tego nie doszło.

– Być może, a być może właśnie nadszedł jego czas – rzekł Kit i zmarszczył brwi. – A co z tą kobietą-duchem, którą widziała w domku? Czy ją śmierć przepowiadała?

– Nie rozumiesz, Kit? – zdziwiła się Olivia. – Oczywiście zgon Emmy, koniec morderczyni, która chciała zepsuć nowe życie Kate. To była rzeczywiście sprawiedliwość.

– ...jeśli ktoś zna jakiś powód, dla którego tych dwoje nie może zgodnie z prawem połączyć się, niech przemówi teraz lub zamilknie na zawsze.

W kościele pod wezwaniem świętego Bertrama nastąpiła prawie bolesna cisza oczekiwania. Kate i Edward klęczący przy ołtarzu nie poruszyli się jednak. Nikt nie śmiał nawet szepnąć.

Biskup wydał z siebie gwałtowne westchnienie i w rekordowym tempie odprawił resztę ceremonii.

– Tą oto obrączką cię poślubiam – rzekł Edward, a jego twarz emanowała szczęściem. – Wielbię cię moim ciałem i obdarzam cię wszystkimi moimi dobrami ziemskimi.

Zebrani pochylili głowy we wspólnej modlitwie. Gdy ostatnia pieśń dobiegła końca, Olivia chwyciła dłoń Kita.

– Myślę, że Edward bardzo dobrze zrobił, stawiając miłość ponad inne względy – powiedziała. – W końcu spowodował, że jego rodzina zobaczyła sprawy na jego sposób. I gdy to nastąpiło, wszystko jest już w przyzwoitym porządku.

– Szczerze wątpię – odparł z grymasem Kit – że ci dwoje myśla teraz o przyzwoitości.

– Dlaczego, Kit?! – Lady Dowling uśmiechnęła się, dostrzegając błysk w

oczach przyjaciela. – Nigdy bym nie przypuszczała, że można mieć takie nieprzyzwoite myśli w kościele.

– Och, ja je miewam wystarczająco często – chrząknął. – Świat byłby znacznie szczęśliwszym miejscem, gdyby miłość mogła pokonać wszystkie przeszkody na swojej drodze.

– Ależ może, mój drogi. Któż powinien o tym lepiej wiedzieć niż najstraszniejszy pies świata?

– Hau? – zapytał z szerokim uśmiechem.

– Hau, hau – powiedziała, biorąc jego dłoń.

O Autorze

SUSAN KRINARD jest autorką kilkunastu powieści fantasy i łączących fantasy z romanssem. Ukończyła Kolegium Sztuk i Rzemiosł w Kalifornii, zamierzając projektować okładki książek science fiction, ale los sprawił inaczej, gdy jej rękopis trafił do ważnego wydawcy. Urodziła się i wychowała nad Zatoką Kalifornijską. Obecnie wraz z mężem, trzema psami rasy mix i kotem Jeffersonem Susan zakłada nowy dom w „Krainie Czarów” w Nowym Meksyku. Oficjalna strona autorki: www.susankrinard.com.